



Martin
Olczak

MORDERSTWO W AKADEMII

NIKT NIE POWSTRZYMA ŚMIERCI,
GDY W GRĘ WCHODZI NOBEL

Pascal

MARTIN OLCZAK

MORDERSTWO W AKADEMII

NIKT NIE POWSTRZYMA ŚMIERCI

Tłumaczenie
Paulina Rosińska

Pascal

Copyright © Martin Olczak 2013 by Agreement with Grand Agency, Sweden, and ANAW Literary Agency, Poland.

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

Tytuł: *Morderstwo w akademii*

Tytuł oryginału: *Akademimorden*

Autor: *Martin Olczak*

Tłumaczenie: *Paulina Rosińska*

Redakcja: *Joanna Kulakowska-Lis*

Korekta: *Anna Ponikiewska*

Projekt okładki: *Studio KARANDASZ*

Zdjęcia na okładce: © *Diane Kerpan / Arcangel Images, Funniefarm 5, Stefan Holm (Dreamstime)*

Redaktor prowadząca: *Małgorzata Jasińska-Kowynia*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2015

ISBN 978-83-7642-631-0

eBook maîtrisé par Atelier Du Châteaux

Annie. I Patrykowi

XXII. §. Pierwsza i naydonioślejsza powinność Akademii to (...) obyaśniać
Prawdy Boże

ze Statutu Akademii Szwedzkiej, spisane go przez Gustawa III i Elisa
Schröderheima w 1786 roku

Drodzy Przyjaciele!

Czy mogę Was tak nazywać?

W Waszych oczach widzę zdziwienie. Wiedźcie jednak, że dla mnie jesteście przyjaciółmi, chociaż to nasze pierwsze spotkanie.

O, podkładacie mi poduszkę pod głowę, piękną, lnianą. Dziękuję za troskę, lecz to w rzeczy samej nie jest konieczne. Umierający nie przywiązuje wagi do wygod.

Lecz dość już o tym. Czasu zostało niewiele, a przecież jest mnóstwo spraw do omówienia, prawda?

Z pewnością wiecie już, co zaszło. Znacie wydarzenia, które dzisiejszej nocy przyniosły śmiertelny skutek. Być może jednak powinienem naświetlić niektóre okoliczności.

Kiedy wszystko się zaczęło? Który moment należy wskazać jako początek tego wszystkiego?

Być może nie zgodzicie się ze mną, lecz śmiem twierdzić, że znam datę, a nawet dokładną godzinę.

12.59.

11 października 2005 roku.

Hubert Rudqvist stał wówczas pod białymi, dębowymi drzwiami reprezentacyjnej sali w gmachu Sztokholmskiej Giełdy¹⁾. Jego dłoń spoczywała na klamce, a wzrok śledził ruch sekundnika na ściennym zegarze. Cierpliwie wyczekiwał, aż wybije pełna godzina.

1) Börshuset (szw.) – zabytkowy budynek na Starym Mieście w Sztokholmie, w którym do lat 90. XX wieku mieściła się Sztokholmska Giełda Papierów Wartościowych. Swoją siedzibę mają tam Akademia Szwedzka oraz Muzeum Nobla (przyp. tłum.).

Zwilżył wargi, po czym wkroczył do sali, aby ogłosić nazwisko laureata. Pomieszczenie wypełniał tłum dziennikarzy i fotografów z całego świata.

Rudqvist, poprawiwszy marynarkę, obwieścił pewnym głosem.

– Witam Państwa w siedzibie Akademii Szwedzkiej. W 2005 roku laureatem Literackiej Nagrody Nobla jest brytyjski dramaturg Harold Pinter.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer.

– Wreszcie! – zakrzyknął jakiś żartowniś.

Rudqvist trwał nieporuszony. Odczytał uzasadnienie decyzji Akademii w pięciu językach – po szwedzku, angielsku, francusku, niemiecku i rosyjsku – i rozejrzał się dokoła.

Jego wzrok – jakby bezwiednie – na chwilę zatrzymał się na mnie. Wpatrując się w jego niebieskoszare oczy, zrozumiałem w owej chwili, co musi się stać.

Trzeba dokonać Zemsty.

Wreszcie – jak wyraził się tamten dowcipniś.

Następnie Rudqvist podziękował i zaczął odpowiadać na pytania dziennikarzy. Do naszego kolejnego spotkania miało upłynąć siedem lat.

Było to... wieczorem... w połowie... maja...

Część pierwsza
– *Modus operandi* –

Harold Pinter

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 2005 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„W swoich sztukach odkrywa przepaść pod codzienną gadaniną i zmusza do wejścia do zamkniętych przestrzeni ucisku”

14 maja 2012

Setną rocznicę śmierci Augusta Strindberga obchodzono w słynnej restauracji Berns Salonger w centrum Sztokholmu. Na parkietach i tarasach tłoczyli się mężczyźni i kobiety w eleganckich strojach, gwar zagłuszał sączącą się z głośników Sonatę Kreutzerowską Beethovena, ulubiony utwór wielkiego dramaturga. Goście wznosili toasty i prowadzili ożywione rozmowy, wszędzie słychać było szelest drogich sukni i markowych garniturów. Szmer wznosił się ku kryształowym żyrandolom i połączanemu sklepieniu sufitu.

Hubert Rudqvist, stały sekretarz Akademii Szwedzkiej, stał na południowo-zachodnim tarasie. Wodził wzrokiem po sąsiedniej sali – po obitych pluszem siedziskach w Czerwonym Pokoju, po boazerii i witrażach. Ponad sto lat temu Strindberg spotykał się tu z literatami, przesiadywał w tej restauracji, w tych krwistoczerwonych fotelach.

– Kiedy ucichnie gwar – powiedział w uroczystej przemowie, wygłoszonej nieco wcześniej, tego samego wieczora – wciąż można tu usłyszeć głos Strindberga. Jego słowa na zawsze pozostały w tych ścianach. Słuchajcie! Słuchajcie uważnie!

Ponad trzystu gości zamilkło, przy długich, bogato zastawionych stołach zapadła kompletna cisza. Wtedy Rudqvist zbliżył mikrofon do ust i wyszeptał upiornym głosem:

– Nie zwycięstwa chciałem, lecz walki2).

2) August Strindberg, *Mistrz Olof*, przekład Zygmunt Łanowski (przyp. tłum.).

Sądząc po oklaskach, laudacja została doceniona, a wieczór, wbrew obawom, okazał się przyjemny. Nadeszła jednak pora powrotu do domu, Rudqvist wypił więcej i konwersował dłużej, niż zamierzał. Mocnym uściskiem dłoni pożegnał się z wydawcami i pisarzami, a do pozostałych członków Akademii pośpiesznie

pomachał ręką. Przeczesał wzrokiem salę, szukając żony, lecz nie mógł jej wypatrzyć w tłumie. Odebrał w szatni płaszcz, starannie zapiął pasek, po czym wyszedł w sztokholmską noc, kierując się przez park Berzeliusa³). Do końca lat 40. XIX wieku rozciągały się tu bagna i zbierały ścieki przy ówczesnym targu rybnym na Packaretorget. Tej nocy park znów przypominał grzęzawisko – trawa była mokra od rosy, a kłęby mgły spowijały ciemne korony klonów i otaczały pomnik Berzeliusa niczym gromada upiórów.

3) Jöns Jacob Berzelius (1779–1848) – wybitny szwedzki chemik i lekarz, członek Akademii Szwedzkiej (przyp. red.).

Rudqvist szedł zdecydowanym krokiem wzdłuż krzaków, jakieś dziesięć metrów od niskiego czarnego ogrodzenia okalającego park. Noc była zimna, każdy oddech formował w świetle latarni obłoczek pary. Nagle ktoś pojawił się na żwirowej ścieżce... mężczyzna. Miał na sobie dwurzędowy płaszcz, wypastowane do połysku buty i szapoklak⁴), nieco zsunięty na tył głowy. Ciemne ubranie ginęło w mroku, lecz w dłoni nieznajomego wyraźnie połyskiwał metalowy przedmiot.

4) Szapoklak (fr.) – cylinder, który można złożyć na płasko, popularny na przełomie XIX i XX wieku jako element stroju balowego. Używany do dziś jako element munduru czeladnika kominiarskiego (przyp. red.).

Rudqvist przystanął, wpatrując się w niego jak zahipnotyzowany.

– O co... o co chodzi?

Mężczyzna podszedł bliżej i odezwał się uroczystym głosem.

– Carlu Bildcie, nadeszła chwila zemsty.

Podniósł broń i zacisnął palec na spuście. W ciemnościach rozległ się huk wystrzału, a z lufy wydobył się biały dym, Rudqvist padł na ziemię. Ołowiana kula przeszła czoło dokładnie między oczami, a po policzkach spłynęła krew niczym purpurowe strumienie łez.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się swojej ofierze, a następnie oddalił się szybkim krokiem, jakby rozpląnął się we mgle.

* * *

Claudia Rodriguez wodziła wzrokiem po pokoju, patrzyła na białe tapety o fakturze przypominającej tkaninę, na fotografii na stoliku nocnym, na leżącego bez ruchu mężczyznę. W nogach łóżka zawieszono laminowaną kartę, a wypisane na niej odręcznie kody Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób od dawna pozostawały niezmiennie, 00–G99 // U00–U99 // I00–I99, cyfry, które nie mówiły nic, a tak wiele znaczyły.

– Idę do klubu bokserskiego. Na przyjęcie.

Rurka wystająca z krtani mężczyzny wiła się za łóżkiem, niecały metr do re-

spiratora. Czerwone cyfry na wyświetlaczu podawały częstotliwość oddechu, minuta za minutą, godzina za godziną.

– Giorgios kończy sześćdziesiąt lat – wyjaśniła.

Przez pierwszy rok takie mówienie na głos wydawało się naturalne – opowiadanie o codziennym życiu, o ślubach i rozwodach przyjaciół, plotki z pracy, wyniki meczów, teraz jednak Claudia najczęściej stała przy oknie, milcząc. W sali numer dwanaście, na oddziale neurologicznym, spędzała zazwyczaj kwadrans, może dwadzieścia minut, żałując, że przysła, żałując, że wychodzi. Wypowiadane słowa wydawały się jej niezgrabne i obce.

Tej nocy przynajmniej była tu sama. Bez pielęgniarek, bez sprzątaczek. Matka leżącego na łóżku mężczyzny odwiedziła go wcześniej, pewnie w porze lunchu. Przez ostatni rok ich wizyty nigdy się nie zbiegły – takie porozumienie bez słów.

– Muszę już iść...

Dotknęła lewej dłoni pacjenta, spojrzała jeszcze na respirator, na pomarańczowe lampki migające co trzy sekundy, bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wzięła kask i wyszła. Zamiast zjechać windą wybrała schody, pokonała sześć pięter i wybiegła z budynku szpitala uniwersyteckiego na parking, gdzie, nieco z boku, stała jej honda shadow. Ruszyła na zachód, przejechała przez osiedla Huddinge, minęła jezioro Albysjön. Wkrótce z mroku wyłoniła się hala sportowa w Botkyrka. Chociaż przejechała zaledwie kilka kilometrów, nie więcej, wydawało jej się, że miejsca te dzieliły lata świetlne. Zaparkowała motocykl przed głównym wejściem, ociągała się jeszcze chwilę, patrzyła na nocne niebo rozpościerające się nad południowo-zachodnimi przedmieściami, wreszcie weszła do klubu.

Spędziła tu sporą część dzieciństwa, sporą część życia, przywykła do głuchego odgłosu prostych i sierpowych, do przekleństw w kilkunastu językach, lecz dzisiaj w klubie rozbrzmiewały śmiechy i dźwięki rebetiko, pieśni Haris Alexiou, raz za razem odtwarzane na gramofonie z zakurzonych płyt. Wypatrzywszy Elenę, Claudia precyzyjnie się przez tłum i objęła przyjaciółkę z dziecięcych lat, ostrożnie, by nie rozlać wody mineralnej, którą ta trzymała w dłoni.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Jak na ciebie to i tak wcześnie – odpowiedziała Elena ze śmiechem, lecz niemal natychmiast umilkła i spoważniała. – To dzisiaj, prawda? Dzisiaj mija pięć lat...

– Tak.

– Byłaś w szpitalu?

– Przed chwilą.

– W środku nocy? Pozwalają na odwiedziny o tej porze?

– Nie.

Przez chwilę Claudia stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, lecz nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech, tak jakby miała gdzieś w środku przełącznik i jednym

dotknięciem mogła zmienić nastrój.

– Jak przyjęcie?

Elena z uśmiechem skinęła w kierunku prowizorycznego baru i tłumu w głębi hali, skąd dobiegały śpiewy i krzyki.

– Zgadnij.

– Wydaje się dzisiaj w świetnej formie.

– Zdecydowanie.

W rozświetlonej blaskiem świeczek sali Claudia dostrzegła setkę znajomych twarzy, lecz jej uwagę przykuwał tylko on, wspaniały mężczyzna.

Giorgios Papadakis siedział przy rozklekotanym plastikowym stoliku obok baru, otoczony przez młodych adeptów pięściarstwa, krewnych i przyjaciół. Siłował się na rękę z każdym, kto był na tyle głupi, żeby przyjąć wyzwanie. Kiedy wygrywał, cała hala rozbrzmiewała jego serdecznym śmiechem.

– Nikt nie pobije starego Greka? Nikt?

Większość gości miała dość rozumu, żeby trzymać się z dala od prawej dłoni Giorgiosa. Ci, którzy zdążyli już spróbować, mieli teraz potłuczone kłykie i obolałe ramiona. Jubilat znów wskazał na puste krzesło.

– Ktoś jeszcze sądzi, że ma szansę? Nikt? Nikt nie ma odwagi?

Pomysł wziął się nie wiadomo skąd, po prostu wpadł Claudii do głowy, ot tak. Nie odrywając wzroku od potężnego mężczyzny, pochyliła się ku przyjaciółce i szepnęła jej coś do ucha. Na twarzy Eleny od razu pojawił się uśmiech. Zerknęła na ojca i cicho odpowiedziała.

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

Claudia mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki. Następnie zdjęła skórzaną kurtkę, przecisnęła się przez tłum, minęła zastawione jedzeniem stoły i bar, i zasiadła na czarnym składanym krzeselku.

– Dobra, staruszkule, pora nauczyć cię moresu.

Przez halę przetoczyła się fala podnieconych głosów.

– Claudia siłuje się z Giorgiose!

W ciągu kilku sekund wokół stołu stłoczyło się jakieś pięćdziesiąt osób. Hala rozbrzmiewała okrzykami zagrzewającymi do walki, łobuzerskimi gwizdami i dzi kim tupaniem. Giorgios potrząsał głową – wilgotne od potu kosmyki włosów kołysały się na wszystkie strony.

– Może w mieście jesteś kimś, aresztujesz gwałcicieli i morderców. Ale tutaj zawsze będziesz moją małą Clauditą.

Szybkim ruchem chwyciła prawą dłoń mężczyzny, wpatrując się w jego bystre oczy. Giorgios nie spuszczał z niej wzroku.

– Dzisiaj jestem w formie – powiedziała. – W świetnej formie.

– Dobra, dobra, tylko nie myśl sobie, że dam ci fory, bo jesteś dziewczyną. Nikt mnie jeszcze nie pokonał i tym bardziej nie zamierzam przegrać w dzień swoich sześćdziesiątych urodzin. Zwłaszcza z dziewczynką, która pierwsze kroki stawiała w mojej kuchni.

– Długo będziesz jeszcze gadał? Możemy zaczynać?

Giorgios przetarł lewą dłonią twarz i wziął głęboki oddech.

– Na trzy?

Kiwnęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

– Na trzy.

Ich ramiona drgały z wysiłku. Po twarzy Giorgiosa spływały krople potu, kiedy odliczał.

– Raz, dwa...

Nagle Claudia pochyliła się nad stołem i powiedziała cicho:

– Giorgios, będziesz dziadkiem.

Mężczyzna zamarł, wyglądał niczym posąg Kronosa wykuty z granitu, poruszał tylko ustami, bezgłośnie powtarzając słowa Claudii. Tymczasem ona, napierając z całej siły, uderzyła jego bezwonną dłonią o blat.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – szepnęła i ucałowała go w oba policzki.

Giorgios chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, spojrzał więc tylko na Elenę, swoją jedynaczkę, a na jego zdziwionej twarzy malowało się pytanie: *Czy to prawda?*

Skinąwszy głową, Elena precyzyjnie się przez tłum. Lewą rękę trzymała na brzuchu.

– *Nai, pappou*5).

5) *Nai, pappou* (gr.) – Tak, dziadku (przyp. red.).

Giorgios chwiejnie wstał z krzesła i objął córkę. Otoczyli ich przyjaciele, krewni i młodzież z Klubu Bokserskiego w Botkyrka. W hali rozbrzmiewały krzyki i śmiechy, gratulacje po grecku, szwedzku, hiszpańsku i persku. W takim gwarze Claudia nie usłyszała sygnału komórki schowanej w tylnej kieszeni spodni, ale wyczuła wibracje. Wyciągnęła telefon. Sprawdziwszy na wyświetlaczu, kto dzwoni, natychmiast odebrała i przycisnęła aparat do ucha.

– Halo? Co się dzieje?

Słuchała, starając się uchwycić każde słowo, każdy szczegół.

– Będę za piętnaście minut – odpowiedziała i rozłączyła się.

Schowała telefon z powrotem do kieszeni, pośpiesznie pomachała Elenie na pożegnanie i uściśnęła dłoń Giorgiosa. Zabrała kask i kurtkę, po czym wybiegła z hali na parking. Odgłos jej kroków i szmer oddechu na chwilę zakłóciły spokój śpiącego przedmieścia. Chwilę później pędziła trasą Södertelje – Sztokholm do

centrum, do parku Berzeliusa.

* * *

Sylwetka Wenera Stoltego nikła w ciemności, kiedy około północy szybko przemierzał Stare Miasto. W oddali, po drugiej stronie zatoki Saltsjön, majaczył park rozrywki, migotały światła, słysząc było stamtąd okrzyki i śmiechy tysięcy ludzi. Tutaj jednak panowała zupełna cisza, na placach tańczyły cienie, pomnik z brązu zdawał się ożywać w mroku.

Po raz pierwszy szedł tą drogą w dniu swoich dziesiątych urodzin, późną jesienią 1941 roku – wieczorny spacer był wówczas tajemniczy i wspaniały. Trzymał za rękę ojca, patrzył na spowite cieniem średniowieczne budynki – dla niego oznaczało to początek przygody. Teraz, ponad siedemdziesiąt lat później, szedł tą samą drogą, minął pałac Tessinów, podążył dalej, ku Själagårdsgatan. Nie pamiętał już, jak często przemierzał te strome, brukowane uliczki, lecz tym razem towarzyszyły mu odmienne uczucia – nie był to początek przygody, ale jej kres.

Dotarł do Brända Tomten. Rosnący tu kasztanowiec rozpościerał konary niemal nad całym trójkątnym placem. Stolte spojrzął na koronę drzewa, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś ujrzy jego białe kwiatostany, a po chwili skierował się pośpiesznie do drewnianych drzwi pod numerem szóstym, przy odchodzącej od placu ulicy Kindstugatan, i przyciskając wysłużone metalowe guziczki, wstukał kod. Domofon wydał charakterystyczny dźwięk, mężczyzna wszedł do środka. Ostrożnie schodził do piwnicy, zniżał głowę, by nie uderzyć o belki sufitu i białe żelazne rury – na jego czole wciąż można było dostrzec bliznę powstałą, kiedy miał czternaście lat – biegnąc na spotkanie, zapomniał się schylić. Nigdy już nie popełnił tego błędu.

Pośpiesznie minął stary kocioł elektryczny i pomieszczenie, w którym dawniej składowano ziemniaki i dotarł do stalowych drzwi na końcu korytarza. Widniała na nich rdzewiejąca blaszana tabliczka: *ROZDZIELNIA ELEKTRYCZNA – WSTĘP WZBRONIONY*.

Otworzył kluczem drzwi i wszedł do ciemnego pomieszczenia. Kiedy zapalił latarkę, w świetle ukazała się zniszczona skrzynka na bezpieczniki. Wewnątrz, na ceglanej ścianie widniał trójkąt – jego równe boki, wykonane ze stopu srebra, zdążyły z czasem czernieć. W górnym i w lewym rogu znajdowały się dwa słowa, razem szesnaście wysokich na centymetr, odlanych ze srebra liter. Stolte wziął z półeczki w skrzynce wkrętak i wcisnął dziewięć z nich, jedną po drugiej, tworząc słowo, nazwisko.

Gdy wciskał ostatnią literę rozległ się metaliczny dźwięk, a w murze pojawiła się szpara. Cegły powoli zaczęły przesuwać się na boki po szynach wbudowanych w podłogę z wapienia, ukazując długi, wąski tunel. Wysoki Stolte znów się pochylił i wszedł łagodnie opadającym w dół, wykutym w skale korytarzem ku ma-

towemu światłu. Mniej więcej dziesięć metrów dalej, na końcu tunelu prowadzącego w głąb ziemi, było przestronne pomieszczenie. Ze sklepienia zwisał żyrandol, a płomień świec drgał niespokojnie.

Pełno było tu rozmaitych przedmiotów, w półmroku kryły się książki, dzieła sztuki, niezwykle przyrządy naukowe, o których dawno już zapomniano. Pod kamiennymi ścianami stały długie rzędy regałów, półkę za półką wypełniały tomy wydane na grubym, szarym papierze i egzemplarze oprawne w safian. W szklanych gablotach leżały listy i manuskrypty zapisane na lnianych, czerpanych arkuszach.

Przy murowanym kominku, w fotelach obitych kozią skórą, siedziały dwie osoby, kobieta i mężczyzna, ona w wieku Stoltego, on – kilka lat młodszy. We troje spędzili w tym podziemnym pomieszczeniu sporą część życia, tutaj połączyła ich relacja silniejsza niż więzy przyjaźni czy nawet krwi, lecz poza tym miejscem byli dla siebie jak obcy – taką zawarli umowę.

Krocząc po kamiennej posadzce, Stolte zbliżył się i usiadł w fotelu, spojrzał na swoich towarzyszy, lecz nie odezwał się ani słowem. Słysząc było jedynie trzask płomieni w kominku, rozżarzone polana skomlały niczym bite psy. Obok fotela Stoltego stała szafka z pierwszego dziesięciolecia XIX wieku, jej luszczące się drzwi były szeroko otwarte, a półki ziały pustką. Patrząc na opróżniony mebel, Stolte przerwał milczenie:

- Dziś w nocy się zaczęło, nikt tego nie zatrzyma.
- Rany boskie!
- Co teraz zrobimy? – zapytała z przerażeniem kobieta.
- Nic już nie możemy zrobić. Nic.

Werner Stolte zamknął oczy i wymamrotał znów:

- Zaczęło się.

* * *

Claudia przeszła pod biało-niebieską taśmą. Snopy światła omiatały pomnik z brązu i rzeźby Carla Millesa⁶⁾, w ciemności rozbrzmiewały podniesione głosy. Z krzewów ligustru dochodził jednostajny sygnał – w czarnej gęstwinie żywopłotu pracował wykrywacz metali.

6) Carl Miller (1875–1955) – szwedzki artysta, autor monumentalnych rzeźb (przyp. red.).

Za ogrodzeniem, na Hamngatan, zebrali się przechodnie, Claudia dostrzegła łzy i zaciekawione spojrzenia. Idąc dalej, w północno-wschodniej części parku zobaczyła grupę policjantów. Wśród nich stał inspektor wydziału dochodzeniowo-śledczego normalmskiej policji, człowiek, o którym często słyszała, lecz którego nie miała jeszcze okazji poznać.

Kłopoty.

Będą kłopoty.

Kiedy do nich podeszła, inspektor nadal rozmawiał z policjantami z grupy interwencyjnej, nie odrywając wzroku od przykrytego płachtą nieruchomego ciała leżącego na ziemi.

– Claudia Rodriguez, wydział zabójstw biura kryminalnego Komendy Głównej.

Powoli odwrócił głowę i patrzył na nią wzrokiem, z którego trudno było cokolwiek wyczytać.

– O, kurde. Myślałem, że pracują tam tylko podstarzali, łysi goście.

– Nie tylko.

– Właśnie widzę. Pewnie zostało ci jeszcze jakieś pół wieku do emerytury.

Rolf Hedlund – powiedział inspektor mocno ściskając jej wyciągniętą dłoń.

– Co się stało? Rozbój?

– Stawiałbym raczej na usiłowanie. Drań napadł Rudqvista, ale spanikował i uciekł. Zostawił pieniądze, portfel, komórkę.

– Niczego nie ukradł?

– Na razie wygląda na to, że nie.

– Kto był pierwszy na miejscu?

– Jeden z naszych patroli interwencyjnych z Östermalmu, Grahn i Robertsson.

Wskazał na dwóch funkcjonariuszy stojących obok i zaciągnął się papierosem, gęsty szary dym spowił mu twarz.

– Jeśli mam być szczery...

Zamilkł, wzruszył ramionami.

– No?

– Nie rozumiem, po co w ogóle wciągają w to Komendę Główną.

Claudia nie odezwała się, czekała, aż Hedlund powie coś jeszcze.

– Przejmujecie trudne przypadki, mam rację? Zawikłane sprawy morderstw na jakimś zadupiu, z którymi miejscowi nie daliby sobie rady. Ale to nie Hudiksvall czy Skövde. Jesteśmy w Sztokholmie.

– Jasne – odpowiedziała. – Wiem, gdzie jesteśmy.

Zatoczył ręką szeroki łuk wskazując na pogrążone w ciemnościach zabudowania Östermalmu.

– Okolicę przeczesuje jakieś dziesięć patroli. Ludzie z psami, helikopter. Za godzinę, dwie znajdziemy gnoja.

– Mam nadzieję, że tak będzie. Miło byłoby się wreszcie wyspać.

Claudia podeszła do ciała na zwirowej ścieżce, spojrzała na nieruchomą sylwetkę przykrytą żółtym kocem.

– A więc to jest Hubert Rudqvist?

– To *był* Hubert Rudqvist. Nigdy więcej nie ogłosi już nazwiska laureata

Nagrody Nobla.

Ostrożnie przykucnęła przy zamordowanym, odsunęła koc. Twarz ofiary pokrywała zakrzepła krew, od linii włosów do kołnierzyka koszuli ciągnęły się ciemnoczerwone linie, na czole ledwie widoczny otwór wlotowy, a z tyłu głowy duża rana wylotowa.

– To dziwne.

– Ślady prochu?

Kiwnęła głową.

– Na całej twarzy, nawet na kołnierzyku.

– Rzeczywiście, dziwne, ale mogą być setki przyczyn. Może sprawca oddał strzał z bardzo bliska, może broń była uszkodzona.

– Może.

Hedlund wyczuł wahanie w jej głosie i jego oczy zwęziły się. Claudia dostrzegła napięcie na twarzy mężczyzny, naprężone mięśnie szczęk.

Będą kłopoty.

Znów popatrzyła na park, na wody Nybroviken. Spomiędzy zacumowanych łódek wypelzała mgła, w smolistej powierzchni jeziora Mälaren odbijały się światła latarni i neonów. Przed wejściem do restauracji zebrała się setka ludzi, wszyscy elegancko ubrani, pogrążeni w smutku. Wśród nich uwagę przykuwała twarz kobiety, zalana łzami, pomazana tuszem do rzęs.

– Ta w czerwonej sukni to żona Rudqvista?

– *Yes.*

– Była na przyjęciu?

Hedlund kiwnął głową, ostatni raz zaciągnął się papierosem.

– Ale Rudqvist szedł sam przez park?

– Żona została w restauracji.

– Rozmawialiście z nią?

– Próbowaliśmy, ale dostała ataku hysterii – jedyne, co zdołała z siebie wydobyć, to wielka kałuża rzygowin. Jutro z nią porozmawiam, jak się uspokoi.

– Świetnie, pójdę z tobą.

Hedlund zawahał się przez moment, wyrzucił peta, po czym odpowiedział.

– Nie trzeba. Pewnie masz ważniejsze sprawy.

– To żaden problem, znajdę chwilę.

Kiedy rozległ się warkot helikoptera przelatującego nad dachami Norrmalmu, Hedlund podniósł głowę, po chwili znów wbił wzrok w ziemię, a na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

– Rodriguez, możesz sobie powołać zespół profilerów i stworzyć rejestry świadków według tych waszych procedur. *Be my guest.* Ale jak już mówiłem, dozwiemy gnoja, zanim zrobicie sobie poranną przerwę na kawę – posłuchaj dobrej rady.

– Nie mam nic przeciwko temu. Nie znoszę tych głupich przerw na kawę.

W tej samej chwili z czarnych krzaków ligustru w zachodniej części parku dało się słyszeć krzyk:

– Znaleźliśmy coś!

Natychmiast pobiegli w tamtym kierunku, przeskoczyli przez rabaty bratków, przedarli się przez zarośla dwadzieścia metrów dalej. Przy ogrodzeniu stał funkcjonariusz z wykrywaczem metali. Otaczał go gęsty mrok, ale w świetle czołówki widać było wyraźnie jego prawą rękę. Pokazał okrągły przedmiot uchwycony pincetą, małą ołowianą kulę, zardzewiałą i lekko zdeformowaną. Chociaż pocisk został wystrzelony w innej części parku i przeszedł przez czaszkę Rudqvista, można było dostrzec na jego powierzchni ślady krwi i resztki przezroczystego smaru.

W ciemności rozległ się zdyszany głos Hedlunda.

– Co to, kurde, za kula?

Claudia bacznie przyglądała się znalezisku.

– Nie mam pojęcia. Ale technicy na pewno się dowiedzą.

Ernest Hemingway

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1954 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za imponujące mistrzostwo, będące wzorem dla współczesnej prozy, którego niedawnym dowodem jest *Stary człowiek i morze*”

15 maja 2012

Claudia ostrożnie chwyciła kubek od termosu, upiła łyk czarnej kawy, mocnej i gorącej. Biurko było zarzucone stosami dokumentów – pierwsze raporty ze śledztwa, relacje świadków, protokół przesłuchania. Zmęczonym wzrokiem przebiegła obszerne wydruki, akapit za akapitem, wyciągnęła rękę po czerwony flamastr i zaznaczyła słowo *zapach* w każdym tekście, po czym policzyła skrupulatnie.

Osiem osób. Wszyscy zwrócili na to uwagę.

Silny zapach.

Na żółtej karteczce samoprzylepnej zapisała: *ZAPACH, B. SILNY!!!*, po czym przykleiła ją do ściany po lewej stronie biurka. Przez noc gładka powierzchnia zmieniła się w barwną mozaikę, jakieś pięćdziesiąt różnokolorowych skrawków papieru, na których widniały notatki, informacje o czasie wydarzeń, adresy.

Nagle rozległ się podwójny przenikliwy dźwięk. Claudia natychmiast chwyciła komórkę i – odczytawszy krótką wiadomość – błyskawicznie wystukała numer nadawcy, niecierpliwie wsłuchiwała się w sygnał.

– No, dalej, odbierz...

Kiedy usłyszała powitanie poczty głosowej, rozłączyła się zirytowana i – nie czekając nawet minuty – zadzwoniła jeszcze raz. Znowu rozległ się mechaniczny głos.

– Niech to szlag...

Podniosła się z krzesła i wyjrzała przez okno na sztokholmskie śródmieście, które powoli budziło się ze snu. Na północnym wschodzie, niecałe dwa kilometry dalej, widoczny był kampus uniwersytecki. To stamtąd, z któregoś z czerwonych ceglanych budynków, ze skrzydła bez okien, wysłano SMS-a. Claudia wzięła głęboki oddech, chwyciła kask i wybiegła z biura.

* * *

Chwilę później, przekraczając dopuszczalną prędkość o sześćdziesiąt kilo-

metrów, pędziła dziewięćdziesiąt na godzinę ulicą przy stacji kolejki podmiejskiej w Karlberg, wyznaczoną jako objazd dla remontowanej Rörstrandsgatan. Podjeżdżając pod górę czuła silny pęd powietrza. Za torami wznosiły się zabudowania szkoły wojskowej ulokowanej w dawnym zamku. Mijając kiosk, zarejestrowała kątem oka afisz z tytułem dnia, zdążyła odczytać wielkie na ponad dziesięć centymetrów litery: *CZŁONEK AKADEMII SZWEDZKIEJ ZAMORDOWANY*.

Zacisnąwszy dłonie na kierownicy przecięła wjazd dla autobusów i skrzyżowanie, pędziła dalej pod betonową konstrukcją autostrady Essingeleden, aż wreszcie zatrzymała się pod Retzius väg 5. Silnik ucichł, Claudia pobiegła przez obszerny kampus Instytutu Karolinska do głównego wejścia budynku medycyny sądowej. Przyciskając twarz do zamkniętych drzwi, starała się zajrzeć do środka przez pokrytą rosą szybę – w recepcji nie było nikogo, wyjęła więc komórkę i ponownie wybrała ten sam numer. Brak odpowiedzi.

– Cholera jasna.

Schowała telefon w tylnej kieszeni spodni i zaczęła uderzać w blaszaną listwę na drzwiach, najpierw ostrożnie, a potem z całej siły, aż trzęsła się szyba. Po chwili z korytarza wybiegł młody mężczyzna, Claudia od razu go rozpoznała. Laborant Per Wilkinson pomachał jej na powitanie, zaskoczony i podekscytowany długo manipulował przy zamku. Kiedy mechanizm wreszcie ustąpił, z uśmiechem otworzył szeroko drzwi.

– Claudia! Tak wcześnie zaczynasz? Pracujesz nad sprawą Rudqvista?

Weszła i szybkim skinieniem głowy odpowiedziała twierdząco na oba pytania, nie chciała mówić więcej niż to konieczne, wiedziała, że Wilkinson to gaduła.

– Frank Larsson pewnie już jest?

– Oczywiście, chodź. A ty nadal trenujesz boks?

– Czasami.

Minęli hol, Wilkinson patrzył na nią z ciekawością, spragniony towarzystwa po samotnie przepracowanej nocy. Nagle uniosł zaciśnięte pięści i wymierzył kilka udawanych ciosów w powietrze.

– Mówiłem ci już, że jako nastolatek też trenowałem boks? Nawet nieźle mi szło. Moglibyśmy przy okazji umówić się na sparing. Co ty na to? Przy Sankt Erikspan jest klub.

– Raczej przy Odenplan – poprawiła go, nie odpowiadając na pytanie. – Frank jest w prosektorium?

– Tak, wiesz, jak jest. Razem z medykami sądowymi całą noc zajmował się...

– Tak, wiem, jak jest.

Przystanąła i popatrzyła na niego.

– Per, nie będę ci dłużej przeszkadzać, sama trafię.

Uniosła dłoń w geście pośpiesznego pożegnania i ruszyła dalej korytarzem,

minęła automat do kawy, zamknięte gabinety chemików sądowych, po chwili usłyszała odgłos szybkich kroków, twarde gumowe podeszwy uderzały o świeżo woskowaną podłogę. Wilkinson dogonił ją i wydyszał:

– Nie ma problemu, nie przeszkadzasz mi.

Dotknął ręką jej ramienia.

– Coś nowego w sprawie Rudqvista?

– Nie, nic.

– Żadnych informacji od świadków, żadnych śladów?

– Zero.

– A tak w ogóle, Hubert Rudqvist napisał esej o śmierci – dodał Wilkinson ni stąd, ni zowąd – wiedziałaś? Niedawno słyszałem w radiu.

W rozwidleniu korytarza Claudia skręciła w prawo, spojrzała na metalowe szyldy z tłoczonymi nazwami na ceglanej ścianie, *PRACOWNIA ODONTOLOGII*, *PRACOWNIA GENETYCZNA*. Nagle Wilkinson wybuchnął śmiechem i znów położył dłoń na jej ramieniu.

– Ten esej pewnie stanie się bestsellerem, nie sądzisz? Morderstwo to najlepszy chwyt marketingowy.

Przy malowanych na biało drzwiach zatrzymała się gwałtownie.

– Wiesz co, muszę teraz pogadać z Frankiem. Na razie, Per.

Za plecami słyszała jeszcze głos Wilkinsona, ale słowa jego pożegnania już do niej nie dotarły, ponieważ zdążyła wejść do prosektorium. Wewnątrz światło było wygaszone, paliła się tylko lampa oznaczająca wyjście ewakuacyjne, w zielonkawym blasku wyraźnie rysowały się kontury sąsiednich pomieszczeń. Mijając otwarte drzwi, dostrzegła ustawione tam szafki z wbudowaną wentylacją i ponumerowane metalowe szuflady. Przechowywano tutaj setki ciał – ofiary morderstw, wypadków, samobójców – ale zapach śmierci usunięto antyseptycznymi środkami czyszczącymi i zneutralizowano dzięki niskiej temperaturze wynoszącej cztery stopnie Celsjusza. Kiedy Claudia dotarła do drzwi w głębi, przystanęła i rozejrzała się po wyłożonej białymi kafelkami sali.

Frank Larsson stał przy stole sekcyjnym ze stali nierdzewnej, wyścielonym plastikową płachtą. Leżało na nim nagie ciało mężczyzny, zakrzepła krew i obnażona czaszka połyskiwała w białym blasku świetlówek.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Naprawdę nie mogłeś się powstrzymać? Nawet w prosektorium? Pół metra od zwłok?

Ekspert kryminalistyki odwrócił się ku niej, w ręce trzymał obtłuczony kubek.

– Claudia! Cześć!

Podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

– Chyba nigdy jeszcze nie widziałam cię bez kubka kakao w dłoni.

– Wszyscy mamy jakieś wady – odpowiedział. – Ja na przykład uwielbiam kakao.

– I wygląda na to, że nie lubisz komórki.

Frank spojrzał na nią zdziwiony, marszcząc siwe, krzaczaste brwi.

– Dzwoniłam cztery razy – wyjaśniła. – Nie wiesz, który przycisk wcisnąć, żeby odebrać?

Wykonał dłonią przeproszający gest, ostrożnie, by nie rozlać kakao.

– Sorry, w tych starych budynkach z cegły jest kiepski zasięg, bo...

– Dostałam twoją wiadomość – wtrąciła. – Pisałeś, że coś znaleźliście.

– Wstępnie zbadaliśmy kulę i ślady prochu. A może masz ochotę na małe śniadanie? Na korytarzu jest automat z kawą.

Claudia potrząsnęła zniecierpliwiona głową.

– Co znaleźliście?

Frank upił kilka łyčzków gorącego kakao, po czym zajrzał zamyślony do kubka, jakby w jego zawartości kryła się odpowiedź.

– Morderstwo popełnia się pod wpływem chwili. Zazwyczaj.

Claudia przyglądała się szpakowatemu mężczyźnie, nie potrafiąc odgadnąć, czy zadał pytanie czy stwierdził fakt.

– Tak – powiedziała. – Zazwyczaj.

– Ktoś wścieknie się albo przestraszy. Wyciągnie broń, odda śmiertelny strzał, kilka sekund i jest po wszystkim, tak to przeważnie się odbywa.

– Zgadza się.

– Działanie pod wpływem impulsu, po prostu.

– Do czego zmierzasz?

Spojrzał na nią znad kubka.

– To morderstwo nie jest wynikiem impulsywnego działania.

Claudia pochyliła się nad stołem sekcyjnym, dokoła unosił się intensywny zapach spirytusu medycznego i śmierci.

– Chcesz powiedzieć, że to morderstwo z premedytacją?

– Nie wiem. Sprawca miał jednak sporo czasu na zastanowienie, to pewne.

– Skąd wiesz?

Frank stał znad górnej wargi jasnobrązową smużkę kakao.

– Pełne wyniki otrzymamy dopiero za kilka godzin, może nawet dni, ale jedno można stwierdzić już teraz.

– Co takiego?

– Sprawca strzelał z broni czarnoprochowej, prawdopodobnie użył rewolwera z zamkiem kapiszonowym z połowy XIX wieku.

– Z zamkiem kapiszonowym?

– Tak.

– Z połowy XIX wieku?

– Tak, podobnie rzecz ma się ze znalezioną kulą.
– Też pochodzi sprzed stu lat?
– Stawiałbym, że sprzed stu pięćdziesięciu, może jest jeszcze starsza. Technicy z Linköping właśnie przedstawili wyniki analizy spektroskopowej. Wszystko wskazuje, że to kula niestabilizowana z połowy XIX wieku. Była pokryta smarem, jakiego używano w tamtych czasach.

Czarny proch. Zamek kapiszonowy.

Smar z XIX wieku.

Te zaskakujące słowa przelatowały jej przez głowę. Wpatrywała się w wyłożoną kafelkami podłogę, a jedyny dźwięk, jaki do niej docierał, to brzęczenie świetlówek. Powoli podniosła wzrok.

– Czarnego prochu nie kupi się w supermarkecie.

Frank Larsson potrząsnął głową, wskazał na nagie zwłoki mężczyzny.

– Widzisz te czarne plamki na twarzy i szyi?

– Tak.

– To czarny proch. Gruboziarnisty, czarny proch.

– Gruboziarnisty? I co z tego?

– Oznacza to, że ktoś sam go sporządził, zapewne ręcznie, w moździerzu.

Utarł węgiel drzewny, siarkę i saletrę.

– W nocy rozmawialiśmy z kilkunastoma świadkami w parku Berzeliusa. Wielu z nich twierdziło, że po wystrzale wyczuli silny zapach. Mógł to być czarny proch?

– Prawdopodobnie. Zapach siarki jest bardzo wyraźny.

Claudia zbliżyła się do stołu sekcyjnego. Po raz drugi w trakcie tych kilku godzin oglądała zwłoki zamordowanego członka Akademii Szwedzkiej, czarne drobiny wokół jego zamkniętych powiek, gruby na kciuk otwór po kuli, obnażoną czaszkę.

W nogach leżał raport z oględzin ciała, pospieszne notatki sporządzone czarnym długopisem. Rozpoznała niestaranne pismo lekarki sądowej Elisabeth Östberg, informacje o penetracji pocisku przez kość i tkanki, wstępne określenie czasu zgonu, analiza tomografii komputerowej. Na dole widniały podkreślone słowa: *Szczegółowa sekcja zwłok, 8.30*. Claudia ponownie zwróciła się do technika.

– Rozmowa z tobą to jak zabawa w zgadywanke.

– Dzięki – odpowiedział szczerze.

– Frank, to nie komplement. Co czarny proch ma wspólnego z działaniem pod wpływem impulsu? W XIX wieku ludzie nie działali impulsywnie?

– Nie, jeśli trzymali w ręku rewolwer z zamkiem kapiszonowym.

Unióś lewą dłoń: pięść zaciśnięta, wysunięty palec wskazujący, kciuk skierowany w górę, następnie wskazał na podstawę kciuka.

– Tutaj jest bębenek, prawda?

Kiedy potwierdziła skinieniem, mówił dalej.

– Najpierw wsypujesz do górnej komory proch. Nie za dużo, nie za mało. Musisz dokładnie odmierzyć ilość, trzydzieści granów – to anglosaska jednostka wagi. I pamiętaj, żeby użyć do tego odpowiedniego lejka i miarki. Następnie bierzesz kulę i smarujesz ją specjalnym smarem. Wkładasz szczypcami do komory, dociskasz pobjczykiem, powoli i ostrożnie. Kiedy kula jest gdzie trzeba, zakładasz kapiszon na kominek, który znajduje się z tyłu komory, potem przesuwasz bębenek na swoje miejsce i napinasz kurek. Dopiero teraz możesz oddać strzał.

Spojrzał na Claudię, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Niezbyt impulsywne działanie, prawda?

– Nie, a jak długo trwa ta procedura?

– Kilka minut. Jeśli strzelec ma doświadczenie z tego typu bronią.

– A jeśli nie ma?

– Wtedy najprawdopodobniej wszystko spieprzy. Kto nieumiejętnie posługuje się czarnym prochem, może doprowadzić do samozapłonu. A jeśli w lufie są resztki ołowiu, rewolwer może eksplodować. Z mojego doświadczenia z bronią czarnoprochową wynika, że strzelcowi grozi większe niebezpieczeństwo niż jego potencjalnej ofierze.

– I takiej właśnie broni użył morderca Rudqvista?

– Tak.

Claudia zaczęła chodzić w tę i we w tę między stołem sekcyjnym i wykafelkowaną ścianą, kątem oka patrzyła na trójwymiarowe zdjęcia na komputerze.

– Dlaczego?

Frank spojrział na nią zdziwiony.

– Co dlaczego?

– Dlaczego ktoś miałby użyć rewolweru czarnoprochowego?

– Nie wiem.

– Trudno go załadować, trudno z niego strzelać. Wystrzał słyhać na całym pieprzonym Östermalmie. I jeszcze ten zapach. Dlaczego sprawca użył takiej broni?

Frank Larsson dopił resztę kakao.

– Nie mam pojęcia.

* * *

Dwie i pół godziny później pytanie Claudii wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Patrzyła przez zakurzoną szybę toyoty – po lewej stronie, na tle porannego nieba, rysował się dworzec autobusowy. Samochód powoli posuwał się wiaduktem Klaraberg, roboty drogowe i duży ruch utrudniały jazdę. Siedzący obok Rolf Hedlund rzucił wiązanek przekleństw, kiedy przy dworcu centralnym zapaliło się

czerwone światło. Nagle odwrócił głowę w stronę siedzenia pasażera.

– Ile masz lat? Dwadzieścia siedem, osiem?

– Trzydzieści pięć.

– Wyglądasz młodziej, dałbym ci dwadzieścia siedem.

W trakcie krótkiej jazdy z komendy bez przerwy gadał, o czarnym prochu, byłej żonie, zmianie płac w policji. Chodziło mu jednak o coś innego, wyraźnie to czuła, coś czaiło się między słowami, czekało na stosowny moment. Claudia obserwowała jego mocne palce, które wciskały guziki radia, aby znaleźć właściwą stację. Kiedy w głośnikach rozbrzmiał utwór *Sultans of swing*, mężczyzna zaczął miarowo postukiwać w kierownicę.

– I pochodzisz z Chile, jak sądzę. Czy z Hiszpanii?

– Z Chile.

– Nie słyhać. Mówisz jak zwykły Szwed.

– Miałam sporo czasu na naukę. Przyjechaliśmy tu w siedemdziesiątym dziewiątym.

– Siedemdziesiątym dziewiątym? – wykrzyknął, uderzając dłonią w kierownicę. – Wtedy wstąpiłem do szkoły policyjnej. To były, kurde, czasy. Imprezy, dziewczyny, człowiek miał przed sobą całe życie.

Claudia wbijała palce w skórzane pokrycie fotela, wiedziała, jak to się skończy. Irytowało ją każde słowo, które padało z ust Hedlunda, każdy jego gest, każde spojrzenie. Prędzej czy później będzie musiała dać upust uczuciom, złość eksploduje w niej niczym para w zepsutym szybkowarze.

Hedlund dalej bębnił w kierownicę, palce coraz szybciej uderzały w czarny plastik. Zerkał w stronę Claudii, w miarę jak zbliżali się do celu – adres na Östermalmie, przy Humlegården – coraz częściej spoglądał na nią, a we wzroku kryło się jakieś napięcie.

O coś mu chodzi.

Chce się czegoś dowiedzieć, powiedzieć coś.

Coś jest na rzeczy.

– Pracowałaś wcześniej w Botkyrka, zgadza się?

– Tak, w dochodzeniówce w Södertörn.

– A teraz od kilku miesięcy jesteś w biurze kryminalnym Komendy Głównej?

– Od trzech i pół roku.

– Coś ci powiem. Śródmieście to nie to samo co ta pieprzona pipidówka, Botkyrka. Tam zajmujecie się włamaniami do piwnic i kradzieżami rowerów. Szajka imigrancka robi zadymę na parkingu, Irańczyk ma stoisko z owocami bez pozwolenia. Tu obowiązują inne reguły, tu są inne problemy. Podkreślam to, Rodriguez, bo chcę ci pomóc. *A friendly advice*, jak to mówią.

– Miło z twojej strony. Dzięki za radę.

Patrzyła na jego palce, które nie przestawały gorączkowo poruszać się na kierownicy.

To wszystko?

Minęli lewy szczyt gmachu Biblioteki Królewskiej i skręcili w Runebergsgatan. Przy wejściu pod numerem szóstym Claudia dostrzegła mężczyznę około sześćdziesiątki. Pamiętała, że poprzedniej nocy był w parku Berzeliusa. Hedlund zwolnił i zaparkował jakieś czterdzieści metrów dalej. Zanim wysiedli z samochodu, odchrząknął i powiedział:

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Co takiego?

– Może i wiesz, jak to wygląda w Botkyrka. Drobne szajki Syryjczyków i Jugoli sprzedają tajski koks w metrze. Ale teraz jesteśmy na moim boisku, pracuję w Śródmieściu od dwudziestu pięciu lat. Umiem się obchodzić z tymi ludźmi. Sam będę z nimi gadał, jasne?

Więc o to chodziło.

Po kilku sekundach odpowiedziała z szerokim uśmiechem, tym razem udało jej się zdusić wściekłość.

– Nie ma sprawy, Hedlund, sam będziesz z nimi gadał. Świetnie.

Wysiedli i zamknęli drzwi, ich spojrzenia znów spotkały się nad zakurczonym dachem auta.

– Będę uważnie słuchać. Kto wie, może nauczę się czegoś nowego.

– Może – przytaknął, odwzajemniając uśmiech.

Przeszli przez ulicę i zbliżyli się do oczekującego ich mężczyzny. Miał na sobie strój z poprzedniego wieczora, czarny lniany garnitur i różowofioletową koszulę, jego oczy były poprzecinane czerwonymi żyłkami po nieprzespanej nocy, rzadkie włosy w nieładzie.

– Olof Rosén. Wydawca Huberta.

Hedlund uściśnął jego wyciągniętą dłoń.

– Byliśmy umówieni z żoną Rudqvista.

– Nie ma jej.

– Widzę. Gdzie jest?

Rosén zaciągnął się głęboko, zmiął w palcach niedopałek.

– Czy to naprawdę konieczne? Od śmierci Huberta minęły zaledwie godziny. Nie można odczekać choć kilka...

– Już odczekaliśmy swoje – przerwał mu Hedlund. – Teraz musimy porozmawiać.

Rosén zerknął na budynek po drugiej stronie ulicy, rzędy okien spoglądały na nich niczym ciekawskie oczy.

– Dobrze, ale nie tutaj.

Rzucił peta na ziemię, przydeptał, po czym wcisnął kod domofonu. Weszli

za nim do środka i podążyli w górę łukowatymi schodami. Na drugim piętrze mężczyzna wyjął pęk kluczy, otworzył drzwi i ostrożnie przekroczył próg.

– Proszę zachować ciszę. Nie chcę przeszkadzać Margot.

– Margot?

– To żona Huberta – wyjaśnił szeptem Rosén, wskazując na zamknięte drzwi w głębi korytarza. – Jest w sypialni, lekarz i córki dotrzymują jej towarzystwa. Doznała ogromnego szoku i nie wolno jej męczyć.

– Musimy z nią porozmawiać.

– Wykluczone, bardzo ciężko to przeżyła. Lekarz określił to profesjonalnie, zespół ostrego stresu czy coś w tym stylu. Dostała środki uspokajające i teraz śpi.

– W porządku – odezwała się Claudia. – Możemy porozmawiać z panem, to wystarczy. Prawda, Rolf?

Hedlund wykonał nieznaczny ruch głową, którego nie dało się zinterpretować.

– Świetnie – powiedziała. – Jest tu wolny pokój, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności?

Rosén przytaknął, w jego szarawych oczach pojawił się cień wdzięczności.

– Tędy.

Przeszli przestronnym korytarzem. Na ścianach wisiały fotografie w ramach: dzieci i wnuki, zdjęcie członków Akademii Szwedzkiej, wielu znanych artystów i pisarzy. Claudia rozpoznała twarz południowoafrykańskiej laureatki Nagrody Nobla, Nadine Gordimer, próbowała odczytać dedykację u dołu fotografii, ale nie potrafiła rozszyfrować niestarannego pisma.

W bawialni Hedlund zaczął oglądać ciemne regały z mahoni. Półki były zastawione rzadkimi publikacjami i książkami – tomy oprawione u Hedberga⁷⁾, z grzbietami płóciennymi i z cielej skóry, zdobione tłoczonymi wzorami i złotym ornamentem.

7) Gustaf Hedberg (1859–1920) szwedzki introligator, także styl oprawy (przyp. red.).

– Domyślam się, że Rudqvist sporo czytał?

– Był jednym z najlepszych literaturoznawców w Europie – odparł Rosén. – I zapalonym bibliofilem.

Wydawca skierował się w stronę wykuszu, wskazując na trzy fotele projektu Carla Malmstena⁸⁾; czarna skóra zaskrzypiała, gdy usiedli.

8) Carl Malmsten (1888-1972) – wybitny szwedzki projektant mebli i architekt (przyp. red.).

– Czego państwo chcą się dowiedzieć?

Rolf Hedlund skrzyżował potężne ręce na piersiach, po czym oblizał wargi,

jakby zamierzał się odezwać. Lecz zanim zdążył rozpocząć przesłuchanie, Claudia, pochyliwszy się do przodu, zapytała:

– Rudqvist był wczoraj wieczorem w restauracji, prawda?

Czuła na sobie wściekle spojrzenie Hedlunda, domyślała się, że jego wzrok, rozpalony niczym żelazo, szuka jej oczu, lecz sama uparcie wpatrywała się w Roséna.

– Tak – odpowiedział wydawca. – Odbywał się tam bankiet jubileuszowy.

– Na cześć Augusta Strindberga?

– Zgadza się, obchodziliśmy setną rocznicę jego śmierci. Hubert był jednym z gości honorowych, wygłosił wspaniałą mowę, ale to teraz bez znaczenia.

– Pan również tam był, prawda? A żona Rudqvista?

– I ja, i Margot uczestniczyliśmy w przyjęciu.

– Ale Rudqvist wyszedł sam? Żona została w restauracji?

– Tak.

– Czy to nie dziwne?

– Dlaczego?

– Małżonkowie zazwyczaj wychodzą razem, prawda?

– W ich przypadku to w ogóle nie było dziwne. Margot, w przeciwieństwie do Huberta, zawsze lubiła tego rodzaju imprezy. Smokingi, towarzystwo, wymiana powierzchownych grzeczności. Natomiast z biegiem lat jego niechęć do takich spotkań tylko się nasiliła.

Kątem oka Claudia widziała sylwetkę Hedlunda, jego gniewne spojrzenie mówiło więcej niż słowa, lecz ona, jak gdyby nigdy nic, pytała dalej:

– A więc Rudqvist wyszedł sam? Tuż po północy?

– Tak – odpowiedział Rosén – tuż po północy.

– Wybierał się prosto do domu?

– Tak przypuszczam. Dokąd miałby iść?

– Nie wiem. Może miał ochotę na hot-doga na mieście. Może miał romans? Może brał amfetaminę i szedł spotkać się z dilerem?

Rosén patrzył na Claudię kilka sekund, po czym odpowiedział, wyraźnie akcentując każde słowo.

– Hubert nie spotykał się z innymi kobietami i nie był ćpunem. Wracał do domu, koniec, kropka.

– Okej. Czy coś w zachowaniu Rudqvista wczoraj wieczorem zwróciło pańską uwagę?

– Na przykład co?

– Był zdenerwowany? Zły? Przestraszony? Zachowywał się inaczej niż zwykle?

– Nie, z tego, co widziałem, zachowywał się zupełnie normalnie.

– Dobrze znał pan Rudqvista, prawda?

– Byłem jego wydawcą dwadzieścia sześć lat. Często spotykaliśmy się w wydawnictwie, rozmawialiśmy o wszystkim, o literaturze, polityce, ostatnim meczu Djurgården. Grywaliśmy też w bule w Hali Księcia Bertila. Rzeczywiście można powiedzieć, że dość dobrze go znałem.

– A więc wie pan, wśród jakich ludzi się obracał?

– Mniej więcej.

– Miał jakichś wrogów?

– Wrogów?

– Tak. Przeciwników, konkurentów, wrogów.

– Co... co pani ma na myśli? Na litość boską, nie podejrzewają państwo chyba, że ktoś z jego...

– Niczego nie podejrzewamy. Chcemy tylko się dowiedzieć, czy Rudqvist miał wrogów.

Rosén wytrzeszczył oczy, jego głos drżał.

– W nocy rozmawiałem z policjantem. Twierdził, że to był napad. Zdesperowany ćpun albo szajka młodocianych, którzy chcieli zabrać Hubertowi telefon.

– Zweryfikowaliśmy pewne założenia.

– Co ma pani na myśli?

– Na ciele Rudqvista znaleźliśmy ślady czarnego prochu. Wszystko wskazuje na to, że sprawca użył rewolweru z zamkiem kapiszonowym z połowy XIX wieku.

Rosén gapił się we wzorzysty jedwabny dywan, trawił usłyszane słowa.

– Czarny proch? Rany boskie! To brzmi jak powieść Aleksandra Dumasa. Kto, do licha, strzela dzisiaj z czegoś takiego?

– Też się nad tym zastanawiamy. Ćpuny i młodociani miewają broń, ale raczej nie noszą przy sobie zabytkowych rewolwerów. Tak więc, czy Rudqvist miał wrogów?

– Każdy ma wrogów, Hubert też. Ale nie takich, którzy chcieliby go zastrzelić.

– Jakieś nazwiska?

– Nie chciałbym rzucać pochopnych oskarżeń, które...

– Nazwiska?

Rosén wziął głęboki oddech, po czym odpowiedział.

– Hubert nie zawsze dogadywał się z Sixtenem Hjärpe, jeśli można tak powiedzieć. To żadna tajemnica.

– Sixten Hjärpe? Członek Akademii Szwedzkiej?

– Tak, kłócili się nieustannie od początku lat 70. Hjärpe czasami mówił i pisał o Hubercie straszne rzeczy. Na spotkaniach Akademii, w gazetach, ale na pewno nie posunąłby się do morderstwa, to niemożliwe.

– O co się kłócili?

– Mieli bardzo rozbieżne opinie, toczyli spory literackie. Nie będę marnował państwa czasu na...

– Jakie spory?

– No tak, od czego tu zacząć. Klócili się niemal o wszystko. Znaczenie interpretatorów Mallarmégo dla poezji postmodernistycznej. Polityczne postawy Borge-sa. Realizm magiczny i latynoamerykańska literatura lat 70. Ale przede wszystkim mieli zupełnie odmienny pogląd na to, jak powinna funkcjonować Akademia.

– Poezja postmodernistyczna? Literatura lat 70?

– Tak.

– To chyba nie powód do rozlewu krwi.

– Mówimy o wybitnych profesorach literatury, nie członkach Hells Angels. Tacy ludzie rozgrywają konflikty inaczej, choć – można powiedzieć – równie brutalnie.

– Nie wie pan przypadkiem, czy Hjärpe posiada broń czarnoprochową?

– Nie mam pojęcia. Mogą państwo odwiedzić go na Reimersholme i zapytać.

– Tak zrobimy. Musimy też porozmawiać z żoną Rudqvista. Jak najszybciej.

Claudia już miała wstać z fotela, lecz zmieniła zdanie, powoli odchyliła się na oparcie, świadoma gniewnego spojrzenia Hedlunda.

– A, jeszcze jedno. Powiedział pan, że Rudqvist zamierzał po przyjęciu wrócić do domu.

– Tak, zgadza się.

– Dlaczego więc szedł przez park Berzeliusa?

– O co pani chodzi?

– Mieszka tutaj, na Runebergsgatan. Skoro wracał do domu, powinien był udać się w przeciwną stronę i minąć Norrmalmstorg. Wczoraj wieczorem poszedł jednak na wschód, przez park.

Przez chwilę Rosén nerwowo wodził wzrokiem po regałach, po tomach oprawnych w półskórek, grzbietach z koziej skóry, złożonych, cyzelowanych stronicach, unikał spojrzenia obserwujących go brązowych oczu. Wreszcie odpowiedział bardzo zdecydowanie:

– To sprawy prywatne, które dla śledztwa są zupełnie bez znaczenia. W żadnym wypadku nie chciałbym zaszkodzić reputacji Huberta.

– Został zamordowany ledwie dziewięć godzin temu, z zimną krwią, strzałem w głowę. Czy można mu jeszcze bardziej zaszkodzić?

Z twarzy Claudii zniknął przyjazny uśmiech, jej spojrzenie było intensywne, skupione.

– Chcemy dowiedzieć się o Rudqviście wszystkiego. Tak więc pytam, dlaczego udał się w stronę Nybroplan, na wschód, choć do jego mieszkania idzie się w przeciwnym kierunku.

Fotel zaskrzypiał, Rosén zmienił pozycję, po czym odpowiedział z lekkim

wzruszeniem ramion.

– Hubert chadzał wieczorem na długie spacery. Zawsze tą samą trasą, zawsze o tej samej porze.

– Wieczorny spacer? I to są te prywatne sprawy? Których ujawnienie może zaszkodzić jego reputacji?

Znów pochyliła się ku rozmówcy.

– Dlaczego wczoraj wieczorem Rudqvist szedł parkiem Berzeliusa?

Rosén zerknął w stronę korytarza i ścisząc głos do ledwie słyszalnego szeptu powiedział:

– Proszę posłuchać, dla śledztwa to zupełnie bez znaczenia i...

– To my o tym zadecydujemy. O jakie prywatne sprawy chodzi?

– Naprawdę nie chcę...

– Dlaczego, do jasnej cholery, Rudqvist szedł przez park?

Rosén znów zerknął w stronę korytarza i zamkniętych drzwi sypialni.

– Ciszej, na litość boską.

– Dlaczego nie poszedł prosto do domu?

Rosén z trudem wydobywał słowa, tak jakby te zaklinowały się w jego gardle.

– Dobrze, już dobrze. Ale nikt o tym nie wie i tak musi pozostać.

Claudia przytaknęła.

– Dokąd szedł?

– Porozmawiać z Margarethą Krook.

– Tą aktorką?

– Tak.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy ona nie zmarła kilka lat temu?

– Zgadza się. Wiosną 2001 roku.

Rosén przejechał dłonią po głowie, przyglądził rzadkie kosmyki włosów.

– Hubert uwielbiał teatr, a Margaretha Krook była jego ulubioną aktorką. Można chyba powiedzieć, że był nią oczarowany, i to bardzo. Widział wszystkie jej przedstawienia, wszystkie role. Kiedy w połowie lat 90. grała Adele von Ripa⁹⁾, siedział przed Wielką Sceną co tydzień. Lepiej znał kwestie niż sama Krook. Kiedy zmarła, postawiono jej pomnik przed Królewskim Teatrem Dramatycznym, posąg z brązu. Od tamtej pory Hubert odwiedzał ją codziennie.

9) Główna bohaterka sztuki Kenta Anderssona *Fint folk* (*Lepsze towarzystwo*) z 1996 roku (przyp. tłum.).

– Jak to odwiedzał?

– Podczas wieczornych spacerów zawsze szedł Nybrogatan, zatrzymywał się na chwilę przy posągu, życzył Krook dobrej nocy. Szeptał kilka słów, czasem po-

gładził ją po przyjacielsku po ramieniu. Z biegiem lat stało się to dla niego niezmiennym rytuałem.

- Sądzi pan, że wczoraj też zamierzał tam iść?
- Jestem pewien.
- Ile osób znało ten zwyczaj?
- Hubert zwierzył się tylko mnie, nikt nie wiedział...
- Nawet żona?
- Nie.

Rosén chwilę wyglądał przez okno, następnie znów skierował wzrok na Claudię.

– To było dozgonne uczucie, coś pięknego. Ale inni mogą uznać to za dziwactwo, wręcz szaleństwo. Nie chcę, aby Huberta tak zapamiętano.

Spojrzał na Claudię, błagalnie i stanowczo.

- Proszę, niech to zostanie między nami.
- Ma pan moje słowo.

Wstawszy z fotela Claudia uczyniła kilka kroków w stronę drzwi, lecz nagle odwróciła się do Hedlunda.

– No dobrze, to chyba wszystko. Czy może chciałbyś coś dodać, Rolf?

Trzy minuty później siedziała w toyocie, w wytartym skórzanym fotelu pasażera. Za oknem znów przesuwały się zabudowania stolicy, kościół Adolfa Fryderyka, Norra Bantorget. Odsunęła siedzenie jak najdalej do tyłu i położyła stopy na desce rozdzielczej. Kątem oka widziała ogromną sylwetkę Hedlunda zaciskającego pięści na kierownicy.

Kłopoty.

Od tej chwili ze wszystkim będzie problem. Ze wszystkim.

Mimo to czuła dużą satysfakcję, cieszyła się, patrząc na rozpalone policzki Hedlunda, nabrzmiałe żyły na jego karku i wściekły wzrok.

– Na razie nie mamy wiele. Jak sądzisz?

Nie odpowiedział, dalej gapił się przed siebie. Słyszał tylko jego ciężki oddech i warkot silnika, ale milczenie nie miało trwać długo. Claudia widziała, że w piersi Hedlunda wzbiera złość. Nagle uderzył pięścią w kierownicę.

– Rodriguez, co to, kurwa, było?

Walnął jeszcze raz, z większą siłą.

– Ja miałem prowadzić tę rozmowę. Tak się umawialiśmy, do cholery!

– Sorry, Rolf, musiało mi się zapomnieć. My w Botkyrka mamy kiepską pamięć.

– Jesteś tak popierdolona, jak mówią. Następnym razem trzymasz gębę na kłódkę, jasne?

Claudia spojrzała na jego dłonie zaciśnięte na kierownicy, napięta skóra na kłykciach aż zbielała.

To jeszcze nie koniec. Będzie coś jeszcze.

– Słuchaj, Rodriguez, dam ci radę.

– *A friendly advice?*

Hedlund znów z całej siły uderzył pięścią w kierownicę.

– Słuchaj no, do cholery, lepiej być moim przyjacielem niż wrogiem, wierz mi.

Claudia przechyliła oparcie fotela jeszcze trochę do tyłu i rozparła się wygodnie.

– Ani przez moment w to nie wątpiłam.

Jean-Paul Sartre *

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1964 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za bogatą w idee, przesiąkniętą duchem wolności i poszukiwaniami prawdy twórczość, mającą ogromny wpływ na nasze czasy”

* odmówił przyjęcia nagrody

15 maja 2012

Ostry kobiecy głos wyrwał Leo Dorfmana ze snu. Szyba w oknie wystawowym aż się trzęsła od uderzeń, a po chwili na Bondegatan znów rozległ się krzyk.

– Halo! Jest tam kto?

Na wpół rozbudzony sięgnął po telefon, który leżał wśród stosów zakurzonych książek – na popękany wyświetlacz widniały niewyraźne cyfry: 10.07. W tej samej chwili znów rozległo się łomotanie w szybę, tym razem jeszcze głośniejsze.

– Cholera jasna!

Podrywając się, uderzył łokciem w regał zapchany wydaniem kieszonkowymi, zaczytany kryminał Jamesa Ellroya spadł na podłogę. Leo zamarł na kilka sekund w bezruchu, wstrzymał oddech, potem zsunął się nieco z podniszczonego materaca i na leżąco założył koszulę i dzinsy. Trzymając nisko głowę prześlizgnął się za półkami z science-fiction, a kiedy wreszcie podniósł wzrok, dostrzegł między grzbietami książek chudą postać Sigrid Everts. Stała przed antykwariatem, przyciskając twarz do brudnej szyby.

– Niech to szlag...

Przeczołgał się po drewnianej podłodze do tylnego wyjścia, przy drzwiach założył wytarte adidasy. Podniósł się nieco, ostrożnie nacisnął klamkę i wymknął się przez szparę, niezawiazane sznurowadła smagały go po łydkach, kiedy wybiegł na podwórko. Minąwszy pędem stojak na rowery i grządki z warzywami, dotarł na tyły od strony Skånegatan. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na ulicę, niemal taranując grupkę nastolatków.

– Sorry, sorry! – wydyszał i skręcił za róg.

Usłyszawszy zawadiackie gwizdy dziewcząt, zdał sobie sprawę, że ma niezapiętą koszulę. Od razu ją poprawił, przystanął przy second-handzie, przejrzał się

pośpiesznie w witrynie, odgarnął do tyłu zmierzwioną grzywkę i przyglądał kołnierzyk. Następnie podszedł do kamienicy na rogu, wychylił się i zerknął w stronę zwieńczonej łukiem bramy przy Bondegatan 16. Kobieta około sześćdziesiątki, w różowym dresie, nie przestawała łomotać w szybę.

– Niech to szlag...

Wziął głęboki oddech, po czym, ze zdziwioną miną, wyszedł zza rogu.

– O, Sigrid, dzień dobry! Pewnie jak zwykle idziesz na siłownię?

– Tak – odpowiedziała chłodno. – Jak zwykle.

– Trochę się dzisiaj spóźniłem – wyjaśnił ze śmiechem. – Cały ja. Mieszkam niemal tuż obok, a i tak spóźniam się do pracy.

Wytrzeł rękawem koszuli pot z czoła i spojrzał pytająco na Everts.

– Co cię sprowadza? Jeśli chcesz kupić książkę, mogę coś doradzić. Roberto Bolaño jest naprawdę świetny.

Nie odpowiedziała, podeszła bliżej i utkwiała w nim wzrok.

– Widziałam kogoś.

– Co masz na myśli?

– Ktoś był w nocy w twoim antykwariacie. Znowu.

– Dzisiaj w nocy?

– Tak, około drugiej.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową, nie spuszczając z niego wzroku.

– Dziwne – powiedział – bardzo dziwne.

– A ciebie nie było wtedy w antykwariacie?

– Nie, byłem w domu, spałem jak zabity.

– Byłeś w domu?

– Tak.

– W swoim mieszkaniu?

– Taa.

– To kogo, do jasnej anielki, widziałam w antykwariacie?

Leo z zadumą pogłodził się po nieogolonej brodzie.

– Może szczura?

– Dorfman! Żartujesz sobie ze mnie? Jeszcze, kurczę, potrafię odróżnić człowieka od szczura.

– Niektóre szczury są naprawdę wielkie.

– Przestań pieprzyć! To nie był szczur!

– Może włamywacz. Mam trochę cennych książek. Między innymi egzemplarz *Czarnych ballad* Dana Anderssona, pierwsze wydanie z 1917, w szytej oprawie z obwolutą, z autografem. Lepiej sprawdzę, czy nie został skradziony. Czytałaś *Czarne ballady*?

– Dorfman, słuchaj no! Nie wolno wykorzystywać tego lokalu jako prywat-

nego mieszkania, chyba nie muszę ci tego przypominać?

– Oczywiście, że nie, przecież wiem.

Podeszła jeszcze bliżej, jej twarz znalazła się w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów.

– Jeśli najemca nadużyje naszego zaufania i wykorzysta lokal w celu prywatnym, umowa zostanie natychmiast zerwana. Masz tego świadomość, prawda?

– Oczywiście, oczywiście. Nie musicie się niepokoić. Nie zamierzam mieszkać w ciasnym sklepiku, w którym hulają przeciągi.

Sigrid spojrzała na niego nieufnie, wymamrotała coś, co przypominało „do widzenia” i żwawym krokiem podążyła w kierunku pływalni Eriksdalsbadet.

Leo popatrzył za nią. Kolejny raz odgarnął z czoła wilgotną od potu grzywkę, a przez jego głowę przemknęło pytanie.

Jak długo da się to ciągnąć? Jak długo?

Na początku kwietnia wyrzucono go z kawalerki na Gotlandsgatan. Ponad rok zalegał z czynszem, wciąż trafiał do rejestru dłużników, aż wreszcie właściciel stracił cierpliwość. Leo wprowadził się wtedy do antykwariatu, nie miał innego wyjścia, i teraz nocował tam na podniszczonym materacu między regałami z wydaniami kieszonkowymi i poezją. Ponieważ jednak lokal był przeznaczony wyłącznie na działalność gospodarczą, Leo co wieczór wychodził z antykwariatu, tak jak to miał w zwyczaju przez ostatnich czternaście lat. Zamykał kratę antywłamaniową i kierował się w stronę Gotlandsgatan, jednak ledwie skręcił za róg, odbijał na wschód, na Skånegatan 61. Otwierał ciemnozielone drzwi, przechodził przez podwórze i – korzystając z tylnego wejścia – wślizgiwał się do antykwariatu niczym złodziej.

Czasem spędzał noc u jakiejś kobiety, miał numery telefonu do wielu, które przyjmowały go z otwartymi ramionami, wystarczyło zadzwonić. Przeważnie jednak zostawał sam w antykwariacie, gdzie ukryty za przepełnionymi regałami, leżał na materacu i czytał przy słabym świetle latarki akumulatorowej. Nigdy nie zapalał górnego oświetlenia, bał się też włączyć komputer czy odebrać telefon. Rano powtarzał tę samą procedurę, tyle, że w odwrotnej kolejności.

Jednak partnerka właściciela lokalu, Sigrid Everts, która bacznie obserwowała wszystkich najemców, wkrótce nabrała podejrzeń. Od samego początku żywiła niechęć do Leo, do antykwariatu, a teraz nadarzyła się szansa, żeby się go pozbyć.

Jak długo da się to ciągnąć?

Powtarzał w myślach to pytanie, kiedy tak stał na Bondegatan i patrzył za Sigrid w różowym dresiku, oddalającą się w kierunku pływalni. Po chwili odwrócił się, otworzył kratę i wypaczone drzwi, które odchyliły się, skrzypiąc, i popatrzył zrezygnowany na zardzewiałe zawiasy.

Szurając nogami wszedł do środka i wywiesił w oknie odręcznie wypisany szyld *OTWARTE*, drzwi zostawił uchylone, żeby wpuścić trochę świeżego, wiosen-

nego powietrza. Zwinął materac i włożył go do schowka na szczotki. Podniósł z podłogi *Tajemnice Los Angeles* Ellroya, wydanie w miękkiej oprawie, i odłożył na właściwe miejsce, na półkę z kryminałami.

W ciasnym aneksie kuchennym zaparzył rosyjską herbatę i zrobił sobie dwie kanapki z żółtym serem. Usiadł za kasą na krześle Mademoiselle, ułożył stopy na blacie sekretarzyka i włączył stare radio dziadka. Głośniki zatrzeszczały niepokojąco, lecz po chwili usłyszał głos spikera.

– ...zapraszamy na wiadomości. Nie żyje stały sekretarz Akademii Szwedzkiej, Hubert Rudqvist. Został zamordowany w nocy, w parku Berzeliusa, w centrum Sztokholmu. W wyniku ciężkiego postrzału w głowę Rudqvist poniósł śmierć na miejscu. Policja nie ujęła jeszcze sprawcy, lecz przypuszcza się, że...

Głos spikera zanikł w szumie między stacjami. Leo odłożył kanapkę. Powoli podążył wzrokiem ku działowi historycznoliterackiemu, ku najwyższej półce, na której stały liczne zbiory esejów Rudqvista i antologie pod jego redakcją. Leo potrząsnął głową.

– Hubert Rudqvist... zamordowany? Dokąd zmierza ten pieprzony świat?

* * *

Claudia na wpół leżała na krześle, z nogami na biurku, jej trapery ledwo mieściły się wśród tuzina pustych kubków po kawie i raportów z nocnych czynności patroli pościgowych. Za oknem dzielnica Kungsholmen zdążyła już obudzić się ze snu, przez szparę przenikały odgłosy i zapachy wielkiego miasta.

Przed sobą miała urządzenie do łączności operacyjnej cały czas słyhać było komunikaty – awantura domowa w Birkastan, napad rabunkowy przy kościele Engelbrekta. Słuchała uważnie raportów. Upiła łyk rozpuszczalnej kawy, letniej, ale mocnej, kofeina walczyła w jej ciele ze znużeniem.

– Jak ci się pracuje z Rolfem Hedlundem?

W drzwiach ukazała się okrągława sylwetka Birgera Sjölina. Szef biura kryminalnego Komendy Głównej miał na sobie dzinsy i brązową sztruksową marynarkę, jego oczy były równie przyjazne jak zwykle, ale biło z nich zmęczenie. Claudia odpowiedziała przeciągłym, bezbarwnym spojrzeniem.

– Aż tak źle?

– Nawet gorzej.

Sjölin wszedł do pokoju i przysiadł na brzegu biurka.

– Okej, niech zgadnę. Powiedział coś prowokującego. Ty się cholernie wkurzyłaś i oddałaś pięknym za nadobne, i to całkiem porządnie, jeśli dobrze cię znam.

– Coś w tym rodzaju.

– A więc teraz prowadzisz śledztwo z facetem, który nie chce z tobą gadać?

– Nie odezwał się od rana. Nie licząc kilku przekleństw i gróźb.

Uniosła dłonie w geście rezygnacji.

– Wiem, wiem, ale nie mogłam się powstrzymać. Jestem, kurde, jak byk, wystarczy, że ktoś zamacha mi przed nosem czerwoną płachtą, a dostaję furii.

– Wiem, nieraz od ciebie oberwałem.

Poklepała go po nodze, po czym wskazała na urządzenie na biurku.

– Nasłuchuję komunikatów jak agent wywiadu. Nie mam pojęcia, co Hedlund teraz robi.

– Ale ja mam, właśnie dlatego przychodzę.

Claudia wyprostowała się.

– Jak to?

– Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

– Co on, do cholery, wymyślił?

– Właśnie wysłał dwa patrole, żeby sprawdziły antykwariaty na Norrmalmie i Östermalmie. I jeszcze Muzeum Wojskowe. To rzut kamieniem od parku Berzeliusa. Mają się dowiedzieć, czy w nocy nie skradziono stamtąd broni czarnoprochowej.

– Niczego nie znajdują. To nie był kradziony rewolwer.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałam rano z Frankiem Larssonem. Podejrzewa, że sprawca sam sporządził proch, ręcznie utarł go w moździerz.

– Podejrzenia Franka zawsze się sprawdzają. Ale co domowej roboty proch ma tu do rzeczy?

– Kto sam produkuje proch, najprawdopodobniej ma też własny rewolwer.

– Być może, ale Hedlund słusznie robi, sprawdzając wszystkie możliwości.

Sjölin skubał palcami kant biurka, zastanawiał się, jak sformułować myśli.

– Hedlund to pieprzony palant – powiedział wreszcie – chyba wszyscy tutaj są co do tego zgodni. Ale nie jest złym gliną. Kiedy mam z nim do czynienia, staram się śmiać z jego głupiego gadania, tak o wiele łatwiej prowadzi się dochodzenie.

Na twarzy Claudii pojawił się szeroki uśmiech.

– No co? – zapytał Sjölin. – Z czego się śmiejesz?

– Birger, jak długo się znamy?

– Nie wiem. Jakies trzy i pół roku, a co?

– Trzy i pół roku, i jeszcze ani razu nie widziałam, żebyś stracił nad sobą kontrolę. Nigdy się nie wkurzyłeś, nigdy nie kazałeś się nikomu zamknąć. Kurczę, nawet nie słyszałam, żebyś kiedykolwiek krzyknął.

– Nie byłaś na meczu Brage10) – odpowiedział ze śmiechem i nagle w jego głosie dało się usłyszeć dialekt z Borlänge. – Przyjedź kiedyś na stadion Domnarvsvallen, to przekonasz się, że wrzeszczę i przeklinam jak szalony.

10) Idrottsklubben Brage (IK Brage) – szwedzka trzecioligowa drużyna piłki nożnej (przyp. tłum.).

Jego okrągłą, pokrytą rudym zarostem twarz rozjaśnił uśmiech.

– Wiesz, że Monika i bliźniaki nie chcą przy mnie siedzieć na meczach? Twierdzą, że przynoszę im wstyd. Więc ja siedzę w sektorze E, na trybunie północnej, a oni...

Nagle zamilkł, pożałował, że wspomniał o żonie i dzieciach. Przez chwilę słychać było tylko krótkie metaliczne sygnały urządzenia.

Claudia zdążyła przywyknąć do takich sytuacji. W pokoju socjalnym kole-dzy często rozmawiali o rodzinach. O planach wakacyjnych, odbieraniu dzieci z przedszkola, piątkowych wieczorach spędzanych w domowym zaciszu, ślubach, niezdolnych nastolatkach, którzy chcieli zrobić sobie piercing, pogaduszki słychać było aż na korytarzu, lecz kiedy tylko wchodziła Claudia, wszyscy milkli, po czym zmieniali temat.

– Dziesięć godzin – odezwała się.

Sjölin spojrział na nią, wdzięczny, że przerwała ciszę.

– Dziesięć godzin?

– Większość zabójstw w Szwecji zostaje wyjaśnionych w ciągu dziesięciu godzin, potem szansa na znalezienie sprawcy maleje z każdą godziną.

Skierowała wzrok na jasnoniebieski zegar na ścianie, sekundnik poruszał się nieubłaganie po cyferblacie.

– Od śmierci Rudqvista minęło dokładnie dziesięć godzin.

Powoli odwróciła się do Sjölina i mówiła dalej:

– Ten rewolwer nie daje mi spokoju. Wciąż o nim myślę.

– Ale co dokładnie?

– Nie wiem, to tylko przeczucie. Skoro broń jest niezwykła, niezwykły powinien być też motyw.

Położyła dłonie na kruczoczarnych włosach i zaczęła uciskać opuszkami palców skronie, tak jakby chciała w ten sposób wydobyć z głowy odpowiedź.

– Pamiętasz tamtego piętnastolatka – odezwała się po chwili. – Wiesz, w Upplands Väsby, kilka lat temu.

– Piętnastolatek?

– No, ten młody tenisista. Szalony ojciec postanowił, że jego syn zostanie drugim Björnem Borgiem. Zdobywcą pucharów, multimilionerem. Piętnaście lat krzyczał na chłopaka i strofował go. Nauczył go topspina z forhendu, zanim dziecko potrafił sam stać. Wymyślał też mnóstwo okrutnych kar. Kiedyś chłopiec musiał spać nago na pokrzywach, bo przegrał seta w Pucharze Kaczora Donalda¹¹). Wreszcie młody nie wytrzymał. W środku nocy przeszedł całe Upplands Väsby, z mieszkania matki do domu ojca, i zatłukł go swoją rakieta do tenisa, jakieś trzydzieści mocnych ciosów w głowę. Pamiętasz?

11) Szw. Kalle Anka Cup (szw.) – szwedzki turniej tenisowy dla młodzieży,

rozgrywany pod tą nazwą w latach 1970–2012 (przyp. tłum.).

– Marka Wilson Pro Tour BLX, takiego narzędzia zbrodni szybko się nie zapomina.

– Chłopak mógł ojca zastrzelić. W trakcie postępowania śledczy znaleźli w jego garderobie dwa półautomaty Zastava, naładowane. Nie użył ich jednak, wziął raketę. Może tu chodzi o coś podobnego.

– Akt symboliczny?

– Tak. Po co w przeciwnym razie sprawca posłużyłby się niepraktyczną bronią, rewolwerem z zamkiem kapiszonowym z dziewiętnastego wieku? Po co użyłby czarnego prochu i ponad stuletniej kuli?

– Nie mam pojęcia.

– Birger, to był akt symboliczny. Sądzę, że morderca chce coś przez to powiedzieć.

Wpatrywała się w widok za brudnym oknem.

– Pytanie tylko, *co*.

* * *

Sonja Bergwall odstawiła kubek z herbatą. Oparła łokcie o blat stołu, jej wzrok przebiegał przez tekst, linijka po linijce, sprawdzała każde słowo, każdy znak interpunkcyjny.

Miała przed sobą pognieciony maszynopis korektorski, stos ponad sześciuset kartek. Niezliczoną ilość razy wędrował przez Sztokholm, tam i z powrotem, między jej mieszkaniem a siedzibą wydawnictwa przy parku Vanadislunden. Z biegiem czasu strony zapełniły się strzałkami, skreśleniami, niemal nieczytelnymi odniesieniami, tysiącami dopisków wciśniętych między akapity, jej notatkami – nanoszonymi czarnym długopisem i tymi od wydawcy – czerwonym ołówkiem.

Przez ten tydzień mogła jeszcze pracować nad korektą książki, ostatnim tomem historii języków skandynawskich. Potem tekst trafi do drukarni w Falun, jej słowa i myśli zostaną zamknięte w tekturowej okładce, czarny tusz wniknie w biały papier, ostatecznie i nieodwołalnie.

Książka wymagała całkowitego skupienia. Sonja Bergwall wzięła urlop na uniwersytecie, zgłosiła nieobecność na czwartkowych spotkaniach Akademii, nie poszła na wczorajszy bankiet jubileuszowy. Przez ostatnie dni i noce pracowała bez przerwy, odłączyła telefon, żeby nic nie zakłócało jej spokoju.

Popijając herbatę z miodem, patrzyła na zakończenie, chwyciła długopis, a na jej czole pojawiły się świadczące o zatroskaniu zmarszczki. Na prawym marginesie strony zrobiła dopisek, ale natychmiast go przekreśliła. W tej samej chwili dał się słyszeć dobrze znany odgłos: odchylające się drzwi balkonowe i ostrożne ciche kroczenie na parkiecie. Niechętnie oderwała wzrok od pierwszego akapitu zakoń-

czenia, wstała i pośpiesznie wyszła z kuchni.

– A więc Tołstoj zechciał wreszcie wrócić do domu? I pewnie jest głodny.

Nie znalazła go w salonie – nigdzie ani śladu szarego abisyńczyka. Zajrzała pod fotel, za ręcznie malowaną drewnianą skrzynię, ale oba ulubione miejsca kota były puste. Kiedy zaskrzypiała podłoga, Sonja Bergwall odwróciła się z uśmiechem na ustach, lecz tym, co ujrzała, nie były oddane oczy Tołstoja. Stała przed nią ciemna postać, mężczyzna. Miał na sobie czarny podniszczony płaszcz i staromodne półbuty, na głowie cylinder. Wpadające przez okno promienie słońca oświetliły jego prawy profil, ukazując ostre rysy.

Sonja Bergwall wpatrywała się z przerażeniem w mężczyznę, w jego twarz, obcą, a zarazem dobrze znaną. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz strach ścisnął jej gardło, zatykając niczym korek, i wydała z siebie tylko cichy szept.

– Ty-y?

Mężczyzna odpowiedział uroczyście.

– Tak, to ja.

Z prawej kieszeni płaszcza wyjął rewolwer z zamkiem kapiszonowym. Uniósł go powoli i nieznacznym ruchem kciuka odciągnął posrebrzany kurek.

– Przybyłem. Nareszcie.

Kiedy nacisnął spust, rozległ się ogłuszający huk, a mieszkanie wypełniło się białym dymem i duszącym zapachem siarki. Sonja Bergwall, martwa, osunęła się na podłogę, na jodełkowy parkiet. Kula przeszła pod szczęką, a po szyi i karku popłynęły strugi krwi. Twarz kobiety wykrzywiła się w przerażającym grymasie, ostatecznie i nieodwołalnie.

Niesamowita postać zatrzymała się jeszcze w głębi pokoju, mężczyzna spojrział przeciągle na swoją ofiarę, potem ostrożnie schował rewolwer do prawej kieszeni płaszcza i wyszedł z mieszkania tą samą drogą, którą wszedł – przez drzwi balkonowe, po drabince dla kota. Następnie szybkim, zdecydowanym krokiem udał się w stronę północnego krańca mostu Västerbron.

Josif Brodski

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1987 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za uniwersalne wartości całokształtu twórczości literackiej, odznaczające się jasnością myśli i poetycką siłą”

15 maja 2012

Claudia wpatrywała się w krajobraz za oknem, w szparze między żaluzjami widać było rozległą sztokholmską metropolię. W szybie odbijała się postać Sjölina, który siedział kilka metrów dalej, opierając się o szafkę przy biurku.

– Ten sukinsyn gdzieś tu jest – powiedziała – mamy go tuż pod nosem.

– Mówisz o sprawcy czy o Hedlundzie?

Usta Claudii wygięły się w zmęczonym uśmiechu.

– O sprawcy. Może jest w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Albo w pokoju socjalnym, zajada migdałowe ciasteczka z kolegami z pracy.

– Gdzieś na pewno jest.

– Tak, gdzieś na pewno.

Oparła się o parapet i wymamrotała:

– Nie znoszę tego uczucia.

– Jakiego?

– Że morderca po prostu żyje sobie dalej, jakby nic się nie stało.

Sjölin wstał, zrobił kilka kroków ku drzwiom, ale zatrzymał się w progu.

– Claudia, może powinnaś pojechać do domu? Przespać się kilka godzin?

– Może – odpowiedziała bez przekonania.

– Zdrzemnij się, wyglądasz, jakbyś potrzebowała odpoczynku.

– Sam spójrz w lustro, też nie tryskasz energią.

– Po czterdziestce przestałem oglądać się w lustrze, było to dla mnie zbyt deprymujące.

Popatrzyli na siebie, za bardzo wyczerpani, żeby roześmiać się czy choćby uśmiechnąć.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Sjölin i machnąwszy z rezygnacją ręką, wyszedł z pokoju.

Kiedy jego kroki ucichły na korytarzu, Claudia usiadła na krześle i upiła kilka łyków zimnej kawy, kofeina dawno już jednak przestała na nią działać. Oczy

bolały ją ze zmęczenia, kiedy tak patrzyła na zawalone biurko – protokoły przesłuchań, informacje od świadków, wyniki wstępnych analiz laboratorium kryminalistycznego. Powoli sięgnęła ręką do jednej ze stert.

– Tu patrol pięćdziesiąt siedem... zgłasza się posterunkowy Johan Rudolfs-son.

Odwróciła głowę i spojrzała na urządzenie, coś kryło się w płynącym z niego głosie.

Coś.

Claudia słyszała oddech funkcjonariusza, pauzy, to, jak nerwowo przełyka ślinę.

– Pojechałem z koleżanką do wezwania... do Marieberg. W mieszkaniu znaleźliśmy zastrzeloną kobietę... wiek około pięćdziesięciu lat. Pocisk przeszedł przez gardło tuż pod brodą... rana postrzałowa wygląda dziwnie. Widać... jakby to powiedzieć...

Claudia wsłuchiwała się w każde słowo, w każdy oddech.

– No więc... wokół wlotu kuli są kropki.

Poderwała się z krzesła, chwyciła urządzenie.

– Mówi Claudia Rodriguez, biuro kryminalne Komendy Głównej. Jak wyglądają te kropki?

Upłynęło kilka sekund, zanim nadeszła odpowiedź.

– Kiepsko widać, dużo krwi – odezwał się wreszcie funkcjonariusz. – Na szyi kobiety są małe czarne plamki.

Plamki.

Małe. Czarne.

Te trzy słowa przepłynęły jej przez głowę niczym prąd elektryczny.

– Gdzie jesteście? – zawołała. – Jaki adres?

– Suterena przy Wivalliusgatan 11, przy samym...

– Będę za pięć minut!

* * *

Ciągnące się przed nim korytarze przypominały labirynt okien i gipsowych ścian, pracował tu od dwudziestu pięciu lat, znał każde przejście, każdy zakamarek.

Rolf Hedlund gwałtownie otworzył szare drzwi ewakuacyjne i wbiegł na górę po spiralnych schodach przeciwpożarowych. Na piątym piętrze otworzył kolejne szare, stalowe drzwi i skręcił w lewo. Szybkim krokiem przemierzył korytarz, zatrzymał się na progu gabinetu komendanta okręgowego policji i zapukał w futrynę.

Lars Lövdén siedział przy biurku, wpatrując się w ekran komputera, lecz kiedy rozległo się pukanie, od razu podniósł wzrok.

– Cześć, Rolf! Coś nowego w sprawie Rudqvista?

– Powoli do przodu, sprawdzamy kilka interesujących tropów. Mam tylko jedno pytanie.

– Jasne, pytaj.

Hedlund wszedł do przestronnego gabinetu i oparł się o biurko Lövdéna.

– Dlaczego, do cholery, Komenda Główna wtrąca się w nasze dochodzenie?

– Nie wtrąca się, tylko w ramach wsparcia daje ludzi i wiedzę ekspercką.

– Dlaczego?

Lövdén odstawił kubek z kawą, przyglądził dłonią szpakowate włosy i odpowiedział zdecydowanym tonem:

– Hubert Rudqvist był stałym sekretarzem Akademii Szwedzkiej. Co roku przez dwie dekady otwierał białe drzwi i przedstawiał laureata Literackiej Nagrody Nobla. I tak przez dwadzieścia lat, a cały świat na to patrzył. Rolf, to zabójstwo jest na pierwszych stronach wszystkich gazet, w Szwecji i za granicą.

Wskazał ekran komputera, a na nim internetowe wydanie „The New York Timesa”. Na górze strony widniało zdjęcie Huberta Rudqvista i wielkiej sali Gmachu Sztokholmskiej Giełdy, a pod nim granatowy nagłówek: *ASSAULT ON THE NOBLE PRIZE. Member of the Swedish Academy murdered in Stockholm*¹²⁾.

12) Zamach na Nagrodę Nobla. Członek Akademii Szwedzkiej zamordowany w Sztokholmie (przyp. tłum).

– To nie będzie zwykłe dochodzenie – mówił dalej. – Każde działanie policji zostanie sprawdzone, każdy błąd odbije się echem w mediach. Zaroi się od reporterów i fotografów. Tu, w komendzie, w parku Berzeliusa, wszędzie. Już odebrałem kilkanaście telefonów od szwedzkich i zagranicznych dziennikarzy. Zamordowano ważną osobę, to sprawa takiej samej wagi jak zabójstwo Anny Lindh¹³⁾. Właśnie przy tego rodzaju dochodzeniach powinno się korzystać z pomocy ekspertów Komendy Głównej, nie sądzisz?

13) Anna Lindh (1957–2003) – szwedzka minister spraw zagranicznych z ramienia partii socjaldemokratycznej, zamordowana w 2003 roku (przyp. red.).

– Nie mam nic przeciwko pomocy ekspertów. Wręcz przeciwnie, uważam, że jest mile widziana. Ale Claudia Rodriguez to żaden ekspert i wcale, cholera jasna, nie pomaga.

Lars Lövdén patrzył na postawnego inspektora, zastanawiał się nad każdym słowem, zanim wreszcie odpowiedział. Wprawdzie stał przed nim Rolf Hedlund, opierając się o jego biurko, ale Lövdén czuł się tak, jakby był tu sam Komendant Główny Policji. Wszystko, co zostanie powiedziane w tym gabinecie, dotrze do uszu Roda Jeglertza, Lövdén dobrze o tym wiedział.

– Rolf, oddelegowałem Claudię, żeby razem z tobą prowadziła dochodzenie. Masz z tym jakiś problem?

– Ma asystować przy prowadzeniu czynności dochodzeniowo-śledczych, tak?

– Zgadza się.

– No to mamy pierwszy problem. Ona nie wie, co oznacza słowo *asystować*.

– Zakładam, że już jej to wyjaśniłeś.

– Próbowałem, ale trudno rozmawia się z osobą, która nie rozumie, co się do niej mówi. Może powinienem sprawdzić to wyrażenie w słowniku języka hiszpańskiego?

– Rolf, coś ci, cholera, powiem. Nie zamierzam słuchać tego pieprzenia. Claudia jest jednym z najlepszych śledczych w biurze kryminalnym Komendy Głównej.

– Ja słyszałem co innego.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, zawzięcie, w całkowitej ciszy.

– Dotarły do mnie plotki – odezwał się wreszcie Hedlund. – Odkąd tu przyszła z Södertörn, są z nią problemy, mam rację? Izoluje się, nie chce współpracować.

Nagle wykonał szybki gest lewą ręką.

– *Don't get me wrong*. W dochodzeniówce w Botkyrka na pewno radziła sobie świetnie i do tego właśnie zmierzam. Tam jest jej miejsce, na przedmieściach. Tu, w centrum, stanowi zagrożenie.

– Tak sądzisz?

– Tak sądzę. Claudia Rodriguez nie powinna angażować się w to śledztwo i jestem pewien, że Jeglertz zgodzi się ze mną.

– To ja podejmuję decyzję w tej sprawie, nie Rod Jeglertz.

– Jeszcze zobaczymy – odpowiedział Hedlund.

Po czym wyszedł z gabinetu i zniknął w labiryncie korytarzy.

* * *

Opony zapiszczały na asfalcie, kiedy gwałtownie zahamowała pod bladym budynkiem przy Wivalliusgatan 11. Zeskoczyła z motocykla, przebiegając przez zatoczkę do zawracania, minęła radiowóz. Kiedy ściągnęła kask, po twarzy spływał jej pot, a włosy kleiły się do czoła.

Otwierając przeszklone drzwi budynku od razu wyczuła ostrą woń – zapach siarki drażnił nozdrza. Zbiegła po betonowych stopniach, pokonując po trzy naraz, odgłos jej kroków i oddechu odbijał się echem na klatce schodowej. Przy otwartych drzwiach sutereny czekała posterunkowa.

– Gdzie ona jest? – wydyszała Claudia pokazując legitymację. – Gdzie ofiara?

– W salonie.

Wbiegła do środka i ruszyła dalej korytarzem w głąb mieszkania. W pokoju

zastała dwie osoby: kobieta leżała martwa na parkiecie, a obok stał młody funkcjonariusz. Ściany były zastawione regałami pełnymi książek.

– Johan Rudolfsson?

– Tak.

– Mów, co wiesz.

– Przed kwadransiem sąsiad ofiary zadzwonił na numer alarmowy – usłyszał bardzo głośny huk. Przyjechaliśmy kilka minut później. Czuć było dziwny zapach, z mieszkania dochodziło miauczenie kota. Kiedy zadzwoniliśmy, nikt nie otworzył, więc wyłamaliśmy drzwi, a w środku znaleźliśmy zastrzeloną kobietę. Od razu przekazaliśmy komunikat, pani odpowiedziała. To wszystko.

Claudia pochyliła się nad nieruchomym ciałem, popatrzyła na ciemne ślady prochu na szyi, na niemal niewidoczny otwór wlotowy przy tchawicy, na wielką ranę wylotową z tyłu głowy. Ostrożnie pochyliła się jeszcze niżej, przystawiła ucho do w pół otwartych ust kobiety, zacisnęła palce na jej lewym przegubie. Brak pulsu, brak oddechu.

– Co wiecie o ofierze? Jak się nazywa?

– Nie wiem, ale na drzwiach jest wizytówka z nazwiskiem Bergwall.

Claudia odwróciła się do policjantki.

– Sprawdź, kto mieszka pod tym adresem. Przeszukaj też półki i szuflady biurka, może jest tu portfel albo jakiś rachunek, cokolwiek z nazwiskiem.

Następnie znów spojrzała na Rudolfssona.

– Rozmawialiście z sąsiadem?

– Nie, mamy do niego pójść?

– Na razie nie. Drzwi balkonowe były otwarte, kiedy weszliście?

– Tak.

– Mówiłeś, że kot miauczał. Był w mieszkaniu?

– Tak, siedział obok kobiety.

– Jakies ślady kradzieży? Otwarta szkatułka na biżuterię? Wysunięte szuflady?

– Chyba nie, ale nie zdążyliśmy rozejrzeć się dokładnie.

Claudia wstała i odgarnęła z czoła wilgotne od potu kosmyki włosów. Przez chwilę przypatrywała się jeszcze ofierze.

– Tak leżała, kiedy weszliście? Dokładnie w tej pozycji?

– Tak.

– Gdzieś tam powinien być pocisk – powiedziała wskazując na regały w głębi pokoju. – Prawdopodobnie ołowiana kula z resztkami smaru, mała, z XIX wieku. Szukajcie.

– Skąd... skąd pani wie, jak wygląda ten pocisk?

Zamiast odpowiedzieć, Claudia zapytała:

– Kolejne patrole w drodze?

- Zaraz powinny tu być.
- Przekaż, żeby przeczesali najbliższą okolicę, tylko dokładnie. Sprawca ma najprawdopodobniej widoczne ślady prochu na dłoniach, może także na twarzy.
- To Sonja Bergwall. Urodzona w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim.

Claudia odwróciła się do policjantki, która, stojąc w łukowatym wejściu do salonu, odczytywała dane z mobilnego urządzenia łączności.

- Sonja Bergwall?
- Tak, tylko ona jest zameldowana pod tym adresem. Profesor językoznawstwa skandynawskiego, zatrudniona na Uniwersytecie Sztokholmskim, od 2011 roku członkini Akademii Szwedzkiej...

Claudia poczuła w piersi eksplozję adrenaliny, która rozlewała się po jej ciele niczym fala powodziowa. Szybkim ruchem wyjęła komórkę, palce przebiegły po klawiaturze. Po dwóch sygnałach odezwał się nerwowy głos.

- Lövdén... słucham.
- Tu Claudia, mamy, cholera poważny problem! Zastrzelono kolejnego członka Akademii, najprawdopodobniej z tej samej broni czarnoprochowej.

Słyszała, jak komendant z trudem łapie powietrze.

- Kolejny? Członek Akademii Szwedzkiej?
 - Tak, to Sonja Bergwall.
- Głos Lövdéna drżał.
- W Akademii zasiada osiemnaście osób, zgadza się?
 - Teraz już szesnaście.
 - Rany boskie, myślisz, że jakiś szaleniec chce...
 - Nie wiem, ale liczy się każda sekunda. Trzeba przydzielić pozostałym członkom policyjną ochronę, a takie uprawnienia masz tylko ty. I Jeglertz.
 - Zaraz to załatwię.

Zakończywszy rozmowę Claudia poczuła, jak wali jej serce, rytmiczne uderzenia w klatce piersiowej i w uszach. Przez chwilę wpatrywała się w park, w wody zatoki Riddarfjärden, utkwiała wzrok w pokrytych miedzią dachach, widocznych na drugim brzegu, zza koron drzew na Långholmen. Przez głowę przebiegła jej jedna myśl, jedno słowo.

Może.

Odwróciła się do funkcjonariuszy.

- Zostańcie tu. Niczego nie dotykajcie!
- Z komórką w dłoni wypadła z mieszkania, wbiegła po schodach, po czym wybrała numer kierownictwa grupy operacyjno-śledczej. Kiedy była już na zewnątrz budynku, usłyszała północny akcent Pera Falkmana.

- Tak, słucham?
- Tu Claudia – zawołała przekrzykując szum wiatru. – Ten pisarz, Sixten

Hjärpe, który mieszka na Reimersholme, sprawdź jego adres!

Po kilku sekundach w słuchawce znów odezwał się głos.

– Anders Reimers väg dziewięć. Szóste piętro. To jest...

– Wiem.

Schowała telefon do kieszeni kurtki i wsiadła na motocykl, po czym z ogłuszającym warkotem zapaliła silnik i ruszyła w dół ulicy, w stronę Västerbron i dalej ku Reimersholme.

Tomasz Mann

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1929 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„przede wszystkim za wielką powieść *Buddenbrookowie*, która stała się klasyką współczesnej literatury, i której popularność nieustannie rośnie”

15 maja 2012

Przedpołudniowe słońce przeciskało się zza ciemnozielonych zasłon, rozjaśniając mroczną bibliotekę Sixtena Hjärpego, długie wstęgi światła wiły się po drewnianej podłodze niczym złote węże.

Czworo członków Akademii siedziało na fotelach ustawionych pod oknami. Oczy mieli czerwone od płaczu, twarze pobladłe z rozpacz.

Beatrice Elmsten westchnęła, bezwiednie kiwając głową. Jaskra postępowała z każdym rokiem, a teraz niewidzące oczy kobiety wpatrywały się w pustkę. Powoli pochyliła się i pogładziła złotożółtą sierść psa przewodnika.

– Nie mogę uwierzyć, że Hubert nie żyje. Oczywiście, wszyscy osiągnęliśmy już ten wiek, kiedy śmierć czai się za rogiem, w ostatnich latach częściej chodziłam na pogrzeby niż na przyjęcia urodzinowe. Nic w tym dziwnego, wypadki i choroby przytrafiają się wszystkim, takie jest życie. Ale morderstwo!

Zrezygnowana i rozgoryczona potrząsnęła głową.

– Niczyja śmierć nie dotknęła mnie tak bardzo, jak odejście Huberta. Gdy los – czy, jeśli kto chce, Bóg – zdecyduje, że nasze dni dobiegły kresu, to jedno. Ale morderstwo, morderstwo jest dziełem człowieka.

Orvar Scheele skinął głową, po czym upił łyk gorącej kawy.

– Wczoraj na bankiecie długo rozmawiałem z Hubertem. Było chyba wpół do dwunastej, a ledwie godzinę później już nie żył. Mówił o swoim domku letniskowym, zamierzał pomalować go tradycyjnie, na czerwono, to jego ostatnie słowa.

Sixten Hjärpe długo siedział w milczeniu. Skóra zwisała mu z kości policzkowych, przypominając za dużą maskę, a ciężki oddech brzmiał niczym chrapanie, lecz wzrok był przenikliwy jak u drapieżnego ptaka. Kiedy odchrząknął, pozostali natychmiast zamilkli.

– Jak pamiętacie, Hubertowi i mnie zdarzały się utarczki, co – pozwolę sobie dodać – było jak najbardziej na miejscu. Ponad trzydzieści lat walczyliśmy na argu-

menty. Mówię o argumentach, nie kłótniach, bo jak wiecie, między jednym a drugim jest zasadnicza różnica. I przy tych argumentach śmigały w powietrzu drożdżówki i przekleństwa, czy to w siedzibie Akademii, czy w restauracji Gyldene Freden. Pewnego razu ty, Orvarze – jeśli dobrze pamiętam – razem z Wilhelmsso-
nen, musiałeś mnie powstrzymać, ponieważ zamierzałem siłą przekonać młodego jeszcze wtedy Rudqvista o genialności interpretatorów Mallarmégo i ich znaczeniu dla naszej współczesnej poezji.

Na ustach Hjärpego zagościł melancholijny uśmiech. Pozostali też uśmiech-
nęli się na wspomnienie tego incydentu.

– Hubert i ja nie zawsze się zgadzaliśmy. Niektórzy nazywali nas wrogami i zapewne słusznie. Ale – i tego wszyscy muszą mieć świadomość – Hubert Ru-
dqvist był moim najlepszym wrogiem. Trzydzieści lat ostrzyłem pióro i argumenty, żeby toczyć boje z jego giętkim umysłem. Będzie mi go niesłuchanie brakowało.

Wśród zebranych zaległa cisza, spuścili wzrok, zatopili się we własnych my-
ślach. Kiedy rozległ się przenikliwy, przeciągły dźwięk dzwonka, Sixten Hjärpe spojrzął na zegar.

– To pewnie Sonja. Jak zwykle – bo tak chyba należy powiedzieć – wyłączy-
ła telefon. Ale nagrałem wiadomość na sekretarce i poprosiłem, żeby do nas dołą-
czyła. Klas, może ty, młody i żwawy, zechciałbyś jej otworzyć.

Klas Fahlén, który niedawno obchodził siedemdziesiąte urodziny, wstał z fo-
tela.

– Oczywiście, my młodzi, chętnie podejmujemy się wszelkich zadań.

Powolnym krokiem przeszedł przez bibliotekę, po czym zniknął za ręcznie
wykonaną draperią oddzielającą przedpokój. Rozległ się szcęk zdejmowanego
łańcucha, Fahlén otworzył drzwi. Potem odezwały się dwa głosy, jeden, dobrze im
znany, należał do członka Akademii, drugi – do obcego mężczyzny. Nagle mieszk-
aniem wstrząsnął huk, a zza draperii przeniknął szarobiały dym.

– Klas, co się tam, u licha, dzieje?

Obaj mężczyźni wpatrywali się w wejście do pokoju. Beatrice Elmsten, która
zwróciła zmętniałe oczy w tym samym kierunku, natychmiast wyczuła ostry za-
pach siarki.

Wtedy draperię odciągnięto na bok, a do środka wkroczyła jakaś postać,
mężczyzna w dwurzędowym płaszczu i szapoklaku lekko zsuniętym na tył głowy.
W dłoni trzymał rewolwer, grawerowany po bokach, z czernionej lufy wciąż wydo-
bywały się smugi dymu. Na widok siedzących w bibliotece osób przystanął, wpa-
trywał się w nie uporczywie.

Sixten Hjärpe spojrzął mu w oczy i z wysiłkiem podniósł się z fotela.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

Obcy stał bez ruchu, twarz miał obojętną. Po chwili jego twarz wykrzywił
grymas ogromnej satysfakcji, pewną ręką uniósł rewolwer, wymierzył w klatkę

piersiową Hjärpego i nacisnął spust. Huk był ogłuszający, z lufy znów buchnął dym, a z obracającego się magazynka trysnęły iskry. Hjärpego dosięgły dwa ołowiane pociski, flanelowa koszula zabarwiła się karminową czerwienią od strumienia krwi, a zwaliste ciało osunęło się na skórzany fotel.

Wtedy Orvar Scheele zerwał się z sofy. Pies obok niego obnażał kły i szczekał zajadle.

Intruz na ułamek sekundy zawahał się, ale szybko odwrócił się w lewo i oddał dwa strzały. Pierwszy trafił w ścianę, drugi przeszył lewe oko labradora. Szczekanie natychmiast ucichło, zwierzę padło na podłogę. W tej samej chwili Scheele chwycił mężczyznę za rękaw, wpił palce w jego przedramię i złapał go za gardło. Ten zdołał się jednak uwolnić i wymierzył Scheelemu mocny cios kolbą rewolweru w czoło. Stary historyk przewrócił się na plecy, nad jego łukiem brwiowym ziała krwawa rana. Z trudem próbował jeszcze wstać, ale był zbyt zamroczony.

Napastnik mógł teraz bez przeszkód unieść broń na konieczną wysokość, wycelował i oddał dwa strzały. Kiedy kula trafiła kość jarzmową, Scheelego gwałtownie odrzuciło do tyłu, na regał z książkami. W bibliotece zapadła cisza. Przy wykuszu siedziała Beatrice Elmsten, bezradnie chwytając dłońmi powietrze. Mimo niewidzących oczu wyczuwała przed sobą czyjąś obecność, głęboki oddech, ruchy, skrzypienie podłogi pod ciężarem czyjegoś ciała.

– Si-sixten? Orvar? Co... co się dzieje? Klas? Odezwiście się! Powiedzcie coś! Nemo! Gdzie jesteście?

Początkowo odpowiadała jej jedynie głucha cisza, po chwili jednak odezwał się obcy męski głos.

– Twój przyjaciele nie żyją, twój pies też. Nie zamierzałem zabijać zwierzęcia, ale nie miałem wyjścia. Przepraszam.

– Kim... Kim jesteś? Coś ty zrobił?

– Skończyło się długie oczekiwanie – odpowiedział głos. – Nadeszła pora.

Nagle z głębi pokoju dobiegł jakiś dźwięk. To Sixten Hjärpe wydał z siebie odgłos przypominający skowyt zwierzęcia. Powoli podczołgał się i spojrzał na swojego kata, a z jego ust buchnęła krew, żółć i fala przekleństw.

– Zawsze... tobą gardziłem... ty parszywy, zadufany w sobie sukinsynu...

Intruz ani drgnął, słysząc te słowa. Ze spokojem wycelował broń i zacisnął palec wskazujący na posrebrzanym spuście, lecz tym razem dało się słyszeć jedynie głuchy szcęk magazynka. W niebieskich oczach mężczyzny pojawił się cień irytacji. Bezzwłocznie sięgnął lewą ręką do kieszeni płaszcza i wyjął pudełko z mosiądzu, na wieczku widniały starannie wygrawerowane inicjały: *J. A.*

Otworzył je. Wewnątrz znajdował się smoliście czarny proch, miarka wielkości palca, a w bocznej przegródce kapiszony i amunicja. Wziął miarkę i napełnił górną komorę magazynka ciemnym proszkiem. Następnie włożył do niej ołowianą kulę, którą docisnął pobjczykiem, mocno i dokładnie. Wreszcie umieścił kapiszon

na kominku, z tyłu magazynka.

Sixten Hjärpe leżał bez ruchu na podłodze, w jego oczach widać było wściekłość i rezygnację. Kiedy napastnik uniósł naładowaną broń, pisarz usiłował jeszcze coś powiedzieć, lecz wydobył z siebie tylko krew i żółć.

Znów rozległ się ogłuszający huk, a mieszkanie wypełnił zapach siarki. Pocisk trafił prosto w otwarte usta Hjärpego, jego ciało spowiły kłęby dymu.

Przerażona Beatrice Elmsten przycisnęła się do oparcia fotela, siedziała zaledwie metr od martwego kolegi. Jej dłonie trzęsły się mimowolnie, a w niewidzących oczach zebrały się łzy.

– Nie zabijaj mnie... błagam, nie strzelaj...

– A dlaczego w ogóle miałbym pozbawiać cię życia?

Z głosu mężczyzny wyraźnie przebijało zdziwienie.

– Nie musisz się niczego lękać, zapewniam.

Następnie szybkim krokiem wyszedł z mieszkania. Beatrice Elmsten siedziała dalej w fotelu, wsłuchana w odgłos oddalających się kroków na klatce schodowej, a potem zapadła nieznośna cisza. Kobieta tkwiła tak bez ruchu, sparaliżowana strachem. Oddychała spazmatycznie, kurczowo zaciskając palce na poręczach fotela.

Minęło jakieś trzydzieści sekund, minuta. Drzwi do mieszkania znów się otworzyły, szcęknęły wysłużone zawiasy. Beatrice Elmsten usłyszała skrzypienie podłogi, zdyszany oddech i zbliżające się ostrożne, ciche kroki.

– Nie zabijaj mnie! Odejdź!

Głos, który jej odpowiedział, nie należał jednak do obcego mężczyzny, lecz do kobiety, która wyszeptała jej do ucha:

– Nie zrobię pani krzywdy. Mam na imię Claudia, jestem z policji.

Pochyliła się obok niewidomej staruszki. W prawej dłoni trzymała broń służbową, sig sauera P226. Wycelowwała ją najpierw w oba wejścia do pokoju, a potem w zielone zamszowe zasłony. Lewą dłonią pogładziła drżące palce kobiety i odezwała się ledwie słyszalnie:

– Sprawca jest w mieszkaniu?

– On... zniknął. Chwilę przed pani przyjściem... ledwie kilka minut temu...

Zniknął.

Kilka minut temu.

Claudia przeklęła pod nosem, gdy zdała sobie sprawę, jak była blisko. Czyżby minęła sprawcę na zewnątrz budynku? Cekał na przystanku sześćdziesiątki szóstki? Jechał samochodem przez Väterbron? Tymczasem wołała się nad tym nie zastanawiać, wyjęła komórkę i wybrała numer.

Lars Lövdén odebrał natychmiast.

– Claudia, gdzie jesteś?

– W mieszkaniu Sixtena Hjärpego na Reimersholme, ale spóźniłam się. Wy-

ślij wsparcie i karetkę, mam tu trzech zabitych, jedna osoba przeżyła.

Komendant z trudem chwycił powietrze, po krótkim milczeniu odzyskał głos.

– Nic ci nie jest?

– Nie.

– Wszystkim się zajęliśmy, teraz wiemy na pewno, że sprawca nadal jest w Sztokholmie. W ciągu kilku minut pozostali członkowie Akademii dostaną policyjną ochronę.

– Świetnie.

Zakończywszy rozmowę, Claudia rozejrzała się dokoła. Zastrzeleni mężczyźni leżeli w kątach pokoju, przy drzwiach wejściowych widziała jeszcze jedno ciało. Na podłodze, u stóp niewidomej leżał pies, wydawało się, że odpoczywa, schowawszy łeb między łapy, lecz dziura w miejscu lewego oka zdradzała prawdę. Claudia ucisnęła wychudzoną dłoń kobiety.

– Wie pani, kto to zrobił?

– Nie...

Odetchnąwszy głęboko, staruszka dodała:

– Ale Sixten wiedział.

– Skąd pani wie?

– Przed... przed śmiercią Sixten powiedział coś. Powiedział: *Zawsze tobą gar-gardziłem, ty parszywy, zadufany w sobie... sukinsynu.*

Claudia zanotowała w pamięci ostatnie słowa zamordowanego pisarza. Po chwili zwróciła się do staruszki.

– Mogę jeszcze o coś zapytać? Ma pani siłę? To bardzo ważne.

Kobieta kiwnęła głową.

– No, więc – zaczęła Claudia – morderca zastrzelił pięcioro członków Akademii Szwedzkiej. Pani nie zabił. Dlaczego?

Po policzkach Beatrice Elmsten spłynęły łzy.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem.

Gabriel García Márquez

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1982 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za powieści i opowiadania, w których fantazja i realizm łączą się w złożony świat poezji, odzwierciedlającej życie i konflikty całego kontynentu”

15 maja 2012

Claudia przeszła przez bibliotekę, ostrożnie stawiając kroki na ręcznie tkanym jedwabnym dywanie. Ciało już nie było, przewieziono je do Centrum Diagnostyki Obrazowej i Wizualizacji Szpitala Uniwersyteckiego w Linköping na wirtualną sekcję zwłok, lecz na dywanie i podłodze zostały liczne wyraźne ślady niedawnych wydarzeń.

Patrząc pod nogi, obeszła rdzawoczerwone plamy krwi, przystanęła i spojrzała na szpakowatego mężczyznę siedzącego w kucki przy fotelu. Frank Larsson trzymał między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki okrągło zakończony pędzel, którym nanosił cienką warstwę proszku magnetycznego na łukowate podłokietniki fotela.

– Muszę jechać.

Larsson odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

– Wiem.

– Zadzwoń, jak coś znajdziecie.

– Jasne.

– Rzęsę, ślad buta na podwórku, cokolwiek, dzwoń natychmiast.

– Jasne, Claudia. Jedź już, powinnaś tam być od dziesięciu minut.

Po raz ostatni przebiegła wzrokiem pokój, popatrzyła na ściany, na szeroką na centymetr dziurę w miejscu, gdzie wbił się pocisk. Po raz ostatni wsłuchiwała się w rozmowy prowadzone ściszym głosem w różnych częściach pomieszczenia – ekspertów balistyki z laboratorium w Linköping, techników kryminalistyki, dwóch medyków sądowych. Każde słowo stanowiło fragment szaleńczej układanki, którą Claudia zaczęła tworzyć w nocy.

Pojawia się coraz więcej elementów.

Układanka robi się coraz większa.

Wyszła z mieszkania Hjärkego i zbiegła po kanciastych schodach bloku. Na zewnątrz stała setka ludzi, za taśmą policyjną tłoczyli się dziennikarze prasowi, fo-

toreporterzy, ekipy telewizyjne. Reporterka śledcza szwedzkiego radia, rozpoznawszy Claudię, zawołała ją, ta jednak, nie odwracając się, zmierzała w przeciwnym kierunku.

Kolejny raz w ciągu piętnastu godzin przeszła pod biało-niebieską taśmą otaczającą miejsce zbrodni. Wskoczyła na rozgrzane od słońca siodełko hondy i uruchomiła silnik. Zanim reporterka ją dogoniła, Claudia zdążyła już zniknąć za pomarańczowymi budynkami z lat czterdziestych. Zarzucało motocyklem, kiedy pędziła przez zachodnie dzielnice Sztokholmu. Przemierzyła Västerbron, minęła Fridhemspan, przejechała przez zatłoczone ulice Kungsholmen. Zatrzymała się przy parku Kronoberg, ominęła główne wejście do komendy, oblegane przez jakichś trzydziścioro dziennikarzy, i ruszyła do wejścia służbowego od strony Polhemsgatan, wjechała windą na siódme piętro i na wół biegnąc dotarła do sali zebrań.

W środku było gorąco i duszno, prawy wentylator pod sufitem nie działał, lewy powoli wirował nad stołem, szumiąc mechanicznie.

Pod oknem stała Frida Zetterlund, kierownik sztabu Okręgowej Komendy Policji, nerwowo rozmawiając przez telefon, co chwilę przechodziła z francuskiego na angielski i odwrotnie. Claudia dosłyszała słowa *responsabilité* i *killing spree*. Na tapicerowanym krześle, przy dłuższym brzegu stołu, siedział Birger Sjölin, dyrektor wydziału zabójstw biura kryminalnego Komendy Głównej, i robił notatki na luźnych kartkach papieru.

– Ale piekło – szepnęła, kiedy Claudia usiadła obok.

– Trafne podsumowanie. Gdzie Lövdén?

– W drodze. Spędził godzinę w Rosenbadzie¹⁴), informując premiera i ministra sprawiedliwości o całej sytuacji. Wszystko w porządku?

14) Rosenbad – nazwa budynku, w którym mieści się kancelaria premiera rządu szwedzkiego oraz odbywają się posiedzenia Rady Ministrów i konferencje prasowe (przyp. tłum).

– Tak, a u ciebie?

– Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Od czterech godzin panuje tu kompletny chaos.

– Wyobrażam sobie.

Chwyła termos i naląła sobie gorącej kawy do plastikowego kubka, ostrożnie wypła kilka łyków. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do sali wkroczył zdyszany Lars Lövdén, na jego czole połyskiwały kropelki potu. Podeszedł do Claudi.

– Coś nowego? Sukinsyn zostawił jakieś ślady?

– Ni cholery. Jednak wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z pojedynczym sprawcą, wczoraj w nocy i dziś. Jak poszło spotkanie z premierem?

Lövdén usiadł przy stole i odpowiedział jedynie zrezygnowanym ruchem

głowy, poczucie bezsilności pokryło jego twarz niczym bladoszary puder.

– Od czasu mężczyzny z laserem¹⁵) nie grasował w Sztokholmie seryjny morderca. Minęło dwadzieścia lat, poza tym, dokładnie rzecz ujmując, nie był to seryjny morderca. Udało mu się zabić tylko jedną osobę, a ten szalowiec doszedł już do pięciu.

15) Lasermannen – właściwie John Wolfgang Alexander Ausonius, od sierpnia 1991 do stycznia 1992 roku ciężko postrzelił jedenaście osób w Sztokholmie i Uppsali, w tym jedną śmiertelnie. Dokonywał także napadów na banki (przyp. tłum).

Już.

To dopiero początek?

Przez głowę przebiegła jej ta koszmarna myśl, ale postanowiła zachować ją dla siebie.

– Trzynaścioro członków Akademii wciąż jest przy życiu – powiedział komendant, kierując zmęczony wzrok ku Fridzie Zetterlund. – Proszę przedstawić sytuację, gdzie się znajdują, jak są chronieni. Chcę wiedzieć wszystko.

– Sporo tego – odpowiedziała.

– Wiem, ale chcę znać wszystkie szczegóły.

Zetterlund zaczęła szperać w zapiskach, strony kołnotatnika szeleściły między palcami, na kartkach wiły się linijki zreferowanych rozmów telefonicznych.

– Dobrze, zacznijmy od Sztokholmu.

– W regionie stołecznym mieszka sześcioro członków Akademii, zgadza się?

– Tak. Nils T. Flodström, Kristine Dahlberg, Jan Koskinen i Göran Wallin przebywają aktualnie na komendzie, w podziemiach budynku, w pomieszczeniach o podwyższonym standardzie ochrony. Jest tam również Beatrice Elmsten. Będzie chroniona tak samo jak pozostali, mimo że sprawca z jakiegoś powodu ją oszczędził. Absolutnie nie możemy ryzykować.

Lövden kiwnął głową.

– Oczywiście.

– Wszyscy są w szoku, zwłaszcza Koskinen i Elmsten mają symptomy stresu pourazowego. Policjanci prowadzący przesłuchania i psychologowie zaczęli już z nimi rozmawiać, zadali podstawowe pytania, na przykład, czy w ostatnim czasie ktoś kierował jakieś groźby wobec Akademii Szwedzkiej. Niestety, nic istotnego nie wyszło jeszcze na jaw.

– Zupełnie nic? – Claudia była zdziwiona.

– Nie.

– Żadnych listów z pogrózkami? Żadnych rozmów telefonicznych, w których ktoś dawał upust złości?

– Nic.

– A pozostali członkowie? Gdzie się znajdują?

Birger Sjölin, opierając łokcie na stole, odpowiedział.

– W Sztokholmie jest jeszcze jedna członkini Akademii, poetka Lisbeth Hansson. W zeszłym tygodniu wystąpiła u niej ciężka sepsa. Przebywa na oddziale intensywnej terapii w Szpitalu Uniwersyteckim Karolinska, podłączona do respiratora.

– Nie można jej przenieść?

– Nie – odpowiedział Sjölin. – Wymaga opieki przez całą dobę, a taką specjalistyczną aparaturę mają tylko w Karolinska. Hansson jest pod stałą ochroną. Na oddział można dostać się tylko jedną klatką schodową albo windą, obu wejść pilnuje SÄPO16). Przy sali, w której leży Hansson, również stoją agenci.

16) Sakerhetspolisen – szwedzkie służby specjalne odpowiadające za bezpieczeństwo wewnętrzne (przyp. tłum.).

– Ilu?

– Czterech. Poza tym na terenie szpitala rozmieściliśmy patrole z Norrmalmu i funkcjonariuszy w cywilu. Do działań włączyliśmy także prywatną firmę ochroniarską wynajmowaną przez szpital. Jej pracownicy znają sytuację i są do naszej dyspozycji, jeśli zajdzie potrzeba. Mamy też dostęp do wszystkich kamer monitoringu wewnątrz i na zewnątrz placówki.

Na czole Claudii pojawiła się zmarszczka zatroskania.

– Nie podoba mi się to. Szpitale trudno kontrolować. Sprawca może obandażować twarz i wejść, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

– Na to nic nie poradzimy. Hansson ma osiemdziesiąt siedem lat, balansuje na granicy życia i śmierci, ordynator ocenia jej szanse na mniej niż pięćdziesiąt procent. Czający się w pobliżu zabójca nie jest w tej chwili jej największym problemem.

– Fakt, raczej nie. Jak wygląda sytuacja na zachodnim wybrzeżu?

Zerknąwszy do notatek, Frida Zetterlund odpowiedziała:

– Tam mieszkają Siv Persson McKenzie, Vilgot Elmander i Leif Linder. Obecnie pozostają pod ochroną we własnych mieszkaniach, ale SÄPO nie ma środków, żeby ich tak pilnować przez dłuższy czas, zwłaszcza po dzisiejszych wydarzeniach.

– Co to oznacza?

– Trzeba ich przenieść. Jutro rano zostaną przewiezieni do jednostki wojskowej K3 pod Karlsborgiem, wszyscy zgodzili się na to rozwiązanie. Cała trójka będzie przebywać w budynku koszar położonym ponad pięćset metrów od terenów cywilnych. Jednostkę otacza wysokie na cztery metry ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem, a w wybranym przez nas budynku są zamontowane szyby z pancernego szkła. Na terenie jednostki przez cały czas będą pełniły służbę przynaj-

mniej dwa oddziały SÄPO szkolone do ochrony osób, poza tym na miejscu jest także około siedemdziesięciu czynnych żołnierzy i oddział powietrznodesantowy. Rozmawiałam z szefem sztabu, który zapewnił, że zwiększą liczbę strażników i będą w stanie najwyższej gotowości. Mówiąc szczerze, musieli uznać tę sytuację za idealną okazję do ćwiczeń.

– Wydaje się w porządku. A ten językoznawca?

– Hans Ekberg?

– Właśnie, czy on nie mieszka w Dalarnie?

– Tak, Ekberg przebywa w swojej posiadłości między Borlänge i Falun. Policjanci z Borlänge będą go chronić w systemie zmianowym, we współpracy z oddziałami SÄPO. Poza tym na terenie posesji mamy dodatkowych pomocników.

– Pomocników?

Na ustach Zetterlund pojawił się zmęczony uśmiech.

– Rodzina Ekbergów ma pięć dobermanów – wyjaśniła – które zazwyczaj poruszają się dość swobodnie po całym terenie. Ekberg twierdzi, że nikt nie przejdzie obok nich niezauważony.

– Przyda się każda pomoc – westchnął Lövdén.

– A Gun-Britt Höök? – zapytała Claudia. – Przebywa za granicą, zgadza się?

– Jest w swoim domu w górskiej wiosce na Lazurowym Wybrzeżu – odpowiedział Birger Sjölin. – Rozmawialiśmy z francuską policją, która okazała się bardzo pomocna. Oddelegowali na miejsce kilku funkcjonariuszy. Lokalna ludność, z własnej inicjatywy, utworzyła oddział cywilny, który patroluje ulice.

– Nieźle.

– Na tym nie koniec, zaangażował się nawet sam prezydent.

– Hollande? Który dzisiaj objął urząd?

– Tak, kiedy dowiedział się, jak poważna jest sytuacja, natychmiast oddelegował czterech swoich osobistych funkcjonariuszy ochrony. To chyba jego pierwsza decyzja jako prezydenta Francji. Są już w drodze do letniej posiadłości Höök pod Niceą.

– Francuzi! – wykrzyknął Lövdén, uderzając pięścią w stół. – Ci to wiedzą, jak działać w sytuacji kryzysowej.

Na twarzy komendanta po raz pierwszy tego dnia pojawił się słaby uśmiech.

– Dobra. To mamy jedenaście osób. A powinno być razem trzynaścioro.

Sjölin i Zetterlund spiesznie wymienili spojrzenia.

– Z pozostałą dwójką mamy problem – powiedziała Zetterlund.

Uśmiech od razu zniknął z twarzy Lövdéna.

– Jaki problem?

– Per Birkenfeldt nie zgadza się na ochronę osobistą.

Claudia zerwała się z plastikowego krzesła tak gwałtownie, że prawie się przewróciło.

– Nie zgadza się?

– Tak.

– Jakiś szaleniec morduje z zimną krwią członków Akademii, jednego po drugim. Pięcioro jego kolegów zostało zabitych, a on nie zgadza się na ochronę?

– Birkenfeld nie chce mieć z Akademią nic wspólnego – odpowiedziała Frida Zetterlund. – Od 1989 roku, od sprawy Rushdiego, nie bierze udziału w jej pracach, od ponad dwudziestu lat jego noga nie postąpiła w siedzibie Akademii. Nie uważa się za członka tej instytucji.

– Ale może zabójca go za takiego uważa!

– Wyraźnie poinformowaliśmy go, że zagrożenie jest niezwykle poważne. Komendant policji w Strängnäs, który zna Birkenfeldta od małego, powiedział mi to samo.

– A co na to, co cholery, Birkenfeldt?

– Nie posłuchał, w ogóle nie chce z nami rozmawiać. Sześciu funkcjonariuszy ochrony z SÄPO obserwuje teren wokół jego domu w Strängnäs, w pobliżu jest też większość miejscowych policjantów, ale nikt nie może wejść na posesję. Wygląda na to, że Birkenfeldt zamierza wtedy chwycić za śrutówkę dziadka.

– To ci dopiero – wymamrotał Lövdén. – Facet nie zgadza się, żeby mu ratować życie. Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem.

– To nie koniec – powiedział Birger Sjölin.

Lövdén zamknął oczy, do ust włożył gumę nikotynową.

– No, słucham.

– Sigurd Wilhelmsson, wiecie, ten pisarz z Jämtlandii, autor trylogii o myśliwych polujących na łosie na północy...

– Co z nim, do diaska? Narysował sobie tarczę strzelecką na piersi?

– Zniknął.

– Jak to zniknął, do cholery?

– Nie wiemy, gdzie jest.

– To się dowiedzcie! Przepytajcie wszystkich w tej cholernej Jämtlandii.

– Rozmawialiśmy z jego siostrami, wydawcą, sąsiadami, znajomymi, pozostałymi członkami Akademii, wszyscy mówią to samo. Wilhelmsson gdzieś wędruje.

– Gdzieś?

– Tak, gdzieś.

– I nikt nie wie, gdzie?

– Prawdopodobnie jest na terenie Szwecji. Ale może być też w północno-wschodniej Norwegii, czasem tam jeździ. Albo w fińskiej Laponii.

– Żarty sobie stroisz?

– Nie. Od połowy lat 70. Wilhelmsson robi tak kilka razy w roku. Nikomu ani słowa, po prostu rusza na długą wędrówkę, żeby oczyścić myśli.

Lövdén ukrył twarz w dłoniach, po czym przesunął palcami po ospowatych policzkach.

– Pisarze...

Nagle otworzyły się drzwi, do sali weszli Rolf Hedlund i komendant główny policji, Rod Jeglertz.

Spojrzenia tego ostatniego i Lövdéna spotkały się. Od niemal czterech dekad mężczyźni toczyli bezwzględną walkę o władzę. Utarczki rozpoczęły się jeszcze w szkole policyjnej w pierwszej połowie lat 70., od tamtej pory walczyli o funkcje, stanowiska kierownicze, kobiety, a Jeglertz z każdego starcia wychodził zwycięsko.

Nowo przybyli usiedli przy krótszym brzegu stołu w głębi, pod oknami. Przez kilka sekund słychać było tylko szum wentylatora, wreszcie Lövdén przerwał milczenie.

– Rod, dobrze, że przyszliście. Właśnie podsumowaliśmy sytuację i chyba można stwierdzić, że...

Jeglertz uniósł dłoń w uciszającym geście, ale nic nie powiedział. Chwytał tylko pilota i włączył zawieszony na ścianie telewizor.

Na każdym kanale specjalne wydanie wiadomości, kilkusekundowe fragmenty w różnych językach, korespondenci zdający relację prosto z kamiennych schodów budynku Sztokholmskiej Giełdy na Starym Mieście, na stopniach widać było bukiety kwiatów, znicze, listy kondolencyjne. Kiedy oko kamery objęło plac Stortorget, ukazał się tłum, setki osób pogrążonych w żałobie, którzy zebrali się, żeby okazać swoje współczucie.

Wreszcie Rod Jeglertz ponownie uniósł pilota i wyłączył telewizor.

– Telewizja szwedzka, CNN, BBC News, RAI, francuska TV5, Deutsche Welle, nawet al-Jazira, do cholery. Wszyscy nadają relacje ze Sztokholmu. To wiadomość dnia na całym świecie i tak zostanie, dopóki nie ujmiemy sprawcy.

Jego spojrzenie powoli zataczało łuk wokół stołu.

– To sprawa kalibru zabójstwa Palmego, może nawet większa. W kolejnych dniach rozstrzygną się nasze kariery. Ten przypadek sprawi, że zostaniemy zapamiętani albo jako bohaterzy, albo jako pieprzeni, gówno warci nieudacznicy.

Wpiął oczy w Lövdéna i wyszeptał niemal bezgłośnie.

– Nie pozwolę, żeby zapamiętano mnie jako pieprzonego, gówno wartego nieudacznika. Jasne, Lars?

Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie uporczywie. Wreszcie Lövdén spuścił wzrok i wziął kolejną gumę nikotynową. Wtedy Jeglertz zwrócił się do Claudii.

– To ty jesteś Rodriguez?

– Tak.

– Dobra, Rodriguez, to pokaż, co jesteś warta. Szaleniec morduje członków Akademii Szwedzkiej. Zabił już pięć osób, zastrzelił ich z jakiejś pieprzonej starej

bronii. Cały świat śledzi ten dramat. Sprawą zajmuje się każdy funkcjonariusz, ale nadal brak mordercy, brak śladów, jedno wielkie gówno. No, więc, Rodriguez, mam pytanie. Co, do cholery, powinniśmy teraz zrobić?

– Musimy wezwać eksperta.

Komendant Główny nawet nie drgnął, nie odezwał się ani słowem, ale Rolf Hedlund przysunął się nieco, z szyderczym uśmiechem na ustach.

– W komendzie roi się od ekspertów, do cholery. *You name it*. Technicy kryminalistyki, psychologowie, którzy sporządzają profil sprawcy, balistycy...

– Ale jednego nie mamy – przerwała Claudia. – Potrzeba nam literaturoznawcy.

Sigrid Undset

Laureatka Literackiej Nagrody Nobla w 1928 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za niezapomniany opis skandynawskiego średniowiecza”

15 maja 2012

Leo Dorfman dmuchał na gorącą herbatę, para otulała mu twarz. Przez zakurzone okno wystawowe do wnętrza wciskały się promienie wieczornego słońca, padały na radio stojące we wnęce okiennej i odbijały się w miedzianych okuciach. Radio było stare, tranzystorowe, Grundig 941 WS, kupione przez dziadka Leo w połowie lat pięćdziesiątych, ale wciąż działało bez zarzutu. Teraz jednak w szumie między stacjami zanikł program pierwszy, Leo popukał więc lekko wnętrzem prawej dłoni w zwichrowany regulator głośności i fonia wróciła. W ciągu popołudnia bez przerwy nadawano relacje na żywo, wiadomości o śmiertelnych strzałach w centrum Sztokholmu.

Leo upił łyk herbaty, ugryzł kanapkę z serem i uważnie słuchał głosu rzecznika prasowego SÄPO, dobiegającego z trzywątowych głośników.

Nagle rozległ się dźwięk dzwoneczka, drzwi wejściowe się otworzyły, zaskrzypiał rdzewiejący metal. Do antykwariatu wpadł otyły mężczyzna około pięćdziesiątki, w podniszczonej flanelowej koszuli i sztruksowych spodniach pocerowanych w tyłu miejscach, że nie dało się zliczyć. Zmierzwione kosmyki włosów okrywały skronie i zachodziły na niemal łysą głowę, na prawym uchu po porannej toalecie pozostała przyschnięta pianka do golenia. Ciężkim krokiem podszedł do sekretarzyka, chciał się przywitać, ale był zbyt zziajany, z szeroko otwartych ust wydobywało się jedynie głośnie dyszenie.

Leo wyłączył radio i z poważną miną przyglądał się swojemu stałemu klientowi.

– Cześć, Brynolfsson! Pewnie już słyszałeś o zabójstwach członków Akademii?

Brynolfsson wsparł się o sekretarzyk i kiwnął głową, wciąż niezdolny, żeby cokolwiek powiedzieć. Wreszcie, oddychając ciężko, wykrztusił pytanie, to samo, które od trzech tygodni zadawał niemal codziennie.

– U-udało... ci się ją zdobyć?

– Pewnie, że się udało. W końcu.

– Naprawdę?

Leo kiwnął głową.

– Nie... nie żartujesz sobie ze mnie?

– Nie – odpowiedział, po czym wyjął książkę w szytej oprawie i położył ją na opuszczanym blacie.

Było to dobrze zachowane pierwsze wydanie debiutanckiego kryminału Stiega Trentera z 1943 roku – *Nikt nie powstrzyma śmierci*. Po wielu tygodniach starań i długich dyskusjach udało mu się kupić ów rzadki tom od kolekcjonera z Gotlandii za dwa i pół tysiąca koron. Brynolfsson oglądał książkę z błyskiem w oczach.

– Idealna. Jest idealna.

Trzymał ją w obu dłoniach, przesuwając palce po marmurkowym papierze okładki, po zielonej półpłóciennej oprawie, po grzbiecie, po szyldziku z koziej skóry w kolorze czerwieni i ochry, na którym widniał tytuł. Następnie otworzył książkę i uważnie przeczytał kolofon.

– Wydanie pierwsze, druk pierwszy, nakład trzech tysięcy egzemplarzy.

Wyszeptał te słowa nabożnie, jakby wymawiał wersy modlitwy.

– Zgadza się – powiedział Leo. – Ile miałeś przedtem egzemplarzy?

– Dwa, oba odziedziczyłem po dziadku ze strony matki. Ale to wydania śmieciowe, towar pospolity, można takie kupić na pchlim targu albo w Internecie za pięć dych.

Spojrzał na Leo badawczym wzrokiem.

– Dorfman, zgadniesz, jakie mam wydania? Powinieneś to wiedzieć, jeśli chcesz się mienić antykwariuszem.

– Dwa śmieciowe wydania, mówisz? *Nikt nie powstrzyma śmierci*?

– Taa, dwa najprawdziwsze śmieciowe wydania.

– Dobra, więc jedno to pewnie klejone wydanie z 1948 roku, wydawnictwo Ica17). W latach powojennych miał tę książkę co drugi Szwed.

17) Ica Bokförlag – szwedzkie wydawnictwo założone w 1945 roku (przyp. tłum.).

– Gdybyś nie zgadł, zakończyłbym naszą znajomość. Ale drugie wydanie trudniej zidentyfikować.

Leo zastanawiał się chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wydawnictwo B. Wahlström18)? Może z połowy lat 60.?

18) B. Wahlströms Bokförlag – szwedzkie wydawnictwo założone w 1911 roku (przyp. tłum.).

– *Niet*. Ale niezła próba, przyznaję.

– Dobra, poddaję się. Mów.

Brynolfsson uśmiechnął się krzywo, ale dla dramatycznego efektu odczekał jeszcze kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Drugie wydanie – zaczął uroczyście – to oprawiony w skórę egzemplarz z serii Kryminał Miesiąca, z tysiąc dziewięćset...

– 1979! – wykrzyknął Leo łapiąc się obiema rękami za głowę. – Kurczę blade, powinienem być zgadnąć.

– No, powinieneś być.

Leo poklepał Brynolfssona po szerokim ramieniu.

– W każdym razie masz oryginał.

– Tak, nareszcie.

Opuszki palców Brynolfssona znów pogładziły szarozieloną ilustrację na okładce – pogrążone w cieniu urwisko, tajemniczą postać kobiety na szczycie. Lecz nagle na jego czole pojawiła się zmarszczka zatroskania, natychmiast odłożył powieść.

– Cena! Dorfman, nie ustaliliśmy ceny. Ile kosztuje?

Leo zerknął na Brynolfssona, swojego stałego klienta, który przeznaczał całą pensję i wszystkie oszczędności na książki oraz komiksy z lat 40., 50. i 60., zwłaszcza te zafoliowane, najrzadsze i unikatowe.

– Co powiesz na dwa tysiące?

Zmarszczki na czole Brynolfssona pogłębiły się.

– Twardy z siebie biznesmen, Leo, bardzo twardy.

Z zadumą przygryzł dolną wargę, po czym z tylnej kieszeni niechętnie wyjął cztery pomięte banknoty pięćsetkoronowe i położył je na opuszczonym blacie sekretarzyka.

– Czasem trzeba sobie pozwolić na luksus, prawda?

– Też tak sądzę – odpowiedział Leo z uśmiechem. – Słuchaj, może napijesz się herbaty? Mam świeżo zaparzoną w imbryku. A może masz ochotę na kanapkę z serem?

– Nie zdążę, muszę lecieć.

Brynolfsson wziął w palce powieść Trentera i umieścił ją ostrożnie w ogromnej kieszeni koszuli, po czym z roztargnieniem uniósł prawą dłoń w geście pożegnania.

– *Daswidania*, Dorfman!

Drzwi zatrasnęły się za kolosalną sylwetką. Leo widział jeszcze, jak jego stały klient idzie w górę Bondegatan, oddalając się w kierunku budynków przy Nytorget. Wychylił się z krzesła, wziął pomięte banknoty, zwinął je i włożył do zbrązowiałej od rdzy puszkki po herbacie ukrytej za tomikami poezji: trzymał w niej wszystkie pieniądze i wartościowe rzeczy. Zazwyczaj była pusta, ale kiedy już udało mu się odłożyć parę setek, mocno pachniały potem rosyjską herbatą. Docisnął wieczko i schował puszkę za zaczytany tomik *Wierszy wybranych* Wernera Aspen-

ströma.

Nagle znów rozdzwonił się dzwoneczek, ktoś otworzył drzwi wejściowe. Leo przestraszył się, że Brynolfsson zmienił zdanie i wrócił oddać Trentera – może znalazł w książce ośle uszy, zauważył rysę na stronie z winietą albo plamę wilgoci na karcie tytułowej. W progu nie stanął jednak jego opasły klient, lecz kobieta, którą Leo kiedyś kochał.

– Cześć – powiedziała Claudia Rodriguez i weszła do antykwariatu.

* * *

Przez kilka letnich miesięcy łączył ich przelotny związek, młodzieńcze zauroczenie – on miał dwadzieścia cztery lata, ona dwadzieścia. Spotkali się przypadkowo na obchodach *midsommar*, oboje kiepsko się bawili, zaczęło się od śledzia w marynacie i wyścigów w workach, a skończyło na seksie pod gołym niebem, nocą, w parku Vita Bergen.

Różniło ich wszystko i właśnie w tym tkwiła siła przyciągania, ale jesienią ona wypowiedziała słowa, których on się obawiał, a zarazem się spodziewał. Odwiedzili swoje stałe miejsce, cukiernię Gunnarssons Konditori przy północnym zejściu do stacji metra Skanstull. Jedli późne śniadanie, podczas gdy siedzące obok dwie starsze panie właśnie konsumowały wczesną kolację. Claudia szybko spałaszowała bułkę z szynką i strzepnęła okruchy z rękawa.

– Wiesz, Leo, to nie działa.

– Wiem.

Upił kilka łyčzków ciepłej herbaty z dziurawca, po czym zapytał.

– Ale dlaczego?

– Pokażę ci.

Wyjęła z plecaka kołonotatnik i ogryzek ołówka, i starannie narysowała tabelę, w której porównała ich cechy charakteru, tak jakby ten związek był dającym się obliczyć równaniem matematycznym, diagramem, na którym wyraźnie widać wszystkie braki.

CLAUDIA

LEO

Uwielbia mięso z grilla

Wegetarianin

Chętnie spotyka się z innymi

Samotnik

Katoliczka (czasami)

Ateista (zawsze)

Uwielbia podróże

Nigdy nie opuszcza Södermalmu

Kocha zwierzęta (zwłaszcza psy)

Uczulony na sierść (zwłaszcza psią)

Często uprawia sport

Nienawidzi sportu

Chce nauczyć się chińskiego

Chce nauczyć się elfickiego

Uprawiając seks woli być na górze

Uprawiając seks też woli być na górze

Lubi Paulo Coelho

Nie chce przeczytać Alchemika

Należy do młodzieżówki socjaldemokracji

W wyborach dwa razy z rzędu oddał pusty głos

Leo bacznie przyglądał się tabeli, po czym wziął ołówek i dopisał w swojej kolumnie: *Kocha Claudię*. Ona od razu odebrała mu ołówek i zanotowała po swojej stronie: *Kocha Leo!!!*

– Ale to nie wystarczy – dodała stanowczo.

Delikatnie pogładziła go po policzku, po nieogolonej brodzie. A potem wyszła z cukierni i od tamtej pory się nie widzieli.

Było to piętnaście lat temu.

* * *

Teraz stała w progu antykwariatu, w wieczornym słońcu, przyglądając się Leo zmęczonym wzrokiem.

– Cześć – odpowiedział i zdjął z sekretarzyka bose nogi, a Claudia zamknęła za sobą drzwi. Patrzyła na rzędy regałów wypełniające sklep, na woskowane brzozone półki uginające się pod ciężarem tysięcy książek.

– Wreszcie mogę zobaczyć twój słynny antykwariat, zastanawiałam się, jak wygląda.

– Aha, wiedziałaś, że prowadzę antykwariat?

– Czasem korzystam z Google'a.

Rozejrzawszy się uważnie, stwierdziła, że Leo jest sam.

– Musimy porozmawiać.

– Jasne. Wejdź, Claudia, zapraszam.

Rękawy jego koszuli zafalowały, gdy zamaszystym gestem wskazał na ceramiczny imbryk marki Höganäs, stojący we wnęcie okiennej.

– Napijesz się herbaty?

Nerwowo potrząsnęła głową.

– Może coś zjesz? Powinienem mieć jeszcze chleb z orzechami włoskimi.

– Sorry, ale strasznie się spieszę.

Leo starał się ukryć rozczarowanie, odgryzając spory kęs kanapki z serem.

– No więc – powiedział z pełnymi ustami – o czym chcesz rozmawiać?

– Pewnie słyszałeś, że zamordowano pięcioro członków Akademii?

Pytanie zdumiało go.

– Tak... oczywiście. A co?

– Prowadzę w tej sprawie dochodzenie, właśnie dlatego przyszłam.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie w milczeniu, potem Claudia wyjaśniła:

– Jestem śledczym w biurze kryminalnym Komendy Głównej, potrzebujemy eksperta w dziedzinie literatury. Kogoś, kto wie wszystko o Akademii Szwedzkiej, o jej członkach, o ich książkach. Co ty na to, Leo, pomożesz nam?

Powoli przesunął dłoń po włosach. Potem odpowiedział.

– Jasne, jasne. Oczywiście.

– Świetnie!

Claudia podeszła do drzwi, odwróciła szyld z napisem *Otwarte* i przekręciła klucz w zamku.

– Te morderstwa nie są przypadkowe. Sprawca ma motyw, jestem o tym przekonana. Coś popycha go do działania. Tylko dlaczego ktoś chciałby zabić członków Akademii Szwedzkiej? Jesteś w stanie wyobrazić sobie jakiś powód?

Leo zagryzł wargę, zaczął powoli chodzić w tę i w tę między regałami,

między zakurzonymi stosami wydań kieszonkowych i miesięczników.

– Powód – mrucał pod nosem – powód, dla którego ktoś zabija członków Akademii Szwedzkiej.

Claudia przyglądała mu się niecierpliwie, śledziła każdy ruch, czekała.

Nic się nie zmieniło. Nic.

To chodzenie tam i z powrotem, mamrotanie, długa ciemnoblond grzywka, która ciągle wpadała mu do oczu, wszystko pozostało takie samo. Wreszcie Claudia podeszła bliżej.

– Czy Akademia wypowiadała się ostatnio w jakiejś kontrowersyjnej sprawie?

– Akademia nie wypowiada się w żadnych sprawach, a już na pewno nie w takich, które budzą kontrowersje.

– Czy któryś z członków opublikował artykuł, doprowadzając w ten sposób do sporu? Wygłosił komentarz? Może ktoś napisał książkę, która wywołała oburzenie?

– Ludzie ciągle się oburzają, ale nie było tak dużych kontrowersji, które...

– Jacy ludzie?

– To drobiazgi. Nic, co mogłoby mieć związek z zabójstwem pięciu...

– Leo, jakie drobiazgi?

– No, na przykład w latach 70. wielu przedstawicieli radykalnej lewicy krytykowało poezję Klasa Fahléna.

– Krytykowali? Ale jak?

– Uważali, że jego wiersze powinny podejmować ważne kwestie polityczne. Dlaczego pisał o rozgrzanych słońcem kamieniach nad jeziorem Vänern zamiast o bombach z napalmem zrzucanych przez Stany Zjednoczone w Północnym Wietnamie? Dlaczego pisał o wärmlandzkich lasach, a nie o tym, że w pucz Pinocheta zamieszane jest CIA? Raz aktywiści z KPML(r)¹⁹ obrzucili jego dom pod Filipstad pięćset czterema jajkami.

19) Szw. Kommunistiska Partiet Marxist-Leninisterna (revolutionärererna) – Komunistyczna Partia Marksistów-Leninistów (rewolucjonistów), dawna nazwa szwedzkiej Partii Lewicy (szw. Vänsterpartiet) (przyp. tłum.).

– Pięćset czterema?

– Tak. Każde jajko reprezentowało osobę zamordowaną w masakrze w My Lai. Ale to było jesienią siedemdziesiątego drugiego, nikt nie zajmował się tym od czterdziestu lat.

Claudia pokiwała głową, coraz bardziej zniecierpliwiona.

– No, dobra, ale może któryś z członków Akademii jest autorem kontrowersyjnych książek? Może opublikowano coś takiego niedawno?

– Poczekaj sekundę...

Wstał, po chwili zniknął gdzieś za regałami, jego bose stopy przesuwają się niemal bezszelestnie po dębowym parkiecie. Wrócił, niosąc stertę książek i starych czasopism. Położył je na podłodze, wzbijając obłok kurzu, który zaskrzył się w wieczornym świetle.

– Nie mam oczywiście wszystkiego, co wyszło spod pióra członków Akademii – powiedział. – Ale jest tu tego całkiem sporo.

Pośpieszenie obszedł antykwariat i, przemieszczając się od półki do półki, zebrał jeszcze kilkanaście publikacji. Wkrótce parkiet wokół sekretarzyka pokrył się tomikami poezji, zaczytanymi powieściami, esejami, rozprawami doktorskimi. Znow usiadł na krześle i wskazał na zasłaną drukami podłogę.

– Przejrzę to, na początek.

– Sporo do czytania.

– Nie przeszkadza mi to. Kto wie, może znajdę jakąś wskazówkę. Od czegoś trzeba zacząć, prawda?

– Kilka wskazówek już mamy. Trzech zabójstw dokonano w mieszkaniu Sixelena Hjärpego w Reimersholme, na pewno o tym słyszałeś.

– W radiu nie mówią o niczym innym. O tych morderstwach wie już chyba cały świat.

– Najprawdopodobniej, ale niewielu zna pewne niezwykle okoliczności.

– Jakie okoliczności?

– Sprawca nie zastrzelił Beatrice Elmsten, darował jej życie.

– Jak to?

– Tak. Poszedł do mieszkania Hjärpego. Było tam czworo członków Akademii: Orvar Scheele, Klas Fahlén, Beatrice Elmsten i oczywiście sam Hjärpe. Sprawca zastrzelił wszystkich mężczyzn, z zimną krwią, bez wahania. Zabił też psa przewodnika Elmsten, ale gdy ta błagała o litość, powiedział: *A dlaczego w ogóle miałbym pozbawiać cię życia? Nie musisz się niczego lękać, zapewniam.* I wyszedł.

Leo powoli powtórzył słowa zabójcy, szukał ukrytego znaczenia, jakiegoś przesłania.

– Leo, czy coś odróżnia Beatrice Elmsten od pozostałych członków Akademii?

– Tak, jest jeden szczegół.

– Co takiego?

– Pamiętasz sprawę Rushdiego?

– Pod koniec lat 80.?

– Dokładnie. Wtedy ajatollah Chomeini wydał fatwę na Salmana Rushdiego, taki religijny wyrok śmierci. Kilka tygodni później Beatrice Elmsten i Per Birkenfeldt zażądali, aby Akademia oficjalnie potępiła ten akt. Było to jesienią osiemdziesiątego dziewiątego, o ile dobrze pamiętam. Kiedy nie udało im się postawić na swoim, przestali uczestniczyć w działalności Akademii. Od tamtej pory Birkenfeldt

ani razu nie pojawił się w siedzibie tej instytucji, Elmsten natomiast powróciła w połowie lat 90.

Claudia wyjęła z kieszeni kurtki notes i szybko zanotowała kilka rzeczy, podkreśliła słowa *wyrok śmierci* i nazwisko *Per B.*

– No tak, wiem, że Birkenfeldt wystąpił z Akademii.

Słyszając to, Leo zdecydowanie potrząsnął głową.

– Ten, kto został wybrany na członka Akademii, nie może z niej wystąpić, nigdy. W Akademii zasiada się do śmierci.

– Do śmierci?

– Taa. Tak mówi statut spisany przez Gustawa III pod koniec XVIII wieku. Z Akademią można rozstać się tylko na dwa sposoby – trzeba zostać z niej wykluczonym albo umrzeć.

– A co się dzieje, kiedy któryś z członków umrze?

– Wtedy pozostali wybierają nową osobę, pisarza albo profesora z odpowiedniej dziedziny. Nowy członek Akademii zasiada na miejscu zmarłego.

– Wydaje się, że śmierć odgrywa ważną rolę w tej instytucji.

Chociaż byli sami w antykwariacie, Claudia ściszyła głos, wypowiadając kolejne słowa.

– Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Sixten Hjärpe znał sprawcę, co więcej, nienawidził go.

– Skąd to wiesz?

– Przed śmiercią Hjärpe z nim rozmawiał. Powiedział: *Zawsze tobą gardziłem, ty parszywy, zadufany w sobie sukinsynu.* Elmsten siedziała obok, oczywiście nic nie widziała, ale słyszała każde słowo.

Claudia chwyciła Leo za rękaw koszuli, tak, jakby siłą chciała wyciągnąć z niego odpowiedź.

– Komu Hjärpe mógł coś takiego powiedzieć? Miał jakiegoś wroga, nienawidził kogoś tak bardzo?

Leo rozważał ostatnie słowa słynnego pisarza, mamrotał je pod nosem.

– Sixten Hjärpe miał wielu przeciwników, pewnie setki. Ale był ktoś, kogo nienawidził najbardziej.

– Kto taki?

Leo odpowiedział z krzywym uśmiechem.

– Hubert Rudqvist. Ale ten przecież już nie żył, kiedy sprawca zastrzelił Hjärpego. To chyba niezłe alibi?

– Tak, jeśli ktoś nie żyje, to ma porządne alibi, ale niczego nie można być stuprocentowo pewnym.

Claudia zerknęła na wiszący na ceglanej ścianie pomarańczowy zegar z lat 70., wskazówka minutowa była złamana w połowie, cyfry tak wytarte, że ledwo można było je odczytać.

– Posłuchaj, Leo, przepraszam, że tak cię nachodzę znieczeka i w dodatku wciągam w dochodzenie w sprawie zabójstwa. Nie odzywałam się przez czternaście lat.

– Piętnaście – poprawił.

Oboje uśmiechnęli się przelotnie.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że przyszedłeś.

Chwyciła go za prawy przegub, mocno ścisnęła.

– Muszę lecieć. Ale jeśli znajdziesz coś ciekawego o Akademii albo o jej członkach, dzwoń natychmiast. O każdej porze.

– Dobra, zadzwonię.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Miło było cię zobaczyć, Claudia.

– Ciebie też.

– Następnym razem może napijemy się herbaty?

– Może.

Położyła na blacie sekretarzyka wizytówkę i wyszła, nie mówiąc do widzenia, nie machając na pożegnanie, tak samo jak przed piętnastu laty.

– Nigdy się nie żegna – wyszeptał Leo do siebie.

Podszedł do okna wystawowego, patrzył za biegnącą truchtem Claudią, jak wsiada na srebrno-czarny motocykl, nabiera prędkości i znika za rogiem, jadąc w dół Östgötagatan, rozżarzoną do czerwoności w promieniach zachodzącego słońca. Po chwili wrócił do sekretarzyka, usiadł na krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Upił duży łyk chłodnej już herbaty, podniósł z podłogi sfatygowaną książkę, otworzył ją na chybił trafił i zaczął czytać.

* * *

Werner Stolte stał na środku podziemnego pomieszczenia. Nad jego głową wisiał żyrandol, w mroku ledwo było widać czarne żeliwo, wydawało się, że świece unoszą się w powietrzu. Płomienie drgały w przeciągu, cienie odprawiały dzikie tańce na granitowych ścianach.

Ostrożnie trzymał w dłoniach arkusz papieru, na wpół przedarty i bardzo zniszczony. Trudno było odczytać niestaranny charakter pisma, nakreślone atramentem linijki wiły się niczym oszalały padalec, ale Stolte znał każdą literę, każdy znak przestankowy, już jako dziesięciolatek nauczył się na pamięć tych pożegnalnych słów.

Wtedy, przeszło siedemdziesiąt lat temu, ojciec i dziadek stali u jego boku w piwnicznym pokoju, uważnie słuchając. Od tamtej pory wielokrotnie rozważał treść rękopisu.

Powoli ogarnął wzrokiem zgromadzone przedmioty, setki listów i manuskryptów przechowywanych w gablotach i archiwach. Wiele z nich mogło kosztować

wać majątek, poszukiwali ich badacze i kolekcjonerzy z całego świata, lecz najcenniejszy był zniszczony arkusz w rękach Stoltego.

Starsze teksty, spisane w drugiej połowie XIX wieku, zachowały się w znakomitym stanie, lecz ten dokument pochodził z drugiej dekady XX wieku, sporządzono go na papierze czerpanym z manufaktury Lessebo w południowo-wschodniej Smålandii. Jego lniane włókna nadtrawił atrament żelazowo-galusowy, papier zaczął się stopniowo utleniać wokół liter i z każdym rokiem stawał się coraz bardziej kruchy. Starzeli się razem, Werner Stolte i ów manuskrypt, a wkrótce ich czas miał się skończyć. Stolte po raz ostatni spojrzął na dokument, po czym odłożył go do gabloty wyściełanej karminowoczerwonym jedwabiem.

Za Stoltem, w wytartych fotelach z koziej skóry, siedzieli kobieta i mężczyzna, którzy dzielili z nim tajemnice i przyrzeczenia. Strach i bezsenne noce odciśnęły piętno na ich twarzach.

Przed nimi, na stole z drewna tekowego, leżały dzienniki, gazety z wielu krajów – wszystkie relacjonowały szaleńczą serię zabójstw dokonanych ostatniej doby. Stała tam również piersiówka, połyskująca złotą czerwienią w blasku kominika. Była wykonana z mosiądzu, a na wąskiej szyjce widniały wygrawerowane litery, subtelne inicjały: *J.A.*

Mężczyzna w fotelu wpatrywał się uporczywie w buteleczkę.

– Chyba już po wszystkim? Nie sądzicie?

Pytanie zawisło w powietrzu, wypełniło pomieszczenie, wciskało się w każdy kąt, lecz pozostało bez odpowiedzi. Wreszcie mężczyzna oderwał wzrok od piersiówki i zwrócił się w stronę ciemnoszarej sylwetki Stoltego.

– Policja oczywiście nie zna wszystkich okoliczności, ale chyba wie wystarczająco dużo. Teraz wszystko się zakończy, jestem o tym przekonany.

Z ust Stoltego wydobyło się ciężkie westchnienie.

– Nie wiem, przyjacielu. Nie wiem.

– Członkowie Akademii znajdują się pod ochroną, on już do nich nie dotrze, to niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe – odpowiedział Stolte.

Wtedy kobieta, wychyliwszy się z fotela, chwyciła bezsilną dłoń Stoltego.

– Werner, znam go równie dobrze jak ty i jedno nie ulega wątpliwości, on nie jest mordercą, w głębi duszy na pewno nie, nie jest tego rodzaju człowiekiem.

Stolte ze smutkiem pokiwał głową.

– To prawda, nie ma duszy i usposobienia mordercy, przyznaję ci całkowitą rację.

A po chwili dodał:

– Ale pozbawił życia pięć osób. I – niech Bóg broni – ofiar może być więcej.

1940 – 1943

Nie przyznano Nagrody Nobla

16 maja 2012

Per Birkenfeldt trzymał młynek do kawy, dłonie mocno ścisnęły urządzenie z emaliowanego metalu. Stanowczymi ruchami kręcił korbką, a po kuchni rozchodził się przyjemny zapach mielonych ziaren.

Co jakiś czas wyglądał przez szprosowe okno. Na zewnątrz widać było dwóch agentów ochrony z SÄPO, ich sylwetki odznaczały się na tle ogrodzenia niczym postaci z teatru cieni. Przed głównym wejściem do katedry, pod bramą z lwami, stała grupa policjantów, ciemne mundury przebijały zza gęstwiny krzewów. Kazał im odejść, wynieść się, gdzie pieprz rośnie, ale oni wciąż snuli się jak zjawy wokół jego czerwonego drewnianego domu. Cały czas słychać było odgłos ich kroków na wybrukowanej ulicy, zwięzłe rozmowy dobiegające zza rogu.

Kiedy ziarna zmeły się na odpowiednią grubość, Birkenfeldt odstawił młynek i sprawnie zaparzył kawę. Wreszcie napełnił dwa ceramiczne kubki, do jednego dodając odrobinę mleka.

– Proszę, Agnes.

Przy stole siedziała jego żona i w milczeniu patrzyła na kubek. Przez cały ranek nie odezwała się ani słowem, nawet nie odwzajemniła spojrzenia. Teraz podniosła wzrok i wróciła do dyskusji, którą poprzedniego dnia prowadzili nieprzerwanie do późna w nocy.

– Per, posłuchaj mnie uważnie, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Jakiś szaleniec zastrzelił pięcioro twoich przyjaciół, a ty...

– To nie byli moi przyjaciele, dobrze o tym wiesz.

– Ale teraz nie żyją, temu nie zaprzeczysz. Ktoś ich zastrzelił, a jeśli nie posłuchasz rad policji...

– To w ogóle nie wchodzi w grę. Nie pozwolę, by ktoś za mnie decydował, nieważne, czy to policja, czy jakiś szaleniec. I nie chcę na ten temat słyszeć ani słowa więcej.

– Ale możesz chyba...

– Ani słowa, Agnes! Ani słowa, do cholery!

W oczach Birkenfeldta błyszczała wściekłość, żyły na jego karku nabrzmiały. Na chwilę zamknął oczy, po czym usiadł przy stole naprzeciw żony. Ostrożnie podniósł kubek do ust, poczuł na języku gorzki smak kawy. W jego spojrzeniu stopniowo znów pojawił się spokój, wściekłość, która przed chwilą nim owładnęła,

zniknęła bezpowrotnie, głos zabrzmiał niemal czule.

– Agnes, pij, póki gorąca, letniej kawy nie da się przełknąć.

Ukroił kilka grubych kromek chleba, jedną posmarował domową marmoladą porzeczkową i ugryzł spory kęs.

– To będzie dobry sezon na owoce – powiedział z pełnymi ustami. – Tak mówiła ta urocza pulchna dziewczuszka w sklepie, wiesz, która.

Potem wyjrzał przez okno, ominął wzrokiem pilnujących domu policjantów i krzewy bzu, spoglądając dalej. Ten widok towarzyszył mu od dzieciństwa, wprawdzie pojawiło się kilka anten telewizyjnych, ale poza tym nic nie zmieniło się od początku lat 40. Ponad szczytami dachów widać było katedrę, jej iglica odcinała się od czystego porannego nieba.

– Tego lata pewnie wypełnimy całą zamrażarkę brusznicami i porzeczkami, jak myślisz?

W tym samym momencie na jego klatce piersiowej pojawił się punkt, małe kółko o średnicy ledwie centymetra. Drgało i połyskiwało czerwonym blaskiem, przemieściło się szybko wzdłuż krtani i nosa, i zatrzymało na czole. Kiedy żona Birkenfeldta je zauważyła, chciała krzyknąć, lecz nie zdążyła.

Pocisk grzybujący przebił szprosowe okno i wwiertł się w kość czołową mężczyzny, potężna siła odrzuciła jego głowę do tyłu w deszczu odłamków szkła i drzazg, potem tułów opadł na blat. Gdy kobieta wreszcie wydobyła z siebie krzyk, stół zalala już kałuża krwi i limfy, a oczy męża wpatrywały się w nią martwo.

Kilka sekund później dwóch agentów SÄPO sforsowało zaryglowane drzwi i wpadło do kuchni. Z pistoletami automatycznymi w rękach rzucili się na podłogę przy wnęcie okiennej i ściągnęli znieruchomiałe ciało Birkenfeldta ze stołu. Jeden przycisnął palec wskazujący do szyi literaturoznawcy, daremnie szukając oznak życia. Drugi chwycił żonę Birkenfeldta i zepchnął ją na podłogę, pod zlewozmywak, następnie, skulony, wyjrzał przez okno w północno-zachodnim kierunku, ku katedrze i dębom po drugiej stronie podwórka.

– Strzelec musi być gdzieś na gorze! Biegnijcie! Szybko, do cholery!

Agenci ochrony i policjanci przed willą ruszyli natychmiast w stronę wskazaną przez dowódcę, przez podwórko, między drewnianymi domkami, obok zdziuczonych dębów. Dotarli do budynku parafialnego u stóp wzniesienia Kyrkberget i zobaczyli białe ściany ze szlaki, szeroko otwarte okno na poddaszu, a we wnęcie wyraźnie widoczną przednią część lufy.

Dowódca wydał pozostałym bezgłośnie komendy, wskazał, jakie mają zająć pozycje, następnie wycelował w okno siga 552.

– Służby bezpieczeństwa! Odłóż broń! Stań w oknie i pokaż ręce!

Odpowiedziała mu cisza, słychać było tylko szelest koron drzew i ciężkie oddechy policjantów. Dowódca powtórzył rozkaz, tym razem głośniejszym, lecz broń w oknie nie poruszyła się, we wnęcie nikt się nie pokazał, nikt nie odpowiedział na

wołanie. Wtedy agent wezwał do siebie trzech funkcjonariuszy. W równych odstępach, formując kwadrat, podbiegli do miedzianobrazowych drzwi, które, po naciśnięciu klamki, otworzyły się powoli. Odbezpieczyli karabiny i ostrożnie wślizgnęli się do środka, ruszyli przez mroczny przedsionek i na górę po schodach, drewniane stopnie skrzypiały pod ich ciężarem.

Na podłużnym, ciemnym poddaszu zobaczyli czworo drzwi – od północy, południa, wschodu i zachodu, te w szczycie budynku, w głębi, były lekko uchylone, przez szparę sączyło się światło słoneczne. Agenci zbliżyli się do pomieszczenia, każdy ze wzrokiem skierowanym w jedno z czworga wejść i z wycelowaną bronią. Dwóch funkcjonariuszy stanęło po bokach, a pozostali, z karabinami gotowymi do strzału, sforsowali drewniane drzwi.

Automatycznie wykrzyczeli komendy, ale pokój był pusty, wewnątrz zobaczyli tylko statyw z zamontowaną bronią snajperską.

* * *

Niecałe trzy kwadransy później nad jeziorem Mälaren rozległo się dudnienie silnika. Helikopter EC 135 przelatywał nad spienionymi wodami Ulvhällsfjärden, a potem tuż nad dachami centrum Strängnäs, okrążył iglicę katedry i wylądował po południowo-wschodniej stronie Kyrkberget.

Otworzyły się drzwi i z helikoptera wyskoczyła Claudia. Podszedł do niej Jan Magnusson, dowódca oddziału ochrony SÄPO. Pochylili się pod obracającymi się ze świstem śmigłami, szybkim krokiem przeszli przez trawnik i minęli bramę z lwami prowadzącą do katedry. Po pięćdziesięciu metrach Claudia przyłożyła prawą dłoń do ust i zawołała, przekrzykując dudnienie silnika.

– Macie go?

Magnusson rozczarowany potrząsnął głową. Plamy krwi Birkenfeldta na jego lewym rękawie jeszcze nie wyschły.

– Wezwaliśmy wszystkie oddziały policji z okręgu Södermanland – zawołał w odpowiedzi. – Przeczesaują centrum Strängnäs i obserwują najbliższą okolicę. Na E20 zdążyliśmy ustawić kilka blokad w obu kierunkach i jeszcze dwie na krajowej pięćdziesiątce piątce: jedną na moście Hjulstabron, na północ od Märsön, a drugą na skrzyżowaniu w Malmköping.

Claudia znieczepiona skinęła głową, знаła już te szczegóły.

– Strzelec zostawił jakieś ślady?

– Nie.

– Zupełnie nic?

– Zostawił broń snajperską, karabin PSG 90 z celownikiem laserowym i wyposażeniem. To wszystko.

Przecięli Gyllenhjelmstgatan i podążyli przez późnośredniowieczny plac. Z oddali słyszeli gorączkowe okrzyki, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej, w dół bru-

kowanej uliczki, zobaczyli zbiegowisko, na ulicy stały radiowozy i policjanci.

– To dom Birkenfeldta – powiedział Magnusson wskazując na czerwony drewniany budynek.

Minęli katedrę i stare kwartały, brukowana uliczka wiała się między gęstwiną krzaków a siedemnastowiecznymi domkami z dębowego drewna. Wreszcie zatrzymali się pod białą fasadą budynku parafialnego. Claudia spojrzała na południowy wschód, w stronę domu członka Akademii.

– Nie da się stąd trafić, to niemożliwe.

– Niemożliwe.

– Nie ma wolnego pola widzenia.

– Nie ma...

– Jak on, do cholery, zdołał zastrzelić Birkenfeldta?

– Musisz zobaczyć to na własne oczy, wtedy zrozumiesz.

Weszli do środka i potem na górę, po drewnianych schodach, skinieniem głowy przywitali się z funkcjonariuszami stojącymi w ciemnym korytarzu. Claudia wkroczyła do pomieszczenia na poddaszu i rozejrzała się. Poza bronią na statywie było tam zupełnie pusto. Na podłodze zmurszałe deski, nadpleśniałe aksamitne tapety na ścianach, unoszący się w pokoju zapach zgnilizny drażnił nozdrza. Pajęczyny, martwe owady i szcurze odchody w każdym kącie. W głębi z podłogi wyjęto kilka desek i odłożono na bok, wewnątrz drewnianej konstrukcji budynku był schowek; Magnusson wskazał na ów podłużny wąski otwór.

– Za wcześnie, żeby to potwierdzić, ale niewątpliwie wygląda to na tajną skrytkę. Ma odpowiednie wymiary, aby pomieścić karabin snajperski. Można chyba założyć, że sprawca przechował tutaj broń. Znaleźliśmy tabelę balistyczną, zapasowy celownik i trzy magazynki z amunicją 7.62 milimetra, pociski grzybkujące.

– Takim wyposażeniem dysponuje morski pluton strzelców, zgadza się? Grupa snajperska.

Magnusson odpowiedział skinieniem głowy.

– Tak więc sprawca wymienił rewolwer czarnoprochowy na jeden z najnowocześniejszych na świecie karabinów snajperskich?

– Na to wygląda – potwierdził Magnusson. – Wydaje się, że ma też inne umiejętności.

– Co masz na myśli?

Magnusson poprowadził Claudię do okna i podał jej lornetkę.

– Spójrz na to – powiedział, wskazując na południowy wschód.

Chwyciła lornetkę i wyjrzała przez wąskie okienko. Podczas półgodzinnego lotu helikopterem zastanawiała się, jak to możliwe, że taki doświadczony agent ochrony jak Magnusson nie dopilnował podstawowej rzeczy – okna, z którego jest otwarty widok na kuchnię ochranianej osoby. Teraz wszystko stało się jasne.

Rany boskie!

Na podwórku przed budynkiem rósł dąb, jego korona całkowicie zasłaniała widok z okna na poddaszu, ale konary w środkowej części zostały dokładnie oczyszczone, gałązki odłamane, liście usunięte. W gęstwinie powstała w ten sposób niemal niezauważalna luka.

Za dębem, dobre sto metrów w dół zbocza, między dachami i murowanymi kominami, majaczyło okno kuchni Pera Birkenfeldta.

Claudia ledwie zdołała wydusić z siebie słowa.

– Przecież... to idealne miejsce dla snajpera.

Magnusson spojrział zrezygowany w tym samym kierunku.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi, trzy szybkie uderzenia. Odwróciwszy się, Claudia zobaczyła w wąskim wejściu dwie osoby: komendanta policji w Strängnäs i kobietę w wieku około sześćdziesięciu lat. Twarz miała spuchniętą od płaczu i pomazaną tuszem do rzęs.

– To Britta Åhman – wyjaśnił komendant. – Jest organistką w katedrze i właścicielką tego budynku.

Kobieta podeszła chwiejnym krokiem do Claudii.

– Czy... czy to prawda? Zastrzelono Pera? On... nie żyje?

– Niestety tak.

– Zналиśmy się. Razem chodziliśmy do szkoły, przy Sörgärdet i...

Komendant położył prawą dłoń na ramieniu kobiety i przerwał jej delikatnie.

– Britto, rozumiem, że jesteś zrozpaczona, ale mieliśmy powiedzieć coś ważnego, pamiętasz?

Kiwnęła głową, ale kiedy otworzyła usta, wydobył się z nich tylko cichy, żaloszny jęk. Komendant poklepał ją łagodnie po ramieniu, po czym zwrócił się do Claudii.

– No, więc rozmawiałem właśnie z Brittą, która przekazała mi niezwykle ciekawą informację. Mianowicie od pewnego czasu to pomieszczenie na poddaszu wynajmował pewien mężczyzna.

Claudia rzuciła się w stronę kobiety i złapała ją mocno za rękę.

– Kto wynajmował pokój? Jak się nazywa? Jak wygląda?

– Ja... naprawdę nie wiem. Nigdy go nie spotkałam.

– Wynajmował od pani pokój, a pani nigdy go nie widziała? Ani razu?

Britta Åhman potrząsnęła głową i rękawem płaszcza otarła łzy.

– Ale pewnie rozmawialiście?

– Tak, raz. Kiedy zadzwonił w sprawie ogłoszenia.

Nie odrywając wzroku od zapłakanej kobiety, Claudia skinęła zniecierpliwiona, czekała na dalszy ciąg.

– Bardzo długo próbowaliśmy wynająć ten pokój, ja i mój syn – Britta Åh-

man odezwała się wreszcie. – Ale był w tak kiepskim stanie, że nikt się nim nie zainteresował. Ciągłe zamieszczaliśmy ogłoszenia w Eskilstuna-Kuriren, bez skutku. A ten mężczyzna nawet nie chciał obejrzyć pomieszczenia, zależało mu na wynajmie, bez względu na to, jaki jest jego stan, za każdą cenę.

– Nie ma pani umowy?

Kobieta poruszyła się nerwowo i zerknęła na komendanta.

– Mieliśmy ustną umowę. Chciał wynająć pokój, nam też na tym zależało.

– Ale chyba musi pani mieć jakieś jego dane? Numer telefonu? Adres? Przecież komunikowaliście się w jakiś sposób.

– Nie, nic z tych rzeczy, w tej kwestii wyraził się jasno. Jeśli chciałam mu coś przekazać albo przypomnieć o czynszu, miałam wsunąć kartkę przez szparę pod drzwiami.

– A jak płacił?

– Co miesiąc, każdego pierwszego dnia rano, w mojej skrzynce na listy była brązowa koperta z odliczoną kwotą, równe dwa tysiące koron.

– Nie było na kopercie adresu nadawcy, nazwiska? Znaczka? Stempla pocztowego?

– Nie.

– Ten mężczyzna wydaje się bardzo tajemniczy, niczego pani nie podejrzewała?

Britta Åhman zaczerwieniła się na twarzy, wbiła wzrok w podłogę.

– Myślałam, że wykorzystywał pokój na... wie pani... miłosne schadzki.

Claudia skinęła głową, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

– Rozumiem, dziękuję za pomoc.

Britta Åhman powiedziała coś jeszcze, ale jej słowa zginęły wśród ocierania łez i manipulowania chusteczką. Wydmuchała nos dwa razy, po czym powoli ruszyła do drzwi.

– Chwileczkę!

W pokoju rozległ się głos Claudii, która podbiegła do kobiety.

– Od kiedy ten mężczyzna wynajmował pomieszczenie?

– Oj, trudno powiedzieć. Musiałabym sprawdzić w swoich papierach, żeby podać dokładną datę.

– Ale tak mniej więcej. Od tygodnia? Miesiąca? Dwóch?

– Nie, nie, to będzie o wiele dłużej – odpowiedziała Britta Åhman zdecydowanie. – Wydaje mi się, że jakieś pięć lat.

Pięć lat.

Jej słowa były dla Claudii jak cios pięścią w brzuch – aż nie mogła złapać tchu. Wstrząśnięta spojrzała ponad dachami na przestrzeloną szybę w oknie domu Pera Birkenfeldta. Po plecach przeszły jej ciarki.

Morderca planował to od pięciu lat.

*Wszystko jest przemyślane.
Wszystko może się wydarzyć.*

Imre Kertész

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 2002 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za dzieło, które przeciwstawia kruchą egzystencję jednostki despotycznemu barbarzyństwu historii”

16 maja 2012

Ogłuszający łoskot śmigieł helikoptera otoczył Claudię szczelnie niczym mur. Pilot odwrócił się do niej i coś powiedział, ale słowa nie przedarły się przez warkot silnika. Lecieli nad Sztokholmem, popołudniowe słońce wpadało przez szybę do ciasnej kabiny. Wyglądając, musiała zasłaniać oczy. Zatoki jeziora Mälaren wiły się wśród wysp niczym żyły w ogromnym cieple.

Osiemdziesiąt metrów pod nimi cień helikoptera przesuwiał się przez park Rålambshov po bladych trawnikach, po karoserii samochodu, który czekał na Claudię. Maszyna zataczała szerokie kręgi, następnie zniżyła lot nad zieleniejącym zbożem. Kiedy tylko śmigłowiec dotknął ziemi, Claudia otworzyła drzwi, wyskoczyła i pochyłona podbiegła do szarosrebrnego volvo. Okazało się, że za kierownicą siedzi szef biura kryminalnego Komendy Głównej.

– Co tu robisz? Zdegradowali cię do stanowiska szofera?

– Musiałem uciec z tego domu wariatów – wyjaśnił Birger Sjölin. – Gdybyś siedziała dwie godziny na spotkaniu z Jeglertzem, zrobiłabyś to samo.

– Pewnie tak – odpowiedziała i usiadła obok.

Sjölin uruchomił silnik i ruszył zakurzoną parkową drogą, potem dalej, do centrum dzielnicy Kungsholmen.

– Claudia, mów, co u ciebie.

Odpowiedziała tylko wzruszeniem ramion.

– Chyba nie spałaś już ze trzy doby?

– Ty też nie.

– Mam małe dzieci – powiedział z uśmiechem Sjölin. – Nie śpię wcale.

Claudia nie odwzajemniła uśmiechu, gapiała się przez okno, myślami wciąż jeszcze była w Strängnäs.

– Nie pojmuję, jak ten sukinsyn to zrobił. Nie powinien w ogóle móc się stamtąd wydostać.

– Wiem.

– Birger, to przecież, kurczę, niemożliwe.

– Zgadza się.

Zamknęła oczy na kilka sekund, w ciemności pod powiekami zobaczyła biały budynek, zbitą szybę w oknie kuchennym, broń snajperską.

– W sąsiedztwie domu Birkenfeldta rozmieściliśmy ponad trzydzieścioro ludzi. Nawet mucha nie prześlizgnęłaby się niezauważona.

Z wściekłości walnęła pięścią w deskę rozdzielczą.

– Niech to szlag! Rozstawiliśmy blokady w całej dolinie Mälaren! Technicy i ludzie z psami wykrywającymi broń przeszukali każdy pojazd w okręgu Södermanland, każdy motocykl z przyczepką, sprawdzono wszystkich pełnoletnich mężczyzn pod kątem śladów prochu. Zatrzymano ruch na linii kolejowej Svealandsbanan, autobusy międzymiastowe. To, do cholery, największa akcja w historii szwedzkiej policji.

Sjölin skinął głową. Skręcił w prawo, na bulwar Norr Mälarstrand.

– Mimo to sprawca się wymknął.

– Tak. Mimo to.

Claudia patrzyła na wody Riddarfjärden, śledziła wzrokiem spienioną falę, aż ta uderzyła o nabrzeże.

– Pięć lat, Birger. Planował to pięć pieprzonych lat, niczego nie pozostawił przypadkowi. Technicy sprawdzili proszkiem magnetycznym każdy przedmiot w tym pokoju na poddaszu. Kolbę karabinu, futrynę okna, celownik laserowy, wszystko. Ani jednego odcisku palca, wszystko perfekcyjnie wyczyszczone. Nawet na sprężynie powrotnej były ślady środka czyszczącego.

Wyczerpana oparła się o zagłówek.

– Szkoda, kurde, że nie widziałeś tego dębu. Otwór prowadzi przez całą szerokość korony, idealnie prosto, widać go jedynie z okna na poddaszu. Pod żadnym innym kątem.

– Tak, sukinsyn jest dokładny, nie tylko w kwestii dębów i sprężyn.

– Co masz na myśli?

– Pięć lat temu zadzwonił do Britty Åhman, żeby wynająć pokój...

– Wiem.

– Ale nie wiesz, że namierzyliśmy tę rozmowę.

Gwałtownie poderwała się z oparcia.

– Skąd dzwonił? Z prywatnego numeru?

– Wybrał automat na stacji metra w centrum, dzwonił z tego długiego korytarza podziemnego między niebieską linią a wyjściem na Bryggargatan.

– Musi tam być monitoring. Kontaktowaliście się z firmą ochroniarską?

– Tak.

– No i?

Samochód zahamował gwałtownie przy wschodnim skraju parku Kronoberg.

Wysiedli i skierowali się do wejścia służbowego od Polhemsgatan, Sjölin kontynuował:

– W kwietniu 2007 roku na terenie stacji było dwanaście automatów. Jedenaście w zasięgu kamer obsługiwanych przez firmę Panaxia Security, dwunasty za wielkim betonowym filarem. Zgadnij, z którego dzwonił sprawca?

– Z tego ostatniego.

– Tak, to raczej nie przypadek.

– No nie.

Claudia otworzyła drzwi wejściowe, przeszła po granitowej podłodze holu i skierowała się w głąb labiryntu korytarzy, a za nią, oddychając ciężko, podążał Sjölin.

– Schodami czy windą?

– Schodami – odpowiedziała, poklepując go po brzuchu. – Musisz się więcej ruszać.

Otworzyła stalowe drzwi po lewej i zaczęła wspinać się po wąskich schodach przeciwpożarowych, pokonując po dwa stopnie naraz.

– Coś nowego w sprawie Wilhelmssona?

Kilka stopni niżej, zdyszany Sjölin odpowiedział:

– Sześć dni temu zapłacił kartą na stacji benzynowej w Bispgården.

– Bispgården? To przecież kilometr, może dwa od jego domu, zgadza się?

– Tak, kupił dwadzieścia dziewięć opakowań suchej żywności i osiemdziesiąt litrów benzyny, to ostatni ślad, jaki mamy.

– Na osiemdziesięciu litrach zajedzie daleko.

– Tak.

– Kurde, może być gdziekolwiek, w Österlen na południu kraju albo w północno-zachodniej Finlandii.

– Albo na norweskim wybrzeżu – dodał zdyszany Sjölin. – Albo w Dolnej Saksonii, w Niemczech, bywał tam wcześniej.

Zrezygnowana Claudia uderzyła dłonią w poręcz, nie zatrzymując się, szła dalej oszkloną klatką schodową.

– Dwadzieścia dziewięć opakowań? – zapytała.

– Tak.

– Planuje długą wędrowkę.

– Na to wygląda.

– Jakież wieści od sił specjalnych?

– Helikoptery przeczesują tereny, po których wcześniej wędrował, ale jest jeden poważny problem.

– Niby jaki?

– Wilhelmsson.

Przystanęła gwałtownie, wbiła wzrok w Sjölina, który zbliżał się do niej

w słonecznym blasku, zalewającym klatkę schodową.

– Co masz na myśli, do cholery?
– Wyrusza na te swoje wędrówki, żeby zażyć samotności, żeby nie spotykać, jak wyraziły się jego siostry, tych wszystkich popaprzanych ludzi.

– Czyli szukamy osoby, która nie chce zostać znaleziona.
– Siostry Wilhelmssona twierdzą, że to prawdziwy ekspert, jeśli chodzi o przetrwanie w terenie, i do tego samotnik. Wystarczy najmniejszy ślad ludzkiej obecności, żeby ruszył w przeciwnym kierunku. Zobaczy śmigłowiec patrolowy, to pewnie wykorzysta swoje umiejętności kamuflażu i upodobni do jałowca albo czegoś innego.

– Pieprzeni pisarze.

– Lepiej bym tego nie ujął.

Claudia miała czoło mokre od potu, kiedy wreszcie otworzyła drzwi na siódmym piętrze i pośpiesznie skierowała się ku pomieszczeniom zajmowanym przez grupę dochodzeniowo-śledczą. Przeszła przez zatłoczony, pogrążony w chaosie *open space*, precyzyjnie zaaranżowanych biurek i współpracowników z Komendy Głównej.

W przedniej części sali znajdowały się cztery telewizory. Telewizja szwedzka, CNN, Deutsche Welle i francuska TV5 nadawały bez przerwy relacje o szalonym mordercy ze Szwecji. Na jednym z płaskich ekranów Claudia zobaczyła kwartał starych mieszczańskich domów w Strängnäs, gdzie była czterdzieści minut temu.

Zatrzymała się przy zawalonym biurku Fridy Zetterlund, w głębi pomieszczenia. Kierownik sztabu Okręgowej Komendy Policji prowadziła jednocześnie dwie rozmowy telefoniczne na osobnych aparatach, lecz widząc Claudię, rozłączyła się.

– Jakież wieści ze Strängnäs?

Claudia potrząsnęła głową.

– A tutaj? Nie znaleźliście przypadkiem Wilhelmssona odpoczywającego na jakiejś ławce w parku Haga?

– Tego człowieka po prostu nie da się znaleźć – odpowiedziała Zetterlund zrezygnowana. – Równie dobrze moglibyśmy szukać potwora z Loch Ness.

– Przesłuchanie sióstr coś wniosło?

– Nie.

– Inni krewni?

– Nikt, kurde, nic nie wie.

Ściszywszy nieco głos, Zetterlund dodała:

– Od kilku godzin rozmawiamy z jego kuzynem. Nazywa się Holger Pärsson, niezły dziwak zresztą. Zjadł chyba wszystkie ciastka, jakie mieliśmy na komendzie...

– Jego kuzyn tu jest? W budynku?
– Tak, siedzi sobie w aneksie kuchennym i wcina ciacha z marmoladą malinową...

– Idę z nim porozmawiać.
– Claudia, ludzie od przesłuchań gadali z nim już dwa razy, a zaraz będzie też behawiorysta...

Głos Zetterlund rozpląnął się w gwarze – Claudia zdążyła już szybkim krokiem przebiec przez salę, wypadła na korytarz i skierowała się do niewielkiego aneksu. Przy składanym stoliku, pokrytym okruchami i papierowymi foremkami po ciastkach, siedział niski, przygarbiony mężczyzna po sześćdziesiątce.

Claudia podeszła, usiadła i podała mu rękę.

– Claudia Rodriguez, śledcza z biura kryminalnego Komendy Głównej.

Dłoń mężczyzny była ciepła i wilgotna. Przelotnie spojrzął jej w oczy, ale nie odezwał się.

– Pan nazywa się Holger Pärsson, prawda? Jest pan kuzynem Sigurda Wilhelmssona?

– Trzy godziny – odpowiedział. – Siedzę tu od trzech godzin.

Spojrzał na gładki kulisty klosz lampy na suficie, potem na okap nad kuchenką.

– Najpierw rozmawiałem z kobietą, przedstawiła się chyba jako prowadząca przesłuchanie. Potem rozmawiałem z mężczyzną, który zadawał te same pytania i to samo mu odpowiedziałem. A teraz jeszcze pani chce ze mną rozmawiać. Policji wydaje się, że ja nie mam co robić?

– To nie jest zwykły dzień.

– No, można tak powiedzieć.

Sięgnęła do termosu na stole i napełniła po brzegi bladoszary kubek.

– Napije się pan jeszcze kawy? Może doleję?

– Dostałem już kawę. Sam nie wiem, ile jej wypilem. No, niech pani pyta.

Claudia powoli podniosła kubek do ust, upiła łyk gorzkiej, prawie zimnej kawy. Czekwała, starała się spojrzeć Pärssonowi w oczy, ale jego wzrok wciąż dokądś wędrował.

– Wiem, że zadano panu to pytanie już wiele razy, ale muszę od niego zacząć. Czy może orientuje się pan, gdzie przebywa Sigurd Wilhelmsson?

– Jak już mówiłem pani kolegom, tej kobiecie, a potem mężczyźnie, Sigurd może być gdziekolwiek.

– Bardzo dobrze pan go zna, prawda? O ile wiem, od dzieciństwa macie bliiski kontakt.

– Zgadza się. Jesteśmy rówieśnikami, więc razem szliśmy przez życie. Jedna klasa w szkole w Bispgården, jedna drużyna piłki nożnej. Ale Sigurd nie nadawał się do piłki, ciągnęło go bardziej w dzikie okolice.

– Tak, wiemy już, że jest pasjonatem przyrody. Ale jak wybiera trasy swoich wędrówek? Mówił kiedyś coś na ten temat?

– Sigurd niewiele mówi. Odzywa się tylko, gdy chodzi o wędkowanie albo myślistwo. *Ile ważył pstrąg?* – mógłby na przykład zapytać. Albo czy ktoś widział ślady niedźwiedzia na Stor-Lövberget – o tym mógłby rozprawiać godzinami. Na inne tematy się nie wypowiada.

Nagle Pärsson przechylił się nad stołem i spojrzał na Claudię.

– Pewnie pani wie, że Sigurd umiera. Rak jelita.

– Tak, wiemy o tym.

Znów się zgarbił, wodził wzrokiem po nagich ścianach aneksu.

– Nikomu nie powiedział, wie pani? Doktor wygadał się na święcie pyzy w Ragunda. Spotkał siostrę Sigurda i zapytał, jak się czuje jego pacjent. *Pacjent?* – zdziwiła się siostra. I tak wydało się, że wykryli u niego raka trzy miesiące wcześniej. Raczysko siedzi mu w brzuchu i doktory nic nie mogą zrobić. Zostało mu parę miesięcy, może pół roku. Więc wie pani, morderca czy nie, jego dni i tak są policzone.

Claudia oparła się o ścianę, wilgotna koszulka lepiła się jej do pleców.

– Mówi pan, że Sigurd lubi polować i łowić ryby. Sądzi pan, że wziął ze sobą broń?

Z klatki piersiowej Pärssona wydobył się gardłowy śmiech.

– On bez noża i dwururki nie rusza się nawet do sklepu po mleko. Wy tu w wielkim mieście myślicie sobie, że Sigurd to pisarz, który snuje opowieści o polowaniach. A on jest myśliwym, któremu czasem zachce się napisać książkę.

– Więc najprawdopodobniej ma ze sobą nóż i strzelbę?

– Mógłby w domu zostawić spodnie, to na pewno, ale nie dwururkę. Zawsze ją nosi przy sobie. Naładowaną ostrą amunicją.

– Dobrze strzela?

– Znam go od ponad sześćdziesięciu lat. Od początku lat pięćdziesiątych patrzyłem, jak strzela z wiatrówki i dwururki. Nigdy nie widziałem, żeby spudłował, przenigdy.

– A więc jest myśliwym, wędkarzem. Wędruje po terenach, gdzie może realizować swoje pasje?

– No, zdarza mu się chodzić nad rzekę Byske jak łoś ma tarło. Lubi jeździć w wärmlandzkie lasy i zapolować na wilka. Na ptaki też lubi popatrzeć. Ale wie pani, w kraju pełno jest lasów i wód. Sigurd może być gdzieś na północy albo na południu, w okolicy Mossaträsk, na bagnach w Laponii, albo na półwyspie Falsterbo, w Skanii. Kto wie, może siedzi nad jeziorem Lilldigerlemmen i łowi golce, ledwie parę kilometrów od swojej chałupy.

Rozłożył ręce jakby na znak, że nie powie nic więcej.

– Mówię to, co wcześniej pani kolegom. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie

on się podziwia.

Claudia przyglądała się twarzy mężczyzny, jego poruszającym się bez przerwy oczom barwy ołowiu.

– Przypuszczamy, że Sigurdowi grozi ogromne niebezpieczeństwo. Seryjny morderca zastrzelił sześcioro jego kolegów z Akademii, ale pan nie wydaje się zaniepokojony.

– Wszyscy w tym kraju go szukają. Policja, dziennikarze i fotoreporterzy. Rodzeństwo, kuzynostwo bliższe, dalsze. Wszyscy go szukają, ale nikt nie może go znaleźć, nikt. To jak znajdzie go morderca, obcy?

Holger Pärsson zamieszał swoją kawę prawym palcem wskazującym, a potem go starannie oblizał.

– Zresztą myśmy z Sigurdem nigdy się nie lubili. Co mnie obchodzi, że ktoś go zastrzeli.

* * *

Stanisław Kosiński siedział na wytartej, poszarzałej ławce w parku Wazów. Jego obolałe palce zaciskały się na niedopałku papierosa Marlboro Gold, którego znalazł na skraju chodnika na Atlasmuren. Powoli podniósł peta do ust i zaciągnął się. Z nozdrzy mężczyzny wydobyły się smugi dymu i zasnuły jego czerwoną, napuchniętą twarz.

Starał się nie słuchać, starał się nie dopuścić do siebie żadnego słowa, żadnego nazwiska, ale wszystko na nic. Odbiornik radiowy na drewnianym kontuarze budki z lodami był nastawiony na cały regulator. Wydobywający się z niego głos mówił o zabójstwach członków Akademii.

Stanisław wypluł za ławkę kilka drobinek tytoniu i ziarna piasku, które przykleiły mu się do języka. Potem wyjął z wewnętrznej kieszeni butelkę i pociągnął z niej spory łyk, tani bimber spłynął mu do gardła.

Prześladowało go wspomnienie poprzedniej nocy.

Rozmowy na ulicach, nagłówki gazet, przerażające sny.

Po kilku minutach miał dosyć, wyrzucił niedopałek i postanowił zostawić za sobą park i głośno grające radio. Coś jednak przykuło jego uwagę – jedno słowo, które sprawiło, że poderwał się z ławki. Pokaleczone kolano uginało się, a żwir tryskał na wszystkie strony, kiedy Stanisław człapał w stronę budki z lodami. Gwałtownie wcisnął głowę przez okienko i wpił wzrok w podstarzałego sprzedawcę.

– Da-dają... nagrodę? Mówią w radiu, że pięć milionów?

Mężczyzna w budce spoglądał na bezdomnego, na jego drżące palce i czerwoną, zaognioną twarz.

– Tak, pięć milionów. Kupujesz pan lody?

– Nie.

Stanisław zostawił za sobą budkę i ruszył przez park. Ból pulsował w kola-

nie, ale on z trudem człapał dalej, nie zatrzymując się, przez Sankt Eriksbron, w kierunku Kungholmsgatan. Osiem lat trzymał się z dala od tej dzielnicy, ale teraz włókł się po kamiennych schodach prowadzących do wejścia na komisariat norrmalmskiej policji, otworzył drzwi i pokuśtykał do recepcji. Jego oczy płonęły od upojenia alkoholowego i oczekiwania.

– Mam informacje. Ważne informacje. O mordercy członków Akademii.

Recepcjonistka nieśpiesznie odkleiła wzrok od ekranu komputera.

– Proszę to wypełnić.

Stanisław popatrzył na długopis i długi formularz, potem pokazał prawą dłoń, zniekształcony kciuk, żółty od ropy bandaż i pokryte strupami kłykcie.

– Nie mogę pisać. Chwilowo.

Recepcjonistka westchnęła cicho, chwyciła długopis i obróciła formularz w swoją stronę.

– Jak pan się nazywa?

– Stanisław Kosiński. S-t-a-n-i-s-l-a-w K-o-s-i-n-s-k-i. Dobrze pani zapisała? Kosiński przez *s*. Mam kumpla z Wrocławia, nazywa się Kociński przez *c*. Nie chcę, żeby dostała mu się moja forsa.

– Jakie ma pan informacje?

Stanisław rozejrzał się, po czym wyszeptał tajemniczo:

– Wiem, jak wygląda morderca. Widziałem go.

– Widział pan sprawcę?

– Tak. Byłem w parku Berzeliusa. W krzakach. Już prawie spałem, ale obudzili mnie. Mam problemy ze snem.

– Rozumiem, może pan opisać tego mężczyznę?

– Miał czarny kapelusz. I, jak to się nazywa po szwedzku...?

Recepcjonistka obserwowała żywą gestykulację Stanisława, próbując ją zinterpretować.

– Kurtkę? Płaszcz?

– Tak, płaszcz.

– Inne znaki szczególne? Może pan opisać twarz?

– Trudno to wytłumaczyć. Ale wiem coś więcej.

– Co takiego?

Stanisław zawahał się, bębnił chwilę palcami w kontuar, po czym dodał:

– Niech pani przekaże szefowi, że chcę dziesięć milionów. Bo nic nie powiem.

Na ustach recepcjonistki pojawił się dobrotliwy uśmiech.

– Wie pan co, sumę wyznaczył chyba sam premier, nie sądzę, by zgodził się ją podwyższyć.

– No dobra – powiedział Stanisław z namysłem. – Niech będzie pięć. Ale dobrze pani zapisała nazwisko? Kosiński przez *s*.

– Oczywiście, że zapisałam. No to co z tymi informacjami, powie pan coś więcej?

Stanisław pochylił się poufale nad marmurową płytą kontuaru, bliżej recepcjonistki, z jego ust buchał mdlący odór zgniłych zębów i bimbru.

– Wiem, co morderca powiedział wtedy w parku Berzeliusa. Wiem, co powiedział, zanim zastrzelił tego pisarza.

– Co takiego?

– Powiedział: *Nadeszła chwila zemsty, Carlu Bildcie.*

Recepcjonistka podniosła wzrok znad formularza.

– Carl Bildt? Minister spraw zagranicznych?

– Zgadza się. Carl Bildt. Tak powiedział morderca.

Selma Lagerlöf

Laureatka Literackiej Nagrody Nobla w 1909 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„w hołdzie wielkiemu idealizmowi, błyskotliwej wyobraźni i duchowej przenikliwości, które wyróżniają jej utwory”

16 maja 2012

Claudia przebiegła pustym korytarzem jakieś pięćdziesiąt metrów dzielących ją od windy. Mijając biura zespołu do spraw wyjaśnienia zabójstwa Olofa Palmego, mimowolnie odwróciła głowę i zajrzała do środka. Za szklanymi drzwiami widać było rzędy półek, na których tłoczyły się zakurzone segregatory z utajnionymi dokumentami, setkami wycinków z gazet i zdjęciami – ich okładki zdążyły już wyblaknąć od słońca, przeleżawszy tu tyle czasu.

Czy my też za dwadzieścia sześć lat będziemy nadal tu tkwić?

Zajmować się nierozwiązaną sprawą zabójstwa?

Oderwała wzrok od starych papierów, upiła łyk kawy chlupoczącej w kubku termicznym. Dotarła do końca korytarza, wsiadła do windy, przyłożyła kartę magnetyczną do czytnika i wcisnęła przycisk „-1”. Winda szarpnęła i ruszyła w dół, do podziemi budynku komendy. Wykorzystując tę krótką chwilę samotności, Claudia zamknęła oczy i oparła się o metalową poręcz, zmęczenie wzięło górę, czuła pulsowanie pod powiekami.

Kiedy drzwi rozsunęły się, z trudem zmusiła się do otwarcia oczu, wyszła z windy i ruszyła w głąb betonowej plataniny korytarzy i biur bez okien. Szybkim skinieniem głowy przywitała się z dwoma agentami SÄPO – dwie sylwetki stojące na warcie w matowym świetle lamp. Gdzieś za masywnymi ścianami przebywało pięćoro członków Akademii Szwedzkiej, ukrytych przed światem zewnętrznym w zamkniętej części budynku o podwyższonym standardzie ochrony, ukrytych przed mordercą, poza zasięgiem pocisków snajperskich i ołowianych kul. W rozwidleniu korytarzy skręciła w lewo, w wąskie przejście, którym dotarła do laboratorium kryminalistycznego.

Przy stole roboczym siedział Frank Larsson, pochylony nad srebrnym mikroskopem Leica. Nie odrywając wzroku od okularu, wymamrotał:

– Jeśli chcesz napić się kawy, to w korytarzu jest automat.

– Dzięki, już mam.

Usiadła na taborecie i spojrzała na stół. Oprócz dużego kubka z gorącym kakaem było na nim mnóstwo przedmiotów. Klucze sześciokątne, zdemontowane celowniki laserowe, naboje, celowniki optyczne, tabele balistyczne. W otwartym kolonotatniku zobaczyła notatki sporządzone ręką Franka, rozproszony styl pisma, linijki nakreślonych ołówkiem liter wijące się po papierze: *Pocisk podkalibrowy 7.62 mm – ewent. zmodyfikowana metoda zbierania cząstek taśmą przyklepną. KT-M43/KT-M44 (WAŻNE! zadzwonić do Evy G. o 21.15, przed spotkaniem gr. dochodzeniowo-śledczej?!).*

Claudia skierowała wzrok w głąb laboratorium. Na środku najniższej półki, na wyściełanych wspornikach, spoczywał karabin powtarzalny. Zaledwie kilka godzin wcześniej morderca trzymał w rękach tę drewnianą kolbę, jego oko patrzyło przez okular celownika, a palec wskazujący zaciskał się na językowatym spuście.

Zaledwie kilka godzin temu.

Słyszała skupiony oddech Franka, który siedział obok i delikatnymi ruchami palców regulował mikroskop, milimetr po milimetrze.

– Miał dobrą amunicję. I świetną broń.

– Dwie sztuki świetnej broni.

Frank Larsson puścił śrubę mikroskopu i spojrzał na Claudię znad okularu.

– Dwie?

– Tak, właśnie rozmawiałam z göteborgską policją.

Nie odrywała wzroku od karabinu, domyślając się, że Larssona zdumiały jej słowa.

– Po śmierci Birkenfeldta – zaczęła wyjaśniać – skontaktowaliśmy się z właścicielami wszystkich nieruchomości położonych w sąsiedztwie miejsc zamieszkania pozostałych członków Akademii. Każdemu zadaliśmy to samo pytanie: Czy któryś najemca opłaca czynsz gotówką przekazywaną w brązowych kopertach bez znaczka i stempla pocztowego?

– Dobre pytanie.

– Trzy kwadransy temu pewien właściciel z Göteborga odpowiedział na nie twierdząco.

Upiła łyk kawy i mówiła dalej.

– Dopiero zaczęli sprawdzać to mieszkanie na poddaszu, ale zdążyli już coś znaleźć. Za luźną płytą wiórową w garderobie była broń PSG 90, z pełnym wyposażeniem i celownikiem laserowym.

Frank przygarbił się nieco, krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Zakładam, że z mieszkania jest dobry widok, zgadza się?

– Wspaniały. Za Skansparken widać oba okna salonu Vilgota Elmandera.

Larsson powoli przeczesał palcami posiwiałe włosy.

– Czyli sprawca miał dwie sztuki broni snajperskiej.

– Tak.

- To może oznaczać, że...
- Ma ich więcej? Biorę to pod uwagę.

Claudia wciąż nie odrywała wzroku od półki, na której spoczywał wyspecjalizowany karabin wojskowy.

- Najpierw użył dziewiętnastowiecznego rewolweru z zamkiem kapiszonowym, a teraz nowoczesnej broni snajperskiej. To jednak spora różnica, do cholery.
- Zgadza się, jest tu pewna różnica.

Larsson ostrożnie wyprostował się, pomasaował zeszywniały kark – od wielu godzin siedział pochylony nad mikroskopem i częściami broni.

- Sprawca, który strzela z gładkolufowej broni czarnoprochowej i używa niestabilizowanych ołowianych pocisków, powinien znajdować się blisko ofiary, bardzo blisko.

- Jak blisko?
- Jakieś dziesięć metrów, a nawet jeszcze bliżej.
- A jeśli strzela z takiego PSG 90?

– Zasięg skuteczny wynosi osiemset metrów, ale w sprzyjających warunkach dobry snajper może trafić obiekt z odległości ponad dwóch kilometrów. Innymi słowy, stojąc na wieży sztokholmskiego ratusza, mógłby zastrzelić człowieka na moście prowadzącym z Östermalm na Djurgården.

- Więc mówisz, że to naprawdę dobry karabin?
- Jeden z najlepszych na świecie. Jest jednak pewien interesujący szczegół – mianowicie kwestia rdzy w lufie.
- Rdzy?

Larsson skinął głową, szerokim gestem wskazał na broń, pokrytą lśniąca, czarną powłoką.

- Lufy łatwo rdzewieją z prostego powodu. Pozostałości węgla z prochu mają właściwości higroskopijne, w dodatku zawierają także chlorki, dlatego dochodzi do elektrolizy, kiedy osady metali i resztki ołowiu reagują z...

- Frank, do rzeczy.
- W tej lufie nie ma śladu rdzy.
- Jak to *nie ma*?

– Ten karabin był przez ostatnie lata często w użyciu, bardzo często. Ale w lufie nie ma korozji wżerowej, resztek płaszcza pocisków, najmniejszego śladu rdzy. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Claudia wpatrywała się w Larssona, śledziła każdy jego ruch, kiedy wstał z krzesła i zaczął chodzić od ściany do ściany.

- Musiał codziennie smarować lufę rozpuszczalnikiem miedzi i godzinami czyścić ją szczoteczką z włosiem z brązu. Sprężyny powrotne i luźne części powlekał olejem do konserwacji broni, każde załamanie, każdą śrubkę. Celownik optyczny wyzerował co do milimetra, precyzyjnie ustawił ostrość okularu, idealnie skali-

brował celownik laserowy.

– Kurde, opowiadasz o tym, jakby to był niezwykły kunszt.

– Claudia, to *jest* niezwykły kunszt.

Nagle dało się słyszeć przenikliwy dźwięk, po chwili jeszcze jeden. Frank przeszukał kieszenie spodni, kieszeń koszuli, przesuwał dłonią po zagraconym biurku. Kiedy wybrzmiał piąty sygnał, znalazł wreszcie komórkę pod otwartym segregatorem.

– Tak, słucham?

Potem nie wypowiedział już ani słowa, żadnych pytań, żadnych komentarzy, z napiętą uwagą słuchał swojego rozmówcy.

Claudia, która siedziała na taborecie kilka metrów dalej, przyglądała mu się bacznie. Z Frankiem Larssonem pracowała od trzech i pół roku, przy około dziesięciu śledztwach prowadzonych w różnych częściach kraju. Lecz tym razem w spojrzeniu eksperta kryminalistyki pojawiło się coś nowego, coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

Zdziwienie, zdumienie.

Kiedy rozmowa się skończyła, Claudia wstała z taboretu i popatrzyła na Larssona.

– Co się stało?

Kilka sekund zwlekał z odpowiedzią, oblizwał wargi, oparł się o blat stołu.

– Technicy sprawdzili mieszkanie Orvara Scheelego – powiedział wreszcie.

– No i?

– W szwach kołnierza jego sztruksowej marynarki znaleźli mikrochip, który służył jako lokalizator.

– Lokalizator? Co z tego wynika?

– To, że morderca wykorzystuje niezwykle zaawansowane technicznie urządzenia namierzające, takie same jak te, których używa na przykład amerykański wywiad.

– A jak coś takiego działa, do cholery?

– To proste. Trzeba mieć cyfrowy odbiornik radiowy. Mikrochip to nadajnik, wystarczy umieścić go w ubraniu, żeby śledzić osobę, która je nosi.

– Twierdzisz więc, że zabójca może znaleźć każdego? I to praktycznie wszędzie?

Frank Larsson powoli pochylił głowę, potwierdzając jej słowa niemal niezauważalnym skinieniem.

* * *

Sigurd Wilhelmsson wziął głęboki oddech, wciągnął w nozdrza aromat wędzonego okonia. Znajdował się na niemal wyschniętych bagnach, kilka kilometrów na zachód od szwedzko-norweskiej granicy, w miejscu przypominającym dolinę

między dwiema wyżynami. Na północnym wschodzie, po szwedzkiej stronie, można było dostrzec kilka górskich szczytów, nagie masywy, na których wciąż jeszcze zalegał śnieg. W pozostałych kierunkach ciągnęły się lasy iglaste przykrywające teren niczym zielone wełniane koce.

Wcześniej wędrował tu zaledwie raz, była to jego pierwsza wyprawa, na początku lat 70. Teraz powrócił w to miejsce być może, aby zatoczyć koło. Podobała mu się ta myśl, że jest niczym pstrąg tęczy, który – oddaliwszy się setki mil od ujścia rzeki, gdzie spędził dzieciństwo, wypłynąwszy na obce morza i niespokojne wody – wreszcie powraca tam, gdzie dorastał, skąd wziął swój początek.

Miała to być ostatnia wyprawa, wiedział o tym dobrze. Choroby toczące jego ciało nigdy więcej nie pozwolą mu podjąć takiego wysiłku. Rozmyślając o tych sprawach, Wilhelmsson dostrzegł postać, która ukazała się przy stosie kamieni, nieco poniżej grani. Poruszała się zbyt miarowo, jak na niedźwiedzia, zbyt odważnie, od razu to zauważył, a i renifery nie wędrowały w taki sposób samotnie po wyżynach.

Wkrótce postać zyskała wyraźny kształt, a potem dobrze znane rysy twarzy. Był to mężczyzna w czarnym płaszczu, półbutach i kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Szybkim krokiem zbliżał się do obozowiska, zatrzymał się dopiero na skale, w odległości kilku metrów od Wilhelmssona.

– Dobry wieczór!

Wilhelmsson odpowiedział skinieniem głowy i, wpatrując się w mężczyznę, otarł resztki tabaki z górnej wargi.

– To ci niespodzianka, przyznaję. Nie sądziłem, że spotkam człowieka na tym pustkowiu, zwłaszcza ciebie.

Między nimi, na torfowisku, na podłożu z kamieni, leżały cztery sosnowe kłody, żarząc się spokojnie pod dymiącymi gałęziami jałowca. Powyżej, na ponacianych sosnowych patykach, zatkniętych było kilka ryb.

– Widzę, że rozpalileś ognisko z pni.

– Tak, to najlepsze rozwiązanie, jeśli człowiek ma dużo czasu i mało drewna.

Rybki wędziły się nad ogniem, miały porozcinane brzuchy i szeroko otwarte pyszczki. Wilhelmsson wskazał na swój połów.

– Jesteś głodny? Złapałem w jeziorku okonie i golca, sam nie zjem wszystkiego.

– Nie odmówię. Przebyłem daleką drogę, nie miałem czasu zatroszczyć się o prowiant.

– Poczęstuj się tym, co zostało.

Mężczyzna usiadł na jednym z omszałych kamieni, jadł w ciszy. Szybko pochłonął okonie, nawet rybie głowy wkładał do ust i ostrożnie przeżuwał, po czym wypluwał pogryzione kawałki chrząstek i łuski. Po chwili podniósł wzrok, spojrzał na strzelbę opartą o namiot rozstawiony kilka metrów dalej.

- Świetną masz dubeltówkę. Browning B25, o ile się nie mylę.
- Zgadza się.
- Piękna broń. To José Baerten zaprojektował grawerunek na kolbie?
- Nie, Louis Vranken.

Nad polaną znów zaległa cisza, jedyne, co dało się słyszeć, to pojedyncze odgłosy, kiedy przybysz ssał ość albo oblizywał palce.

– I pomyśleć, że przypadek skierował cię tutaj, na te bagna, hen, na dzikim pustkowiu.

– Tu nie ma mowy o przypadku. Przybyłem tu w pewnej sprawie, żeby się z tobą spotkać.

Wilhelmsson powoli pogładził się po zaroście.

– Jak okiem sięgnąć, są tu tylko lasy, nagie góry i bagna. Żeby mnie znaleźć, trzeba by mieć węch wilka i wzrok myszołowa włochatego. Masz nozdrza wilka i oczy myszołowa?

– Nie, ale mam to.

Mężczyzna wyjął z kieszeni płaszcza pudełko, elektroniczne urządzenie wyposażone w antenę teleskopową i ekran LCD.

– To cyfrowy lokalizator. W twoim prawym bucie jest mikrochip, w ten sposób mogłem cię znaleźć na tym odludziu.

Wilhelmsson patrzył z uwagą na srebrne pudełko.

– Postęp techniczny jest zdumiewający. Jako nastolatek, w latach 60., fascynowałem się radiem tranzystorowym. Mój ojciec miał model Luxor 4096W, pozwalał mi go rozkręcać i składać, żebym mógł zrozumieć jego konstrukcję. Muszę przyznać, że inżynieria to ciekawa dziedzina. Ale dlaczego, do jasnej cholery, mikrochip wylądował w moim bucie?

– Chodzi o zemstę.

– O zemstę?

– Tak, o wyrządzoną krzywdę.

Wilhelmsson nie żądał dalszych wyjaśnień, w milczeniu zastanawiał się nad odpowiedzią, którą właśnie otrzymał.

Mężczyzna pochylił się w jego stronę.

– Powiedz, jak twoje zdrowie? Twoje ciało niszczą dwie choroby, obie śmiertelne, z tego, co wiem.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy na twarzy Wilhelmssona pojawił się cień zdumienia, lekkie napięcie mięśni wokół oczu.

– O tym, że rak zżera mi jelito grube, wie już połowa ludności Jämtlandii, to zasługa doktora – wygadał się po trzech miesiącach. Ale skąd, do cholery, wiesz, co zżera moją krew? O tym choróbku nie wie nikt, nawet moje siostry, które całe życie zajmują się tylko sprawami innych.

– Byłem w twoim domu pod Bispgården. W najniższej szufladzie biurka

znalazłem opakowanie specjalistycznego leku, nazywa się Glivec. O ile dobrze rozumiałem, przyjmują go osoby cierpiące na ostrą białaczkę limfoblastyczną.

– Zgadza się. Dwa choróbka toczą moje ciało, walczą ze sobą o to, która pierwsza mnie zabije. Najpierw myślałem, że wygra rak, ale teraz już nie jestem pewien.

– Twoje przypadłości przysporzyły mi sporo zmartwień. A gdybyś tak zmarł, zanim dokonałbym zemsty? Co ja bym wtedy począł?

– Ale udało ci się tu dotrzeć, a ja, jak widzisz, jeszcze żyję. Może poczęstuj się kubańskim cygarem?

– I tym razem nie odmówię.

Wilhelmsson wyszperał w plecaku blaszane etui, otworzył je i wyjął dwa kubańskie cygara, jedno rzucił mężczyźnie po drugiej stronie ogniska. Bardzo starannie obciął końcówki i odpalili cygara od płomieni. Potem przypatrywali się sobie w milczeniu, ich twarze rozjaśniał blask zachodzącego słońca.

– Tutaj jest tak spokojnie, rozumiem, dlaczego zaszyłeś się w tym miejscu.

– Prawda, pięknie tu.

Pograżeni w milczeniu palili cygara, czasem dało się słyszeć w oddali trel podróżniczka, raz po raz rozlegał się trzask rozżarzonych pni. Słońce powoli zbliżało się ku koronom drzew, a niebo mieniło się odcieniami fioletu i krwistej czerwieni.

Nagle mężczyzna wstał, z jego ruchów było zdecydowanie. Z prawej kieszeni płaszcza wyjął rewolwer z zamkiem kapiszonowym.

– Nadeszła pora. Jak mówiłem, muszę dokonać zemsty.

W oczach Wilhelmssona nie było strachu ani zdziwienia. Siedział zupełnie spokojnie, patrząc w otwór lufy, tak, jak poskromione zwierzę hodowlane w ostatniej chwili życia wpatruje się w rzeźnika.

Mężczyzna uniósł prawą rękę i wycelował. Kiedy zacisnął palec na spuście, dolinka rozbrzmiała hukiem wystrzału, a z broni wydobył się biały dym.

W tej samej chwili Wilhelmsson zrobił gwałtowny unik. Ruch był niezwykle szybki, kula przeszła powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa. Ze skórzanej pochwy na biodrze wyszarpnął nóż myśliwski i rzucił się na napastnika, jego łopatki sterczały niczym ostre rogi, a wyskok był wściekły i nieprzewidywalny jak atak rosomaka.

Rozległ się drugi wystrzał, pocisk przeszył lewy bark Wilhelmssona. Ten na chwilę stracił równowagę, lecz chwiejnym krokiem posuwał się mimo wszystko naprzód, jakby kule i proch nie mogły go powstrzymać. Zamachnął się prawą ręką, celując nożem w gardło mężczyzny. Wtedy huknął trzeci strzał, a pocisk tym razem przebił się przez klatkę piersiową i serce.

Sigurd Wilhelmsson zatrzymał się. Nóż, który tkwił w jego wyciągniętej dłoni, musnął szyję napastnika, ostrze pozostawiło krwawy ślad na tchawicy. Martwy

pisarz osunął się na ziemię, spoczął – po raz ostatni – na porośniętym mchem bagnisku.

Herman Hesse

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1946 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za inspirującą twórczość, która w swoim rozwoju ku śmiałości i głębi reprezentuje zarówno klasyczne ideały humanisty, jak i wysokie wartości stylu”

16 maja 2012

Claudia weszła do zaciemnionego gabinetu na piątym piętrze. Jedynym źródłem światła był ekran komputera ustawiony na środku biurka, jego białawy blask padał na twarz Mikaeli Dahlström.

Ta, usłyszawszy odgłos kroków, podniosła wzrok znad klawiatury i odpowiedziała, zanim Claudia zdążyła zadać pytanie.

– Przecież mówiłam, że nie – wymamrotała i wróciła do pisania.

Claudia z uśmiechem na ustach oparła się o futrynę, w milczeniu patrzyła na behawiorystkę, na jej smoliście czarną koszulkę z The Cure, na pomalowane fioletowym lakierem paznokcie poruszające się po klawiszach. Mikaela była typem odлюдka, ekscentryczką, z której naśmiewali się niemal wszyscy w komendzie. Żartowali z jej trupio bladej twarzy, czarnych ubrań w stylu gotyckim, jednostajnego głosu. Za to Claudia od razu poczuła sympatię do osobliwej psycholożki.

Mikaela pisała dalej w szalonym tempie, lecz po pół minuty przerwała i westchnęła przeciągle.

– Claudia, przecież wiesz, jak pracują profilerzy, jeszcze nie skończyliśmy.

– Ale zaczęliście już?

– Tak.

Claudia powoli przeszła przez mroczny pokój, nie odrywając wzroku od swojej rówieśniczki.

– Pewnie słyszałaś o mikrochipach?

– Tak, rozmawiałam z Frankiem, jedenaście sztuk, zgadza się?

– Tyle wiedzieliśmy jeszcze pół godziny temu – odpowiedziała Claudia. – Do tej chwili znaleźli już siedemnaście, w mieszkaniach sześciorga członków Akademii.

Patrząc Mikaeli w oczy mówiła dalej.

– Za kilka minut zbiera się grupa dochodzeniowo-śledcza. Musimy wiedzieć coś konkretnego o zabójcy.

– Claudia, nie wyczytam ze szklanej kuli koloru jego włosów ani numeru telefonu. Przygotowanie profilu trwa przynajmniej trzy tygodnie...

– Za trzy tygodnie członkowie Akademii mogą już nie żyć. Musimy mieć ten profil dziś wieczorem.

– To niemożliwe. Powinniśmy najpierw dokładnie zbadać miejsca zbrodni, przecież wiesz. Przejrzeć raporty z autopsji i protokoły przesłuchań, przeczytać ekspertyzy medyków sądowych, co do strony. Ledwie przed godziną mieliśmy pierwsze zebranie, sporządziliśmy dopiero wstępną analizę sprawy, która...

– Do czego doszliście?

– Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, to byłoby...

– Co możesz powiedzieć o sprawcy?

– Posłuchaj, to byłoby z mojej strony przekroczenie uprawnień...

– Mikaela, do cholery, co ustaliliście?

Ciemny pokój, stanowcze spojrzenia, żadna nie zamierzała ustąpić. W końcu Mikaela uśmiechnęła się zrezygnowana.

– No, dobra. Nie mam siły kłócić się z tobą, nie teraz.

– Świetnie. Powiedz o tej analizie.

– Na razie to tylko domysły, musisz mieć tego świadomość, ale przyznaję, że wydarzenia z wczoraj i dzisiaj mogą sporo powiedzieć o sprawcy.

– Albo sprawcach.

Mikaela stanowczo potrząsnęła głową.

– Potrójne zabójstwo w mieszkaniu Hjärpego jest dziełem jednej osoby, wiemy to dzięki zeznaniom Beatrice Elmsten. Śmierć Rudqvista i Bergwall tak samo – ten sam rewolwer czarnoprochowy, oboje zabito w centrum Sztokholmu, w miejscach odległych od siebie o zaledwie kilka kilometrów. Możemy więc stwierdzić, że pięciu pierwszych morderstw dokonała jedna osoba.

– A szóste? Birkenfeldta zabito w innym mieście, z innej broni. Brak jakiegokolwiek powiązania ze sprawcą wcześniejszych zabójstw.

– Nieprawda. Jest głos.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy chciał wynająć pokój w Strängnäs, rozmawiał przez telefon z Britta Åhman, a ta opisała jego sposób wysławiania się jako staroświecki i dziwny. To pokrywa się dokładnie z zeznaniem Elmsten. Jest jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– Statystyka – wyjaśniła Dahlström. – W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto seryjnych morderstw dokonuje pojedynczy sprawca.

– Okej, przyjmijmy, że tak jest. Co możesz o nim powiedzieć?

Mikaela Dahlström zerknęła na notatki wyświetlone na ekranie komputera.

– Zdołał umieścić mikrochipy w ubraniach członków Akademii, zgadza się?

– Tak.

– Z ogromną dokładnością wyzerował dwa karabiny PSG 90, z matematyczną precyzją wyciął prześwit w koronie drzewa. Posługuje się zaawansowanymi technologicznie urządzeniami i własnoręcznie produkuje czarny proch. Kiedy dzwonił ze stacji metra, wybrał automat poza zasięgiem kamer, ukryty za betonowym filarem – musiał więc szczegółowo przestudiować system monitoringu Panaxia Security i...

– Wiem, co zrobił sprawca – wtrąciła Claudia, spoglądając na zegarek. – Ale co dzięki temu o nim wiemy?

– Seryjnych morderców dzieli się na zorganizowanych i niezorganizowanych. Ci pierwsi mają iloraz inteligencji znacznie powyżej przeciętnej, czyli ponad sto. U niektórych współczynnik IQ wynosi około stu czterdziestu, wielu noblistów nie osiąga takiego wyniku. Wydaje się, że zabójca członków Akademii Szwedzkiej należy do tej kategorii, wszystkie jego działania wskazują na niezwykle wysoki iloraz inteligencji.

– Mamy więc do czynienia z genialnym psychopata?

Mikaela znów potrząsnęła głową, jej farbowane na czarno warkocze zakłósały się przed ekranem komputera, rzucając na ściany długie cienie.

– Seryjni mordercy rzadko mają osobowość psychotyczną, wręcz przeciwnie. Często uważani są przez osoby ze swojego otoczenia za normalnych, wręcz towarzyskich. W psychologii kryminalistycznej zjawisko to nosi nazwę *the mask of sanity*, maska zdrowego rozsądku. Taki człowiek wydaje się zrównoważony, ale pod powierzchnią kryje się potwór, zdolny do niewyobrażalnego okrucieństwa.

– Taki opis idealnie pasuje do bramkarza naszej drużyny unihokeja.

– Simona? Racja, on nieźle wpisuje się w profil seryjnego mordercy.

Mikaela uśmiechnęła się szeroko, potem poprawiła okulary i z pełną powagą kontynuowała wywód.

– Dokonując zabójstw, seryjny morderca niemal zawsze postępuje według z góry ustalonego wzoru, jest to tak zwany *modus operandi*. Może mieć związek z pochodzeniem etnicznym ofiar, płcią, zawodem, który wykonują. W tym przypadku *modus operandi* wydaje się oczywisty.

– Wszystkie ofiary to członkowie Akademii Szwedzkiej.

– Właśnie, wybór wiele mówi o sprawcy.

– No dobra, ktoś zabija członków Akademii – jaka wiedza o sprawcy wynika z tego faktu?

– Oczywiście to tylko spekulacje, ale podejrzewam, że wywodzi się ze środowiska intelektualistów. Być może ma za sobą wieloletnie studia na uniwersytecie, ale najprawdopodobniej ich nie ukończył. Przepuszczalnie powoduje nim silna zawiść, pragnienie zemsty, skierowane przeciwko literackiej elicie.

– Zawiść? Twierdzisz, że to jakiś niespełniony poeta, którego wierszy nie przyjęto do druku?

– Twierdzą tylko, że literatura prawdopodobnie odgrywa kluczową rolę w jego życiu.

Claudia powoli wstała od biurka, przeszła przez ciemny gabinet, w każdym ruchu czuła ciężar zmęczenia po trzech dobach bez snu. Bolały ją oczy, kiedy zerkała na zegarek, na sekundnik uparcie przesuwający się po cyferblacie.

– Jaką jest osobą?

– Tego nie wiemy – odpowiedziała Mikaela. – Za to możemy stwierdzić, jaki *nie* jest. Nie ma zwykłej pracy od dziewiętej do siedemnastej, raczej mało prawdopodobne, by w ogóle pracował zawodowo. Nie ma rodziny, dzieci, pewnie nie ma też przyjaciół.

– Skąd to wiesz?

– Większość seryjnych morderców ma osobowość obsesyjno-kompulsyjną, która uniemożliwia nawiązanie długotrwałych relacji i podjęcie stałej pracy, ale jest też inny powód.

Mikaela wskazała na lewy przegub, na miejsce, gdzie powinien być zegarek, którego nie nosiła.

– Czas.

– Czas?

– Tak. Przez pięć lat regularnie zostawiał brązowe koperty z opłatą za wynajem w Strängnäs i Göteborgu, może również w innych miejscach. Godzinami smarował lufy karabinów. Zgromadził szczegółową wiedzę na temat członków Akademii, włamał się do ich mieszkań, ukrył mikrochipy w ubraniach.

– Tak, wygląda na to, że był bardzo zajęty.

– No właśnie, a to oznacza, że nie może chodzić codziennie na ósmą do pracy. Nie może odbierać dzieci z przedszkola o piętnastej, nie może mieć normalnego życia, bo nie starczyłoby mu na to czasu. Do tego dochodzi sytuacja finansowa, również niezwykle interesująca.

– Niby dlaczego?

– Wydaje dużo pieniędzy, ale najprawdopodobniej nie ma pracy, a to prowadzi do oczywistego pytania.

– Skąd, kurczę, bierze kasę?

– Dokładnie. Może zdobywa pieniądze w nielegalny sposób, na przykład okradając banki.

– Jak mężczyzna z laserem?

– Tak, albo posiada jakiś majątek, może otrzymany w spadku. Jedno jest pewne, dysponuje dużymi środkami.

Słyszac to, Claudia od razu wymamrotała dwa słowa.

– Urząd Skarbowy.

– Co?

– Morderca od lat nie zarobił nawet korony, zgadza się?

– Prawdopodobnie.

– W takim razie jego dochód roczny nie podlega opodatkowaniu. Zadzwoń do skarbowki i załatw listę wszystkich, którzy przez ostatnich pięć lat nie płacili podatku. Z pewnością będą dziesiątki tysięcy takich osób, ale...

– Ale warto spróbować – powiedziała Mikaela zdecydowanie i zapisała coś w notesie.

Wyczerpana Claudia spojrzała na podłogę zasłaną stertami gazet z wielu krajów: *The Academy Murders*, *Les assassinats de l'Académie*, *Akatemia-tappajat*, *Vermoord Academy*. Oderwała wzrok od czarnych nagłówków i zwróciła się do Mikaeli.

– Możesz powiedzieć coś jeszcze o sprawcy? Interesuje mnie każdy szczegół.

Mikaela popatrzyła na długie listy na ekranie komputera i po chwili wahania zaczęła:

– To tylko luźna spekulacja.

– Chętnie posłucham.

– Zatem, jak wspomniałam, to tylko przypuszczenia, nie ma żadnych dowodów, że...

– Mikaela, do jasnej cholery! Mów wreszcie!

Profilerka znów poprawiła okulary, przesunęła nieco wyżej czarne lakierowane oprawki.

– Wydaje mi się, że sprawca mieszka z bliskim krewnym.

– Skąd to przypuszczenie?

– Seryjni mordercy, którzy cierpią na zaburzenie osobowości zależnej, potrzebują pomocy w życiu codziennym, inaczej nie potrafiliby sobie poradzić.

– Zabójca członków Akademii cierpi na to zaburzenie?

– Jestem o tym przekonana. Potrafi zaplanować i wykonać skomplikowane działania, posługuje się zaawansowanymi technologicznie urządzeniami, żeby wytropić swoje ofiary, precyzyjnie usuwa odciski palców, ale najprawdopodobniej nie potrafi zrobić tak prostej rzeczy, jak kupno kartonu mleka w markecie. Bardzo często okazuje się, że seryjni mordercy mieszkają z członkiem rodziny, który troszczy się o ich codzienne potrzeby.

– Masz na myśli kogoś, kto kupuje im mleko.

– Tak.

Claudia oparła się o biurko tak gwałtownie, że zadrżał ekran komputera.

– Sądzisz, że ta osoba zna sekrety zabójcy?

– Być może, o ile taki ktoś w ogóle istnieje.

Claudia znów zerknęła na zegarek.

– Niech to szlag! – krzyknęła i rzuciła się do drzwi. – Muszę lecieć, zebranie już się zaczęło.

– Claudia, chcę cię o coś zapytać, zdążę jeszcze?

– Nie.

– Dlaczego poszłaś do niego?

Claudia zatrzymała się w drzwiach i odwróciła.

– Do kogo?

– Do tego antykwariusza, Leo Dorfmana.

– O czym ty mówisz?

– Mogłaś pojechać na uniwersytet, porozmawiać z jakimś literaturoznawcą albo z krytykiem literatury w którejś z gazet. Mogłaś skontaktować się z mnóstwem innych ekspertów.

– Poszłam do Leo, bo jest najlepszy.

– Ale byliście w związku, sama o tym wspomniałaś rok temu, pamiętasz?

Nie widzieliście się od końca lat dziewięćdziesiątych, a teraz, ni stąd ni zowąd, zgłaszasz się do niego. Nie chcę tego nadinterpretować, ale można by pomyśleć, że...

– Mikaela, nie mam czasu na te bzdury.

Zirytowana wyszła z gabinetu, jej ciężkie buty głośno uderzały o podłogę, kiedy szybkim krokiem przemierzała korytarz, minęła pokój socjalny, windę i skierowała się do północno-wschodniej części budynku.

– Zaczekaj!

Odwróciła się, usłyszawszy wołanie i spojrzała na młodego posterunkowego z biura kryminalnego Komendy Głównej, który właśnie wysiadł z windy.

– Słucham – powiedziała, nie zwalniając tempa.

Policjant starał się ją dogonić, biegnąc kilka metrów w tyle i zdyszany przedstawiał swoją sprawę.

– No więc... ludzie zgłaszają się z informacjami i pytaniami.

– Wyobrażam sobie. I pewnie większość to jakieś niestworzone brednie, mam rację?

– Żałuj, że nie słyszałaś, jeden gość pytał, czy nagroda jest opodatkowana, chciał wiedzieć, jak wypełnić deklarację...

– Kurde, trochę mi się spieszy. Może pogadamy później?

– Jasne... ale wiesz, mamy zeznanie świadka.

Claudia zatrzymała się gwałtownie.

– Naoczny?

– Być może.

Posterunkowy pokazał zmięty formularz.

– W życiu nie czytałem nic bardziej absurdalnego, ale lepiej sama zobacz.

Claudia chwyciła papier. Czytając zwięzły dokument, z trudem łapała powietrze.

– To... przyszło trzy godziny temu.

– Tak.

Kilka sekund stała jak sparaliżowana, formularz drżał jej w rękach. Potem odwróciła się i pobiegła z powrotem, ku srebrnym drzwiom windy na drugim końcu korytarza.

* * *

Komendant Lars Lövdén zerknął na zegarek i przeszedł przez duszną salę konferencyjną. Twarz miał szarobłądą ze zmęczenia, któremu sen nie mógł zarażać. Usiadł przy stole i szepnął do kierownik sztabu Okręgowej Komendy Policji:

– Nie możemy dłużej czekać.

– Na pewno zaraz przyjdzie – odpowiedziała Frida Zetterlund.

Lövdén spojrział na pozostałych: osiem osób i jedno krzesło puste.

– Dobra, zaczynamy. Claudia Rodriguez wkrótce do nas dołączy, a później również ktoś z zespołu profilerów. Wszyscy zebrani wchodzi w skład grupy dochodzeniowo-śledczej, codziennie będziemy spotykać się tutaj, na siódmym piętrze, cel jest oczywisty – wszystkie wydziały mają być na bieżąco informowane o rozwoju sprawy.

– A jak wiecie – wtrąciła Frida Zetterlund – sporo się dzieje.

Lövdén dyskretnie wypluł gumę nikotynową i od razu wziął kolejną.

– Dzisiejsze wydarzenia zmieniły wszystko. To, co jeszcze wczoraj wydawało się spontanicznym dziełem szaleńca, teraz należałoby raczej uznać za niezwykle precyzyjnie zaplanowaną zbrodnię. Oczywiście bierzemy pod uwagę najbardziej pesymistyczny scenariusz, mianowicie taki, że sprawca zamierza zaatakować pozostałych członków Akademii. Można powiedzieć, że przyświecają nam dwa główne cele.

Kontynuując, podniósł kciuk lewej ręki, a potem palec wskazujący.

– Pierwszy – ująć zabójcę. Drugi – ochronić członków Akademii Szwedzkiej. W tej ostatniej kwestii najlepiej zorientowaną osobą jest Claes.

Claes Rothman, dyrektor Departamentu Ochrony Osób SÄPO, upił kilka łyżek wody mineralnej, po czym zabrał głos.

– Podjęliśmy szeroko zakrojone działania w celu ochrony członków Akademii jeszcze zanim doszło do dzisiejszych wydarzeń. Obecnie osiągnęły one niespotykany wcześniej poziom. Jediną osobą, która w tej chwili nie znajduje się pod ochroną, jest Sigurd Wilhelmsson.

– Chyba trudno chronić sukinsyna, skoro nie możecie go znaleźć?

Rothman odwrócił się w prawo, skinął głową i, nie odpowiadając na kąśliwą uwagę Rolfa Hedlunda, mówił dalej.

– W budynku komendy znajduje się pięcioro członków Akademii. Pozostała trójka przebywa w jednostce wojskowej K3 pod Karlsborgiem. Sprawca nie ma absolutnie żadnej możliwości by się do nich zbliżyć. Także Gun-Britt Höök jest bez-

pieczna na Lazurowym Wybrzeżu, czego gwarancją są odległość od Szwecji i francuska policja. Jednak ochrona dwojga członków pozostawia wiele do życzenia.

– Chodzi o Hansa Ekberga i Lisbeth Hansson?

– Zgadza się. Zrobiliśmy co w naszej mocy, by objąć ochroną posiadłość rodziny Ekbergów pod Borlänge. Staramy się mieć pod kontrolą każdy metr kwadratowy, każdą pieprzoną szopę, ale w grę wchodzi teren o powierzchni dwustu czterdziestu hektarów.

Oddelegowana do tej sprawy dyrektor Narodowych Sił Specjalnych, Lena Bouvin, aż gwizdnęła.

– To jak cała dzielnica, więcej niż Södermalm.

Dyrektor Departamentu Ochrony skinął głową.

– U Ekbergów rozmieściliśmy osiemnastu agentów z departamentu, monitorują teren całą dobę. Oprócz naszych ludzi jest tam również około dwudziestu funkcjonariuszy policji pomocniczej²⁰). Ale posiadłość leży na wzniesieniu, na otwartym terenie. W północno-zachodniej części rośnie las iglasty, którego nie da się w pełni kontrolować, w pozostałych kierunkach rozciągają się pola żyta i owsa.

20) Beredskapspolisen – istniejąca w latach 1999–2012 policja pomocnicza, której głównym zadaniem było udzielanie wsparcia regularnej policji w sytuacjach kryzysowych, przy utrzymaniu porządku i bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze, po pięcioletnim przeszkoleniu, mieli takie uprawnienia i obowiązki jak regularni policjanci, lecz pełnili jedynie zadania pomocnicze (przyp. tłum.).

– Innymi słowy, snajper ma czyste pole.

– Zgadza się. Jeśli dysponuje karabinem PSG 90, może nawet wyposażonym w celownik termowizyjny, jest to idealne miejsce do oddania strzału.

Frida Zetterlund podniosła wzrok znad notatnika.

– Dlaczego nie przewieziemy Ekberga na komendę? Albo w inne bezpieczne miejsce?

– Rozmawialiśmy z nim wiele godzin, ale nie chce zostawić domu i rodziny.

Rothman znów napił się wody mineralnej, po czym kontynuował.

– Jeśli chodzi o Lisbeth Hansson, nie da się nic więcej zrobić. Nie możemy przenieść jej z oddziału ECMO, nie możemy też zamknąć Szpitala Uniwersyteckiego. To oznacza, że Hansson przebywa w budynku, do którego przez całą dobę wchodzi tysiące osób – pracownicy, pacjenci, krewni. To trudne środowisko, w takim miejscu nietypowe zachowania są normą – można utykać, krzyczeć, mieć obandażowaną twarz, krwawe rany, to szpitalna codzienność. W takich warunkach sprawcy łatwiej działać, a my mamy utrudnione zadanie.

– W dodatku sprawę komplikują te pieprzone mikrochipy – powiedział Lövdén. – Jak zapewne wiecie, technicy z Krajowego Laboratorium Kryminalistycznego znaleźli już siedemnaście sztuk i...

Frank Larsson potrząsnął głową, ostrożnie, żeby nie wylać kakao z pełnego kubka.

– Właśnie rozmawiałem z koleżanką, Evą Gunnarsson. W tej chwili mają ich już dwadzieścia osiem.

Wszyscy zebrani spojrzeli na technika.

– Dwadzieścia osiem?

– Trzy znaleziono w chacie Sigurda Wilhelmssona, nad rzeką Indalsälven.

Larsson ostrożnie odstawił kubek.

– Niecałe dwie godziny temu technicy z okręgu Västernorrland zaczęli przeszukiwać dom Wilhelmssona. Na poddaszu znaleźli trzy pary butów górskich, a w każdej mikrochip wsunięty między gumową podeszwę a obcas. Przypuszczalnie Wilhelmsson ma na sobie czwartą parę, bo przecież nie wędruje w samych skarpetach, i zapewne w tej również jest mikrochip.

– Zabójca może go więc wytropić?

– Prawdopodobnie.

W sali zapadło milczenie, jedyne, co dało się słyszeć, to mechaniczny szum wentylatora, metalowe, lakierowane na biało łopaty obracały się wolno nad stołem. Po kilkunastu sekundach Lövdén westchnął zrezygnowany, przerywając ciszę.

– Nie mamy żadnego punktu zaczepienia, nic, kurcze, zupełnie nic.

– Coś mamy.

Wszyscy zebrani odwrócili się ku zaokrąglonej postaci opierającej się o parapet. Birger Sjölin zrobił kilka kroków i powtórzył znane słowa:

– *Zawsze tobą gardziłem, ty parszywy, zadufany w sobie sukinsynu.*

– Ostatnie słowa Hjärpego?

– Tak. Wiemy, że Hjärpe znał sprawcę i gardził nim, to nasz jedyny właściwy trop.

Usiadł przy stole i mówił dalej:

– Może to być sąsiad Hjärpego, kolega szkolny z lat trzydziestych, facet zatrudniony na zastępstwo w wypożyczalni video, do której Hjärpe chodził po pornosy, recenzent z „Dagens Nyheter”, który...

– Okej, *we get the point!* Może to być, kurczę, każdy. Gość, u którego Hjärpe w 1947 roku kupił kielbaskę z rożna.

– Masz rację, Rolf. Dlatego dwóch śledczych z biura kryminalnego pracuje nad listą osób, które Hjärpe kiedykolwiek spotkał. Chodzi o każdego, z kim się zetknął w ciągu osiemdziesięciu trzech lat swojego życia, o każdego takiego gościa z budki z kielbaskami.

Na ustach Hedlunda pojawił się szyderczy uśmiech.

– Na tej liście znajdzie się, kurde, pół Europy.

– Początkowo tak, ale stopniowo będzie skracana. Niektórzy mają niezbite alibi, inni od dawna nie żyją. Dzięki zeznaniom Beatrice Elmsten wiemy, że zabój-

ca jest mężczyzną, prawdopodobnie w wieku czterdziestu pięciu lat. Wiemy, że mówi po szwedzku, wyraża się poprawnie, w nieco staroświecki sposób, wiemy też, że potrafi posługiwać się bronią czarnoprochową. Poza tym wszedł na balkon mieszkania Sonji Bergwall po wąskiej pochyłej drabince dla kota, co oznacza, że jest w świetnej formie fizycznej. Co więcej, 12 kwietnia 2007 roku zadzwonił do Britty Åhman ze stacji metra w Sztokholmie, możemy więc od razu skreślić tych, którzy udowodnią, że w tym czasie przebywali gdzie indziej. Tak więc lista, na której jeszcze przed chwilą znajdowało się pół Europy, została już porządnie zredukowana, prawda? Ostatecznie zostanie na niej kilkunastu mężczyzn, a jeden z nich najprawdopodobniej jest mordercą. Taka lista może okazać się całkiem interesująca, nie sądzisz, Rolf?

Hedlund uczynił nieznaczny ruch głową, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz w tym momencie białe drzwi otworzyły się gwałtownie i do sali konferencyjnej wpadła Claudia, w prawej dłoni trzymała kartkę papieru.

– Mamy naocznego świadka!

Pośpiesznym gestem zgarnęła czarne, mokre od potu włosy z czoła.

– Właśnie byłam w holu, u recepcjonistki, która przyjęła zawiadomienie.

Lövdén patrzył na Claudię, z jego szeroko otwartych oczu zniknęło zmęczenie.

– Skontaktowałaś się ze świadkiem?

– To akurat może być dość trudne.

– Co masz na myśli?

Zamiast odpowiedzieć, podała mu dokument. Krótki formularz był pomięty i poplamiony kawą i sosem wasabi. Lövdén chwycił go natychmiast i odczytał na głos, wszyscy zebrani słuchali uważnie.

ZAWIADOMIENIE O POPEŁNIENIU PRZESTĘPSTWA

Biuro Kryminalne Komendy Głównej

Imię i nazwisko osoby zgłaszającej: Stanisław ~~Kosinski~~ Kosinski

Numer w systemie ewidencji ludności: 590422-01241 (polski!!)

Adres:

Kod/ Miejscowość:

Numer telefonu

Telefon komórkowy

Adres e-mail:

ZAWIADOMIENIE/ ZEZNANIE ŚWIADKA

S. Kosinski twierdzi, że był świadkiem zabójstwa Huberta Rudqvista. Według świadka zabójca miał na sobie czarny kapelusz i płaszcz. S. Kosinski nie po-

dał innych znaków szczególnych. Świadek twierdzi, że zabójca przed dokonaniem przestępstwa powiedział: Nadeszła pora zemsty, Carlu Bildcie.

INNE INFORMACJE

Mężczyzna jest prawdopodobnie bezdomny, w chwili zgłoszenia był pod wpływem (najprawdopodobniej) alkoholu. Zeznanie złożył na Komendzie Policji Norrmalm, 16 maja 2012 roku, o godzinie 18.26. Zeznanie przyjęła i spisała Ylva Fredin-Holmström.

Y. Fredin-Holmström

Ledwie Lövdén oderwał wzrok od ostatnich linijek dokumentu, w głębi sali rozległo się prychnięcie. Rolf Hedlund potrząsnął głową.

– Miałem do czynienia z tym pijackim Kosinskim, nie warto zawracać sobie głowy pierdołami, które opowiada, *believe me*. Sprzedałby własną matkę za ćwiartkę Koskenkorvy²¹).

21) Popularna fińska wódka (przyp. red.).

Claudia przez chwilę wyglądała przez okno, jej zmęczony wzrok wędrował ponad krwistoczerwonymi szczytami dachów, ponad kominami i antenami telewizyjnymi, których kontury rysowały się na wieczornym niebie.

– Rolf – powiedziała nagle i odwróciła się od okna. – Ten Kosinski zazwyczaj kłamie, zgadza się?

– *Always*.

– I jest w tym dobry?

– Gdyby były mistrzostwa świata w tej dziedzinie, Kosinski zdobyłby złoty medal. Do czego, kurde, zmierzasz? Jego zeznanie to jakieś pieprzone dyrdymały.

– Masz rację, Rolf. Jego zeznanie to pieprzone dyrdymały i właśnie dlatego sądzę, że każde słowo jest prawdą. Gdyby chciał nas oszukać, wymyśliłby takie kłamstwo, które brzmiałoby wiarygodnie.

Hedlund znów odpowiedział głośnym prychnięciem. Za to Lövdén z zadumą pokiwał głową, po czym zwrócił się do dyrektora biura kryminalnego Komendy Głównej.

– Birger, z takim sprawcą nie możemy ryzykować. Natychmiast skontaktuj się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, powiadom ich, że ministrowi może grozić niebezpieczeństwo. Claes, zakładam, że Carl Bildt jest chroniony?

– Minister zawsze znajduje się pod wzmożoną ochroną, przez całą dobę. Bildt jest jedną z najpilniej strzeżonych osób w kraju, zaraz po rodzinie królewskiej, niezmiennie, od połowy lat 80.

– Świetnie – powiedział Lövdén – ale na wszelki wypadek zwiększcie ochronę. Do jego mieszkania na Östermalme nie może wślizgnąć się nawet muszka.

I przeszukajcie wszystkie ubrania ministra, każdą marynarkę, każdą skarpetkę. Wystarczy wam ludzi?

– Podzwonię tu i tam, pociągnę za sznurki. Nie będzie z tym problemu, gwarantuję, że za dziesięć minut minister zostanie objęty najwyższą ochroną.

– Świetnie.

Rolf Hedlund cały czas stał przy oknie, jego twarz nabrała w świetle zachodzącego słońca ognistoczerwonej barwy; wpatrywał się w Claudię.

– Za kogo się uważasz, do jasnej cholery? Nie masz tu nic do roboty, mierznoto. *Comprende?*

Zanim Claudia zdążyła odpowiedzieć, z krzesła podniósł się Lövdén i stanął pomiędzy nimi, unosząc rozpostarte ręce, niczym sędzia rozdzielający bokserów na ringu.

– Wszyscy jesteście wykończeni, nie sądzę, by ktokolwiek z nas w ciągu ostatnich dni zmrzył oko, a w takich sytuacjach łatwo o awanturę. Nie możemy pracować całą dobę bez odpoczynku, jesteśmy tylko ludźmi. Musimy się z tym liczyć.

– Co to, to nie.

Po sali rozniósł się głos stojącego w progu Roda Jeglertza. Mężczyzna wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Mamy do czynienia z mordercą, który nie liczy się z nikim ani z niczym, i dlatego my powinniśmy postępować tak samo, musimy być równie bezwzględni.

Lövdén spojrzał zaskoczony na kolegę, a zarazem rywala.

– Rod, co tu robisz?

– Nie muszę się przed nikim tłumaczyć, a już na pewno nie przed tobą.

– Ale rano ustaliliśmy, że grupa dochodzeniowo-śledcza ma...

– To było rano – przerwał mu Jeglertz.

Wypowiedziawszy te słowa zmierzył wzrokiem wszystkie dziesięć osób siedzących przy stole, jedną po drugiej.

– Od tej chwili to ja nadzoruję pracę grupy, wszystkie decyzje należy uzgodnić ze mną. Do mnie należy ostatnie słowo, bez wyjątków.

Zdecydowanym krokiem przeszedł w głąb sali i przystanął pod wirującym wentylatorem, tuż przy Claudii.

– I jeszcze jedna istotna zmiana. Rodriguez, jesteś odsunięta od sprawy.

W dusznej sali zapadło milczenie, absolutna cisza, którą w końcu przerwał sam Jeglertz.

– Może potrzebujesz kilku wolnych dni, żeby dojść do siebie, krótkiego urlopu. Nie ma problemu, wyjedź na tydzień do Tajlandii, zrelaksuj się na Bang Saen Beach. Potem możesz wrócić do swoich obowiązków w biurze kryminalnym Komendy Głównej, twoją funkcję w grupie przejmie Rolf Hedlund.

Twarz Claudii nawet nie drgnęła, do komendanta głównego policji podszedł

za to szybkim krokiem Lövdén.

– Rod, do cholery. To zbyt ważna sprawa, żeby czynić ją przedmiotem naszej rozgrywki.

– Między nami nie ma żadnej rozgrywki – odpowiedział Jeglertz. – Ani przez sekundę o tobie nie myślałem, kieruję się wyłącznie dobrem dochodzenia – odsuwam mierną śledczą, która przez dwie pieprzone doby nie osiągnęła nic. Po prostu brak jej kwalifikacji, żeby pracować nad tak ważną sprawą, powinna zajmować się włamaniami do piwnic i kradzieżami w sklepach w Botkyrka, a nie, kurde, największym śledztwem w historii Szwecji.

Ponownie zwrócił się do Claudii.

– Jesteś odsunięta od sprawy. Jeśli pojawisz się w biurze grupy dochodzeniowo-śledczej, jeśli będziesz wtrącać się w jej pracę, jeśli spróbujesz choćby pomyśleć o zabójcy członków Akademii, zawieszę cię za rażące przekroczenie uprawnień, rozumiano?

Claudia stała zaledwie kilkanaście centymetrów od komendanta, tak blisko, że czuła woń jego oddechu.

– Pytam: rozumiano?

Spojrzała w zimne, niebieskie oczy Jeglertza. Nie spuszczając z niego wzroku, skinęła głową, a potem wyszła z sali.

* * *

W antykwariacie było niemal zupełnie ciemno, między rzędami półek poruszały się bezkształtne cienie, z podłogi wyrastały wysokie stosy książek, niczym ciemne stalagmity w jaskini.

Samotna świeczka oświetlała miejsce pracy przy sekretarzyku, rzucając blask na twarz Leo Dorfmana. Antykwariusz upił nieco gorącej herbaty, spróbował wyciągnąć nogi, ale w zagraconym pomieszczeniu nie dało się swobodnie poruszać. Na blacie leżały wczesne tomiki poezji Klasa Fahléna, z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, a obok najnowsza powieść Sigurda Wilhelmssona *Kraina świtu*, ostatnia część serii o myśliwych znad jeziora Öravattnet. W niektórych książkach pełno było zakładek i oślich uszu, oznaczających interesujące fragmenty, inne leżały otwarte, a na marginesach widniały zwiędłe, niemal nieczytelne notatki Leo.

W lewej dłoni antykwariusz trzymał statut Akademii Szwedzkiej, szyto-klejoną broszurę. Przewracając strony, studiował staroświeckie, osiemnastowieczne sformułowania. Znalazłszy interesujący paragraf, odstawił kubek, zapisał coś w kolumnotniku, po czym z zapalem czytał dalej.

Nagle dostrzegł w zmroku za oknem czarnoszarą postać, parę ciemnych oczu, które obserwowały każdy jego ruch. Wzdrygnął się tak, że książka omal nie spadła mu na kubek z herbatą, lecz po chwili uśmiechnął się szeroko i pomachał do stojącej na Bondegatan kobiety, zapraszając ją do środka. Ta skinęła głową, kilka

sekund później zadzwieczał dzwoneczek u drzwi i do antykwariatu weszła Claudia.

– Liczyłem, że znów mnie odwiedzisz.

Claudia ostrożnie przeszła przez ciemne pomieszczenie, omijając zbiory poezji i otwarte tomy encyklopedii powszechnej. Kiedy zbliżyła się do Leo, jej twarz oświetlił złotawy płomień świeczki.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Nie spałam od trzech dni.

Wstał z krzesła, rozpięte mankiety jego koszuli zafalowały, kiedy wskazywał porzucane wycinki z gazet i stopy książek piętrzące się w ciemności.

– Sorry, nie znalazłem żadnej wskazówki. Najwyraźniej kiepska ze mnie panna Marple. Ale w archiwum cyfrowym „Dagens Nyheter” natknąłem się na ciekawy artykuł, mam go gdzieś tutaj.

– Leo, muszę ci coś powiedzieć.

– Sekundkę.

Szperał wśród książek i notesów, aż wreszcie znalazł w panującym dokoła bałaganie pomięty wydruk.

– Piszą tu o wielkiej kłótni członków Akademii jesienią dziewięćdziesiątego drugiego. Wtedy Leif Linder zasiadł na miejscu numer trzy, należącym wcześniej do Ingvara Borgströma, i wielu sinologów z całego świata uważało, że...

– Leo – wtrąciła Claudia – miło z twojej strony, że chcesz pomóc, ale to już nieaktualne.

– Jak to? Ujęliście zabójcę?

– Dla mnie to śledztwo już się skończyło, zostałam odsunięta od sprawy, wpadłam, żeby ci to powiedzieć.

– Odsunęli cię? Dlaczego?

– Długa historia.

– Lubię długie historie.

– Dwaj najważniejsi szefowie strasznie się nienawidzą. Kłócą się od lat 70., a ja znalazłam się na linii strzału – tak można by to streścić.

Wzruszyła ramionami. Zmęczenie paliło jej ciało żywym ogniem, każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku.

– Leo, miło było cię znów zobaczyć, muszę iść do domu i się wyspać. Ledwo trzymam się na nogach.

Pogłaskała go po brodzie – takie pożegnanie bez słów – po czym powlokła się do wyjścia. Wtedy Leo wychylił się zza sekretarzyka i powiedział:

– Możesz przespać się tutaj.

Claudia zatrzymała się, po chwili wahania puściła klamkę i rozejrzała się po zagraconym pomieszczeniu.

– Tutaj?

– Chwilowo mieszkam w antykwariacie. To również długa historia.

– Wyobrażam sobie.

– Co ty na to? Mam materac i całkiem czystą pościel.

Znów zawahała się chwilę, potem skinęła głową i odłożyła kask na stojak na gazety.

– No, dobra.

– Świetnie. *Uno momento, por favor.*

Leo zniknął za regałami, w głębi ciemnego antykwariatu, pewnym krokiem dotarł do schowka, wyjął poszewki i podniszczony materac, który wcisnął między półki z literaturą fantasy, i pościelił najlepiej, jak umiał. Następnie zapalił latarkę akumulatorową i wsunął ją między dwie powieści Ursuli Le Guin z lat siedemdziesiątych.

– To nie Grand Hotel, ale chyba nie jest najgorzej?

– Jest idealnie.

Claudia zdjęła buty, rzuciła dżinsy i skórzaną kurtkę na sterty książek ukryte w ciemnościach, a potem wślizgnęła się pod postrzępioną kołdrę i zamknęła oczy.

– Będę spała cały tydzień. Twój klienci będą musieli przeze mnie przeskakiwać, żeby dostać się do tych regałów.

– Spokojnie, prawie nikt tu nie przychodzi.

Leo usiadł obok materaca, skrzyżował nogi i oparł się o półkę z poezją. Wpatrywał się w twarz Claudii: kruczoczarne włosy, kości policzkowe, usta, zamknięte oczy, patrzył na wszystko, co się zmieniło, a jednak pozostało takie samo.

– To co robiłaś przez te piętnaście lat?

Otworzyła oczy i utkwiała w nim wzrok.

– Zostałam, żeby się wyspać, nie na przesłuchanie.

– Naprawdę jestem ciekaw. Na przykład, czy masz dzieci? Czy wyszłaś za mąż? Ludzie chyba zadają takie pytania, jeśli nie widzieli kogoś piętnaście lat?

– Pewnie tak.

– No więc?

– Okej, odpowiem na te pieprzone pytania. Ale potem dasz mi spać?

– Może, o ile będę zadowolony z odpowiedzi.

Claudia popatrzyła na niego znad poduszki i odpowiedziała krótko:

– Mój mąż został postrzelony pięć lat temu, od tego czasu leży w śpiączce.

Mogę już spać?

Leo ostrożnie wyciągnął rękę ku jej dłoni, ale powstrzymał się.

– Claudia... strasznie mi przykro. Nie chciałem...

– Wiem. Mogę już spać?

– Tak...

Znów zamknęła oczy i ułożyła się wygodnie na materacu i po kilku sekundach zasnęła.

Doris Lessing

Laureatka Literackiej Nagrody Nobla w 2007 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„autorka, której epicka proza jest wyrazem kobiecych doświadczeń. Przedstawia je z pewnym dystansem, sceptycyzmem, ale też z ogniem i wizjonerską siłą”

17 maja 2012

Kiedy Claudia obudziła się, antykwariat tonął w wiosennym słońcu, wokół niej wznosiły się sterty wydań kieszonkowych i książek w szytych oprawach. Pod regałami można było dostrzec kłębki kurzu, paragony, niezapłacone rachunki za telefon oraz puszkę po konserwie, połyskującą w porannym świetle.

Przez myśl przemknęły jej wydarzenia poprzedniego dnia, w wyobraźni zamajaczyły twarze Jeglertza i Hedlunda, a potem mężczyzna z sali numer 12 na oddziale neurologicznym w Huddinge.

Usiadła i popatrzyła na byłego kochanka. Leo spał na gołej podłodze, w nogach materaca, przykryty wełnianym kocem, za poduszkę służył mu zwinięty sweter. Może wyczuł jej badawczy wzrok, bo obudził się i odgarnął włosy z oczu.

– Dzień dobry! Dobrze spałaś?

– Bardzo dobrze.

– Nie obudziła cię śmieciarka przejeżdżająca przed godziną?

– Nie obudziłoby mnie nawet trzęsienie ziemi.

Claudia wyciągnęła się na materacu i oparła nogi o najniższą półkę regału z literaturą science fiction. Leżący obok Leo wsparł się łokciami o podłogę i usiadł.

– Claudia?

– Tak?

– Twój mąż... chcesz porozmawiać... o tym, co się wydarzyło?

– Nie.

– Okej. Ale jeśli zmienisz zdanie...

– Wtedy mogę z tobą pogadać.

– Mówię poważnie.

– Wiem. Co na śniadanie?

– Hm, chyba mam chleb i może trochę...

Ucichł i spojrzał na okno wystawowe. Potem poderwał się z podłogi i zaczął dziko przeszukiwać regał z klasyką literatury, szperać za stojakiem na gazety, pod

otwartym zbiorem esejów. Wreszcie pod wełnianym swetrem znalazł telefon i na popękany wyświetlacz odczytał godzinę: 10.14.

– Niech to szlag!

Chwycił adidasy i wytarte niebieskie dzinsy, niemal się przewrócił, zakładając w pośpiechu ubranie.

– Leo, o co chodzi?

– Zostań tu i nie wstawaj. Ona nie może cię zobaczyć.

– Kto?

– Sigrid Everts.

Trzymając głowę nisko nad podłogą, przeczołgał się między regałami i obok aneksu kuchennego, ukrywając się za działem teologicznym, wyrzwał zza *Dzieł wybranych* Spinozy.

– To długa historia – wyszeptał znad wytartych grzbietów książek. – Opo-
wiem ci, jak wrócę.

– Jak wrócisz? A dokąd się wybierasz?

– Muszę otworzyć antykwariat, już piętnaście po dziesiątej.

– Leo, *jesteśmy* w antykwariacie.

– Wiem, to skomplikowane – powiedział i wybiegł tylnymi drzwiami.

Claudia podniosła się nieco i wyrzała za nim przez okno, patrzyła, jak pędzi przez zalane słońcem podwórko. Kiedy zniknął za bramą, oparła się o regał z science fiction, czekała. Niecałą minutę później zdyszany Leo pojawił się przed wejściem do antykwariatu na Bondegatan, na jego czole połyskiwały kropelki potu, włosy sterczały na wszystkie strony. Wyjął pęk kluczy, otworzył kratę antywłamaniową i podrzewiały zamek hakowy. Uchylił drzwi i wszedł, wpuszczając do środka powiew wiatru.

– Dobra, Leo, opowiadaj. O co w tym wszystkim chodzi?

– To długa historia – odpowiedział, z trudem łapiąc powietrze.

– Lubię długie historie.

Zziębnięty usiadł na materacu. Odetchnąwszy, wyjaśnił, że lokal jest przeznaczony wyłącznie na działalność gospodarczą, a on oszukuje właściciela, wymykając się codziennie rano. Kiedy skończył, Claudia popatrzyła na niego z poważną miną.

– I ciągniesz to od pięciu tygodni?

– Tak.

– Każdego ranka?

– Tak.

– I każdego wieczora?

– Taa.

Kilka sekund patrzyli na siebie, w zupełnej ciszy. Potem oboje wybuchnęli śmiechem, padli na materac, a po policzkach ciekły im łzy. Między kolejnymi ata-

kami śmiechu Claudia zdołała wydusić z siebie kilka słów.

– Leo... zamierzałeś tak się skradać w tę i we w tę... rok w rok?

Skinął głową, nie mogąc nic powiedzieć, śmiech blokował mu gardło niczym korek. Wreszcie uspokoił się, po śmiechu pozostało na ich twarzach jedynie kilka zmarszczek.

– Jak robimy ze śniadaniem? Masz coś do jedzenia?

– Jest chleb z orzechami, może zostało jeszcze trochę żółtego sera.

– Idealnie.

Leo poszedł szybko do aneksu kuchennego. Małe pomieszczenie tonęło w rupieciach, puste puszkę po konserwach, pudełka po sushi i brudne naczynia piętrzyły się na podłodze i w zlewie, w końcu udało mu się jednak znaleźć rondel i puszkę z herbatą.

– Nie mam kawy – zawołał z progu. – Może być herbata?

Zza półki z poezją dobiegła go odpowiedź Claudii, kilka przekleństw po hiszpańsku, które tak dobrze znał.

* * *

Pół godziny później siedzieli na poduszkach we wnęce okiennej. Resztki śniadania walały się na sekretarzyku przed nimi – piętki chleba i sucharki, żółty ser, puste opakowanie po maśle, a także dwie szczoteczki do zębów w szklance po soku. Przez otwarte drzwi do antykwariatu przenikały odgłosy wielkiego miasta i świeże, wiosenne powietrze. Leo wyjrzał na Bondegatan, potem zjadł ostatniego pełnoziarnistego sucharka z plastrem sera i starł okruszki z zarośniętej brody.

– I co teraz?

– Najpierw dopiję tę paskudną herbatę, a później pójdę do kawiarni i zamówię sobie dużą *latte*.

– Mam na myśli śledztwo.

– Wiem, co masz na myśli.

Oparła się o szybę wystawy. Kiedy powtarzała odpowiedź z poprzedniego dnia, w jej oczach na moment ukazał się cień irytacji.

– Dla mnie to już zamknięty rozdział. *Finito*.

W trakcie śniadania antykwariat odwiedziły dwie osoby. Student literatury przekartkował wszystkie książki Davida Fostera Wallace'a, ale nie kupił żadnej, zaś kobieta w średnim wieku pytała o drogę do cukierni Vivels Konditori. A teraz weszła trzecia osoba, około osiemdziesięcioletni mężczyzna w lnianych spodniach i koszuli w niebieską kratę. W młodości zapewne był postawny, lecz obecnie miał zaokrągloną sylwetkę. Jego błękitne oczy wpatrywały się w Claudię i Leo siedzących przy oknie.

– Dzień dobry! Przeszkadzam w lunchu?

– Jemy śniadanie – wyjaśnił Leo. – Ale wcale nam pan nie przeszkadza,

w czym mogę pomóc? Szuka pan dobrej książki?

– Nie, wręcz przeciwnie.

– Jak to?

Mężczyzna podszedł bliżej, skinął głową.

– Moja żona, Astrid, zmarła w tym roku.

– Bardzo mi przykro.

– Muszę panu powiedzieć, że ostatnie lata były trudne. Alzheimer. Ale dawniej była pełna życia, miała bystry umysł, prawdziwy mól książkowy, wie pan. Sam za bardzo nie lubiłem czytać, ale Astrid ciągle przesiadywała z książką w fotelu, przez lata zebrała całą bibliotekę.

– Wspaniale.

– Tak było.

Mężczyzna na kilka sekund stracił wątek, zatopił się we wspomnieniach, po chwili jednak roześmiał się serdecznie.

– Ale się rozmarzyłem! No tak, ale teraz jej książki tylko zbierają kurz, więc pomyślałem, że...

– Pewnie, chętnie je obejrzę. Gdzie pan mieszka?

– Tuż za rogiem, na Katarina Bangata. Skąd pan wiedział, o co chciałem zapytać?

– Od czternastu lat prowadzę antykwariat – odpowiedział Leo z uśmiechem.

– Pójdziemy od razu?

– Oczywiście, jak najbardziej mi to odpowiada. Poczekam na zewnątrz.

Leo wstał, zdmuchnął świeczki i założył adidasy na gołe stopy, podekscytowany jak małe dziecko, pochylił się ku Claudii i wyszeptał:

– Uwielbiam oglądać cudze biblioteki, to prawie jak dewiacja seksualna. Co ty na to? Idziesz z nami?

– Pewnie! Chętnie przyjrzę się bliżej tej dewiacji.

– Świetnie, chodźmy.

Leo wyjął marker z szuflady sekretarzyka i na odwrocie rachunku za telefon napisał *ZARAZ WRACAM, LEO*, przykleił po wewnętrznej stronie szyby i zamknął za sobą drzwi na klucz. Następnie cała trójka ruszyła wolnym krokiem wzdłuż Bondegatan, skręcili za róg, na południe i przeszli prawie dwa kwartały. Kiedy znaleźli się w alejce wysadzonej drzewami, starszy pan podniósł głowę, popatrzył na przedpołudniowe słońce, które przedzierało się przez gałęzie, po czym zwrócił się do Claudii:

– Wiosna to piękna pora roku, prawda?

– Bardzo.

– Astrid i ja pobraliśmy się wiosną, 19 kwietnia 1958. A tak w ogóle, jestem Sven-Olof.

– Bardzo nam miło. Mam na imię Claudia, a to Leo.

Mężczyzna zatrzymał się pod adresem Katarina Bangata 38 i wyjął pomiętą karteczkę, na której widniały cztery cyfry.

– Pamięć już nie ta – wyjaśnił i wstukał kod.

Poprowadził ich do środka, schodami w górę, podążali kilka stopni za nim. Kiedy minęli drugie piętro, Claudia chwyciła Leo za ramię i wyszeptała:

– Myślisz, że znajdziemy tam coś wartościowego?

– Raczej nie, ale oglądanie też jest ciekawe.

Na samej górze, na piątym piętrze, Sven-Olof otworzył pomalowane na zielono drzwi i zaprosił ich do środka.

– Wejdźcie, nie trzeba ściągać butów.

Minęli łazienkę i garderobę, w niewietrzonym mieszkaniu można było wyczuć kuchenne zapachy. W głębi długiego korytarza Sven-Olof zatrzymał się i wskazał drzwi.

– Oglądajcie sobie w spokoju, ja pójdę do kuchni. Na łóżku zostawiłem kilka toreb z marketu, możecie w nie zapakować książki, które was zainteresują.

– Dobrze, dziękujemy.

Kiedy mężczyzna oddalił się, weszli do sypialni, której dwie ściany zastawione były regałami z drewna tekowego. Leo podbiegł do tego z brzegu i z ciekawością zaczął oglądać grzbiety książek, półka po półce przebiegał wzrokiem wyblakłe od słońca tytuły.

– *Wow...*

Przypominało to muzeum anglojęzycznych wydań kryminałów z lat 20. i 30. Margery Allingham, G. K. Chesterton, Agatha Christie, Ngaio Marsh, Dorothy L. Sayers, Ronald Knox, autorzy piszący pod pseudonimami Quentin Patrick i Patrick Quentin, setki nazwisk uporządkowanych alfabetycznie, tytuły – chronologicznie.

– Niewiarygodne! Wszystkie tomy o lordzie Peterze Wimseyu! I to w zielonych miękkich okładkach z serii Penguin Crimes.

– A więc to jest ta twoja dewiacja? Stare rozpadające się książki?

– Lepiej być nie może.

Pracowicie zdejmował jeden kryminał po drugim i układał w torbach przygotowanych przez Svena-Olofa. Kiedy przeglądał książki, na podłogę wypadały kartki – grzbiety opraw zeszytowych i klejonych poluzowały się. Na stronach było mnóstwo podkreśleń i okazałych oślich uszu, na marginesach tłumaczenia słówek, gdzieś tam plamy po herbacie i marmoladzie.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś to kupi?

– Oszalałaś? Nikt ich nie weźmie nawet za darmo.

– To co z nimi zrobisz?

– Przeczytam, rzecz jasna. Na niektóre z nich naprawdę się napaliłem, zwłaszcza na kryminały Georgette Heyers z lat 30. O ile dobrze pamiętam, powieść *Why shoot a butler* była naprawdę świetna.

- Czyli już ją czytałeś?
 - W wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat, ale zapomniałem, kto był mordercą.
 - Leo, mogę cię o coś zapytać?
 - Jasne – odpowiedział, nie przestając szperać wśród książek.
 - Nie spodoba ci się to pytanie.
 - Pewnie nie, ale pytaj.
 - Z czego, do jasnej ciasnej, utrzymujesz ten antykwariat?
 - Wielu o to pyta, bardzo wielu.
 - Co odpowiadasz?
 - Po prostu wzruszam ramionami i uśmiecham się tajemniczo – odpowiedział i uśmiechnął się.
 - To ten tajemniczy uśmiech?
 - Taa.
 - Musisz nad nim popracować. Wyglądasz jak Jim Carrey w *Głupim i głupszym*.
 - Jeszcze jakieś komentarze na temat mojej firmy?
 - Mnóstwo, ale nie wiem, czy to w ogóle można nazwać firmą, wygląda na to, że niczego nie sprzedajesz.
 - Przedwczoraj sprzedałem książkę za trzy tysiące koron – *Różany ołtarz* Edith Södergran, oryginalne wydanie z 1990 roku.
 - Za trzy tysiące?
 - *Si, señora.*
 - A za ile ją kupiłeś?
- Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak tajemniczo, jak tylko potrafił. Potem wziął z łóżka kolejną torbę i zaczął układać w niej starannie wybrane książki. Po kilku minutach w drzwiach ukazała się głowa Svena-Olofa, starszy pan z zadowoleniem popatrzył na wypełnione torby.
- Cieszę się, że znalazłeś coś interesującego.
 - Pewnie, jest tu mnóstwo perełek.
 - Wspaniale.
 - Niestety mogę dać tylko tysiąc koron za torbę. Może tysiąc dwieście.
- Sven-Olof machnął ręką.
- Nic za to nie chcę, to ty wyświadczasz mi przysługę.
 - No, ale chociaż pięćset...
 - Nie ma mowy. Może napijecie się kawy?
 - Chętnie, ale naprawdę nie chcemy sprawiać kłopotu.
 - Już wszystko gotowe. Mam też ciastka. Kupne – dodał przeproszającym tonem.
 - Astrid piekła kilka razy w tygodniu, ale ja zupełnie się do tego nie nadaję.
 - Kawa, wspaniale – powiedziała Claudia i skinieniem głowy wskazała na

Leo. – Ten facet ma u siebie tylko herbatę.

– Astrid pijała herbatę, a ja kawę, lubiła taką z miodem i mlekiem, zwłaszcza wieczorami. Chodźcie, nakryłem do stołu.

Podążyli za nim przez salon do otwartej kuchni, w której dominowały odcienie brązu: ekspres przelewowy, poduszki na krzesłach, klasyczne, kraciaste tapety marki Boråstapeter – wszystko w brązach. Na parapecie stało radio, z głośników płynęła druga sonata Brahmsa na wiolonczelę i fortepian. Usiedli przy stole, Sven-Olof nalał kawy i wskazał na talerz z ciastkami.

– Częstujcie się, śmiało.

– Dziękujemy.

Claudia od razu wzięła ciastko, a Leo dwa.

– Mieszkacie tu, na Södermalmie?

Leo skinął głową, już miał wspomnieć o swoim starym mieszkaniu na Götlandgatan, rzut kamieniem od miejsca, w którym właśnie się znajdowali, ale nie zdążył.

– Tak pięknie tu, na Söder – ciągnął Sven-Olof. – Ja urodziłem się i przez pierwsze lata wychowywałem na Bergsundsstrand, przy Hornstull, ale jak miałem dziewięć lat przeprowadziliśmy się na Bjurholmsgatan i od tamtej pory mieszkam tu, w okolicy. Widzicie ten pomnik na dole?

Leo skinął głową, nie wyglądając przez okno.

– Ten, który upamiętnia Lennarta Skoglunda?

– Zgadza się. Wiedzieliście, że pomnik przedstawia Skoglunda trafiającego z rzutu różnego do bramki? Byłem na tym meczu z najstarszym synem, w 1964, mecz z Karlstad, o ile dobrze pamiętam. A wy?

Claudia upiła duży łyk kawy.

– Co my?

– Długo jesteście razem?

– Nie jesteśmy parą.

– Nie? A tak wyglądacie...

Nie dokończył zdania, uczynił tylko gest dłońmi.

– Po prostu znamy się od dawna – wyjaśnił Leo.

W tym momencie zatrzeszczało radio, sonata Brahmsa urwała się, po czym odezwał się poważny męski głos.

– *Przerywamy program, oto specjalne wydanie wiadomości. Rano znaleziono zwłoki kolejnego członka Akademii Szwedzkiej.*

Claudia z hukiem odstawiła kubek, utkwiała wzrok w radioodbiorniku na oknie.

– *Dzisiaj, wczesnie rano, tuż po godzinie siódmej, grupa norweskich obserwatorów ptaków znalazła ciało Sigurda Wilhelmssona w Femundsmarka, kilka kilometrów na zachód od szwedzko-norweskiej granicy. Policja nie podaje okoliczno-*

ści śmierci Wilhelmssona, wiadomo jednak, że pisarz został zastrzelony, najprawdopodobniej przez tego samego sprawcę, który zabił już sześcioro członków Akademii Szwedzkiej. Rzeczniczka policji, Viveka Östling, nie chce komentować sprawy, dopóki nie będą znane wyniki analiz kryminalistycznych. Po południu, o godzinie trzynastej, odbędzie się konferencja prasowa w Komendzie Głównej w Sztokholmie, którą, oczywiście, będziemy transmitować na żywo. Będziemy państwa na bieżąco informować o tym tragicznym zdarzeniu. Nie żyje Sigurd Wilhelmsson. Miał sześćdziesiąt siedem lat.

Wiadomości skończyły się, z głośników znów popłynęła sonata Brahmsa, od momentu, w którym została przerwana, tuż po drugim *Allegro*.

– Okropna historia – powiedział Sven-Olof i upił mały łyżeczek kawy. – Naprawdę okropna.

Leo skinął głową, próbował uchwycić spojrzenie Claudii, ale ta gapiała się przez okno.

– Musimy już iść – powiedział Leo, wstając. – Kto wie, może jakiś klient zajrzy do antykwariatu.

Sven-Olof nie potrafił ukryć rozczarowania, chętnie porozmawiałby dłużej.

– Oczywiście, oczywiście, ale zapraszam ponownie, może znajdziesz tu jeszcze parę ciekawych książek.

– Z pewnością.

Wyszli razem na korytarz, Leo trzymał pełne torby. Odstawił jedną, podał rękę Svenowi-Olofowi i podziękował za książki.

– Nie ma za co – odpowiedział starszy pan. – Zawsze jesteście tu mile widziani.

Claudia spojrzała przelotnie na Svena-Olofa, skinęła głową, ale nie odezwała się. Zaczęła mówić dopiero na schodach. Zbiegając po wąskich betonowych stopniach, wysyczała pod nosem:

– Siedem osób. Ten sukinsyn zabił siedmioro członków Akademii, i będzie zabijał dalej... dopóki go nie powstrzymamy.

– Jak on znalazł Wilhelmssona?

Odwrociła głowę, zaskoczona, prawie zapomniała, że Leo szedł za nią.

– Co?

– Przecież policja szukała go z psami tropiącymi, z helikopterów. Uczniowie całymi klasami przeczesywali okolicę, podobnie kółka emerytów, ale ten jakby zapadł się pod ziemię. Jak morderca, do jasnej ciasnej, zdołał go znaleźć?

– Mikrochipy.

– Żartujesz?

– W ubraniach członków Akademii znaleźliśmy jakieś trzydzieści sztuk. Były w szwach, pod obcasami butów, w rondzie kapelusza. Zabójca umieścił je tam w ciągu ostatnich pięciu lat. Dzięki temu mógł wytropić swoje ofiary na całym

świecie.

– Wygląda na to, że morderca starannie się przygotował.

W westchnieniu Claudii dało się wyczuć zgorzknienie. Wyszli z budynku i ruszyli wzdłuż Katarina Bangata.

– Dochodzenie z każdym dniem się rozrasta – wymamrotała, idąc ocienioną drzewami aleją. – Teraz w sprawę zamieszany jest nawet minister spraw zagranicznych.

– Minister spraw zagranicznych? – zapytał zdyszany Leo, trzymający w każdej ręce ciężką torbę. – Ale w jaki sposób?

– Mamy naocznego świadka w sprawie zabójstwa Rudqvista, to bezdomny pijaczek. Twierdzi, że morderca powiedział: *Nadeszła pora zemsty, Carlu Bildcie*.

– Carl Bildt?

– Tak.

– Czy to nie dziwne?

– I to bardzo. Sądzę jednak, że świadek mówi prawdę.

Dotarłszy do Östgötagan, skręcili za róg, minęli market spożywczy.

– Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale może jest jakieś powiązanie między Bildtem i Akademią Szwedzką? Może coś ich łączy?

– Nie sądzę – odpowiedział Leo.

– Może minister zna któregoś z członków?

– Z tego, co wiem, to nie.

– Czy Bildt w ogóle kiedykolwiek wypowiadał się o literaturze, o książkach?

– Kojarzy mi się, że jego ulubionym pisarzem jest Lars Gustafsson, chyba czytał jego powieść *Tenisiści* w latach 70., ale...

Nagle przystanął.

– Carl Bildt? To były słowa mordercy?

– Tak...

– Czy to możliwe...

– Ale co?

– Może coś pokręciłem.

– O czym tym ty, do diaska, mówisz?

Nie odpowiedział, pobiegł truchtem na Bondegatan, torby w jego dłoniach kołysały się na wszystkie strony. Ostatni kawałek pokonał sprintem, wyciągnął pęk kluczy z kieszeni i zaczął manipulować przy zardzewiałym zamku. Kiedy wreszcie udało mu się otworzyć drzwi, Claudia zdążyła go dogonić.

– Leo, o czym ty mówisz, do cholery?

– Muszę coś sprawdzić...

Wszedł do środka, odstawił torby i zdyszany skierował się do regału na uboczu. Na najwyższej półce odszukał książkę w szytej oprawie, okładka z koziej skóry była już wytarta, ale złocone litery połyskiwały w słońcu: *NORDYCKA ENCY-*

KLOPEDIA RODZINNA, VOL. III, BIE – BRUNE. Od wielu dziesięcioleci nikt nie przewracał stron tego starego tomu, falcowane arkusze szeleściły, kiedy Leo zaczął kartkować książkę, ułożywszy ją na sekretarzyku. W końcu zatrzymał się gdzieś pośrodku.

– Mam!

Palcem wskazującym przesuwając po liniijkach u dołu strony, Claudia czytała mu przez ramię, wpatrując się w zwiężłą notatkę:

Carl Nils Daniel Bildt (1850–1931) – szambelan, historyk i pisarz. Otrzymał tytuł doktora *honoris causa* na uniwersytecie w Uppsali. Reprezentant w Stałym Trybunale Arbitrażowym w Hadze. Od 1901 roku członek Akademii Szwedzkiej, zasiadający na miejscu numer 1.

– Rany boskie...

Kiedy Leo zamknął encyklopedię, w powietrze wzbił się obłok kurzu. Antykwariusz spojrział na Claudię.

– A jeśli zabójcy chodziło o pisarza Carla Bildta? O członka Akademii, który żył sto lat temu?

Claudia nie odrywała wzroku od Leo.

– Wiesz o nim coś jeszcze?

– Niewiele. O ile dobrze pamiętam, na początku dwudziestego wieku był dyplomata, w Rzymie nazwali nawet jego imieniem ulicę, Via Carlo de Bildt. Ale jako pisarz popadł w zapomnienie. Od dwudziestu lat zajmuję się literaturą, ale jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś wspominał o jego książkach.

– Ale co to wszystko znaczy? *Carlu Bildcie, nadeszła pora zemsty*, co zabójca chciał przez to powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, ale wiem, gdzie możemy znaleźć odpowiedź.

– Gdzie?

– W pilnie strzeżonej piwnicy pod budynkiem Giełdy Sztokholmskiej, tam znajduje się archiwum Akademii Szwedzkiej, jeśli gdzieś jest odpowiedź na to pytanie, to na pewno tam.

Claudia zamknęła oczy. Kiedy otworzyła je jakieś dziesięć sekund później, zdążyła już podjąć najważniejszą decyzję w swoim życiu.

– Jadę tam, natychmiast.

– Nie mówiłaś, że to dla ciebie zamknięty rozdział?

– Tak sądziłam, ale muszę sprawdzić to archiwum.

– Dobra. Jadę z tobą.

Claudia chwyciła go, wpijając mu palce w przedramię.

– To dochodzenie w sprawie morderstwa, a nie jakiś gówniany klub czytelniczy.

– Claudia, w archiwum są tysiące notatek z zebrań i listy, pisane odręcznie, pełno w nich określeń, których od końca XIX wieku nikt nie używał. Będę ci potrzebny.

– Posłuchaj mnie, Jeglertz zabronił mi zajmować się tą sprawą, groził, że oskarży mnie o rażące przekroczenie uprawnień służbowych. Nie „przekroczenie uprawnień”, ale „rażące przekroczenie uprawnień”, rozumiesz, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– Jeśli ktoś dopuści się przekroczenia uprawnień, zostanie ukarany grzywną w wysokości kilku stawek dziennych, a jeśli ktoś dopuści się rażącego przekroczenia uprawnień, mogą go zamknąć na sześć lat.

Podeszła do Leo, jej twarz była tak blisko, że niemal się dotykali.

– Jeglertz nie zawaha się, jeśli będzie miał okazję mnie wsadzić. Ciebie potraktuje równie bezwzględnie, jeśli będziesz mi pomagał, rozumiesz? To nie zabawa, do cholery.

Popatrzył jej w oczy, a potem wyjął szyld z napisem: *ZAMKNIĘTE* i wywiesił na drzwiach.

– Jedźmy.

* * *

Niecałe dziesięć minut później Claudia zaparkowała swoją hondę shadow przy Köpmanbrinken, skośnej uliczce na tyłach południowo-wschodniego skrzydła zamku królewskiego. Siedzący za nią Leo zeskoczył z motocykla i razem pobiegli brukowanymi zaułkami. Na wąskich uliczkach tłoczyli się turyści, w powietrzu unosiły się apetyczne zapachy z pobliskich kawiarni.

Od czasów średniowiecza Stortorget był centralnym placem miasta, jego sercem i widownią. To tutaj stracono arystokratów i ich służbę podczas krwawej łaźni sztokholmskiej, tutaj zbierali się mieszkańcy na królewskie śluby i fetowanie koronacji, lecz nigdy miejsce to nie wyglądało tak jak teraz.

Na placu aż roiło się od dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów, na średniowiecznym rynku rozbrzmiewały relacje w dwudziestu językach. Reporterzy radiowi przekrzykiwali się wzajemnie, między dźwiękowcami z Deutsche Welle i NRK doszło do rękoczynów.

Ludzie rozsiani na Stortoget kartkowali książki członków Akademii, szukali pocieszenia w powieściach i tomikach poezji zamordowanych autorów. Kilkanaścioro studentów przysiadło na bruku obok zabytkowej studni miejskiej, Stortorgsbrunnen – byli to literaturoznawcy z Uniwersytetu Sztokholmskiego, którzy czytali na głos fragmenty debiutanckiej powieści Wilhelma Sigurdssona *Więzy krwi*. Nad nimi wszystkimi, niczym czujny rodzic, górował gmach Giełdy Sztokholmskiej, jego pastelowa rokokowa fasada lśniła w słońcu. Schody prowadzące do Wielkiej Sali Giełdy były usłane bukietami kwiatów, listami kondolencyjnymi i świeczkami,

których płomienie drgały na wiosennym wietrze.

Claudia i Leo przepchnęli się przez tłum, minęli wozy transmisyjne i dotarli do białych drewnianych drzwi w południowo-zachodnim szczyście budynku. Leo popatrzył na zaokrągloną klamkę.

– Przeszypując próg, dopuścisz się rażącego przekroczenia uprawnień, wtedy nie będzie już odwrotu. Claudia, jesteś pewna?

– Nie.

Nacisnęła górny przycisk domofonu, pod przezroczystym plastikiem widniał drukowany napis: *SEKRETARIAT AKADEMII SZWEDZKIEJ*. Drzwi otworzyły się niemal od razu, a w progu ukazał się siwowłosa mężczyzna.

– Idźcie stąd. *Go away!* W tej chwili Akademia jest zamknięta, chyba nie muszę wyjaśniać powodów. *The Academy is closed. Geschlossen!* Dziennikarzy prosimy o kontakt z innymi instytucjami.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął zamykać masywne drzwi, ale Claudia zablokowała je prawym butem. W szparze mignęła wściekła twarz mężczyzny.

– Nie jesteśmy dziennikarzami – wyjaśniła spokojnie. – Jestem śledczą z biura kryminalnego Komendy Głównej, nazywam się Claudia Rodriguez, przychodzę tu w związku ze sprawą zabójstwa członków Akademii.

Dokładnie obejrawszy legitymację w jej wyciągniętej dłoni, mężczyzna otworzył drzwi i wpuścił ich do budynku. Powoli kroczyli po posadzce z wapienia, w obszernym przedsionku, a mężczyzna zaryglował za nimi drzwi.

– Jestem intendentem w sekretariacie Akademii Szwedzkiej – wyjaśnił, doganiając ich. – Przepraszam za to szorstkie powitanie, ale, jak państwo rozumieją, ostatnie dni były zupełnie...

Słowa uwięzły mu w gardle.

– Tak, rozumiem – odpowiedziała Claudia, kładąc dłoń na jego ramieniu. – To musiał być dla państwa straszny czas.

Intendent wziął głęboki oddech i opanował się nieco.

– Tak, to potworne, a dzisiaj rano jeszcze wiadomość o śmierci Sigurda. Zastrzelony gdzieś w górach po norweskiej stronie, zgadza się?

– Bardzo mi przykro.

Claudia zerknęła na schody i opustoszałe piętro.

– Jest pan tu sam?

– Tak, kierownik kancelarii nie był w stanie przyjść, kwestor też nie. Są w szoku, pozostali pracownicy również. Muzeum Nobla także jest zamknięte. Ja przeżyłem to równie ciężko, ale ktoś musi odpędzać tych przeklętych dziennikarzy.

– To prawda, trudno przed nimi uciec – wtrącił Leo. – Są jak wataha wygłodniałych wilków, które zwietrzyły zdobycz.

– Ma pan rację, wataha wilków. Ci tak zwani dziennikarze to bestie bez sumienia, wczoraj w nocy jeden z nich wspiał się po fasadzie, wiedzą państwo, taki

paparazzi. Niczym mała uchwycił się rynny na pierwszym piętrze i usiłował sfotografować Wielką Salę, na szczęście udało mi się zepchnąć go po grzebaczem. Chyba Francuz, gałgan jeden. W każdym razie po francusku przeklinał, spadając na ziemię, i wiedźcie państwo, że nie były to ładne słowa.

Intendent rozłożył dłonie w pytającym geście.

– Więc w czym mogę pomóc policji?

– Musimy mieć dostęp do archiwum Akademii Szwedzkiej.

Z twarzy mężczyzny od razu zniknęła uprzejmość.

– To wykluczone. Archiwum to nie biblioteka osiedlowa, do której byle kto może wejść...

– Nie jesteśmy byle kim, pracujemy nad sprawą kilku morderstw.

– Nikt – wysyczał intendent – absolutnie nikt spoza Akademii Szwedzkiej nie może wejść do zamkniętego archiwum. To była pierwsza rzecz, jaką przekazał mi Hubert Rudqvist, kiedy dwadzieścia trzy lata temu rozpocząłem tu pracę.

Chociaż Claudia odpowiedziała cicho, niemal szeptem, jej głos dał się wyraźnie słyszeć w przestronnym holu.

– Hubert Rudqvist nie żyje. Trzy dni temu został zamordowany, strzelono mu w głowę z rewolweru czarnoprochowego, ofiarą zabójcy padło też sześcioro innych członków Akademii. Jeśli nie pozwoli nam pan wejść do archiwum, być może kolejne osoby stracą życie. Chce pan mieć ich na sumieniu?

Intendent spuścił wzrok. Gapiąc się w kamienną posadzkę, powoli potrząsnął głową.

– Więc proszę otworzyć archiwum – powiedziała Claudia. – Proszę pozwolić nam tam wejść.

Mężczyzna wahał się jeszcze kilka sekund, wreszcie wskazał wąski korytarz prowadzący piętro niżej, do piwnicy.

– Tędy.

Przeszli korytarzem i zatrzymali się przed niskimi drzwiami zatopionymi w murowanej ścianie. Intendent patrzył na nie chwilę, następnie wyjął gruby pęk kluczy i otworzył dwa zamki. Rozległo się głośnie skrzypienie, kiedy odchylił metalowe skrzydło, a następnie zaczepił je o haczyk wystający z muru.

– Tutaj – odezwał się – przechowywane są najcenniejsze skarby literatury szwedzkiej, trzeba obchodzić się z nimi niezwykle ostrożnie.

– Proszę się nie niepokoić – odpowiedziała Claudia. – Książki będą w dobrych rękach.

Skinieniem głowy wskazała na Leo.

– W jego rękach.

Intendent zerknął przelotnie na towarzysza Claudii. Potem zeszli po kamiennych schodach, przez osiemnastowieczny, ciasny, sklepiony korytarz. Na dole, wzdłuż zachodniego skrzydła budynku, znajdowały się trzy pomieszczenia, kilka

pojedynczych żarówek oświetlało wewnątrz złotobrazowym blaskiem. Za okratowanymi okienkami widniały uliczki starego miasta i mrowie przebiegających tamtędy nóg.

– Niewiele osób z zewnątrz widziało to miejsce, może nawet państwo weszli tu jako pierwsi.

Intendent podążył w głąb archiwum, odgłos jego kroków odbijał się echem od kamiennego sklepienia, z ruchów i tonu głosu biła duma.

– To zamknięte archiwum Akademii Szwedzkiej, jeden z najwspanialszych skarbców literatury światowej, fakt, że pozwałam państwu tu przebywać i poznać tajemnice Akademii, to dowód wielkiego zaufania.

Utkwił wzrok w Claudii i Leo.

– Nie nadużycie go.

Leo położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Nie zrobimy tego, ma pan nasze słowo.

Intendent popatrzył na niego i skinął głową, wydawało się, że między nimi zawiązało się porozumienie bez słów.

– Jeśli będę potrzebny, znajdą mnie państwo w biurze, obok Wielkiej Sali. W witrynie są lampy do czytania, gdyby było państwu za ciemno.

Uczył kilka kroków, ale zatrzymał się jeszcze na najniższym stopniu i nieznacznie odwrócił ku nim głowę.

– Dorwicie tego przekłętego mordercę, o nic więcej nie proszę.

A potem wszedł na górę po nierównych stopniach, odgłos kroków stawał się coraz cichszy, aż wreszcie zanikł zupełnie.

Claudia i Leo zostali sami w archiwum, otoczeni regałami i tysiącami tajnych pism. W tym podziemnym pomieszczeniu panowała niemal podniosła atmosfera, a zarazem wyczuwało się tu coś przerażającego, podmuchy chłodnego powietrza przemykały wokół nich niczym upiory w nawiedzonym grobowcu. Martwi pisarze żyli na tych regałach jako duchy z czerpanego papieru i atramentu. Wiekowe księgi, protokoły, listy pisane odręcznie przez poetów i królów przed setkami lat.

– Co członkowie Akademii właściwie robią w tym budynku?

Leo odpowiedział szeptem, jak gdyby znajdował się w kaplicy cmentarnej.

– Co czwartek, punkt siedemnasta, rozpoczynają zebranie. Siedzą wtedy w sali konferencyjnej, która znajduje się dokładnie nad nami. Nikt spoza Akademii nie może uczestniczyć w tych spotkaniach.

– Absolutnie nikt?

– Nawet król i jego potomkowie. Tak stanowi statut.

– Pewnie wielu ciekawi, o czym rozprawiają.

– Chyba każdy dziennikarz z działu kultury czy literaturoznawca dałby sobie prawą rękę uciąć, żeby móc ich podsłuchać.

– Podejrzewam, że ty też.

– Pewnie tak – odpowiedział Leo z uśmiechem.

– O czym dyskutują na tych zebraniach?

– Ich najważniejsze zadanie to wyłonić laureata Literackiej Nagrody Nobla.

Co czwartek spędzają na rozmowach kilka godzin, a stały sekretarz spisuje w protokole wszystko, co ważne.

– Ale nikt nie pozna treści tych dyskusji?

– Wszystkie nominacje do nagrody Nobla i oceny ekspertów objęte są tajemnicą przez pięćdziesiąt lat, a po tym czasie przekazywane do publikacji w tomach zbiorczych, które można kupić w zwykłej księgarni. Natomiast największe sekrety kryją się w rękopisach notatek sekretarza. Te przechowywane są tutaj, w piwnicy, nikt spoza Akademii Szwedzkiej nie będzie mógł ich nigdy przeczytać.

– Nikt poza tobą.

Leo z zadumą pokiwał głową. Patrzył na tysiące pism upchniętych wzdłuż ścian, przesunął dłonią po grzbietach z cielejącej skóry i oprawach z tkanin płócienych, ozdabianych koronkowym wzorem.

– Oczywiście to tylko spekulacja, ale może będzie tu coś o Carlu Bildcie, coś, co wyjaśni, dlaczego zabójca wymienił z nazwiska tego członka Akademii.

– Być może.

Powoli kroczył wzdłuż regałów, czytając złote tłoczone tytuły książek.

– Carl Bildt został wybrany na członka Akademii w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, to był szczególny czas dla tej instytucji.

– Dlaczego?

– W tym roku po raz pierwszy wręczono Nagrodę Nobla.

– Okej, wybrano go w 1901. Jak długo był członkiem Akademii?

– Do śmierci, do 1931.

– Czyli trzydzieści lat?

– Taa.

– Innymi słowy, będziesz musiał przeczytać trzydzieści roczników, mam nadzieję, że z chęcią zatopisz się w lekturze.

Leo odpowiedział szerokim uśmiechem. Zaszły się w labiryncie regałów i po chwili znalazł właściwy dział: miedzianoczerwoną półkę z mahoniu w głębi pomieszczenia.

– Tutaj znajdują się notatki z zebrań sporządzane przez sekretarzy Akademii od czasów Gustawa III do dzisiaj.

Trzy najwyższe półki były szczelnie wypełnione grubymi tomami, uporządkowanymi chronologicznie. Leo zdjął jeden ze środkowego rzędu, pozłacane litery wyraźnie połyskiwały w świetle żarówek: *Rocznik Akademii Szwedzkiej, 1901*. Trzymał książkę obiema dłońmi, ostrożnie, jakby podnosił noworodka.

– Pomyśl – wyszeptał – przez sto lat zaledwie kilka osób dotykało tego tomu. Kto wie, może jestem pierwszym, który czyta te słowa od chwili ich spisa-

nia.

Wyjął z witryny lampę. Usiadł w fotelu, zaczął ostrożnie przeglądać zapiski i czytać słowa przez ponad wiek ukryte w oprawie z marokinu. Claudia siadła naprzeciwko.

– Czego właściwie szukamy?

– Nie mam pojęcia.

Pośpiesznie czytał notatki stałego sekretarza, trudne do odcyfrowania odręczne pismo wypełniało kolejne kartki papieru, od góry do dołu, setki adnotacji, skreśleń, niewyraźnych poprawek, kleksy.

Po dobrej godzinie lektury ostrożnie zamknął książkę w brązowej oprawie z kozłej skóry, wstał i rozprostował zdrętwiałe nogi.

– Znalazłeś coś ciekawego?

– Mnóstwo, ale nic z tego nie dotyczy Carla Bildta.

Odłożył rocznik na właściwe miejsce, zdjął kolejny i zagłębił się w notatkach z 1902 roku.

Tak mijał im dzień, w podziemiach budynku Sztokholmskiej Giełdy, godzina za godziną. Intendent zajrzał do nich raz, przyglądał się Leo, który właśnie zaczął czytać tom z 1911.

– Zauważyłem, że bardzo ostrożnie przewraca pan kartki, nie dotykając ich w miejscach, gdzie atrament naruszył papier, od razu widać, że miał pan do czynienia z cennymi przedmiotami.

– Ale nie z tak cennymi jak te.

Intendent skinął głową, po czym podszedł do stolika między fotelami i postawił na nim dwie butelki wody mineralnej oraz owoce.

– Pomyślałem, że państwo zgłodnieli, przesiedzieli tu państwo już pełny dzień roboczy.

– Dziękujemy, to miło z pana strony – powiedziała Claudia, sięgając po jabłko.

– Znaleźli państwo coś?

– Nie.

– Jeszcze nie – dodał Leo z pełnymi ustami, zajadając się bananem.

– Jeśli mogę w czymś pomóc, proszę śmiało mówić, nikt nie orientuje się w tej materii lepiej ode mnie.

– Oczywiście – odpowiedział Leo. – Poprosimy o pomoc... jeśli znajdzie potrzeba.

Intendent zwlekał jeszcze chwilę, może czekał na pytanie o skomplikowaną strukturę archiwum, o zawiłą system numeracji, lecz goście siedzieli w milczeniu, pałaszując owoce.

– Jak mówiłem, proszę się nie wahać, jeśli będą państwo potrzebować pomocy.

Mężczyzna wyszedł z archiwum. Claudia ugryzła spory kęs drugiego jabłka, patrzyła na schody, czekając, aż ucichną kroki intendenta.

– Chyba nigdy jeszcze nie byłam tak głodna.

– To tak jak ja.

W ciągu kilku minut zjedli wszystkie owoce i wypili wodę do ostatniej kropli. Leo powrócił do lektury niekończących się akapitów rocznika. Wkrótce zauważyli, że zapadł wieczór, za wychodzącymi na ulicę okienkami robiło się coraz ciemniej, coraz rzadziej pojawiały się nogi przechodniów, cichł gwar głosów na Stortorget

Nagle Claudia spostrzegła, że Leo zmienił się na twarzy, z zadumą przesunął palcami po brzegu okładki.

– Znalazłeś coś?

– Sam nie wiem – wymamrotał w odpowiedzi. – Może.

– Coś o Carlu Bildtcie?

– I tak, i nie.

– Jak to?

– W żadnym z roczników nie ma o nim wzmianki, nigdzie. Ale w tym tekście został podany numer jego miejsca.

Claudia wstała z fotela i przykucnęła obok Leo.

– Co to za tekst?

– Notatka z 1911, spisana przez Carla Davida af Wirséna.

– Kto to?

– Pełnił funkcję stałego sekretarza Akademii pod koniec XIX i na początku XX wieku, zdaje się, że napisał tu coś o Nagrodzie Nobla.

Pochylili się nad protokołem Wirséna i zaczęli czytać notatki z zebrania, linijki nakreślonych czarnym atramentem liter wiły się po pożółkłej karcie.

Nathan Söderblom – profesor teologii i religioznawstwa Uniwersytetu w Uppsali i proboszcz parafii Świętej Trójcy – z niemal dwutygodniowym opóźnieniem zgłosił kandydaturę do Literackiej Nagrody Nobla w 1911 roku. Nominowanym jest wszystkim nam znany pisarz August Strindberg.

Czy Akademia Szwedzka, mimo iż propozycja nadeszła po wyznaczonym terminie, ma ją uwzględnić, wybierając kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla w 1911 roku?

Z uwagi na tę wątpliwość rozstrzygnęliśmy – w czwartek 2 lutego – ową kwestię w jawnym głosowaniu. Wszystkim członkom przypominano, zgodnie z zapisem w testamencie Alfreda Nobla, że przy wyborze kandydata należy również kierować się jego narodowością. Wyraźnym życzeniem Alfreda Nobla było, aby Skandyna-

wów nie nagradzano częściej niż kandydatów z innych krajów. Wśród nominowanych, na liście sporządzonej przez Komitet Noblowski, znajdują się już dwie osoby narodowości szwedzkiej. Nr 13: Gustaf Fröding, zaproponowany przez Adolfa Noorena i S. J. Boëthiusa, profesorów Uniwersytetu w Uppsali. Oraz nr 23: Verner von Heidenstam, zgłoszony przez Fredrika Wulffa, profesora Uniwersytetu w Lundzie. Poza tym laureatka Literackiej Nagrody Nobla w 1909 roku, Selma Lagerlöf, również jest narodowości szwedzkiej.

Głosujący odpowiadali na następujące pytanie: Czy August Strindberg ma otrzymać nominację do Literackiej Nagrody Nobla w 1911 roku?

Wyniki głosowania osiemnastu członków przedstawiają się następująco:

Miejsce nr 1: Nie

Miejsce nr 2: Tak

Miejsce nr 3: Tak

Miejsce nr 4: Nie

Miejsce nr 5: Tak

Miejsce nr 6: Tak

Miejsce nr 7: Tak

Miejsce nr 8: Nie

Miejsce nr 9: Tak

Miejsce nr 10: Nie

Miejsce nr 11: Tak

Miejsce nr 12: Nie

Miejsce nr 13: Nie

Miejsce nr 14: Nie

Miejsce nr 15: Tak

Miejsce nr 16: Tak

Miejsce nr 17: Nie

Miejsce nr 18: Nie

Z powyższego wynika, że dziewięciu członków było za, a dziewięciu przeciw. W sytuacji, gdy głosowanie nie przynosi jednoznacznego rozstrzygnięcia, statut Akademii podaje jasno, jak należy postąpić: decydujący jest głos stałego sekretarza. W tym przypadku stały sekretarz, miejsce numer 8, zagłosował: Nie.

Tym samym sprawa zostaje uznana za zamkniętą.

August Strindberg nie otrzyma nominacji do Literackiej Nagrody Nobla w 1911 roku. Zgłaszający tę kandydaturę, profesor Nathan Söderblom, zostanie jak najszybciej poinformowany o tym, iż jego propozycja nie będzie brana pod uwagę, ponieważ nadeszła po wyznaczonym terminie.

Carl David af Wirsén

Stały Sekretarz Akademii Szwedzkiej

2 lutego 1911

Leo wodził wzrokiem po rękopisie, po stuletniej liście z wynikiem głosowania, a kiedy dostrzegł pewną prawidłowość kryjącą się w starannych notatkach Wirséna, jego dłonie zaczęły drżeć.

- Rany Boskie...
- Co takiego?
- To raczej nie przypadek, to niemożliwe.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– Poczekaj...

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął kartkę papieru z aktualną listą członków Akademii, przyłożył ją do listy w roczniku, następnie porównał oba spisy, podkreślając w pośpiechu nazwiska ogryzkiem ołówka.

Członkowie Akademii 2012

Członkowie Akademii 1911

Miejsce nr 1: Hubert Rudqvist

Miejsce nr 1: Nie

Miejsce nr 2: Beatrice Elmsten

Miejsce nr 2: Tak

Miejsce nr 3: Leif Linder

Miejsce nr 3: Tak

Miejsce nr 4: Sixten Hjärpe

Miejsce nr 4: Nie

Miejsce nr 5: Kristine Dahlberg

Miejsce nr 5: Tak

Miejsce nr 6: Nils T. Flodström

Miejsce nr 6: Tak

Miejsce nr 7: Jan Koskinen

Miejsce nr 7: Tak

Miejsce nr 8: Sonja Bergwall

Miejsce nr 8: Nie

Miejsce nr 9: Lisbeth Hansson

Miejsce nr 9: Tak

Miejsce nr 10: Sigurd Wilhelmsson

Miejsce nr 10: Nie

Miejsce nr 11: Hans Ekberg

Miejsce nr 11: Tak

Miejsce nr 12: Gun-Britt Höök

Miejsce nr 12: Nie

Miejsce nr 13: Orvar Scheele

Miejsce nr 13: Nie

Miejsce nr 14: Per Birkenfeldt

Miejsce nr 14: Nie

Miejsce nr 15: Göran Wallin

Miejsce nr 15: Tak

Miejsce nr 16: Siv Persson McKenzie

Miejsce nr 16: Tak

Miejsce nr 17: Vilgot Elmander

Miejsce nr 17: Nie

Miejsce nr 18: Klas Fahlén

Miejsce nr 18: Nie

Kiedy skończył, odłożył ołówek i wyszeptał ledwie słyszalnym głosem:

– On nie zabija konkretnych członków Akademii...

– Że co?

– On zabija według miejsc.

– Jak to?

– Sama zobacz!

Leo przesunął szybko palcem wskazującym po pierwszej linijce listy z wynikami głosowania zapisanymi w roczniku, następnie wskazał na kartkę z aktualnym spisem członków Akademii.

– Widzisz tę prawidłowość?

– Tak – odpowiedziała cicho. – W tysiąc dziewięćset jedenastym Carl Bildt zajmował miejsce numer jeden. Sto lat później na tym samym miejscu zasiadał Hubert Rudqvist.

Leo skinął głową, twarz miał zupełnie bladą.

– Morderca zabija według miejsc zajmowanych przez członków, którzy głosowali przeciw. Zabija tych, którzy nie wyrazili zgody na nominację Augusta Strindberga do Literackiej Nagrody Nobla w 1911.

Claudia zaczęła chodzić w tę i w tę, jej cień przesuwiał się po ścianach.

– Tu chodzi o zemstę – wymamrotała. – Szaleńczą zemstę za wydarzenia sprzed stu lat.

Nagle przystanąła i spojrzała na aktualną listę.

– Zabójca zastrzelił już siedmioro członków zajmujących miejsca tych, którzy głosowali przeciw, zostało tylko dwoje. Miejsca numer dwanaście i siedemnaście.

Leo skinął głową. W piwnicznym archiwum rozległ się jego drżący głos.

– Tak, miejsca te zajmują Gun-Britt Höök i Vilgot Elmander.

Część druga
– *O crux, ave, spes unica* –

Pablo Neruda

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1971 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za poezję, która z nadzwyczajną siłą wyrażała los całego kontynentu”

17 maja 2012

Cmentarz był pogrążony w ciemności. Ponad koronami drzew majaczyła sylwetka kościoła świętego Jana, bladozielona wieża odcinała się na tle nocnego nieba, a w wielkim gotyckim oknie odbijał się blask księżyca. Ceglaną fasadę zdobiły figury z granitu: apostołowie, Chrystus, bezcielesne twarze wpatrujące się w nagrobki, w mroku wszystkie wyglądały tak samo, upiorne i żądne zemsty.

Stanisław Kosiński wyjął butelkę wódki i zbliżył się do starej dzwonnicy przy kościele. Często szukał tu na noc schronienia, nie przerażały go groby ani opowieści o duchach. Cmentarz był idealnym miejscem spoczynku, zarówno dla zmarłych jak i żywych, a alkohol i gazety miały zapewnić mu ciepło przez najbliższe godziny. Powoli podniósł butelkę do popękanych ust, przełknął wódkę, a potem ułożył się wygodnie pod granitowym cokolem.

Tymczasem w miejscu pamięci, przy żeliwnym krzyżu, ukazały się dwie postaci, ledwie dostrzegalne zza drzew. Ich zamiar był jednak oczywisty, w głuchej ciszy Stanisław dosłyszał, jak wypowiadają jego imię. Zdecydowanym krokiem podeszły do przykościelnego trawnika, zbliżyły się do dzwonnicy, ich wzrok szukał Stanisława. Bezdomnego ogarnęło przerażenie, na czoło wystąpił mu pot, wstał i w półmroku poczłapał dalej, ciągnąc po zwirowej ścieżce poranioną nogę.

Kiedy się odwrócił, wciąż widział owe dwie postaci, były już wśród pomników, jakieś czterdzieści metrów za nim. Zamachnąwszy się gwałtownie, próbował rzucić w ich kierunku butelką – nie miał nic innego, żeby się bronić – ale zanim wypuścił ją z ręki, potłukła się, uderzając o nagrobek i pozostawiając w jego pięści odłamki szkła. Z zakrwawionymi kłykciami poczłapał dalej, w dół David Bagares gata, minął ciemne drzwi kamienic, opustoszały budynek parkingu. Kiedy się rozejrzał, wydawało mu się, że postaci zniknęły, rozplynęły w ciemności, mimo to nie zwalniał tempa. Chwiejnym krokiem podążał dalej sztokholmską ulicą, zostawiając za sobą rząd taksówek i mrugające neony. Birger Jarls gatan przepęniały gwar i przytłumione taneczne rytmy, z nocnych klubów wydobywały się pulsujące dźwięki. Przy Stureplan postaci znów się pojawiły, mężczyzna i kobieta, zastąpiły

mu drogę, wyłaniając się z ciemności niczym dwa upiory.

– Panie Stanisławie, proszę się nie bać, nie zrobimy panu krzywdy. Mam na imię Claudia, pracuję w policji, a to Leo, chcemy tylko porozmawiać.

Leo podał Stanisławowi kilka chusteczek, ten przyjął je, wciąż czujny, i pośpiesznie owinął poranione dłonie.

– Szukamy pana od jakiegoś czasu – powiedziała Claudia. – Tu i na Södermalme. Od pracownicy Stowarzyszenia Pomocy Potrzebującym, Lottie, wiemy, że często bywa pan w pobliżu świętego Jana, tak pana znaleźliśmy.

Stanisław oddychał ciężko, na jego napuchniętej czerwonej twarzy połyskiwały krople potu.

– Cmentarz to dobre miejsce – odpowiedział zdyszany.

– Doskonale rozumiem.

Claudia zbliżyła się ostrożnie i położyła dłoń na drżącym ramieniu bezdomnego.

– Panie Stanisławie, wiemy, co pan widział w parku Berzeliusa. Opowie pan, co pamięta z tamtej nocy? Może pan to dla nas zrobić?

– Wszystko już powiedziałem.

Claudia wyjęła z tylnej kieszeni dwa banknoty stukoronowe i włożyła je w lewą dłoń Stanisława.

– Proszę powiedzieć jeszcze raz.

– Dobra – zgodził się i schował pieniądze do kieszeni kurtki. – To stało się bardzo szybko, ale wszystko widziałem. Morderca chyba czekał za drzewem albo za krzakiem. Kiedy pojawił się pisarz, ten drugi wyszedł i powiedział: *Nadeszła chwila zemsty, Carlu Bildcie.*

– Nie mówili nic więcej?

– Chyba nie.

– Rozpoznałby pan głos mordercy?

– Może. Nie wiem.

– No dobrze, co było później?

– Potem tamten strzelił do pisarza. Z rewolweru. Tu, w środek czoła.

– Pamięta pan coś jeszcze?

– Tak. Rewolwer był bardzo stary. Mój dziadek z Wrocławia miał taki. A kiedy tamten strzelił, czuć było... jak to się nazywa...

– Siarka?

– Tak, siarka! Śmierdziało siarką i był dym, mnóstwo dymu. Nic więcej nie wiem. Morderca strzelił i poszedł w stronę Norrmalmstorg.

– Jak wyglądał? Może go pan opisać?

– Miał kapelusz.

– Kapelusz?

– Tak. Taki duży, czarny.

– Pamięta pan coś jeszcze? Jakieś znaki szczególne?

W twarzy Stanisława odbijało się światło neonów i latarni, potrząsnął głową, w jego spojrzeniu wyraźnie widać było niepewność.

– Miał wąsy... chyba. Albo brodę. I wydaje mi się, że...

Nagle słowa uwięzły mu w gardle, wpatrywał się jak zaczarowany w coś ponad ramieniem Claudii. Wreszcie wskazał palcem.

– O, tak wyglądał! Tak!

Począł po kamiennych płytach pod księgarnię Hedengrensbokhandel i przycisnął dłoń do witryny. Za podświetloną szybą stały nowe wydania *Czerwonego pokoju* i *Spowiedzi szaleńca*, biografie i antologie opublikowane z okazji jubileuszu. Tomy w twardych oprawkach ułożone były w metrowych stosach, a pomiędzy nimi wisiało powiększone zdjęcie w sepii wykonane Strindbergowską „Wunderkamerą”²²⁾ – fotografia pisarza, którego stulecie śmierci właśnie obchodzono. Stanisław wskazał dłonią na obraz sprzed wieku.

22) Wunderkamera – aparat fotograficzny, który August Strindberg – poza pisarstwem zajmował się m. in. fotografią – skonstruował w 1906 roku wspólnie z Hermanem Andersonem. Aparat miał służyć do wykonywania portretów twarzy w naturalnej wielkości (przyp. tłum.).

– Tak wygląda zabójca!

Leo podszedł bliżej i utkwił wzrok w podobiznie słynnego autora.

– Zabójca był podobny do Augusta Strindberga?

Stanisław potrząsnął głową, a kiedy odpowiadał, z jego ust wydobyła się mdląca woń jałowcowej wódki.

– Nie podobny. To on *jest* mordercą.

* * *

Niecałe pół godziny później Lars Lövdén szedł przez tonący w nocnych ciemnościach park Kronoberg. W palcach trzymał Gauloisesa, a z kieszeni na piersi wystawało błękitne opakowanie, powoli podniósł prawie już dopalonego papierosa do ust i zaciągnął się. Podążał na zachód, w dół opustoszałego wzniesienia, do swojego BMW coupé, które zaparkował pod całodobową siłownią przy Sankt Göransgatan. Kiedy mijał krzak czarnego bzu, w ciemności rozległ się głos:

– Przecież rzuciłeś palenie, nie pamiętasz?

Komendant zatrzymał się gwałtownie i odwrócił w stronę spowitych cieniem zarośli. Z jego ust wydobył się biały dym, kiedy wyszeptał:

– Claudia, to ty?

Z krzewów dzikiego bzu dobiegł odgłos kroków i suchy trzask. Zza obsypanych białymi kwiatkami gałązek wyłoniły się dwie osoby. Na ich widok z oczu Lövdéna od razu zniknęło zmęczenie.

- Wszystko w porządku?
- Tak – odpowiedziała Claudia. – Musiałam się z tobą spotkać, mam nadzieję, że cię nie przestraszyliśmy.
- Spędziłem cały dzień z Jeglertzem, po czymś takim nie boję się niczego.
- Coś nowego w sprawie?
- Sporo – odpowiedział Lövdén – ale nic istotnego. Technicy znaleźli kolejnych jedenaście mikrochipów, wszystkie były ukryte w butach i sukienkach...
- Gun-Britt Höök?
- O, kurde, skąd wiesz?
- Po prostu zgadłam – odparła, uśmiechając się krzywo. Wskazała na wysokiego, chudego mężczyznę po swojej prawej.
- To Leo Dorfman.
- Dawny znajomy? Antykwariusz?
- Taa, zgadza się. Miło mi.
- Wzajemnie.
- Lövdén uściskał wyciągniętą dłoń Leo, po czym zwrócił się do Claudii.
- Dzwoniłem do ciebie kilka razy w ciągu dnia, nie odbierałaś. Co porabialiście?
- Claudia powoli wydobyła się z krzaków, w świetle latarni Lövdén dostrzegł iskry w jej ciemnych oczach.
- Co porabialiśmy? Zaraz się dowiesz.

Winston Churchill

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1953 roku

Uzasadnienie Akademii Szwedzkiej:

„za wielkie mistrzostwo utworów o charakterze historycznym i biograficznym, a także błyskotliwą sztukę oratorską, przy której pomocy bronił najwyższych humanistycznych wartości”

17 maja 2012

W sali konferencyjnej panowała cisza. Wszyscy członkowie grupy dochodzeniowo-śledczej zmęczonym wzrokiem, nie kryjąc zdziwienia, wpatrywali się w Komendanta Okręgowego Policji, który właśnie poinformował ich o spotkaniu z Claudią Rodriguez i Leo Dorfmanem.

Stojąc we wnęce okiennej, kilka metrów dalej, Rod Jeglertz spoglądał na spowite w nocne ciemności miasto, nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Ciszę przerwała wreszcie Lena Bouvin, dyrektor Narodowych Sił Specjalnych.

– To jakieś szaleństwo. Sprawca zabija członków Akademii, a raczej osoby zasiadające na miejscach członków, którzy w 1911 nie chcieli dać Strindbergowi Nobla? Czy dobrze zrozumiałam?

– Tak – odpowiedział Lars Lövdén. – Wydaje się, że seria zabójstw jest aktem zemsty za nieprzyznanie nominacji.

– I wszystko wskazuje na to, że sprawca był przebrany za Strindberga?

– Zgadza się.

– Claudia miała rację – odezwał się Birger Sjölin. – Potrzebujemy literaturoznawcy.

Jego słowa zawisły w powietrzu, nikt nie wyraził sprzeciwu. Po chwili Lövdén zaczął mówić dalej.

– Dzisiejsza noc przyniosła odpowiedzi na wiele pytań. Wiemy już na przykład, dlaczego zabójca darował życie Beatrice Elmsten.

Przedstawiciel SÄPO, Claes Rothman, skinął głową.

– Elmsten zasiada na miejscu tego członka Akademii, który w 1911 głosował za przyjęciem nominacji?

– Zgadza się. Wiemy także, co miał na myśli Sixten Hjärpe, wypowiadając swoje ostatnie słowa: *Zawsze tobą gardziłem, ty parszywy, zadufany w sobie sukiny-synu*. Nie chodziło mu o krytyka literatury z „Dagens Nyheter”, czy głośnego sąsia-

da, Hjärpe mówił do największego szwedzkiego pisarza wszech czasów.

– Wydaje się, że sam Hjärpe miał na ten temat inne zdanie.

Na ustach Lövdéna zagościł przelotny uśmiech.

– Leo Dorfman opowiedział o ciekawym zdarzeniu z końca lat 80. Wtedy ufundowano Nagrodę Augusta²³⁾, a Hjärpe w związku z tym faktem opublikował w „Expressen” kontrowersyjny artykuł. Napisał, że August Strindberg to hańba dla literatury szwedzkiej i wezwał czytelników, by używali książek pisarza do tego, do czego najlepiej się nadają – jako podpałkę i papier toaletowy. zaproponował też, by nowe wyróżnienie przyjęło nazwę Nagroda Selmy, od noblistki Selmy Lagerlöf.

23) Augustpriset – nagroda literacka przyznawana od 1989 roku przez Szwedzkie Stowarzyszenie Wydawców dla najlepszych książek opublikowanych w języku szwedzkim w Szwecji. Nazwano ją na cześć Augusta Strindberga (przyp. tłum.).

Oparcie plastikowego krzesła zaskrzypiało, kiedy Lövdén odchylił się do tyłu.

– Wszystkie działania mordercy wydają się drobnymi elementami gigantycznej układanki.

– Tak – powiedział Birger Sjölin. – Człowiek od razu myśli o dacie.

– Jakiej dacie?

– Hubert Rudqvist został zastrzelony 14 maja 2012, prawda? Tego dnia minęło sto lat od śmierci Strindberga. Co więcej, zabójstwa dokonano w pobliżu restauracji Berns Salonger, gdzie owego wieczora obchodzono tenże jubileusz, to zapewne nie przypadek.

Frank Larsson skinął głową.

– A rewolwer czarnoprochowy, z którego strzelał sprawca, to Remington New Model Army, prawdopodobnie wyprodukowany w latach 60. XIX wieku, w Ilion, na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, ustalili to technicy z laboratorium w Linköping. Strindberg urodził się w 1849, o ile dobrze pamiętam ze szkoły, żył więc w tym samym okresie, z którego pochodzi broń, to z pewnością też nie przypadek.

Claes Rothman parsknął.

– Morderca ubiera się jak Strindberg, mówi jak Strindberg, używa rewolweru czarnoprochowego z XIX wieku. Do jasnej cholery, wygląda to tak, jakby sam Strindberg powstał z grobu, żeby dokonać zemsty.

Rod Jeglertz cały czas stał przy oknie, przyglądając się zebranym – spojrzenia jego słynnych srebrnobłękitnych oczu nie zmąciło ani jedno mrugnięcie. Kiedy uniósł lewą dłoń, wszyscy w sali natychmiast umilkli.

– Stanęliśmy przed ważnym wyborem. Musimy podjąć decyzję i to szybko. Czy powinniśmy podać tę informację do wiadomości publicznej?

Przez chwilę pytanie pozostało bez odpowiedzi, zaraz jednak Claes Rothman potrząsnął głową.

– Ujawnienie tego będzie miało negatywne skutki. W tej chwili zabójca nie podejrzewa, że znamy jego motyw i kostium, po raz pierwszy mamy przewagę nad tym sukinsynem, wiemy coś, czego on nie wie.

– Być może – odezwała się Lena Bouvin. – Ale przecież ktoś w tym kraju musi wiedzieć o fascynacji sprawcy osobą Strindberga, ktoś musiał widzieć ten jego strindbergowski wąsik albo słyszeć, jak mówi z nienawiścią o nagrodzie, której nie przyznano pisarzowi. Dlatego uważam, że powinniśmy ujawnić, co wiemy.

– Zgadza się – powiedział Lövdén. – To rozwiązanie ma więcej zalet niż wad, powinniśmy jak najszybciej zwołać konferencję prasową i podać te informacje do publicznej wiadomości.

– Pytanie tylko, *jak* to powiedzieć.

Wszyscy spojrzeli na Birgera Sjölina.

– Co masz na myśli?

– Od kilku miesięcy wszędzie odbywają się imprezy poświęcone pamięci Strindberga. Jubileusz obchodzony jest w całym kraju, ba, nawet za granicą. W prasie i telewizji co chwilę ukazują się zdjęcia pisarza, teatry wystawiają *Pannę Julię* i *Ojca*, i jakie tam jeszcze sztuki Strindberg napisał. Börje Ahlstedt wcielił się w jego postać na scenie Teatru Dramatycznego, Shanti Roney gra młodego Strindberga w Teatrze Miejskim, sam byłem niedawno na premierze. Wznawia się najślynniejsze powieści pisarza, z jego portretem na okładkach. Są czarno-białe fotografie i kolorowe reprodukcje obrazów, raz Strindberg jako młodzieniec z rzadkim wąsikiem, to znów jako starszy pan o pomarszczonej twarzy i krzaczastych brwiach. Krótko mówiąc, istnieją setki jego wizerunków, musimy stworzyć własny.

Frida Zetterlund pochyliła się nad stołem.

– Na komendzie jest ekspert, który sporządza portrety cyfrowe, nazywa się Anders Fredin, używa programu komputerowego E-FIT, nikt nie robi tego lepiej niż on.

Lövdén miał w palcach błękitną paczkę Gauloises.

– Fredin powinien porozmawiać z tym Kosinskim, żeby uzyskać szczegółowy rysopis. Potem przygotowuje wizerunek sprawcy jako Strindberga, coś w rodzaju portretu pamięciowego.

Większość zebranych pokiwała głowami, ale Claes Rothman zmarszczył czoło z dezaprobatą.

– Mamy w tej kwestii złe doświadczenia. Mężczyzna z Hagi²⁴), zabójstwo Palmego, mężczyzna z laserem, w tych trzech przypadkach portret pamięciowy przyniósł więcej szkody niż pożytku.

24) Hagamannen – szwedzki przestępca, skazany w 2006 roku na karę więzienia za gwałty i usiłowanie zabójstwa. Jego przydomek pochodzi od nazwy

dzielnicy Haga w Umeå, gdzie zaatakował pierwszą ofiarę (przyp. tłum.).

Rod Jeglertz rzucił się nagle do stołu i walnął pięścią w blat tak mocno, że kawa zachlupotała w kubkach.

– Sprowadzić mi eksperta od portretów i tego bezdomnego Polaka, natychmiast. Jutro rano ujawnię wszystko na konferencji prasowej, do tego czasu wizerunek sprawcy ma być gotowy.

Utkwił wzrok w zebranych i wysyczał:

– Sukinsyn musiał zostawić jakiś ślad.

Behawiorystka Mikaela Dahlström niepewnie poprawiła dekolt spranej koszulki z Sisters of Mercy, nieprzyzwyczajona do takich sytuacji. Po raz pierwszy w trakcie tego nocnego spotkania zabrała głos, a mówiła tak cicho i jednostajnie, że wszyscy musieli pochylić się w jej stronę, żeby zrozumieć wypowiedane słowa.

– Oczywiście, że tak – powiedziała. – Mam na myśli to, że sprawca zostawił ślad, zabójca wydaje się typową osobą dotkniętą CWS.

– Czym?

– *Celebrity Worship Syndrome*. W psychiatrii najczęściej mówi się o obsesji na punkcie osób ze świata popkultury i sportowców. Dotknięci CWS zazwyczaj otaczają gwiazdy rocka czy piłkarzy, na przykład Madonnę albo Davida Beckhama, kultem, który przybiera ekstremalne formy. Ta diagnoza zdaje się pasować do zabójcy członków Akademii.

Ostrożnie poprawiwszy okulary w czarnych oprawkach, Mikaela kontynuowała, już nieco głośniejszym głosem.

– Historia zna wiele przypadków, kiedy osoby dotknięte CWS dopuszczały się przemocy w imieniu swoich idoli. Klasycznym przykładem, często przytaczanym w psychiatrii sądowej, jest John Hinckley Junior, fan Jodie Foster, który w 1981 strzelił do Ronalda Regana, żeby jej zaimponować. Inny, równie znany przypadek to...

– Okej, rozumiemy, w czym rzecz – przerwał jej Rolf Hedlund. – Te CWS-y to groźni szaleńcy, poza tym nie znają się na filmie. Ale jaki to ma związek z naszym dochodzeniem? Do czego zmierza ta twoja pieprzona psychogadka?

Na twarzy Mikaeli pojawił się rumieniec. Znów poprawiła okulary, wzięła głęboki oddech i odpowiedziała:

– Sprawca planował zabójstwa od co najmniej pięciu lat, ale jego fascynacja Strindbergiem musiała zacząć się o wiele wcześniej. Nasz zespół profilerów ocenia, że morderca jest w średnim wieku, ma prawdopodobnie czterdzieści, czterdzieści pięć lat, dlatego można założyć, że przez większą część dorosłego życia miał szczególny stosunek do Strindberga. Osoby dotknięte CWS nie robią niczego na pół gwizdka, cały ich świat podporządkowany jest obsesji na punkcie idola, cechują ich też niezwykle ekstremalne zachowania.

Mikaela nie spuszczała wzroku z Hedlunda, z każdym słowem jej pewność siebie rosła.

– Być może sprawca zna na pamięć całą powieść *Mieszkańcy Hemsö*, może ma w garderobie mnóstwo strojów à la Strindberg i doczepiane wąsy, może wdał się w bójkę z sąsiadem, któremu nie podobał się *Czerwony pokój*, może na całym ciele ma wytatuowane słynne cytaty z dzieł Strindberga. To, o czym teraz mówię, to codzienność sprawcy, jego życie, taki człowiek musiał przez lata zwrócić na siebie uwagę. Nie zdziwię się, jeśli po jutrzejszej konferencji ludzie zasypią nas ważnymi informacjami.

Mikaela odchyliła się na krzesło, nadal nie odrywając wzroku od inspektora po drugiej stronie stołu.

– Rozumiesz teraz, Rolf? Do tego zmierzała ta moja pieprzona psychogadka.

Rod Jeglertz przyglądał się młodej behaviorystce, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Dobra, w ciągu najbliższych godzin mamy dwa główne zadania do wykonania – powiedział. – Po pierwsze: sporządzić portret pamięciowy sprawcy i ujawnić wszystkie istotne informacje na jutrzejszej konferencji prasowej. Po drugie: sprawdzić, czy wszyscy członkowie Akademii są objęci odpowiednią ochroną, w szczególności tych dwoje, którzy znajdują się na liście zabójcy. Mam na myśli Gun-Britt Höök i Vilgota Elmandera, ich bezpieczeństwo to teraz nasz główny priorytet.

Zwrócił się do dyrektora Departamentu Ochrony Osób SÄPO.

– Claes, natychmiast skontaktuj się z jednostką K3 w Karlsborgu i z francuską policją, poinformuj ich o obecnej sytuacji, dopilnuj, żeby wprowadzili konieczne zmiany.

Rothman natychmiast potwierdził skinieniem głowy.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu kolegów z Francji, natomiast jeśli chodzi o Vilgota Elmandera, zapewniam, że już w tej chwili jest objęty ochroną na najwyższym poziomie. Teren jednostki K3 jest ogrodzony drutem kolczastym pod napięciem, znajdują się tam dwie najlepsze grupy funkcjonariuszy ochrony SÄPO, poza tym całą okolicę obserwują patrole policji z okręgów Västra Götaland i Jönköping. Na miejscu przez całą dobę są psy tropiące i psy wykrywające materiały wybuchowe. Zainstalowaliśmy również system identyfikacji na podstawie odcisków palców, kamery termowizyjne i około czterdziestu detektorów ruchu uruchamianych na noc.

Rothman rozłożył ręce, a na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Sprawca nie będzie miał żadnej możliwości...

Jeglertz skoczył w jego stronę i złapał za ramię.

– Posłuchaj uważnie, do cholery. Sukinsyn zamordował już siedem osób, mieliśmy go tuż pod nosem. Wymknął się, chociaż szuka go każdy policjant w tym

kraju, bawi się z nami w kotka i myszkę. Jeśli zdoła zastrzelić kolejnych członków Akademii, całe to dochodzenie, a tym samym my wszyscy w tej sali, zostanie zapamiętane jako największa katastrofa w dziejach europejskiej kryminalistyki.

Powoli puścił ramię Rothmana.

– Masz natychmiast podwoić ochronę i żebyś mi tu nie okazywał zadowolenia, póki morderca nie zostanie zamknięty w celi pod specjalnym nadzorem albo dostanie kulę w łeb, zrozumiano?

Claes Rothman skinął głową i wbił wzrok w stół niczym strofowany uczeń.

– Świetnie, czyli wszystko jasne – zakończył Jeglertz i wrócił pod okno.

Spojrzał na pogrążoną we śnie stolicę. Pod budynkiem komendy stało jeszcze kilku reporterów, którym żal było przerywać polowanie na *newsy* – za parę godzin mieli dostać to, po co przyszli.

Nagle Lars Lövdén odchrząknął. Wstał i patrząc na komendanta głównego policji, powiedział:

– Uzyskane tej nocy informacje to ogromny przełom w śledztwie, jedyny, jaki dotąd miał miejsce, a wszystko to dzięki Claudii i literaturoznawcy, do którego się zwróciła, Leo Dorfmanowi. To ich zasługa.

Jeglertz od razu skinął głową.

– Myliłem się co do Rodriguez, muszę przyznać, że dziewczyna ma głowę na karku.

– Rod, trzeba włączyć oboje do sprawy. Mają wyjątkowe kwalifikacje, potrzebujemy ich. Co o tym sądzisz? Zadzwoń i poproś, żeby przyszli?

– Nie.

Jeglertz zwrócił się w stronę Rolfa Hedlunda i wyjaśnił spokojnym głosem:

– Dorfman podał się w siedzibie Akademii za policjanta. Rodriguez, mimo wyraźnego zakazu, zajmowała się sprawą na własną rękę, narazili dochodzenie na szwank, w takiej sytuacji można zrobić tylko jedno.

Znów popatrzył w ciemność za oknem.

– Musimy zatrzymać ich oboje, natychmiast.

Nadżib Mahfuz

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1988 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„poprzez swą twórczość tak bogatą w niuanse – raz przenikliwie realistyczne, a raz wywołujące sprzeczne nawzajem wrażenia – uformował arabską sztukę narracji, przemawiającą do całej ludzkości”

18 maja 2012

Blask latarni wciskał się pomiędzy grzbiety książek, delikatne strużki światła omiały najlepsze opowiadania grozy Lovecrafta. Za półkami, na podłodze, samotna świeczka nieco rozjaśniała ciemny antykwariat.

Claudia zdjęła buty, siedziała na podniszczonym materacu między regałami, oparta o wypełnioną książkami sekcję L działu science-fiction. Jej stopy spoczywały na stosie starych egzemplarzy „New Yorkera”.

Obok niej siedział Leo. Starannie mieszał w czajniczku z herbatą i spoglądając na zegar ścienny, śledził ruch sekundnika na cyferblacie.

– Nie za krótko, nie za długo. Liście powinny parzyć się dokładnie trzy minuty i piętnaście sekund.

– Trzy minuty i piętnaście sekund?

Nie odrywając wzroku od wskazówki, odpowiedział z powagą:

– Taa, udowodnione naukowo, doszedłem do tego metodą prób i błędów.

Kiedy sekundnik minął właściwy punkt, Leo napełnił kubki gorącą herbatą, jeden podał Claudii, a sam wziął drugi.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie, Leo, i gratulacje. To, co dzisiaj zrobiłeś, to największy wyczyn w dziejach szwedzkiej kryminalistyki. Nieźle, jak na zwykłego antykwariusza.

Zadźwięczała porcelana – stuknąwszy się kubkami, Claudia i Leo zaczęli popijać gorącą rosyjską herbatę.

– I co, nienajgorsza?

– Może być. Smakowałyby lepiej, gdyby naciągała jeszcze kilka sekund.

Leo posłał jej w odpowiedzi krzywy uśmiech i popatrzył na płomień świeczki drgający w ciemności.

– Co teraz robi policja? Ujawni informację o strindbergowskim przebraniu

sprawcy?

– Myślę, że jutro rano Jeglertz zwoła konferencję prasową i poda wszystko do publicznej wiadomości.

– A co będzie potem? Sądzisz, że złapią mordercę?

– Nie mam pojęcia, to nie jest zwykły zabójca, zaplanował każdy najdrobniejszy szczegół.

Claudia wzruszyła ramionami i upiła łyk herbaty.

– W sprawę zaangażowany jest każdy policjant w tym kraju, francuskie służby bezpieczeństwa i Interpol, a mimo to nawet nie zbliżyliśmy się o krok do...

Nagle Leo potrząsnął głową, jego oczy zabłyśły w półmroku.

– No co? O co chodzi?

– Nie, nic – odpowiedział. – Po prostu zdałem sobie sprawę, jakie to wszystko niezwykle, że ja, antykwariusz bankrut, biorę udział w wielkim pościgu za mordercą.

Znów potrząsnął głową, kosmyki grzywki zakołysały się na wszystkie strony.

– Zazwyczaj przesiaduję w antykwariacie całe dni, popijam herbatę i czytam książki. Czasem, jeśli mam szczęście, zajrzy tu jakiś klient, a kiedy los naprawdę mi sprzyja, ktoś coś kupi, na przykład kilka sfatygowanych powieści Johna Fowlesa po piętnaście koron sztuka. Najciekawsze, co może się tutaj zdarzyć, to kiedy Brynolfsson, mój stały klient, znajdzie zabawny błąd w narodowym wydaniu encyklopedii powszechnej.

– Wygląda mi to na przyjemne życie.

– Podoba mi się, jest spokojnie i miło, ale pomyśl tylko, dzisiaj myszkowaliśmy w tajnym archiwum Akademii Szwedzkiej, po północy zakradliśmy się na cmentarz, wytropiliśmy naoczego świadka, rozpracowaliśmy sprawę zabójstw. Czuję się jak główny bohater w kryminale Raymonda Chandlera.

– Leo, to prawdziwe dochodzenie, nie jakiś gówniany kryminał, który można kupić w twoim antykwariacie.

Regał zakołysał się, kiedy Claudia oparła się o półki. Jej twarz zniknęła w ciemności, ale w blasku świeczki oczy iskrzyły się ze zdenerwowania.

– Nie powinnam była cię w to wciągać, nie powinnam była...

W tej samej chwili rozległo się gwałtowne łomotanie o szybę, z zewnątrz dobiegły głośne okrzyki, a po antykwariacie prześlizgnęły się smugi oślepiającego światła. Odwróciwszy się ku zabezpieczonym kratą drzwiom, Claudia dostrzegła w mroku postać Rolfa Hedlunda. Za nim wyłoniła się grupa umundurowanych funkcjonariuszy z latarkami i taranem do wyważania drzwi, jeden z nich chwycił półautomatyczny karabin. Nagle od ciemnoszarych fasad budynków na Bondegatan odbił się echem głos Hedlunda.

– Rodriguez, wiesz, dlaczego tu jesteśmy! Otwieraj te pieprzone drzwi albo

je wyważymy!

Claudia powoli podniosła się, drewniana podłoga zaskrzypiała pod jej bosymi stopami, kiedy szła do zaryglowanych drzwi. Po chwili stali naprzeciw siebie, Hedlund i ona, oddzielały ich jedynie cienkie szkło i zardzewiała kratka. Na twarzy Hedlunda widocznej za szybą pojawił się krzywy uśmiech.

– Rodriguez, to koniec, wiesz, co cię czeka.

Claudia nie pojmowała, co mówił, chociaż zrozumiała każde słowo. Hedlund wyjął parę kajdanek i uderzył nimi o kratę, nocną ciszę przeciął szczęk metalu.

– Sama je założysz, czy ja mam to zrobić?

Claudia szybko policzyła postaci kryjące się w ciemnościach, popatrzyła na ich broń, samochody, specjalnie wyposażony furgon i radiowóz pościgowy marki Ford Mondeo. Wróciła do regału z literaturą science-fiction, założyła buty i zdmuchnęła świeczkę.

– Leo – wyszeptwała. – Musimy podjąć decyzję. W tej chwili.

– Chyba już ją podjęliśmy, prawda?

Claudia wzięła głęboki oddech.

– Dobra...

Złapała Leo za rękę i rzuciła się do tylnego wyjścia, przecięli ciemne podwórze, minęli pojemniki na śmieci i komórkę na rowery, zdążyli jeszcze usłyszeć dochodzące z Bondegatan przekleństwa Hedlunda, odgłosy szybkich kroków i warkot rozpędzających się samochodów.

– Leo, wyłącz komórkę i wyjmij baterię! W przeciwnym razie nas wytropią.

Dotarli na tyły podwórza, otworzyli drzwi i wypadli na Skånegatan, motocykl stał zaparkowany ledwie kilka metrów dalej. Wskoczyli na siodełko, Claudia uruchomiła silnik i odjechali z hukiem na wschód, przez opustoszałe ulice Södermalmu. Kiedy mijali Nytorget, jakieś pięćdziesiąt metrów za nimi ukazały się radiowozy, najpierw srebrny ford, a tuż za nim furgon. Chociaż warkot silnika rozszalał uszy, a wiatr smagał twarz, Leo zdołał usłyszeć głos Claudii.

– Trzymaj się! I to mocno!

Opony zapiszczały na asfalcie, kiedy skręcała w Renstiernas gata, prześlizgnęła się między kilkoma taksówkami i wjechała w Lilla Mejtens gränd prowadzącą do parku Vita Bergen. Wtedy Leo wpił palce w jej ramię i przekrzykując warkot silnika zawołał:

– Oszalałaś? Jak tu wjedziemy, to koniec!

Zamiast odpowiedzieć, Claudia przyspieszyła. Przejechali przy ogrodzie Malmgården i popędzili pod górę, w stronę kościoła Zofii, którego sylwetka rysowała się na tle nocnego nieba. Z ogromną prędkością minęli główne wejście do neoromańskiej budowli i skierowali się do północno-zachodniej części parku, ku zabytkowym drewnianym budynkom, w których pod koniec XIX wieku mieszkała sztokholmska biedota. Pędzili przez dawne slumsy przy Bergsprängargränd, które

sto czterdzieści lat wcześniej Strindberg opisał w *Czerwonym pokoju*.

Nagle w ciemności rozległ się głos Leo.

– To ślepa uliczka!

– Wiem!

Claudia zahamowała tak gwałtownie, że żwir trysnął na wszystkie strony. Za metalowym ogrodzeniem, w odległości pół metra od nich, skała opadała stromo na Renstiernas gata. Srebrny radiowóz zbliżał się z ogromną prędkością, za krzewami bzu majaczyła biała karoseria furgonu.

– Trzymaj się! – krzyknęła Claudia. – Będzie trzęsło.

I ruszyli w dół po dziesięciocentymetrowych stopniach drewnianych schodów, które wiły się po północno-zachodnim zboczu wzniesienia, tak wąskie i strome, że w pewnym momencie Claudia musiała rozwalić kopnięciem poręcz, aby przejechać dalej.

Leo prawą ręką trzymał się kurczowo siodełka, a lewą obejmował Claudię w pasie. Z tyłu dobiegały go odgłosy kroków i głośne krzyki, a kiedy się odwrócił, dostrzegł dwóch funkcjonariuszy na szczycie schodów. Szybko się zbliżali, brakowało już tylko kilku metrów, lecz gdy motocykl pokonał ostatni stopień, Claudia zmieniła bieg i na pełnym gazie zjechała na Renstiernas gata. Wkrótce policjanci i park zniknęli z pola widzenia, tylko wieża kościoła Zofii majaczyła ponad dachami, kiedy kluczyli po mieście, kierując się to na północ, to na wschód, to znów na północny zachód. Na przypominającym czterolistną koniczynę skrzyżowaniu Slussen zjechali w Hornsgatan, po czym skręcili w zalany żółtym blaskiem tunel Söderleden i dalej, w stronę labiryntu tuneli Södra länken. Kilka minut później pędzili sto sześćdziesiąt na godzinę autostradą E4 na południowy zachód.

Było jeszcze ciemno, ale między wieżowcami w Botkyrka zaczęły przeciskać się pierwsze promienie słońca, a niebo powoli przybierało purpurową barwę. Claudia zwolniła i zatrzymała motocykl przy sześciopiętrowym bloku w centrum Alby. Z plecaka wyjęła pęk kluczy, po czym otworzyła masywne drzwi do piwnicy. Pośpiesznie sprowadziła maszynę po rampie i zaparkowała wśród dziecięcych wózków, kartonów i zepsutych wież stereo. Wskazała na wytarte metalowe drzwi.

– Tędy.

Weszli na górę wąską klatką schodową, powietrze między betonowymi ścianami było przesycone dymem cygaretek i perskiego chleba *barbari*. Na piątym piętrze Claudia zatrzymała się przy beżowożółtych drzwiach antywłamaniowych i nacisnęła dwa razy przycisk dzwonka. Z mieszkania od razu dobiegł odgłos ciężkich kroków, a kiedy drzwi się otworzyły, w progu stanął rosły mężczyzna – na sobie miał tylko schodzone kapcie i bokserki w kolorach greckiej flagi.

Giorgios Papadakis wpatrywał się w gości, na pół zaspany i przestraszony.

– Claudia... co się dzieje? Chyba coś musiało się spieprzyć.

Claudia uściśniła jego ogromną dłoń.

– Spieprzyć? Lepiej bym tego nie ujęła.

* * *

Kiedy Leo otworzył oczy, musiał od razu zmrużyć powieki. Podniósł dłoń, żeby osłonić twarz przed porannym słońcem oświetlającym sofę, na której spędził noc. Zza zamkniętych drzwi kuchni dobiegały głosy Claudii i Giorgiosa, chociaż rozmawiali po cichu, Leo dosłyszał słowa *kurwa mać* i *Jeglertz*.

Pokój, w którym Leo się znajdował, był zavalony płytami winylowymi z grecką muzyką, roślinami w doniczkach i akcesoriami bokserскими. Na ścianie wisiało kilka par rękawic, na jednej z nich, dość sfatygowanej, widniał autograf Ingemara Johanssona nakreślone czarnym tuszem linie odznaczały się na popękanej skórze.

Nagle drzwi kuchni otworzyły się i do pokoju weszli Claudia i Giorgios, który nadal miał na sobie bokserki i kaptcie, ale założył jeszcze niebieski siatkowy podkoszulek.

Klaudia rzuciła powitanie i usiadła na szerokim podłokietniku sofy, a Giorgios, widząc, że Leo już nie śpi, podszedł do niego i uściśnął serdecznie.

– O, nasz śpioch się obudził. Nareszcie! Dobrze spałeś, przyjacielu?

Leo kiwnął głową, uwięziony w potężnych ramionach Giorgiosa zdołał jakoś stłumić jęk bólu.

– Bardzo dobrze... dzięki – wydusił.

– Świetnie, świetnie. Claudia wszystko mi opowiedziała. Co za noc!

– Bez dwóch zdań.

Nie odrywając wzroku od gościa, Giorgios usiadł w fotelu.

– Interesujesz się boksem?

– Eee, raczej średnio. Ale czytałem *Walkę* Normana Mailera o pojedynku Mohammeda Alego i George'a Foremana w Kongo, w siedemdziesiątym czwartym.

– *The Rumble in the Jungle!* Chyba najlepsza walka boksercka w dziejach, co sądzisz o kombinacji pięciu ciosów, którą Ali zastosował w ósmej rundzie?

– Nie widziałem tego meczu, czytałem tylko o nim.

Giorgios, nieco zdziwiony, wstał z fotela i zdjął z najwyższej półki regału kasetę video.

– Boks się ogląda, nie czyta o nim. Po śniadaniu obejrzymy, zgoda?

– Okej, super.

– Zrozum, czytanie o boksie jest równie bez sensu jak boksowanie się z książką.

Na twarzy Giorgiosa pojawił się szeroki uśmiech.

– Słyszysz, ale ze mnie filozof, wszyscy wielcy filozofowie to Grecy, chyba wiesz? Sokrates, Platon, Arystoteles.

– Heraklit, Pitagoras – kontynuował wyliczankę Leo.

Giorgios popatrzył na niego skupionym wzrokiem, marszcząc brwi, tak jakby właśnie rozpoczęli walkę bokserską.

– Dobra, kolego, jeśli wydaje ci się, że potrafisz wymienić więcej greckich filozofów niż ja, to jesteś w błędzie.

Poprawił się w fotelu, wyciągnął ręce i strzelił palcami, po czym zaczął recytować:

– Archimedes, Sofokles... Zenon.

Leo przyjął wyzwanie i w szybkim tempie wymieniał dalej:

– Demokryt, Anaksymenes, Epikur, Ajschylos, Euklides.

Z zatroskaną miną Giorgios podrapał się po nieogolonych policzkach. Wydało się, że został pokonany, znokautowany, lecz nagle wykrzyknął z triumfem:

– Amalteja!

– Amalteja? Nie znam takiego filozofa.

– To filozofka – wyjaśnił Giorgios. – Moja babcia. Bardzo mądra kobieta!

Mocno walnął Leo w plecy i roześmiał się serdecznie. Patrząc na nich, Claudia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Świetna robota, Giorgios, wygrałeś. Może zajmiesz się teraz śniadaniem? Zaraz padniemy z głodu, a przecież robisz najlepszą jajecznicę w Botkyrka.

– Najlepszą w całej Szwecji – poprawił ją Giorgios.

Mężczyzna zwrócił się rozentuzjasmowany do Leo, niczym dziecko, które właśnie poznało nowego, fajnego kolegę.

– Zaraz skosztujesz mojej jajecznicy, dotąd nie miałeś nawet pojęcia, że istnieje coś tak pysznego. Czarne oliwki, świeża bazylia, czosnek podsmażony na oliwie z oliwek i najważniejsze: ser feta. Prawdziwy! Nie taki z marketu. Dostałem go od przyjaciela, Sakisa, prowadzi grecki sklep w Skärholmen. Poznam cię z nim, on też lubi książki. Wydał już osiem tomików poezji, najnowszy nazywa się *Skiés koláda*, co znaczy...

Claudia wymierzyła w jego ramię błyskawiczny lewy prosty.

– Giorgios, jak będziesz tyle gadał, to tę twoją jajecznicę zjemy na kolację, a nie na śniadanie.

Bokser popatrzył na nią i skinął głową z podziwem.

– Świetny cios! Szybki, nieoczekiwany. Ale racja, czas na śniadanie.

Ruszył długim krokiem do kuchni i po kilku minutach rozległ się stukot trzepaczek i szcęk żeliwnych patelni, mieszkanie wypełnił zapach smażenia, a spod szpary pod drzwiami sączył się aromat rumienionego na oliwie czosnku.

– Ta jajecznica smakuje równie wspaniale jak pachnie?

– Lepiej.

Claudia ześlizgnęła się płynnym ruchem z podłokietnika i rozciągnęła na sofie. Koniuszki jej palców muskały prawą nogę Leo, lecz oboje, jak gdyby nigdy

nic, rozmawiali dalej.

– I co sądzisz o Giorgiosie? Nieprzeciętna osobowość, prawda?

– Nie chciałbym walczyć przeciwko niemu na ringu, to pewne.

– Nie zrobiłby ci krzywdy. To najlepszy trener na świecie, ale beznadziejny bokser.

– Beznadziejny? Wciąż wszystko mnie boli po jego uścisku.

– Jego uścisk jest mocniejszy niż prawy prosty.

– E, tam, teraz to chyba zmyślasz.

Claudia potrząsnęła głową.

– Giorgios jest zbyt miły. Nie nabił nikomu ani jednego siniaka, nawet nie przeciął wargi. W ringu musisz być drapieżnikiem, musisz robić wszystko, żeby zniszczyć rywala, w przeciwnym razie kiepski z ciebie bokser.

– Ty też jesteś kiepskim bokserem?

Claudia zwlekała kilka sekund z odpowiedzią.

– Trzy razy zdobyłam złoto w mistrzostwach Szwecji, za każdym razem przez nokaut.

– Tak myślałem.

W tej samej chwili z kuchni wypadł Giorgios, trzymając w jednej ręce puszkę czarnych oliwek Kalamata, a w drugiej komórkę.

– Rozmawiałem z Eleną – powiedział, ledwo łapiąc oddech. – Policja zwołała konferencję prasową, właśnie się zaczyna.

Włączył mały stary telewizor, wciśnięty między doniczki z pomidorami, Claudia i Leo usiedli niecały metr od ekranu. Po chwili ujrzeli ciasne audytorium na parterze komendy, sala pękała w szwach. Na podium stał Komendant Główny Policji, Rod Jeglertz, a jego szarobłękitne oczy spoglądały na tłum dziennikarzy.

– *Witam państwa w siedzibie Komendy Głównej na specjalnej konferencji prasowej. Welcome to this press conference. I will first make a statement in Swedish and after that in English. Our press spokesman, or spokeswoman rather, Viveka Östling, will make the same statement in German and French afterwards*²⁵⁾.

25) Najpierw wygłoszę oświadczenie po szwedzku, następnie po angielsku. Nasz rzecznik prasowy, a raczej rzeczniczka, Viveka Ostling, złoży oświadczenie po niemiecku i francusku (przyp. tłum.).

Jeglertz upił łyk wody mineralnej, po czym mówił dalej.

– *Poszukiwania zabójcy członków Akademii Szwedzkiej wkroczyły w nową fazę. Dzisiejszej nocy, dzięki znakomitej pracy naszych śledczych, udało się zabezpieczyć ważny materiał dowodowy. Mamy, jak to się mówi, przełom w sprawie, znamy motyw i rysopis sprawcy.*

Sala zatrzęsa się od wrzawy pytań, rozbłysnęły flesze. Dziennikarze i reporterzy wymachiwali dłońmi, wyciągali jak najdalej mikrofony, dyktafony i kamery.

– *Jaki jest motyw zabójstw?*

– *Is there a suspect? Do you know who the Academy killer is?*

26) Czy jest jakiś podejrzany? Czy wiecie kto jest zabójcą członków Akademii? (przyp. tłum.).

– *Skąd policja ma te informacje?*

Jeglertz uniósł ręce i odczekał, aż w audytorium znów zapanuje cisza.

– *Ta straszna seria zabójstw to akt zemsty skierowany przeciwko Akademii Szwedzkiej. Za to, że w 1911 roku jej członkowie postanowili nie nominować do Literackiej Nagrody Nobla Augusta Strindberga.*

Sala znów rozbrzmiała setkami pytań i okrzyków, Jeglertz podniósł nieco głos.

– *Za kilka minut, kiedy skończę, będą państwo mogli zadawać pytania. Ci, którzy nie dostosują się do tej prostej zasady, zostaną wyprowadzeni z budynku Komendy i nie będą wpuszczani na kolejne konferencje.*

W spojrzeniu Jeglertza była taka zawziętość, że dziennikarze ze wszystkich krajów od razu zrozumieli jego intencję. Kiedy w sali zapadła cisza, komendant skinął głową z zadowoleniem.

– *Jeśli chodzi o rysopis, wiemy jedno. Przynajmniej cztery zabójstwa, a być może wszystkie, sprawca popełnił przebrany za Augusta Strindberga. Nasi technicy sporządzili trójwymiarowy obraz cyfrowy, innymi słowy rodzaj portretu pamięciowego, na podstawie zeznań naocznego świadka. Portret przedstawia sprawcę w strindbergowskim przebraniu. Sądzymy, że zabójca tak właśnie wyglądał, dokonując przestępstw w Sztokholmie 14 maja w nocy i kolejnego dnia rano.*

Na płaskim ekranie za Jeglertzem ukazała się twarz mężczyzny w średnim wieku, bardzo podobnego do Augusta Strindberga. Miał równie gęste, kędzierzawe włosy ciemny blond, taki sam charakterystyczny wąsik, wyraźne kości policzkowe, a spod runda zsuniętego na tył głowy kapelusza spoglądała para niebieskich oczu, takich jak u słynnego pisarza.

Claudia i Leo przypatrywali się portretowi.

– A więc tak wygląda zabójca członków Akademii.

Claudia skinęła głową.

– Anders Fredin wykonał świetną robotę, miał na to ledwie kilka godzin.

Claudia nie odrywała wzroku od ekranu telewizora, lecz to nie trójwymiarowy obraz sprawcy przykuł jej uwagę, a niebieskooki mężczyzna przy podium. *Rod Jeglertz*. Nazwisko przemknęło jej przez myśl niczym przekleństwo.

– Jeglertz podjął decyzję – wyszeptała.

– Co masz na myśli?

– On tak tego nie zostawi, będzie nas ścigał dzień i noc, po całym kraju, jeśli trzeba. Możemy wyjść z tego cało tylko w jeden sposób.

– Jak?

Claudia powoli uniosła rękę i wskazała na portret na ekranie telewizora.

– Musimy dopaść zabójcę.

8 czerwca 1865

Johan August Strindberg skradał się wśród krzaczków jagód i jałowców. Zza koron drzew wyglądało słońce, grzało go w kark. Miał szesnaście lat. Chłopiec, a jednocześnie mężczyzna. Nad górną wargą pojawił się już delikatny młodzieńczy puszek. Nieśmiałość i ciekawość przepelniały jego niebieskie oczy.

Wokół rysowały się sylwetki pozostałych członków Sztokholmskiego Ochotniczego Związku Strzelców Wyborowych, przyjechali na Tyresö na ćwiczenia. Jak okiem sięgnąć, rozpościerał się las sosnowy, Strindberg posuwał się ostrożnie naprzód, omijał suche gałązki, żeby nie zdradzić swojej pozycji rzekomym siłom wroga. Wreszcie zatrzymał się na stromej skale i oparł broń o kamienny blok. Prawie wszyscy w kompanii, kosztem czterdziestu riksdali, kupili sobie strzelby gwintowane, ładowane odprzodowo, model z 1860 roku, lecz on musiał zadowolić się otrzymanym w spadku rewolwerem czarnoprochowym.

Strzelcy szli dalej, wkrótce natrafili na nieprzyjaciela – tarcze o średnicy dwóch stóp – i natychmiast otworzyli ogień. W lesie rozbrzmiały salwy, spłoszone guszce zatrzepotały skrzydłami, zaś młody Strindberg stał na urwisku, nad przepaścią, i wpatrywał się w szkiery.

Jak zahipnotyzowany.

Ten widok miał ukształtować jego życie, jego pisarstwo. Na tych wyspach będzie rozgrywać się akcja wielu jego dzieł. To tu spędzą całe życie Carlsson i Madame Flod, główni bohaterowie powieści Mieszkańcy Hemsö, podobnie Alrik Lundstedt, romantyczny organista. Sam Strindberg będzie również przebywać wiele dni na Dalarö i Kymmendö, w południowej części archipelagu.

Przyszłość miała uczynić go największym i najbardziej kontrowersyjnym pisarzem Szwecji, ba, Europy. Lecz wszystko to – dzieła literackie, małżeństwa, rozwody, oskarżenia o obrazę moralności, procesy sądowe, skandale, groźby pozbawienia życia, depresje, szaleńcze spiski, myśli samobójcze, konflikty, romanse – wszystko to jeszcze przed nim.

W owej chwili August Strindberg był dopiero szesnastoletnim młodzieńcem w mundurze strzelca wyborowego. Leżał na wzniesieniu na Tyresö, czując ciepło rozgrzanej od słońca skały, ciężki rewolwer czarnoprochowy spoczywał w jego dłoni.

Nagle uwagę Strindberga przykuła rybitwa, śledził wzrokiem jej lot nad falami. Uniósł rewolwer, Remington New Model Army, który jego ojciec odziedziczył po szwagrze, i oddał strzał. Z lufy wydobyły się gęste kłęby białego dymu, oghuszający huk odbił się echem od skalistych wysepek, a ostra woń siarki i prochu wypeł-

niła powietrze.

Ołowiana kula chybiła celu, rybitwa leciała dalej nad rozkołysanymi falami.

*Oczy Augusta Strindberga iskrzyły się w popołudniowym słońcu, biło z nich
poczucie ulgi i przerażenie.*

Borys Pasternak *

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1958 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za znaczące osiągnięcia we współczesnej poezji lirycznej, a także za kontynuowanie tradycji wielkiej prozy epickiej”

* został zmuszony do odrzucenia nagrody

18 maja 2012

Komendant policji w Strängnäs, Sören Edhlund, przeszedł wzdłuż zacienionej fasady katedry, minął bramę z lwami i czerwony drewniany dom Pera Birkenfeldta. Kiedy dotarł do placyku, zerknął na koronę dębu.

Ludzie przybywali z daleka, żeby obejrzyć to słynne drzewo, z Oslo, ze Sztokholmu, z Luleå. Przez dwie doby dąb stał się główną, a może jedyną atrakcją turystyczną miasta, zaś prześwit wycięty w koronie trafił do programów telewizyjnych i na czołówki gazet na całym świecie. Poprzedniego dnia francuski „Le Figaro” umieścił jego fotografię na pierwszej stronie. Pewna studentka położnictwa posunęła się do tego, że za opłatą oprowadzała grupę niemieckich i holenderskich emerytów po starym mieście, wskazując dom Birkenfeldta, dąb, pozycje funkcjonariuszy ochrony i biały budynek parafialny, gdzie zabójca przechowywał broń i skąd oddał strzał.

W ciągu ostatnich dni do Sörena Edhlunda wydzwaniali szwedzcy i zagraniczni dziennikarze, a w rozmowach wciąż powracało to samo pytanie.

W jaki sposób sprawca zdołał uciec ze Strängnäs?

Przez to pytanie Edhlund nie mógł spać w nocy, a za dnia czuł bezsilność.

Prześlizgnął się pod taśmą policyjną, przywitał z funkcjonariuszami z miejscowego posterunku i wszedł do budynku parafialnego. Przy każdym kroku w ciemnym korytarzu rozlegało się skrzypienie drewnianej podłogi, odgłos spróchniałych desek.

Pomieszczenie tuż nad jego głową wynajmował zabójca, w stropie ze szlaku oddzielającym kondygnacje ukrywał broń. Edhlund westchnął zrezygnowany, spojrział w stronę pokoju, w którym skauci mieli zbiórkę, przez szparę w drzwiach dobiegły go wyraźne dziecięce głosy. Kiedy wszedł do środka, zobaczył kilkanaścioro uczniów podstawówki – pozwolono im tutaj przebywać przez kilka porannych

godzin – wszyscy w niebieskich koszulach od mundurków.

– Cześć, Elsa, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Instruktor, kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat, uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Oczywiście, że nie, wejdź. Przyszedłeś zobaczyć, jak się robi węzeł żeglarski?

– Nie, ale chętnie się nauczę, nigdy nie wiadomo, kiedy taki węzeł może się przydać.

Edhlund zbliżył się do instruktorki.

– Słuchaj, mógłbym zadać dzieciom kilka pytań? To zajmie tylko chwilę.

– Jasne, pytaj.

Komendant odwrócił się do skautów, dziecięce oczy patrzyły na niego z zainteresowaniem.

– Cześć, dzieciaki!

– Cześć! – odpowiedziały chórem.

– Jak pewnie wiecie, sporo się tu wydarzyło. Straszne rzeczy, które policja musi wyjaśnić.

Wstała jasnowłosa dziewczynka.

– Morderca zastrzelił pisarza, który mieszkał w tym czerwonym domu – powiedziała wskazując na okno. – O, tam.

– Zgadza się. Popełniono morderstwo, policja stara się wyjaśnić tę sprawę, dlatego mam do was kilka pytań. Kto wie, może pomożecie nam rozwiązać tę zagadkę, jak Ture Sventon²⁷⁾ albo Batman? To co, spróbujemy?

27) Bohater serii szwedzkich książek kryminalnych dla dzieci, autorstwa Åke Holmberga (przyp. red.).

W pokoju rozbrzmiały entuzjastyczne okrzyki.

– Taaak!

Edhlund nie mógł pohamować śmiechu.

– Świetnie.

Z wewnętrznej kieszonki wyjął starannie złożoną kartkę A4.

– Słuchajcie, widzieliście tu może kiedyś obcego pana? Mężczyznę, który tak wygląda?

Komendant zaprezentował portret pamięciowy. Dzieci oglądały go ze wszystkich stron, marszczyły w zastanowieniu nosy, dyskutowały między sobą ledwie słyszalnym szeptem, wykonywały trudne do zinterpretowania gesty, wreszcie wszystkie potrząsnęły głowami.

A po chwili jeden z chłopców podniósł rękę.

– Nie widziałem tego pana, ale raz była tu taka starsza pani.

* * *

Claudia stała w oknie salonu, w dole roilo się od bladoszarych bloków z lat 60., ich skupiska ciągnęły się kilometrami we wszystkich kierunkach. Z każdym osiedlem wiązały się wspomnienia z dzieciństwa, małe skrawki życia. Za centrum handlowym widać było jej starą szkołę, obok budki z kiełbaskami, przy południowym wyjściu z metra po raz pierwszy w życiu zgodziła się chodzić z chłopakiem, trzy dni później, przy wyjściu północnym, zerwała z nim. Kilkaset metrów dalej znajdował się posterunek policji w Hallunda, jej pierwsze miejsce pracy.

Poirytowana odwróciła głowę, oderwała wzrok od tego, co budziło wspomnienia, od betonowej pustyni Botkyrka. Z kabiny prysznicowej w łazience dochodził śpiew Giorgiosa, greckie przeboje z lat 70., które przez całe życie słyszała niemal codziennie. Wiele z tych piosenek umiała zaśpiewać z bezbłędną grecką wymową, chociaż nie rozumiała ani słowa. Teraz jednak starała się zagłuszyć rytmy *rebetiko*, chodziła w tę i z powrotem po salonie niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce.

- Nie możemy tu zostać – wymamrotała.
- Nie.
- Prędeż czy później Hedlund tu trafi.
- Pewnie tak.

Leo leżał na sfatygowanej sofie z rękami założonymi pod głowę, obserwował szamotaninę Claudii, spoglądając na nią spod grzywki. W pewnej chwili zerknął na odtwarzacz video pod telewizorem, cyfry na wyświetlaczu połyskiwały czystą zielenią: 13.08.

- Trzy godziny temu powinienem był otworzyć antykwariat.

Claudia nie odpowiedziała. Na ścianie, między rękawicami bokserskimi, umieściła kilkadziesiąt samoprzylepnych karteczek w różnych kolorach. Wodziła wzrokiem po sporządzonych w pośpiechu notatkach, analizowała poszczególne listy punkt po punkcie.

- Zabójca musiał zostawić jakiś ślad.
- To prawda.
- Musiał popełnić jakiś błąd.
- Wszyscy popełniają błędy.

Claudia cały czas nerwowo chodziła w tę i we w tę wśród łodyg bobu w doniczkach i porzrzuconych po pokoju akcesoriów bokserskich. Leo wsłuchiwał się w odgłos jej szybkich kroków, bose stopy uderzały o linoleum. Podniósł wzrok i spojrzał na jedną z jasnoniebieskich karteczek: PROFIL SPRAWCY. Pod nagłówkiem znajdowała się lista, kilkanaście seledynowych kwadracików papieru poprzyklejanych do tapety w żółte kwiatki.

Wiek: 35 – 60 lat (prawdopodobnie 40 – 45)

Mężczyzna

Wzrost średni (ok. 180 cm?)

Obsesyjnie dokładny

Środowisko intelektualne

Dobra kondycja fizyczna

Wysokie IQ (bardzo wysokie?)

Morderstwa nie zostały popełnione na tle seksualnym

The mask of sanity (normalny, sympatyczny?)

Książki, literatura (bardzo go interesują)

Niezależny finansowo

Nie płaci podatku?

Przez całe przedpołudnie wpatrywał się w tę listę, uważnie ją analizował, poszukując jakiejś wskazówki, jakiegoś znaku, ze zmęczenia i frustracji rozboleły go oczy. Powoli wyciągnął nogi na poduszkach sofy i zaczął nucić piosenkę, którą Giorgios na cały głos wyśpiewał pod prysznicem. Szlagiery Haris Alexiou łatwo wpadały w ucho, Leo słyszał je już tyle razy, że zdążył się nauczyć melodii wielu z nich, przymknął zmęczone oczy i nucił refreny, poruszając palcami u stóp w rytmie *rebetiko*.

Nagle, w połowie *Ta tango tis Nefelis*, znieruchomiał i przerwał podśpiewywanie. Usiadł na sofie i popatrzył na karteczki z notatkami.

– Morderca prawdopodobnie lubi książki, zgadza się?

– Prawdopodobnie.

– Może nawet jest mołem książkowym. I to niezwykle dokładnym.

Claudia podeszła bliżej, popatrzyła na niego.

– Do czego zmierzasz? Masz jakiś pomysł?

– Być może.

* * *

Dwadzieścia pięć minut później srebrnoczarna honda shadow zatrzymała się na Tulegatan, zaledwie kilka metrów od ogrodzenia liceum Norra Real. Claudia i Leo zsiadli z motocykla, pośpiesznym krokiem minęli fasadę okazałego budynku szkoły, a potem ruszyli w dół Markvardsgatan.

– Sądzisz, że on będzie dzisiaj w pracy?

– Na to liczę – odpowiedział Leo. – W przeciwnym razie mamy poważny problem.

Gdy dotarli do ruchliwej Sveavägen, z nieba lał się popołudniowy żar. Przeszli przez ulicę i podążali dalej, wzdłuż północno-wschodniej części parku Observatorielunden, minęli fontannę, w której ludzie moczyli stopy dla ochłody. Po niecałych stu metrach skręcili w lewo i wspięli się po szerokich schodach do wejścia Biblioteki Miejskiej. Słynna budowla, zaprojektowana przez Gunnara Asplunda, wznosiła się przed nimi niczym świątynia. Przekroczyli próg i weszli po długich wąskich schodach. Na ścianach widniały ciemnoszare płaskorzeźby: wojownicy z kart *Iliady* i ich konie zdawali się ożywać w półmroku.

U szczytu schodów przed Claudią i Leo otworzyła się Rotunda, sala główna biblioteki. Wewnątrz ludzie poruszali się cicho, zapytania i odpowiedzi wymawiano szeptem, wykonywano dyskretne gesty. W sąsiednich salach siedzieli naukowcy i studenci pogrążeni w badaniach, ich twarze tonęły w blasku zielonych lamp marki Fagerhult. Pod podłogą, w podziemnych pomieszczeniach i magazynach, przechowywano setki tysięcy publikacji, wiele z nich nie widziało światła dziennego od lat 20. XX wieku, czyli odkąd wybudowano bibliotekę.

Zatrzymali się przy stanowisku, przy którym wypożyczano książki, Leo, oparłszy się o kontuar z ciemnego drewna, spojrzał na bibliotekarza szperającego wśród kart w archiwum. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki. Na jego sztrukturalnych spodniach widniało tyle łat, że całość przypominała patchworkową narzutę, flanelową koszulę w czerwonej kratę miał do połowy rozpiętą, a ramiona i szeroką klatkę piersiową pokrywały okruchy ciastek i lupież.

Leo pochylił się nad kontuarem.

– *Bon jour*.

Poły sfatygowanej koszuli zafalowały, kiedy Brynolfsson odwrócił się gwałtownie.

– Dorfman, co tu robisz? Znalazłeś tę broszurę, o której rozmawialiśmy?

– *Niet*, dzisiaj role się odwrócą. To ja potrzebuję twojej pomocy.

Wskazał na swoją towarzyszkę.

– Poznajcie się, to Claudia.

– Cześć, miło mi – powiedziała policjantka.

Brynolfsson uściśnął wyciągniętą dłoń i przywitał się nieporadnie, tak jakby czynność ta była dziwnym, nieznanym mu rytuałem, po czym zwrócił się do Leo:

- Potrzebujesz mojej pomocy? W jakiej sprawie?
- Musimy chwilę porozmawiać – odpowiedział Leo, a potem dodał szeptem – gdzieś... na osobności.

Zdawało się, że jego prośba wcale nie zaskoczyła Brynolfssona.

- Oczywiście – wymamrotał. – Mam własny gabinet, chodźcie.

Wyszli z Rotundy i skierowali się do zachodniego skrzydła budynku, minęli rzeźbę przedstawiającą Gunnara Ekelöfa²⁸) i ruszyli ku białym drzwiom ewakuacyjnym, między działem liryki a salą numer trzy, z literaturą fachową. Zwalista postać Brynolfssona ledwie mieściła się między poręczami spiralnych schodów, kiedy prowadził ich do podziemnych korytarzy rozgałęziających się pod główną częścią biblioteki. Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów, zatrzymali się pod marmurowymi stalowymi drzwiami.

28) Gunnara Ekelöfa (1907–1968) – poeta, członek Akademii Szwedzkiej, typowany do Nagrody Nobla (przyp. tłum.).

- Zapraszam do mojego gabinetu.
- Dziękujemy – Claudia wkroczyła do środka.

Było to pomieszczenie magazynowe bez okien. Wzdłuż betonowych ścian biegły szarawe rury kanalizacyjne, na suficie mrugały świetlówki, wydając z siebie charakterystyczne brzęczenie, a na regałach stało mnóstwo kartonów. Na jednym widniał napis: *Wycofane podręczniki, Kc. 3*, na innym: *Uszkodzone w wyniku zalania, Fc. 00*. Wszędzie wały się kłęby kurzu, opakowania po słodyczach, listy przewozowe i martwe owady, na skrzyni w rogu stał zakurzony komputer marki Dell, a między półkami na ścianie wisiało mnóstwo ilustracji przedstawiających Spider-Mana.

- Widzę, że lubisz Spider-Mana.

Odwróciwszy się ku Claudii, Brynolfsson obwieścił uroczystym tonem:

- William Szekspir i twórca Spider-Mana, Stan Lee, to najwięksi geniusze w dziejach ludzkości.

– Brynolfsson ma największą w Europie kolekcję komiksów o Spider-Manie – wyjaśnił Leo.

– Jeden facet z Antwerpii twierdzi, że jego zbiór jest większy, ale to zależy, jak na to spojrzeć. On stawia na ilość, ja – na jakość. Mam między innymi świetnie zachowany egzemplarz piętnastego numeru *Amazing Fantasy*, z 1962 roku.

Brynolfsson popatrzył z zadumą na swoich gości.

- No więc, o czym chcieliście rozmawiać?

Leo wskazał na zdezelowane krzesło biurowe.

- Usiądź, to zajmie chwilę.

W dziesięć minut Claudia i Leo streścili wydarzenia ostatnich dni. Początkowo Brynolfsson przyglądał się im, nie przerywając opowieści, lecz kiedy Leo

wspomniał o wizycie w zamkniętym archiwum Akademii Szwedzkiej, bibliotekarz nie mógł się powstrzymać.

– Czy ja dobrze słyszałem? Byłeś w archiwum Akademii Szwedzkiej?

– Dobrze słyszałeś.

– Masz na myśli tajne archiwum w podziemiach? To ukryte pod siedzibą Akademii? Na starym mieście?

– Taa.

Brynolfsson otarł kropelki potu znad górnej wargi, nie mógł złapać tchu, choć siedział w bezruchu na krześle.

– I czytałeś rękopisy protokołów z posiedzeń? Te, których nie widział nikt spoza Akademii?

– Zgadza się.

– Dorfman, masz w ogóle świadomość wagi tego wydarzenia? To tak, jakbyś na dnie oceanu odkrył Atlantydę, jakbyś znalazł ślady życia na obcej planecie, jakbyś... spotkał Elvisa Presleya.

– Wiem.

Na ustach Claudii pojawił się uśmiech.

– Jesteś ciekaw, co wyszperaliśmy w tym archiwum?

Brynolfsson kiwnął głową, niezdolny wydobyć z siebie głosu, zachwyt odebrał mu oddech.

Usiadłszy na jednym z kartonów, Claudia zaczęła mówić o zapiskach Wirséna, o zemście za nieprzyznanie nominacji do Nagrody Nobla, o strindbergowskim przebraniu zabójcy, Brynolfsson słuchał, a jego fascynacja rosła z każdą minutą. Kiedy policjantka skończyła opowieść, bibliotekarz siedział z szeroko otwartymi ustami.

– Ale... dlaczego przyszliście... do mnie?

– Potrzebujemy twojej pomocy, rzecz jasna.

– Niewiele wiemy o sprawcy – wtrącił Leo – ale jedno jest pewne: literatura ma dla niego duże znaczenie, więc może w ten sposób uda nam się go znaleźć, przez książki.

– Ale jak?

– Zabójca jest nadzwyczaj dokładny – wyjaśniła Claudia – bardzo prawdopodobne więc, że czytał książki członków Akademii, nie zdziwiłoby mnie, gdyby przeczytał wszystko, co napisali. Każdą powieść, każdy tomik wierszy.

– Pytanie tylko, skąd brał te książki – powiedział Leo. – Może kupił je w księgarni internetowej, może znalazł na wyprzedazy albo na pchlim targu w Växjö. A może, o ile mamy szczęście...

– Wypożyczył je z biblioteki! – wykrzyknął Brynolfsson.

– Właśnie. Jeśli ktoś wypożyczył wiele książek autorstwa członków Akademii, to być może jest zabójcą, którego szukamy.

Brynolfsson od razu włączył komputer, pokiwał głową tak energicznie, że okruchy ciastek posypały się z kołnierzyka na klawiaturę.

– To może się udać – wysapał. – To naprawdę może się udać.

Zaszumiał wentylator, uruchomił się system operacyjny. Brynolfsson zalogował się, wpisując nazwę użytkownika: Dr Octopus.

– Używając naszej wyszukiwarki, możemy dojść do tego tylko w jeden sposób, musimy sprawdzić każdy egzemplarz i zobaczyć, czy ktoś wypożyczył tę książkę.

– Dobrze – zgodziła się Claudia. – Od czego zaczniemy?

Leo wzruszył ramionami.

– Co powiecie na debiutancką powieść Sigurda Wilhelmssona, *Więzy krwi*?

– Doskonały wybór – stwierdził Brynolfsson. – Klasyk.

Jego pulchne palce przebiegły po klawiaturze. Kiedy w szarym polu wyszukiwarki wpisał: Więzy krwi, Sigurd Wilhelmsson, swe Hc, na ekranie natychmiast wyświetliła się długa tabela. Brynolfsson analizował ją uważnie.

– W czterdziestu czterech oddziałach w Sztokholmie jest w sumie trzydzieści siedem egzemplarzy tej powieści. Wypożyczono nieco więcej niż połowę z nich, lecz niemal wszystkie po śmierci autora, to częste zjawisko. Tylko jedną książkę wypożyczono, zanim sprawca dokonał zabójstw. Z biblioteki w Hjorthagen, 29 kwietnia.

– Jak działa ta wyszukiwarka? – zapytała Claudia. – Możesz wyświetlić informacje o osobie, która wypożyczyła książkę?

– Mogę pokazać wszyściuteńko. *Everything, alles, tout.*

Chwycił myszkę i kliknął zakładkę *NUMER KARTY CZYTELNIKA*, na środku ekranu od razu wyświetliło się okienko.

– To Charlotta Hallén Göransson, mieszka na Artemisgatan 49 C.

– Wypożyczyła inne książki autorstwa członków Akademii?

Brynolfsson szybkim ruchem kliknął zakładkę *HISTORIA WYPOŻYCZEŃ*.

– Nie. Ma w domu jeszcze pięć pozycji. Cztery z nich to książki dla dzieci, a piąta to *Fikcje* Borgesa, co dowodzi, że pani Göransson ma znakomity gust. Ale ostatnio nie wypożyczała innych książek członków Akademii.

– To bierzemy następną – powiedział Leo. – Może *Batalion miłości – opowieść prawdziwa* Gun-Britt Höök?

– Nie należy do moich ulubionych, ale spróbujmy.

Palce Brynolfssona znów przebiegły po klawiaturze, na zakurzonym ekranie pojawiła się informacja. Przed 14 maja 2012 roku książkę wypożyczyło siedem osób, z czego sześć to kobiety. Jedna wypożyczyła jeszcze inną powieść Höök, *Noce w Buenos Aires*, ale żadna nie wybrała książek pozostałych członków Akademii.

W ten sposób sprawdzali czytelnika za czytelnikiem, do późnego popołu-

dnia. W pewnej chwili do drzwi zapukał kolega Brynolfssona i zapytał, co robią. Ten wyjaśnił z uprzejmością, która zdziwiła jego gości, że zajmuje się ważną i pilną sprawą dotyczącą przechowywanej w magazynie książki Carla Jonasa Love Almqvista z 1846 roku.

Po mniej więcej dwóch godzinach przeszukiwania katalogu nie znaleźli nic interesującego, lecz mimo braku podejrzanych czytelników i wypożyczeń, które zwracałyby uwagę, Brynolfsson kontynuował sprawdzanie z niezmienną gorliwością.

– No dobra, Dorfman, kto następny? Może Klas Fahlén? Któryś z jego wczesnych tomików?

– *Sen zimowy* z sześćdziesiątego dziewiątego, to mój ulubiony.

Brynolfsson wpisał w szare pole: *Sen zimowy*, Klas Fahlén, swe Hc.03, po czym przeanalizował wyświetlone informacje.

– Jak widzicie, książki Fahléna nie należą do bestsellerów. W całym Sztokholmie i okolicach są tylko trzy egzemplarze tego tomiku, jeden z nich wypożyczono tutaj, w Bibliotece Miejskiej.

Ponownie kliknął zakładkę *NUMER KARTY CZYTELNIKA*, a potem *HISTORIA WYPOŻYCZEŃ*. Kiedy na ekranie ukazał się wynik, Brynolfsson wykrzyknął:

– Rany Boskie! Chyba... chyba go mamy.

Leo rzucił się do komputera. Wpatrując się w ekran, głośno czytał kolejne tytuły z długiej listy.

– *Od starszwedzkiego do szwedzyczyny z Rinkeby* Sonji Bergwall, *Odlamki Sixtena Hjärpego*, *Zadziwiające losy pani Bodén* Vilgota Elmandera, *Wojna rektorów* Pera Birkenfeldta.

Brynolfsson patrzył zdumiony na rejestr wypożyczeń.

– Czterdzieści dziewięć książek, wszystkie autorstwa członków Akademii.

– Kto je wypożyczył? – wykrzyknęła Claudia. – Sprawdź nazwisko!

Brynolfsson nacisnął przycisk myszki, na ekranie pojawiły się dane czytelnika. Wpatrując się w nazwisko i adres na Norrmalmie, Claudia wyszeptała ledwie słyszalnym głosem:

– Arvid Falk, Drottningatan 85.

Kiedy odwróciła głowę od ekranu, oczy błyszczały jej z zachwytem.

– Udało się. Mamy dane sprawcy.

Jednak Leo i Brynolfsson nie odrywali wzroku od komputera, patrzyli na szarą zakładkę, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

– To nie jest prawdziwe nazwisko – wyjaśnił Leo. – Adres też jest fałszywy, to fikcyjne dane.

– Skąd wiesz?

Leo odwrócił się do Claudii.

– Pod adresem Drottningatan 85 mieszkał przed śmiercią Strindberg, to tam

umarł.

– A Arvid Falk – dodał Brynolfsson – to główny bohater powieści *Czerwony pokój*.

John Steinbeck

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1962 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za realistyczny i poetycki dar, połączony z subtelnym humorem i ostrym widzeniem spraw społecznych”

18 maja 2012

Czarny mercedes S600 ruszył z piskiem opon sprzed siedziby szwedzkiego rządu, Rosenbadu, przejechał przez centrum Sztokholmu i przez most Stadshusbron na Kungsholmen. W przyciemnianych szybach z pancernego szkła odbijało się wieczorne słońce, samochód zmierzał Hantverkargatan na zachód, manewrował między pasami ruchu, wyprzedzając tych, którzy utkwili w korku, minął Polhemsgatan, gdzie pod Komendą Główną Policji tłoczyła się setka osób – dziennikarze i reporterzy telewizyjni, którzy nie otrzymali akredytacji na kolejną konferencję prasową – ta miała się zacząć w audytorium za siedem minut.

Mercedes skręcił w Drottningholmsvägen, minął budkę strażnika i szlaban, wjechał w długi tunel pod parkiem Kronoberg, wreszcie dotarł do garażu pod siedzibą policji. W matowym świetle rysowała się ciemna sylwetka komendanta okręgowego, który czekał na przybysza. Auto zatrzymało się, otworzyły się lewe tylne drzwiczki i wysiadł Rod Jeglertz.

– Za sześć i pół minuty zaczyna się konferencja. Przedtem chcę wiedzieć wszystko o tym skaucie ze Strängnäs.

Szybkim krokiem ruszył przez pogrążony w półmroku garaż, a tuż za nim podążał Lars Lövdén. Kroki rywalizujących ze sobą policjantów odbijały się echem od betonowych ścian, wokół roztaczała się ostra woń benzyny i spalin.

– Sjölin zadzwonił do mnie przed południem, przed spotkaniem z premierem, i poinformował o zeznaniu chłopca. Coś nowego w tej sprawie?

– Całkiem sporo – odparł zdyszany Lövdén.

– Chcę znać wszystkie szczegóły, masz sześć minut i dziesięć sekund.

Jeglertz otworzył stalowe drzwi i szybko szedł korytarzem, Lövdén nie mógł za nim nadążyć.

– Wszystko zaczęło się o dziewiątej rano – wysapał. – Komendant policji w Strängnäs pokazał skautom, którzy mają zbiórki w domu parafialnym, portret pamięciowy sprawcy. Jeden z chłopców opowiedział coś interesującego: jakiś mie-

siąc temu widział starszą kobietę wychodzącą z budynku. Był już późny wieczór, ale zdołał przyjrzeć się jej dokładnie – miała zmarszczki, siwe włosy, była ubrana w spódnicę i ciemnobezowy płaszcz, a na nogach nosiła, jak się wyraził, prawdziwe babcine buty.

– Ale co się wydarzyło od tamtej pory, do cholery? Mamy jakiś ślad?

Lövdén skinął głową; kiedy wchodzili na górę, na klatce schodowej słychać było jego ciężki oddech.

– Chłopiec obejrzał nasz materiał cyfrowy.

U szczytu schodów znajdowały się zabezpieczone kodem drzwi. Wprowadziwszy właściwe cyfry, Jeglertz otworzył je i wszedł do środka. Pomieszczenie pękało w szwach, kilkunastu kamerzystów i dźwiękowców poruszało się gorączkowo wśród monitorów, przełączników ekranów i reflektorów, z sufitu, niczym liany w lesie deszczowym, zwieszały się kable na szpulach i przewody optyczne. Ledwie Jeglertz wszedł, podbiegła do niego producentka z telewizji szwedzkiej, przeciskając się między rozstawioną aparaturą.

– Rod, najwyższa pora. Za cztery minuty i dwadzieścia sekund wchodzimy na antenę, nadajemy na żywo do ponad trzydziestu krajów, więc...

Jeglertz uciszył ją, unosząc lewą dłoń, potem wszedł do prowizorycznej przebieralni zainstalowanej przy audytorium. Wewnątrz było ciasno i duszno, ciepło stuwatowych lamp dawało się we znaki. Ledwie Jeglertz usiadł na krześle, charakteryzatorka zaczęła pudrować mu nos i policzki.

– Jaki materiał, do cholery? – zapytał.

Lövdén, który wciąż jeszcze nie mógł złapać tchu po różnym marszu korytarzami komendy, oparł się o szafkę na ubrania.

– 16 maja, tuż po zabójstwie Pera Birkenfeldta, policja z okręgu Södermanland, rozstawiła osiem blokad w dolinie Mälaren. Przy każdej zamontowano kamerę. Dzisiaj, po zeznaniu chłopca, informatycy zaczęli przeglądać nagrania – to łącznie dwieście godzin nieedytowanego materiału. Rejestrują i sprawdzają wszystkie kobiety, które odpowiadają opisowi. Pokazywaliśmy nagrania Eliasowi, tak ma na imię chłopiec, biedak siedział na posterunku w Strängnäs pół dnia i oglądał setki starych bab. W taki piękny wiosenny dzień można by z pewnością robić o wiele ciekawsze rzeczy, prawda? Na poprawę humoru dostał słodycze i lody.

– Lars, mam w dupie, czy bachor miło spędza czas. Znaleźliście tę przeklętą babę?

Lövdén kiwnął głową.

– Po kilku godzinach coś się ruszyło. Jedna z kamer, na Marsön, zarejestrowała starszą panią za kierownicą bordowego saaba 99 turbo. Kiedy Elias ją zobaczył, prawie zadławił się lizakiem, od razu potwierdził, że to ta sama kobieta, którą widział w domu parafialnym w zeszłym miesiącu.

Nagle otworzyły się drzwi i do przebieralni wkroczył Frank Larsson, ekspert

z Krajowego Laboratorium Kryminalistyki.

– Sorry za spóźnienie. Właśnie rozmawiałem z koleżanką w Strängnäs, zdała mi raport z ostatniej godziny.

Na toalecie położył wydruk fotografii.

– Tak wygląda sprawca. Czasami.

Zdjęcie przedstawiało przygarbioną kobietę w wieku około osiemdziesięciu lat, stała przy bordowym saabie, wspierając się na lasce z ciemnego drewna. Miała rzadkie, siwe, niemal białe włosy, zapadłą, pomarszczoną twarz. Jej strój był prosty, ale elegancki, beżowy płaszcz z lat pięćdziesiątych, zielonkawa ołówkowa spódnica, pod apaszką w kratkę odznaczała się linia biustu.

Obok fotografii Larsson położył portret pamięciowy – staruszka i August Strindberg w średnim wieku. Ich twarze różniło niemal wszystko, ale spojrzenie i linia brody były takie same.

– O rany – powiedział Lövdén, z trudem łapiąc powietrze. – To on... tyle że w przebraniu.

– Tak.

Ostrożnym gestem Larsson wskazał fotografię, w prawym rogu widać było fragment podrdzewiałej karoserii samochodu.

– Jak widzicie, kamera uchwyciła kawałek tablicy rejestracyjnej. Całe popołudnie pracowaliśmy nad tym i udało się odtworzyć pełny numer, wszystkie cyfry i litery, ledwie kilka minut temu ustaliliśmy nazwisko właścicielki pojazdu – to Frida Uhl.

W tym momencie do przebieralni zajrzała producentka.

– Za półtorej minuty wchodzimy na antenę.

Jeglertz w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

– Rozmawialiście z tą Uhl? Skradziono jej samochód? Może go komuś pożyczyla?

– Sądzę, że ani jedno, ani drugie – odpowiedział Lövdén. – Osoba o nazwisku Frida Uhl nie istnieje.

– Skąd możesz wiedzieć, do cholery?

– Nie znam dokładnie biografii Strindberga, ale pamiętam jeszcze co nieco ze szkoły. Frida Uhl to druga żona pisarza, prawda?

Frank Larsson skinął głową.

– Zgadza się. Morderca stworzył fałszywą tożsamość, swoje kobiece alter ego. Dał Fridzie Uhl dowód osobisty, adres mailowy, numer telefonu. Ona ma nawet zameldowanie w Sztokholmie, na Riddarholmshamnen 12.

Jeglertz tak mocno walnął pięścią w toaletkę, że pudełka z pudrem pospadały na podłogę.

– Ten sukinsyn musiał popełnić jakiś błąd, musiał zostawić jakiś ślad. Na przykład ten przeklęty adres, sprawdźcie go.

– Już to zrobiliśmy. Przy Riddarholmshamnen 12 urodził się August Strindberg. Budynek zburzono w połowie XIX wieku, kiedy Strindberg miał trzy lata; nie istnieje więc od stu sześćdziesięciu lat.

Producentka znów zajrzała do przebieralni, oczy miała szeroko otwarte, a w jej głosie pobrzmiwała panika.

– Rod... wchodzimy za czterdzieści pięć sekund...

Jeglertz powoli pochylił się nad zdjęciem, jego szarobłękitne oczy, zimne i przejrzyste niczym kryształy lodu, wpatrywały się w twarz staruszki.

– Więc ten bydlak znów nas oszukał? Nich to szlag, nadal nic o nim nie wiemy.

Producentka zerknęła na zegarek, ręka jej drżała.

– Dwadzieścia pięć sekund...

Jeglertz nie wstawał z miejsca, zgniótł fotografię i cisnął na podłogę. Potem chwycił Lövdéna za przedramię i wyszeptał ledwie słyszalnym głosem:

– Lars, jeśli to spierdolimy... Jeśli sukinyś nam się wywinie, jeśli zapamiętaj mnie jako parszywego nieudacznika, to wiedz, że pociągnę cię za sobą w to gówno.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem w bezgłośnej próbie sił.

– Dziesięć sekund – wydusiła z siebie producentka.

Jeglertz powoli puścił rękę Lövdéna, wstał od toaletki i nieśpiesznie wyszedł.

Przez szparę w drzwiach do przebieralni docierały z audytorium głośny gwar i trzaski fleszy. Larsson podniósł zdjęcie z podłogi.

– W istocie wiemy całkiem sporo o sprawcy.

Starannie wygładził pognieciony papier.

– Bardzo możliwe, a wręcz niezwykle prawdopodobne jest na przykład to, że właśnie siedzi za kierownicą bordowego saaba 99 turbo, ubrany w ołówkową spódnice i w peruce na głowie, zmierzając do kolejnej ofiary.

Lövdén na chwilę przymknął oczy, a potem westchnął.

– Frank, zadzwoń do Karlsborga, do dowództwa ochrony w K3, i do francuskiej policji. Niech uważają na siwą staruszkę.

* * *

Gun-Britt Höök wyglądała przez okno sypialni w dole urwiska, niczym mozaika odcieni błękitu i białych fal, rozpościerało się Morze Śródziemne. Między skalnymi ścianami zieleniły się kaktusy i pinie, morskie powietrze niesło zapachy z brasserii i brzęczenie cykad. To tutaj, wśród górskich szczytów, leżało Èze.

Odwiedzający Lazurowe Wybrzeże turyści trafiali czasem do tej późnośredniowiecznej miejscowości, zaglądali do galerii i egzotycznego ogrodu przy ruinach zamku, lecz teraz placyki i brukowane uliczki były opustoszałe, panował tu

upiorny spokój. Nicejska policja zamknęła prowadzącą po skałach stromą górską drogę, jedynie mieszkańcy mogli jej używać, turyści musieli zawrócić przy bramie miejskiej.

W ogródku brasserii siedział burmistrz, François Rocheteau, w dłoni trzymał wiatrówkę naładowaną ostrą amunicją. Obok, na ławce z cedrowego drewna, czuwały jego dwie siostry – starsza, Mathilde, uzbrojona w masywny wałek do ciasta. Podstarzałe rodzeństwo utworzyło słynny już oddział samoobrony cywilnej, wszystkie francuskie gazety i telewizje informowały o ich odwadze i przedsiębiorczości, o tym, że patrolują uliczki, aby chronić szwedzką pisarkę, która większą część życia spędziła właśnie w Èze Village.

W tej górskiej wiosce na stałe mieszkało zaledwie około dwudziestu osób, teraz było tu więcej ochroniarzy niż lokalnej ludności. Za brasserią rysowało się kilka ciemnych sylwetek, trzech ubranych na czarno funkcjonariuszy ochrony DST, francuskiej policji bezpieczeństwa. Pod osiemnastowiecznym kościołem Notre-Dame-de-l'Assomption stało kolejnych dwóch ochroniarzy, Gun-Britt Höök widziała ich wyraźnie z wnętrza okiennej swojej sypialni.

Ostrożnie odsunęła na bok koronkową firankę i podeszła bliżej, żeby spojrzeć na majaczącą w oddali morelowopomarańczową wieżę barokowego kościoła. W progu sypialni natychmiast ukazał się jeden z funkcjonariuszy w czarnym, starannie wyprasowanym garniturze i białej lnianej koszuli.

– *Madame Höök, je vous prie. Ne vous tenez pas près de la fenêtre*²⁹⁾.

29) – *Pani Höök, bardzo Panią proszę, proszę odejść od okna* (przyp. red.).

Skinęła głową i odsunęła się kilka kroków, nie odrywając wzroku od spienionych fal morza.

Od niemal dwudziestu lat ta średniowieczna kamieniczka stanowiła jej azyl, to tu Gun-Britt Höök napisała większość swoich powieści i sztuk teatralnych, tu poślubiła drugiego męża, akwarelistę Olofa Hulténa, tu mogła schronić się przed dziennikarzami z ojczyzny. Riwiera – Côte d'Azur – do tej pory dawała jej poczucie bezpieczeństwa, teraz stała się jej więzieniem.

– Wiesz co – szepnęła do męża poprzedniej nocy – hrabiego Monte Christo też więziono na francuskim wybrzeżu, w twierdzy w pobliżu Marsylii.

Olof położył dłoń na jej dłoni.

– Tak, ale on zdołał uciec, prawda? Uratował się, i nam też się uda.

Przez moment Gun-Britt Höök chciała wspomnieć o przyjacielu hrabiego, księdzu Farii, który nie wydostał się z wyspy, lecz zmarł w niewoli. Powstrzymała się jednak. Teraz patrzyła z okna sypialni na surowe skały i wzburzone fale, tak czynił to Edmund Dantés przez lata spędzone w więzieniu.

Nagle usłyszała skrzypnięcie. Odwróciwszy głowę, zobaczyła w drzwiach wysoką, szczupłą sylwetkę Olofa. Uśmiechał się do niej.

- Gun-Britt, zjesz coś? W lodówce jest sałatka ziemniaczana.
- Nie jestem głodna.
- Mamy też butelkę wina. Château de Bellet, o ile dobrze pamiętam, odrobina na poprawę nastroju?
- Wypij sobie kieliszek, ja dziękuję.
- Olof delikatnie pogładził ją po opalonym ramieniu, po chwili skierował się do wyjścia, ale przystanął.
- A, właśnie zaczyna się konferencja prasowa. Nie chcesz obejrzyć?
- Nie dam rady, nie dzisiaj.

Przed południem widziała twarz mordercy, cyfrowy portret pamięciowy sporządzony przez sztokholmską policję. Gdy na ekranie telewizora ukazała się twarz Augusta Strindberga, wpatrywała się w nią nieobecny wzrokiem. Ów mężczyzna, *l'Assassin de l'Académie*, jak nazywała go francuska prasa, zabił siedmioro jej kolegów, zastrzelił ich z zimną krwią, w tym Orvara Scheelego, najbliższego przyjaciela. Nie chciała już widzieć więcej, żadnych felietonów w gazetach, dyskusji w telewizji ani konferencji prasowych.

Kiedy z pokoju telewizyjnego dobiegł głos szwedzkiego Komendanta Głównego Policji, zatrzasnęła drzwi sypialni, lecz jeden z funkcjonariuszy ochrony natychmiast je otworzył.

– *Non, madame. Ne fermez pas la porte.*

– *Bien sûr – odpowiedziała. – J'ai oublié*(30).

30)– *Nie, proszę pani. Proszę nie zamykać drzwi. – Oczywiście – odpowiedziała. – Zapomniałam* (przyp. red.).

Gun-Britt Höök powoli podeszła do wmurowanej w ścianę półki z wapienia, wzięła Biblię i usiadła na brzegu łóżka. Agenci usunęli z domu większość jej rzeczy osobistych, ale z tym egzemplarzem absolutnie nie chciała się rozstawać. Dostała go 18 maja 1959 roku. Tego dnia, dokładnie pięćdziesiąt trzy lata temu, w kościele w Skällerud, niedaleko brzegu Vänern, w południowo-wschodniej Dalsslandii, odbyła się jej confirmacja.

Położyła dłoń na wytartej skórzanej okładce, pod palcami wyczuła ornament, który kiedyś miał złotą barwę. Otworzyła czternasty rozdział Ewangelii świętego Mateusza i zaczęła czytać o przerażającej śmierci Jana Chrzciciela, o tym, jak został ścięty w ciemnym lochu Heroda. Słowa formowały się na jej wargach, wydobywały się z ust niczym wersy modlitwy.

Było to tłumaczenie z 1911 roku, autorstwa Helgego Åkessona, inspiratora ruchu wolnych baptystów. Choć Gun-Britt Höök знаła na pamięć jego kontrowersyjną interpretację, czytała po cichu linijka po linijce. Fragment sprawiał, że myślała o życiu, dającym siłę, a zarazem kruchym i nietrwałym. Przypomniał jej o matce.

Zwilżyła koniuszek palca językiem, przewróciła stronę i czytała dalej. Falco-

wane arkusze szeleściły w dłoniach. Czytała werset za wersetem, rozdział za rozdziałem, tak jak to czyniła od czternastego roku życia. Nagle szczęki jej znieruchomiały, słowa zastygły na wargach, uwięzły głęboko w gardle.

Krzyczała, lecz z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Oddychała, lecz do płuc nie docierało powietrze.

Wymachiwała rękami, lecz te leżały bez ruchu na łóżku.

Biblia Åkessona powoli wysunęła się z jej dłoni i uderzyła o wapienną podłogę. W drzwiach natychmiast ukazało się dwóch funkcjonariuszy ochrony.

– *Appelez un médecin! Vite, vite*³¹⁾!

31) – *Wezwijcie lekarza! Szybko, szybko!* (przyp. red.).

Do pokoju wpadło kolejnych dwóch z bronią, jeden wykrzykiwał komendy przez radio. Zaraz potem wbiegł Olof Hultén, rzucił się do żony i chwycił jej zeszywniałe ręce. Ich spojrzenia spotkały się.

– Gun-Britt! Nie zostawiaj mnie! Kocham cię!

– Ja też cię kocham – odpowiedziała. – Ja też cię kocham.

Lecz zamiast słów z jej szeroko otwartych ust wydobyły się piana i zabarwiona krwią ślina, sekundę później kobieta nie żyła.

Orhan Pamuk

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 2006 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„w poszukiwaniu melancholijnej duszy swojego rodzinnego miasta odkrył nowe symbole zderzenia i przenikania się kultur”

18 maja 2012

Arvid Falk!

Claudia wypluła z siebie te słowa, jak gdyby były przekleństwem, obelgą, zacisnęła pięści tak mocno, że napięta skóra na kłykciach zbieła. Siedziała na kartonowym pudle z podręcznikami wycofanymi z biblioteki, kiedy odwróciła się w stronę komputera, folia bąbelkowa pod pokrywą zatrzeszczała. Gapiła się w ekran, w zakładkę z fikcyjnym nazwiskiem.

Pytania zamiast odpowiedzi.

Bohater powieści zamiast prawdziwego sprawcy.

Rozgoryczona odwróciła wzrok. Wyjęła z pudła stary podręcznik *Społeczeństwo w Szwecji 800 – 1720: kler i szlachta* i zaczęła się nim wachlować. W podziemnym pomieszczeniu zrobiło się gorąco i duszno, zabezpieczony kratą przewód wentylacyjny nad jej głową pokrył się dużymi kroplami wilgoci.

Przy skrzyni, niecały metr od Claudii, siedział Brynolfsson. Dochodził do niej odgłos jego oddechu i ostry, nieprzyjemny zapach. Kraciasta koszula bibliotekarza była mokra pod pachami i u dołu pleców. Kiedy się odezwał, po jego brodzie też spłynęły słone krople potu.

– Ten morderca to sprytny drań, przypomina mi Vulture’a, jednego z najgroźniejszych wrogów Spider-Mana.

– Oszukał nas – z głębi pomieszczenia dobiegł ich głos Leo. – Po prostu.

Po chwili Brynolfsson zmarszczył nastroszone brwi, mocno ścisnął myszkę i kliknął jedną z zakładek katalogu. Jego palce znów przebiegły po wytartych przyciskach. Wymamrotał coś pod nosem, a Claudia, dosłyszawszy słowo *dziwne*, od razu przysunęła się bliżej.

– Masz coś?

Brynolfsson nie odpowiadał, gorączkowo przeszukiwał zakładki. Wreszcie wysapał:

– Termin... już upłynął...

– Jaki termin?
– Oddania książek, sprawca nie zapłacił kar za ich przetrzymywanie, w sumie ponad pięć tysięcy koron.

– Kary za przetrzymywanie?

Oddychając ciężko, Brynolfsson zaczął wyjaśniać:

– W Sztokholmie można wypożyczyć naraz pięćdziesiąt pozycji, taki jest limit. Arvid Falk ma w tej chwili czterdzieści dziewięć książek i wszystkie, co do jednej, powinien był oddać trzy lata temu.

Bibliotekarz kontynuował przeglądanie, po chwili jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Miał jeszcze jedną książkę, czyli w sumie wypożyczył pięćdziesiąt.

– Miał?

– Tak, i nawet wiem, gdzie ona teraz się znajduje.

– Gdzie?

– Tutaj, w dziale beletrystyki, stoi sobie grzecznie na regale, dokładnie nad naszymi głowami.

– Jesteś pewien?

– *Oui*, książka została zwrócona do Biblioteki Miejskiej dziesięć dni temu.

Otarłszy rękawem koszuli pot z czoła, mówił dalej, z trudem łapiąc powietrze.

– Przyjęła ją moja koleżanka, Anette Fredriksson. Leo, na pewno ją znasz: wysoka, szczupła, atrakcyjna, rude włosy, około pięćdziesiątki, zawsze nosi turkusowy naszyjnik w kształcie skarabeusza.

– Tak, widziałem ją.

– Anette jest formalistką, patrzcie, co napisała, odbierając tę książkę.

Brynolfsson przycisnął palec do jasnoszarego okienka z wiadomościami.

Dziś przed południem, podczas mojej zmiany, przy stanowisku wypożyczeń miał miejsce dziwny incydent.

*Pewien starszy pan oddawał książki (4 szt.). Okazało się, że jedna z nich – Vilgot Elmander //n.a. Na morzu // t. (Hc swe) – należy do innego czytelnika o nazwisku ARVID FALK (nr karty czytelnika GLY9010370MN). System natychmiast zareagował, zapaliła się czerwona lampka. Bezwłocznie sprawdziłam konto pana Falka. Okazało się, że od TRZECH LAT przetrzymuje on 50 książek (UWAGA! Limit!!!), za co należy się 5180 KORON kary. Kiedy starszy pan to usłyszał, zrobił coś, co mnie zaskoczyło, ale i bardzo ucieszyło ☺. Chociaż to nie jego sprawa, rzecz jasna, nalegał, że chce zapłacić karę (140 koron) za zwracany egzemplarz *Na morzu*. „Porządek musi być” – powiedział, a ja nie mogłam się nie zgodzić. Człowiek życzyłby sobie, żeby wszyscy czytelnicy byli tak obowiązkowi i uprzejmi jak ów starszy pan.*

Próbowalam – daremnie – odszukać Arvida Falka. (nr tel. 08-555 351 45NIEistnieje)☺.

/ Anette Fredriksson, p.o. Kierownika ds. Zakupu Zbiorów, Biblioteka Miejska, 8 maja 2012

Claudia poderwała się z pudła i złapała Brynolfssona za połą przepoczonej koszuli.

– Starszy pan? Można znaleźć w systemie jego nazwisko? Adres? Cokolwiek?

– Zwykły bibliotekarz nie ma do takich rzeczy dostępu – odpowiedział, po czym dodał z ironicznym uśmiechem.

– Ale dla mnie to żaden problem.

Odepchnął nogą swoje krzesło od komputera, przesunął się na nim do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– Lepiej, żeby moi koledzy tego nie widzieli – wyszeptał i sprawdził, czy dobrze zamknął.

Podjechał z powrotem do komputera, po czym wyjaśnił ściszym głosem:

– Zeszłej zimy dyrektor biblioteki kupiła sobie na lunch libańskie jedzenie na wynos. Potem chciała skorzystać z komputera w pokoju socjalnym i wpisała swoje hasło. *Big mistake!* Na klawiaturze zostały tłuste ślady palców, a ja od tej pory mam nieograniczony dostęp do wszystkich tajemnic biblioteki.

Wstukał dyrektorskie hasło, *JariKurri17*, i zalogował się na serwer administracji. Na ekranie od razu ukazał się uporządkowany układ plików.

– Tu można sprawdzić wszystko, wypłaty pensji, zakup książek, opłaty za utylizację makulatury, honoraria za spotkania autorskie, koszty cateringu na imprezach dla pracowników, wszystko, a teraz zobacz.

Najpierw Brynolfsson kliknął *KARY ZA PRZETRZYMIWANIE KSIĄŻEK*, następnie folder *WPLATY*. Kiedy na ekranie ukazała się jego zawartość, przesunął kursor w dół długiej listy.

– *Yes*, tu go mamy. Osiemnastego maja, o godzinie dziesiątej pięćdziesiąt dwie zapłacono kartą, tu w bibliotece. Suma wyniosła dokładnie sto czterdzieści koron, a ściągnięto ją z konta o numerze 8327 – 8 64 471 333 – 4.

– Jest tylko numer? Nie ma nazwiska, adresu?

– *Nope* – odpowiedział Brynolfsson rozczarowany. – Tylko numer.

Claudia usiadła ze skrzyżowanymi nogami na chybotliwej skrzyni przy klawiaturze i wyciągnęła rękę.

– Daj mi swój telefon.

Bibliotekarz wyjął aparat z etui na pasku do spodni i podał Claudii. Ta szybko wybrała numer policyjnej centrali, a kiedy usłyszała telefonistkę, poprosiła uprzejmym, nieco zmienionym głosem o połączenie z Janem Widemanem z policji finansowej.

Telefonistka przekierowała rozmowę i po czterech sygnałach w słuchawce rozległ się chrapliwy męski głos.

– Cześć, Janne, tu Claudia Rodriguez, potrzebuję twojej pomocy, to pilne. Muszę wiedzieć, kto jest właścicielem konta o numerze 8327 – 8 64 471 333 – 4. Wygląda mi to na zwykłe konto oszczędnościowe w Swedbanku, mam rację? Możesz to sprawdzić?

Słuchając Widemana, niecierpliwie skubała drzazgi wystające ze skrzyni.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała. – Poczekam.

Leo i Brynolfsson patrzyli na nią z zaciekawieniem, w pomieszczeniu słychać było tylko jednostajny dźwięk wydobywający się z zardzewiałych rur. Po dobrej minucie w słuchawce znów rozległ się chropowaty głos Widemana. Claudia wsłuchiwała się z uwagą, notując coś ołówkiem na odwrocie opakowania gumy do żucia.

– Dzięki, Janne. Następnym razem stawiam ci piwo. Czeskie, Staropramen, zgadza się?

Z uśmiechem słuchała odpowiedzi.

– Dobra, dobra, dwa piwa. Na razie!

Odłożyła telefon i zwróciła się do obu mężczyzn.

– Mamy nazwisko gościa.

Kiedy położyła opakowanie na stole, Leo i Brynolfsson odczytali jej pospieszne notatki, cienkie kreski połyskiwały w blasku świetlówek.

Werner Stolte.

Strandvägen 31.

* * *

Na siódmym piętrze, w budynku komendy, wśród zebranych przy stole w sali konferencyjnej, siedział Birger Sjölin. Twarz miał bladą, jego miedziane włosy falowały, poruszone lekko powiewem wentylatora.

Przez ostatnie trzy godziny dyskutował niepewną, szkolną francuszczyzną z szefami policji na Lazurowym Wybrzeżu, były to chaotyczne rozmowy, pełne nieporozumień i omyłek. Teraz miał streścić to wszystko w kilka minut. Matowym wzrokiem popatrzył na pozostałych członków grupy dochodzeniowo-śledczej, po czym uniósł sześć palców, po jednym na każdą ofiarę zabita z broni czarnoprochowej.

– Rudqvist, Bergwall, Hjärpe, Fahlén, Scheele i Wilhelmsson – tych sześciu sprawca zastrzelił starym rewolwerem z odległości trzech, czterech metrów.

W przypadku Pera Birkenfeldta było zupełnie inaczej. Jego mieszkanie, ba, całe Strängnäs, znajdowało się pod obserwacją SÄPO, zabić go z broni czarnoprochowej, przy użyciu niestabilizowanego pocisku, byłoby rzeczą niemożliwą. Morderca użył więc jednego z najlepszych na świecie karabinów snajperskich, PSG 90, dzięki czemu mógł oddać strzał z odległości dokładnie stu siedemnastu metrów.

Lars Lövdén skinął głową, doskonale wiedział, do czego zmierza Sjölin.

– Gun-Britt Höök – wtrącił – przebywała ponad dwa tysiące kilometrów stąd, na francuskim wybrzeżu. W takiej sytuacji nawet karabin ze skalibrowanym celownikiem na nic się nie przyda.

– Dokładnie – odpowiedział Sjölin. – Sprawca wiedział, że Höök tam będzie, ona zawsze spędza letnie miesiące na Riwierze. Wiedział, że będzie pod ochroną francuskiej policji, wiedział też, że sam musi być w Szwecji, gdzie ściga go każdy funkcjonariusz. Musiał więc zabić Höök, nie zbliżając się do niej, dlatego umieścił truciznę w jej Biblii, a ściślej mówiąc, w dolnych rogach stron Ewangelii świętego Mateusza, rozdziały od czternastego do osiemnastego.

Wszyscy zebrani podnieśli wzrok.

– Tylko w Ewangelii świętego Mateusza?

– Tak.

– Rozdziały od czternastego do osiemnastego?

– Tak, w sumie pięć, może sześć stron.

Rolf Hedlund parsknął.

– Skąd sukinsyn mógł wiedzieć to wszystko? Że Höök zabierze swoją starą Biblię do Francji i będzie czytać Ewangelię świętego Mateusza? Przecież mogła się wziąć za Pierwszy List do Koryntian albo Apokalipsę świętego Jana, no i dlaczego miałyby czytać to właśnie dzisiaj? Przecież mogła to, do cholery, zrobić pięć miesięcy temu, w Boże Narodzenie!

Birger Sjölin oparł łokcie o stół, przez kilka sekund zastanawiał się, jak wyjaśnić skomplikowany łańcuch wydarzeń. Wreszcie wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

– Przez ostatnie godziny eksperci z DST rozmawiali z mężem Höök, artystą Olofem Hulténem. Jest wprawdzie w ogromnym szoku, ale przesłuchanie można, w tych warunkach, uznać za udane, powoli rozjaśnia nam się obraz przebiegu wydarzeń. Jedno da się stwierdzić z całą pewnością – tu nie ma mowy o przypadku, o zbiegu okoliczności, sprawca dokładnie wiedział, co robi.

Sjölin upił kilka sporych łyków wody mineralnej, po czym kontynuował.

– W wieku czternastu lat Gun-Britt Höök przystąpiła do confirmacji. Podczas mszy, która odbyła się 18 maja 1959 roku w kościele w Skållerud, miała odczytać fragment Biblii wskazany wcześniej przez pastora.

– Z Ewangelii świętego Mateusza, rozdziały od czternastego do osiemnastego?

– Zgadza się. Na konfirmację dostała w prezencie od matki używaną Biblię. Przez wiele tygodni co wieczór czytała ten fragment, przed mszą umiała go wyrecytować jak z nut. W kościele czekała wśród pozostałych konfirmantów na swoją kolej, widziała w ławkach licznie przybyłych krewnych i przyjaciół, brakowało tylko jednej osoby. Nagle otworzyły się drzwi i weszło dwóch posterunkowych – mieli do przekazania straszne wieści: matka Höök zginęła w wypadku, w drodze na konfirmację córki – tuż pod Mellerud jej samochód zderzył się z ciężarówką transportującą mleko. Od tamtego dnia Gun-Britt Höök co roku powtarzała ten sam rytuał: 18 maja brała do ręki Biblię, prezent od matki, i czytała te pięć rozdziałów z Ewangelii świętego Mateusza. Robiła tak od 1959 roku, również dzisiaj.

Lena Bouvin zmarszczyła czoło zdziwiona.

– Ale w jaki sposób się zatrula? Francuzi zdołali już coś ustalić?

– Gun-Britt Höök miała pewien nawyk – odpowiedział Sjölin – dokładniej mówiąc, zły nawyk – przy przewracaniu stron śliniła palec. Powtarzając dzisiaj tę czynność kilka razy, wprowadziła do organizmu śmiertelną dawkę trucizny, którą zabójca umieścił wcześniej w dolnych rogach stron.

W pokoju zaległa grobowa cisza. Po chwili wstał Lars Lövdén i zabrał głos.

– Morderca musiał więc znać te fakty. Wiedział, że matka Höök zginęła w wypadku 18 maja 1959, że Höök czyta ten konkretny fragment w rocznicę jej śmierci, że przewracając strony ślini palec.

– Tak – odpowiedział Sjölin. – Na to wygląda.

– Musiał uważnie ją obserwować przez wiele lat.

– To jedyne wytłumaczenie.

– Jaką trucizną posłużył się sprawca? – zapytał Lövdén. – Wiadomo?

Pierwszy raz w trakcie tego spotkania Sjölin nie miał przygotowanej odpowiedzi. Już chciał wyjaśnić, że francuscy technicy nie skończyli jeszcze analiz, kiedy w progu rozległ się męski głos.

– Batrachotoksyna.

W drzwiach stał Frank Larsson.

– To substancja o nazwie batrachotoksyna – powiedział. – Wydzielina skóry żaby, liściołaza żółtego.

Z wypełnionym po brzegi kubkiem kakao w dłoni przeszedł przez salę i usiadł przy stole.

– Liściołaz żółty? – wykrzyknął Claes Rothman. – Ta południowoamerykańska żaba, której wydzieliną Indianie zatrują strzały?

– Zgadza się. Indianie Embera, zamieszkujący dżunglę na zachodzie Kolumbii, wykorzystują tę substancję od stuleci. Moczą w niej strzały do dmuchawek, których używają podczas polowań na małpy i ptaki. Kontakt z grotem zatrutej strzały powoduje natychmiastową śmierć zwierzęcia.

Frank upił łyk gorącego kakao i mówił dalej.

– Sprawca wykazał się niezwykłą starannością we wszystkich przedsięwzięciach. Bardzo dbał o swoją broń, precyzyjnie wyciął prześwit w koronie dębu w Strängnäs, ukrył mikrochipy w szwach ubrań i obcasach butów, ale w żadnym przypadku nie wykazał się takim wyrafinowaniem, jak przy wyborze substancji trującej.

Rolf Hedlund gapił się z irytacją na eksperta kryminalistyki.

– Co takiego dziwnego jest, do cholery, w tej truciznie? Istnieje mnóstwo niebezpiecznych substancji: strychnina, sarin, cyjanek, VX, arszenik, węglik. *You name it*. Zabójca mógł równie dobrze posłużyć się cyjanowodorem, w ostatnich latach to najczęściej wykorzystywana substancja trująca.

Zmarszczywszy brwi Frank zaczął cierpliwie wyjaśniać, niczym nauczyciel mało pojętnemu uczniowi.

– Cyjanowodór jako narzędzie zbrodni ma wiele wad, między innymi wydziela silną woń, mówiąc wprost, śmierdzi jak jasna cholera. Zdarza się, że potencjalna ofiara zdąży wyczuć ostry zapach gorzkich migdałów i dzięki temu uratować życie. Czasem śmierć nie następuje od razu, lecz dopiero po trzech minutach, a przecież istnieje wiele rodzajów antidotum, na przykład siarczan sodu.

– Oznacza to – wtrącił Lövdén – że sprawny lekarz może ocalić życie osoby zatrutej cyjanowodorem.

– Dokładnie. Podobnie rzecz ma się z bakteriami węglika, strychniną, VX i sarinem. Przeciw tym wszystkim truciznom istnieją znane antidota albo szczepionki, a tego zapewne chciał uniknąć zabójca.

Frank Larsson upił duży łyk kakao.

– Rolf, podałeś jako przykład cyjanowodór i rzeczywiście jest to niezwykle trująca substancja. Żeby spowodować śmierć dorosłego człowieka, wystarczy pięćdziesiąt miligramów. Jednak sposób podania trucizny, jaki zastosowano w przypadku zabójstwa Gun-Britt Höök, czyli kilkukrotne poślinienie palca, wymaga czegoś działającego o wiele silniej – na świecie istnieje zaledwie kilka substancji mogących spowodować śmierć po przyjęciu tak małej dawki.

Larsson zaczął odliczać na palcach lewej ręki.

– Jad kiełbasiany, rycyna, TCDD(32) i hemotoksyczny jad niektórych węży. Wszystkie one mają jednak wyraźne wady – część z nich traci swoje właściwości w kontakcie w powietrzem, inne trzeba wstrzyknąć albo wprowadzić do organizmu przez drogi oddechowe, żeby miały działanie śmiertelne. Tak oto zostaje nam jedna jedyna substancja, która spełnia wszelkie warunki, jakie sprawca zapewne brał pod uwagę: batrachotoksyna, czyli wydzielina skóry liściołaza żółtego.

32) Tetrachlorodibenzodioksyna (przyp. red.).

Z kieszeni koszuli Larsson wyjął wydruk i położył go na stole. Zdjęcie przedstawiało małą żółtawą żabkę.

– To najniebezpieczniejsze zwierzę na ziemi. *Phyllobates terribilis*, liściołaz żółty, zwany też złocistym albo straszliwym.

– Raczej nie nadaje się na domowego pupila?

– Co to, to nie. Wydzielina skóry tego płaza zabiła Gun-Britt Höök. Batrachotoksyna, produkowana przez gruczoły zwierzęcia, jest niezwykle silna – wystarczy zaledwie czterdzieści mikrogramów, żeby uśmiercić dorosłego człowieka, ilość ta odpowiada dwóm drobinkom zwykłej soli. Przeciw tej toksynie nie ma antidotum, ofiara umiera w ciągu kilku sekund. Sprawność lekarzy jest tu więc bez znaczenia – jeśli do organizmu Gun-Britt Höök dostało się czterdzieści mikrogramów tej trucizny, jej śmierć była nieunikniona.

– Dwie drobinki soli? – zapytała Lena Bouvin. – To bardzo mało.

– Zgadza się. Wydzielina liściołaza żółtego ma jeszcze jedną zaletę – jest mało znaną substancją. Nigdy nie wykorzystywano jej w działaniach militarnych, nie posługiwali się nią terroryści, nie szukają jej funkcjonariusze policji bezpieczeństwa ani psy szkolone do wykrywania substancji. Poza tym w ogóle trudno ją wykryć, nie wydziela wyraźnego zapachu. Nie zmienia też właściwości pod wpływem tlenu czy innej substancji – wręcz przeciwnie, pozostaje śmiertelnie trująca przez rok od momentu wydzielenia przez gruczoł liściołaza.

Frank rozłożył ręce, podsumowując w ten sposób swój wywód.

– Mówiąc krótko, batrachotoksyna to trucizna idealna.

– A jak właściwie działa ta substancja? – zapytał Claes Rothman.

Na twarzy eksperta pojawił się smutek.

– Gun-Britt Höök zmarła szybko, lecz straszliwą śmiercią. Jej mięśnie przestały funkcjonować, zatrzymał się oddech. Ciało zostało całkowicie sparaliżowane, wszelkie impulsy nerwowe zatrzymane. Zatem, przy pełnej świadomości, nie była w stanie mówić ani poruszać się, ostatnie momenty życia spędziła w pułapce, uwięziona we własnym ciele. Zmarła w ciągu piętnastu sekund.

– Mówisz, że sprawca posłużył się wydzieliną liściołaza żółtego – odezwała się Lena Bouvin. – Miał ją po prostu w domu?

– To niemożliwe – odpowiedział Larsson. – W niewoli liściołaz nie wydziela toksyny. Musi przebywać w swoim naturalnym środowisku, w południowoamerykańskiej dżungli i odżywiać się określonymi gatunkami chrząszczy, w których organizmie występuje bardzo mała ilość batrachotoksyny. Innymi słowy liściołazy muszą zjeść mnóstwo tych owadów, żeby wyprodukować truciznę.

– Czyli zabójca w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy musiał pojechać do Ameryki Południowej, żeby zdobyć tę substancję.

– Prawdopodobnie.

Lövdén zwrócił się do kierownika sztabu Okręgowej Komendy Policji.

– Frida, skontaktuj się ze wszystkimi liniami lotniczymi, które oferują połączenia z Ameryką Południową, sprawdź, czy w ciągu ostatniego roku przewoziły

pasażerkę o nazwisku Frida Uhl.

Frida Zetterlund skinęła głową, po czym zapisała coś szybko w kołonoatniku.

Lena Bouvin powoli skierowała wzrok na kartkę A4 przyklejoną na ścianie, patrzyła na nazwiska dziewięciorga członków Akademii – osiem z nich przekreślono czarnym markerem.

– Sprawca zdołał zamordować kolejnego członka Akademii Szwedzkiej. To katastrofa, kompletna katastrofa.

– Niby dlaczego?

Do tej pory Rod Jeglertz milczał, teraz zwrócił się do Leny Bouvin.

– Dlaczego zabójstwo Gun-Britt Höök miałoby być katastrofą? Przecież to nie my byliśmy za nią odpowiedzialni, tylko Francuzi.

Komendant Główny Policji zaczął przechadzać się wokół stołu, wzrok miał skupiony, głos opanowany.

– Seria zabójstw rozpoczęła się w nocy z 14 na 15 maja, od tego czasu zginęło ośmioro członków Akademii, lecz nie można nas, szwedzkiej policji, winić za żadne z tych morderstw. Pierwszych pięć miało miejsce, zanim ustaliliśmy związek między ofiarami. Szósta osoba, Per Birkenfeldt, odmówiła współpracy z funkcjonariuszami SÄPO. Wilhelmsson zaszył się na odludziu, a Höök, którą otruto dziś wieczorem, znajdowała się pod ochroną francuskiej policji bezpieczeństwa.

Zatrzymał się u szczytu stołu i uniósł palec wskazujący.

– Na liście została tylko jedna osoba.

– Vilgot Elmander.

Jeglertz skinął głową i skierował wzrok w stronę Claesa Rothmana.

– Nawet włos nie może mu spaść z głowy.

Nie odwzajemniając spojrzenia Jeglertza, dyrektor Departamentu Ochrony Osób SÄPO popatrzył po zebranych.

– Jak wiecie, Elmander przebywa w jednostce K3 pod Karlsborgiem. Zaostrożono tam, rzecz jasna, rygor ochrony, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zmieniliśmy także część priorytetów. Chociaż Lisbeth Larsson nadal leży w Szpitalu Uniwersyteckim, zredukowaliśmy liczbę rozmieszczonych tam funkcjonariuszy – siedmiu z grupy agentów przebywających na jej oddziale przenieśliśmy do Karlsborga. Podobnie wygląda to w posiadłości Eklunda pod Borlänge. Z czterech oddziałów ochrony pozostawiliśmy jeden, jednocześnie zwiększając liczbę funkcjonariuszy policji pomocniczej i poszerzając ich kompetencje. Natomiast w podziemiach tego budynku, w pomieszczeniach o podwyższonym standardzie ochrony, nadal przebywa pięcioro członków Akademii, którzy...

Nagle otworzyły się drzwi i do sali wpadł posterunkowy.

– Mamy sukinsyna! Ujęliśmy sprawcę!

* * *

Czterdzieści pięć minut później nad koronami drzew, jakieś dziesięć kilometrów na północny wschód od Borlänge, pojawił się helikopter. W dole, jak długo i szeroko, rozpościerał się gęsty las sosnowy, dolina tonęła w miedzianej czerwieni wieczoru.

Silnik dudnił w półmroku, maszyna krążyła wokół drewnianych zabudowań pasterskich, po czym wylądowała na wrzosowisku, między zagonami owsa. Natychmiast otworzyły się drzwi, z helikoptera wyskoczyli Rod Jeglertz i Rolf Hedlund i ruszyli przez pola. Z głębi lasów nadciągały ciemność i nocne opary, kłęby mgły otulały nogi mężczyzn niczym koty domagające się pieszczot. Kiedy silnik zamilkł, rozbrzęczały się owady, powietrze przepelniało godowe cykanie pasikoników. Na środku wrzosowiska czekał na policjantów mężczyzna około czterdziestki, był ubrany na czarno, a zarys jego ogolonej głowy wyraźnie odznaczał się na ciemnym tle.

– Mattias Bornedal, dowódca oddziału ochrony SÄPO, nie sądziłem, że panowie przybędą na miejsce i...

– Gdzie on jest?

Bornedal wskazał dwie ogromne stodoły.

– Tam. Jego stan jest krytyczny, ale lekarze robią, co mogą. Najlepiej będzie, jeśli panowie zaczekają w domu Eklunda, proszę zjeść drożdżówkę, napić się kawy. Lekarze przeniosą go do szpitala w Falun, żeby...

– Chcę zobaczyć sukinsyna. Natychmiast.

Wzrok Jeglertza był tak nieprzejednany, że Bornedal tylko skinął głową. Szybkiem przeszli przez podwórze i minęli odnowiony dom z muru pruskiego, w którym mieszkał Hans Ekberg. W oknie sypialni widać było sylwetkę językoznawcy, rosły mężczyzna stał w otoczeniu żony i czworga dzieci, wyglądając z przestrachem na zewnątrz – na oczach członków rodziny właśnie rozegrał się dramat, w którym sami odegrali główną rolę.

Za budynkiem spiżarni widać było agentów SÄPO, tuż obok, nad rowem, stało około dziesięcioro umundurowanych funkcjonariuszy policji z Borlänge i policji porządkowej, z latarkami skierowanymi w dół. Snopy światła przebijały się przez mrok, psy węszyły w wysokiej na metr trawie.

Jeglertz spojrział w stronę rowu.

– To tam go znaleźliście?

Bornedal skinął głową, a w jego oczach pojawił się cień zakłopotania.

– Tak... ale to nie my go znaleźliśmy, wytropiły go doberman Ekberga.

– Jak to?

– Poruszają się swobodnie po posesji, całą dobę. Od zawsze tak było i nie mieliśmy powodu, żeby to zmieniać, wręcz przeciwnie – to świetne psy obronne, o czym przekonaliśmy się przed godziną. Zaczęły szczekać jak oszalałe, wszystkie

pięć, popędziły przez podwórze i rzuciły się na intruza, który ukrył się w rowie. Byłem wtedy w domu. Od razu podbiegłem do północnego okna salonu, w ciemnościach zobaczyłem świecący na czerwono punkt. W tej samej sekundzie psy zaatakowały. Prawie wykończyły sukinsyna, gryzły go w twarz, gardło, krocze. Minęło pół minuty, zanim dobiegli tam funkcjonariusze policji pomocniczej, a pięć wściekłych dobermanów może w trzydzieści sekund wyrządzić sporo szkód. Powiem tylko, że w tej chwili facet wygląda raczej kiepsko, ślady po ugryzieniach pozostaną mu do końca życia.

– Świetnie – skwitował Hedlund z szyderczym uśmiechem.

Twarz Jeglertza nawet nie drgnęła.

– Czerwony punkt? Celownik laserowy?

– Też tak z początku myślałem – odpowiedział Bornedal. – Ale nie znaleźliśmy ani laserowego, ani termowizyjnego celownika. Intruź miał za to przy sobie aparat cyfrowy – pewnie to lampka kontrolna flesza zabłysła w ciemności.

Trzej mężczyźni szli dalej przez teren posesji. Poniżej rozciągały się zagony owsa, w oddali rysowała się idealnie prosta linia horyzontu, którą przełamywały jedynie pojedyncze chaty pasterskie, odcinające się na tle krwistoczerwonego nieba. Przy zabudowaniach tłoczyło się kilkanaście osób: lekarze, dowódca oddziału policji, pracownicy szpitala, funkcjonariusze ochrony SÄPO. Liczne reflektory oświetlały podwórze i karetkę przy końcu stodoły. Na noszach, przy tylnych drzwiczkach ambulansu, leżał nieprzytomny mężczyzna, obok stała kroplówka i migający aparat EKG, pod noszami widać było dwie butle z tlenem.

Mężczyzna miał około czterdziestki, włosy w kolorze piaskowy blond, rzadkie na ciemieniu, gęste po bokach, związane w koński ogon schowany między łopatkami. Oczy zamknięte, usta szeroko otwarte.

Leżał na noszach zupełnie nagi. Jego ciało pokrywały głębokie rany szarpane, na twarzy, szyi, przedramionach, udach, nawet na kroczu można było dostrzec wyraźne ślady ugryzień. Lekarze usiłowali zatamować krwawienie, zaklejali otwarte rany. Jedna z pielęgniarek wachlowała dłońmi twarz i krocze mężczyzny, ale nie dało się odpędzić ciem, po pokaleczonej skórze łążyły meszki i komary. Skóra na szczęce była zerwana, w świetle reflektorów połyskiwała biała kość.

Wściekłe szczekanie dobermanów dochodzące z domu Ekberga przypominało o wydarzeniach sprzed godziny.

Jeglertz uważnie przyglądał się mężczyźnie.

– Przeżyje?

– Prawdopodobnie – odpowiedział jeden z lekarzy. – Ale będzie porządnie pokiereszowany.

Jeglertz powoli przesunął dłoń po gładko ogolonym policzku, odwrócił się i popatrzył na zachód, w stronę rowu.

– Ten rów znajduje się prawie pod samym domem Ekberga, jak ten sukinsyn

zdołał, do cholery, podejść tak blisko?

– Tunele melioracyjne.

– Co?

Bornedal wziął głęboki oddech, po czym zaczął wyjaśniać.

– Przeczółgał się tunelami melioracyjnymi. Są wkopane w ziemię wzdłuż okolicznych dróg leśnych i pól. Trzeba przyznać, że to przedsiębiorczy drań, musiał to dokładnie i długo planować. Czołgał się rozebrany, nasmarowany olejem z orzechów włoskich, żeby łatwiej się przecisnąć – kanały są wąskie, mają nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów średnicy. Musiał pełznąć tunelami ponad dwa, może trzy kilometry, w szlamie, zupełnie nago.

– Nago? Nie miał nic na sobie?

– Tylko na głowie latarkę czołową, a za sobą włókł plastikowy worek przywiązany do kostki. Też go nasmarował, żeby łatwiej było ciągnąć, miał ze sobą jeszcze mały śrubokręt na baterie, którym odkręcał filtry i syfony blokujące przejście.

Jeglertz podszedł bliżej i przyglądał się rannemu mężczyźnie.

– Mówi pan, że miał plastikowy worek, co w nim było?

– Mapy i plany okolic Borlänge, między innymi szczegółowe mapy geologiczne z archiwum Wydziału Do Spraw Budownictwa, nawet zdjęcia lotnicze i dokładne plany wszystkich tuneli melioracyjnych i studzienek w centralnej części Dalarny, do tego dwa opakowania wazeliny i cztery butelki oleju z orzechów włoskich, i jeszcze aparat cyfrowy i broń palną.

– Rewolwer czarnoprowy?

– Nie, współczesny pistolet. Beretta dziewięćdziesiąt dwa z pełnym magazynkiem, siedemnaście nabojów.

– I to wszystko? Nie miał nic więcej, na przykład ubrań?

– Nie, ubrań nie było, ale miał coś jeszcze, książkę.

Jeglertz podniósł wzrok.

– Jaką znowu książkę, do cholery?

– *Das rote Zimmer*.

– Że co?

– *Czerwony pokój* po niemiecku.

Nagle mężczyzna wydał z siebie chrapliwy dźwięk, z jego ust wypłynęły skrzepy krwi i żółć. Odzyskał przytomność, oczy miał szeroko otwarte, błyszczące od gorączki i nieobecne. Wszyscy lekarze i pielęgniarki podbiegli do noszy, pochylili się nad rannym i zaczęli kontrolować otaczającą go aparaturę medyczną.

– Puls stabilny – powiedziała jedna z pielęgniarek. – Czas odstępu PQ dwieście cztery milisekundy, nieco podwyższony, ale w normie.

Jeglertz zdecydowanym krokiem przecisnął się między lekarzami i pielęgniarkami, stanął przy noszach i pochylił się nad poszarpaną twarzą podejrzanego.

– Patrz na mnie. Patrz, sukinsynu.

Ranny miał rozbiegany wzrok, jego gałki oczne obracały się wkoło niczym porcelanowe oczka starej zepsutej lalki. Jeglertz chwycił odartą ze skóry szczękę mężczyzny i zmusił go, by na niego spojrział.

– Dopadłem cię, sukinsynu, teraz czeka cię piekło.

Jeden z lekarzy próbował odciągnąć komendanta głównego i inspektora, lecz ten drugi też zdążył się precyzyjnie do ranego i złapał go za nagie przedramię.

– Wiemy, że zatrueś Biblię Gun-Britt Höök jakąś przeklętą żabią toksyną, zatrueś coś jeszcze?

Mężczyzna nie odpowiedział, z jego ust wydobywały się tylko nieartykułowane jęki.

– Dlaczego próbowałaś zabić Ekberga? – wysyczał Hedlund. – Przecież nie ma go na tej twojej przeklętej liście, kogo chcesz dopaść, ty parszywy sukinsynu?

Ranny usiłował coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w zakrwawionych ustach.

– Odpowiadaj, do cholery, odpowiadaj! Milcząc, tylko pogarszasz sprawę, nie rozumiesz?

Lekarz nadzorujący akcję ratowniczą mocno chwycił Hedlunda za ramię.

– Wiem, że tu chodzi o ważne śledztwo, wiem, że szukacie odpowiedzi na wiele pytań i że to pilne, ale ten człowiek wymaga specjalistycznej opieki, natychmiast, w przeciwnym razie...

Wtedy dał się słyszeć jakiś dźwięk – ranny wydobył z siebie ledwie zrozumiałe słowa.

– ...w-was ist l-l-los? Ich h-habe Schmerzen...33)

33) – *Co się stało? Boli mnie...* (przyp. red.).

Wszyscy zebrani na podwórzu momentalnie otoczyli nosze, wpatrywali się w leżącego na nich mężczyznę.

– Mów po ludzku, sukinsynu! – syknął Hedlund.

– *M-my face... it h-hurts...*

Jego szczęka drżała, każdy oddech, każde słowo wymagało ogromnego wysiłku.

– *I-ich bin nicht der Mörder. Verstehen Sie? I am not... the Academy killer.*

Hedlund złapał go za zakrwawione włosy.

– O czym ty mówisz, do cholery?

Ten sam lekarz natychmiast odsunął rękę Hedlunda i pochylił się nad ranym.

– *Who are you?* – zapytał. – *Wer bist du?*

Kiedy mężczyzna otworzył usta, żeby odpowiedzieć, wypłynęła z nich krew.

– *K-karsten. My n-name is Karsten Schulze.*

Zaczął przesuwać palcami po poszarpanej twarzy.

– *Mein Gott! Was haben Sie mir angetan? I am not the Academy killer. I am not the Academy killer.*

Głos Hedlunda odbił się echem od ścian budynków:

– *Bierzesz nas za durni, sukinsynu? Of course you're the fucking killer! Why else would you crawl in a pipeline for two kilometers? Through water and horse-shit! Only a crazy serial killer would do something like that!*

Lekarz nadzorujący pogładził rannego po ramieniu.

– *Karsten, can you hear me? If you're not the killer, then why did you come here?*

– *Ich bin Fotograf. Ich arbeite bei der Bild-Zeitung. I am a photographer. Verstehen Sie?*

– *You're a photographer?*

– *Yes, a paparazzi. I take fucking pictures. What have you done to me? What have you done?*

– *Karsten, listen to me*– powiedział lekarz. – *This is important. Why did you bring a gun?*

Z pokiereszowanych ust mężczyzny z trudem wydobywał się głos.

– *Wir sind in Schweden. There are wolves and bears in the forest. I was scared.*

Odpowiedź Jeglertza była natychmiastowa.

– *You'll wish you met wolves and bears instead of me*³⁴).

³⁴) – *Moja twarz... boli...*

– *Nie jestem mordercą. Rozumiesz? Nie jestem zabójcą członków Akademii.*

– *Kim jesteś?*

– *Karsten. Nazywam się Karsten Schulze.*

– *Mój Boże! Co mi zrobiliście? Nie jestem zabójcą członków Akademii. Nie jestem zabójcą członków Akademii.*

– *Oczywiście, że jesteś pieprzonym zabójcą. Jeśli nie, to dlaczego czołgałeś się w kanałach przez dwa kilometry? Przez wodę i gówno? Tylko szalony zabójca zrobiły coś takiego.*

– *Karsten, słyszysz mnie? Jeśli nie jesteś zabójcą, to po co tu przyszedłeś?*

– *Jestem fotografem. Pracuję dla Bild-Zeitung. Rozumiesz?*

– *Jesteś fotografem?*

– *Tak, paparazzim. Robię pieprzone zdjęcia. Co mi zrobiliście? Co zrobiliście?*

– *Karsten, słuchaj mnie. To ważne. Dlaczego przyniosłeś pistolet?*

– *Jesteśmy w Szwecji. Tu są wilki i niedźwiedzie. Bałem się.*

– *Wierz mi, że wolałbyś spotkać wilki i niedźwiedzie zamiast mnie (przyp. red.).*

Z całej siły uderzył rannego zaciśniętą pięścią w twarz. Nocną ciszę przeszył okropny dźwięk – trzask miażdżonej kości nosowej i krzyk bólu. Jeglertz ruszył przez spowite mgłą podwórze w stronę czekającego helikoptera.

22 stycznia 1912

August Strindberg stał we wnęce okiennej i czekał. Ostrożnie poprawił lampę, przesuając jej mosiężną podstawę kilka centymetrów w bok.

Czterdzieści sześć lat temu brał udział w ćwiczeniach strzeleckich na Tyresö, jakieś dziesięć kilometrów na południe stąd. Wtedy był nieśmiałym młodzieńcem, mającym przed sobą całe życie, teraz, stary i chory, doszedł do jego kresu. Sam ustalił, dzięki osobliwym matematycznym wyliczeniom, że umrze właśnie w tym roku – jego przewidywania okazały się trafne. Owego dnia – 22 stycznia 1912 roku – miał świętować urodziny po raz ostatni, ale zarazem najhuczniej.

Powoli odsunął się od okna i chwiejnym krokiem ruszył do jadalni. Całe życie był aktywny, codziennie po śniadaniu odbywał długie spacery, ale to wszystko się skończyło, gdy dopadła go choroba. Teraz pokonanie niewielkiej odległości między sypialnią i jadalnią wymagało ogromnego wysiłku, oddech stawał się ciężki i nierówny. Pisarz wsparł się o futrynę drzwi, a potem o czarne pianino marki L. Neufeld.

Przy stole siedziały jego dwie córki, Greta i Anne-Marie. Greta z niepokojem patrzyła na ojca, znając jego temperament, zawahała się, po chwili jednak wskazała wiklinowy fotel.

– *Może papa usiądzie na chwilę?*

– *Nie.*

– *Może papa się czegoś napije? Mamy lemoniadę i citronil, przynieść schłodzoną butelkę?*

– *Nie.*

– *Jest papa pewny?*

– *Tak.*

Niewiele mówił, nie chciał marnować słów – być może ostatnich – na czczą gadaninę, przecież już to wyjaśniał. Z trudem szedł z powrotem do okna.

– *Papa powinien coś zjeść, jest gotowany śledź w koperku, który papa tak lubi.*

Znów potrząsnął głową.

– *Ale przecież doktor podkreślał, jak ważne jest, żeby...*

Z błękitnych oczu posypały się błyskawice.

– *Doktor? Który doktor? Byłem u czterech i tyle samo diagnoz otrzymałem. Kamienie żółciowe, rak żołądka, zapalenie otrzewnej i tasiemiec. Nie trzeba mi gotowanego śledzia tylko jednoznacznej diagnozy!*

Wysiłek okazał się zbyt wielki, słowa uwięzły mu w gardle, a klatką piersiową wstrząsnął chrapliwy kaszel.

Przy stole siedział też zięć, Henry von Philp, jeden z owych czterech lekarzy. Według niego sławny pisarz cierpiał na zapalenie otrzewnej. Wyciągnął rękę, żeby podeprzeć teścia, którego męczył atak kaszlu, ale Strindberg nie zauważył tego gestu, kilkoma chwiejnymi krokami zbliżył się do okna. Mógł stąd obserwować tę część Drottningatan, która prowadziła na południe, aż do parku przy Centralnym Basenie kąpielowym. Spoglądał na długie sztokholmskie ulice, ale jeszcze nie było niczego widać, nie było tłumów ani korowodu z pochodniami.

Czy to jakiś żart, czyżby zakpili sobie okrutnie z umierającego człowieka?

Przed nim rozpościerało się miasto, spowite w wieczorne ciemności, skute mrozem, opuszczone. Te kwartały Norrmalmu należały do niego i tak już miało pozostać, niczym zjawą będzie czuwał nad tą dzielnicą nawet sto lat po śmierci. Cytaty z jego dzieł i korespondencji wtopią się żelaznymi literami w asfalt na Drottningatan. Na jego pogrzebie na Cmentarzu Północnym zgromadzi się sześćdziesiąt tysięcy osób, odprowadzą go na wieczny spoczynek do czarnego dębowego krzyża ze złotym napisem O CRUX AVE SPES UNICA35).

35) Witaj/ Bądź pozdrowiony o Krzyżu, jedyna nadziejo. Wers z hymnu Vexilla regis prodeunt Wenancjusza Fortunata (VI w.) (przyp. red.).

W parku Tegnéra wzniesiony zostanie pomnik Strindberga, zaprojektowany przez Carla Eldha, a portrety pisarza i cytaty z jego sztuk ozdobią ściany przy wschodnim wyjściu ze stacji metra Rådmanngatan. Czy mógł to przewidzieć, wyczekując przy oknie w 1912 roku?

Być może.

Wcześniej tego dnia Carl Eldh przekazał mu wiadomość, że pomnik jest już gotowy, ale Strindberg nie pragnął uwiecznienia w brązie czy na płótnie, lecz w literaturze.

Z ogromnym wysiłkiem wrócił do drzwi balkonu w sypialni, stamtąd wypatrywał tych, którzy mieli uczynić go nieśmiertelnym, wciąż jednak jeszcze w zimowym mroku nie widział płonących pochodni.

Kilka dni wcześniej napisał do przyjaciela, muzealnika Richarda Bergha: Żeby ludzie mogli odróżnić mój balkon od innych, ustawię przy oknie moją najpiękniejszą lampę elektryczną, zwrócę jej czerwone oko w stronę parku Tegnéra. Ponownie wyciągnął drżącą dłoń i poprawił lampę na komodzie, skierował jej rozświetlony czerwony klosz nieco bardziej na południowy zachód.

W pierwszych latach tego stulecia spodziewał się otrzymać Nagrodę Nobla. W swoich zapiskach, Dzienniku okultystycznym, zanotował, że gwiazdy dały mu wyraźny znak: w grudniu otrzyma nagrodę pieniężną! Lecz teraz, w dniu swoich urodzin, czekając tak w oknie sypialni, wiedział, że już nigdy nie dostanie Nobla.

Nigdy.

Zmęczonym wzrokiem spoglądał zza aksamitnych zasłon. Greta i jej mąż wciąż siedzieli przy stole w jadalni, obserwując go z niepokojem z daleka.

– To był długi dzień, papa pewnie jest zmęczony?

Potrząsnął głową, lecz oczy mówiły co innego, było w nich zmęczenie, które już nigdy nie miało zniknąć.

Greta zerknęła na zegarek na ręku męża.

– Może papa jednak usiądzie?

W tym momencie w ciemności ukazały się światła pierwszych pochodni.

– Są.

Pochód wylaniał się z mroku. Wił się uliczkami Sztokholmu niczym płonący wąż, powoli zbliżał się do mieszkania na rogu Tegnérgatan i Drottninggatan. Gwar tysięcy głosów odbijał się echem od fasad budynków i wznosił do czarnego nieba.

– Przyszli – wyszeptał, stanąwszy znów we wnęce okiennej.

Nagle jego błękitne oczy rozbłysły, pojawiło się w nich coś, jakby zachwyt. Z sekretarzyka wziął przybory do pisania: angielskie pióro ze stalówką, francuski atrament i arkusz papieru z wytwórni Lessebo. Z wielkim zapalem skreślił kilka linijek. Ciężko oddychając, gorączkowym szeptem wypowiedział zanotowane słowa, a potem założył najcieplejsze zimowe palto, schował kartkę do kieszeni i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi balkonu.

Młodsza córka, dziewięcioletnia Anne-Marie, zerwała się z miejsca.

– Papa potrzebuje pomocy? Może wesprze się papa na moim ramieniu?

Skinął głową, chwycił jej wyciągniętą rękę i razem wyszli na balkon. Okrzykom radości i wiwatom nie było końca.

– Niech żyje Strindberg!

– Niech żyje król pisarzy!

Na pobliskich ulicach i pod jego balkonem zebrało się dziesięć tysięcy osób. Płonące pochodnie i czerwone chorągwie związków zawodowych rozjaśniały bar-

wami mrok, orkiestry wypełniały go muzyką. Najpierw odegrano Marsylianę, a potem inne pieśni o wolności. W tłumie stał Hjalmar Branting, przewodniczący Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej – to on przewodził tym hucznym obchodom i ogłosił wynik kilkumiesięcznej narodowej zbiórki.

Anty-Nagroda Nobla – tak nazywano ją potocznie.

Akademia Szwedzka postanowiła nie nominować Strindberga do Literackiej Nagrody Nobla, ale społeczeństwo miało na ten temat inne zdanie. Biedni robotnicy ze sztokholmskich fabryk i dzielnic portowych zebrali dla Strindberga w sumie czterdzieści pięć tysięcy koron.

Jeden z członków Akademii, Per Hallström, próbował przerwać zbiórkę. W dzienniku „Svenska Dagbladet” napisał, że wyróżnienie tego oszczercy byłoby skandalem. Fredrik Böök i Sven Hedin obrzucali Strindberga błotem na łamach gazet i pism, ośmieszali go od lat, ale ludzie nie dali się powstrzymać. Teraz zaś stali tłumnie pod jego mieszkaniem, wpatrując się w balkon na piątym piętrze.

I pojawił się ów słynny pisarz. Mróz szczypał go w policzki, ciemność szczelnie otaczała jego postać. Zięć, Henry von Philp, trzymał kandelabr, którego drżące płomienie oświetlały twarz Strindberga, wychudzoną i szaroblada, twarz umierającego człowieka.

Nagle pisarz sięgnął do kieszeni palta, wyjął złożoną kartkę i wychyliwszy się za balustradę wypuścił ją z ręki. Papier poszybował w dół, przez ciemność, prosto w skandujący tłum.

José Saramago

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1998 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za to, że przypowieściami, podtrzymywanymi przez wyobraźnię, współczucie i ironię, stale umożliwia nam pojmowanie iluzorycznej rzeczywistości”

18 maja 2012

Przy nabrzeżu przeładunkowym szeroko rozpościerały się smolście czarne wody Mälaren, na drugim brzegu zatoki, niczym baśniowy świat, majaczył Djurgården, budynki przypominające z oddali zamkowe wieże, karuzele wesołego miasteczka migoczące na tle nocnego nieba. Lecz Claudia i Leo stali tyłem do tej wspaniałej scenerii ani na sekundę nie spuszczać wzroku z drzwi pod numerem 31. Niemal od czterech godzin ukrywali się w zadrzewionej alejce przy Strandvägen, obserwując wejście do budynku. Leo tylko raz zszedł na chwilę z posterunku, przebiegł przez ulicę i kupił w kawiarni coś słodkiego, herbatę i *caffè latte*.

Ugryzł kęs trzeciego czekoladowego muffinka i popił zimną herbatą.

– Praca w antykwariacie potrafi być monotonna, czasem przez całe przedpołudnie nic się nie dzieje, ale to dochodzenie jest jeszcze gorsze.

Claudia wzruszyła ramionami.

– Cztery godziny to nic, pod koniec lat 90., w trakcie pewnego śledztwa, przesiedziałam w punkcie obserwacyjnym cztery miesiące. Tropiliśmy gang przemytników heroiny, zadekowaliśmy się w jakimś warsztacie w Rågsved, mijala godzina za godziną, dzień po dniu. Byliśmy głodni, chciało nam się sikać, ale musieliśmy tam tkwić, gang mógł w każdej chwili zjawić się w melinie.

– I siedzieliście tam cztery miesiące?

– Tak.

– Rozbiliście ten gang?

– Nie.

Leo ugryzł kolejny kawałek ciastka i strzepnął okruchy z brody.

– Wiesz co?

– Tak?

– Pracujemy w podobnych zawodach – ty poszukujesz przestępców, a ja książek.

– Ale te twoje książki, kiedy już je znajdziesz, nie wyciągają z zanadru pół-

automatycznego glocka, prawda?

– No nie. Ale raz nadwyrężyłem sobie kręgosłup, podnosząc karton z książkami science-fiction. Na szczęście nie przydarzyło mi się nic gorszego. Odpukać.

– To dobrze – Claudia nie odwzajemniła uśmiechu.

Szklanym wzrokiem wpatrywała się w wapienny łuk wieńczący bramę, nie odrywała wzroku od wejścia do kamienicy. Kilkoma łykami dopiła resztę kawy, zgmiotła papierowy kubek i wyrzuciła go. W tej samej chwili dostrzegła, że Leo patrzy na coś w napięciu.

– To Stolte? Widzisz go?

Leo nieznacznie pokręcił głową.

– Nie odwracaj się. Jedzie radiowóz.

Claudia bez zastanowienia zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła całować, kilka sekund później samochód patrolowy śródmiejskiej policji minął ich splecione w uścisku sylwetki.

– Widziałam ten trik w jakimś filmie – wyszeptała, nie odrywając warg od jego ust.

– Niezły.

Przycisnąwszy ją do siebie, śledził wzrokiem radiowóz, który podążał pasem Strandvägen prowadzącym na wschód, minął budkę z kiełbaskami, a potem wjechał w Narvavägen i zniknął z pola widzenia. Leo zdjął rękę z pleców Claudii.

– Odjechali.

– Wiem.

Nie odsunęła się jednak, chwyciła go za szlufki dzinsów i przyciągnęła bliżej.

– Claudia... jesteś pewna?

– Nie – zaprzeczyła, przyciskając wargi do jego ust.

Ich dłonie wślizgiwały się za paski spodni i pod bluzy, usta szukały ust, szaleńczo, gwałtownie, tak jakby ich ciała chciały teraz wynagrodzić sobie te piętnaście straconych lat. Kiedy palce Leo wyczuły bruzdę pod lewą piersią Claudii, zatrzymały się.

– Blizna?

– Tak.

– Nie było jej piętnaście lat temu.

– Pamiętasz takie szczegóły?

– Wszystko pamiętam.

– To będziesz miał wiele do odkrycia: cztery tatuaże i trzy blizny.

– Trzy?

– Jedna po postrzale, dwie po nożu. Zobaczymy, czy je znajdziesz.

– Postaram się.

Powoli przesuwając palcami po jej nagiej skórze, po łopatkach, piersiach.

– Tu nic nie ma.

Potem po pępku, zagłębieniu w plecach, po talii, biodrach, z każdą sekundą, z każdym ruchem ich oddechy przyspieszały coraz bardziej.

– Jest!

To Claudia wypowiedziała te słowa. Zdyszani odwrócili się i utkwili wzrok w linii chodnika biegnącego wzdłuż fasad budynków – od razu rozpoznali wysoką, szczupłą sylwetkę mężczyzny, który podążał Strandvägen.

W Bibliotece Miejskiej, cztery godziny wcześniej, Brynolfsson wyszukał w Internecie Wenera Stoltego, na stronie Wikipedii znalazł aktualne zdjęcie mężczyzny i krótką informację na jego temat.

Werner Johan Stolte – urodził się 3 listopada 1931 roku na Östermalmie w Sztokholmie.

W. Stolte jest wnukiem inwestora budowlanego Carla-Oscara Stoltego, który przyczynił się między innymi do powstania Stadionu Olimpijskiego w Sztokholmie w 1912 roku. Od stycznia 1974 roku W. Stolte jest dyrektorem generalnym przedsiębiorstwa budowlanego Palmarius S. A. Firma, którą jego dziadek, Carl-Oscar Stolte, założył w 1905 roku, zatrudnia obecnie ponad 2300 osób w Skandynawii i krajach bałtyckich.

Leo wyciągnął z tylnej kieszeni wydruk, porównał mężczyznę na zdjęciu z tym, który właśnie szedł chodnikiem, jakieś czterdzieści metrów od nich.

– To Stolte.

Najszybciej jak mógł zapiął koszulę, potem chwycił Claudię za rękę i zrobił krok naprzód.

– Musimy zdążyć, zanim wejdzie do budynku.

– Ale ja chcę, żeby wszedł.

– Jak to?

Nie odpowiedziała, ukryta w mroku za lipami śledziła wzrokiem mężczyznę, który pośpiesznie zmierzał ku zielonym drzwiom z drewna tekowego pod numerem 31. Stolte wstukał kod i zniknął w holu budynku z przełomu XIX i XX wieku, nazwanego na cześć pierwszego właściciela kamienicą Bünsowa. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Claudia rzuciła się w kierunku wejścia, przycisnęła twarz do domofonu i zaczęła chuchać na przyciski. Od razu pokazały się ślady palców Stoltego, wyraźnie było je widać na guzikach 1, 2, 5, 7, 9.

– Pięć cyfr, to niespotykane.

– Tak – odezwał się zdyszany Leo za jej plecami. – Te cyfry mogą tworzyć setki kombinacji, znalezienie właściwej zajmie nam całą noc.

– Stolte przesunął rękę w górę, po przekątnej od prawej do lewej, potem prosto w dół, tak więc prawidłowy kod to... dziewięć, pięć, dwa, jeden, siedem.

Jej palec wskazujący przebiegł po metalowych przyciskach, powtarzając ruchy mężczyzny. Kiedy dotknęła siódemki, mechanizm zabrzączał.

– Wejdz.

Wbiegli do budynku, rozległ się stukot kroków na marmurowej posadzce. Ściany holu zdobiły kinkiety i płaskorzeźby z granitu, między postaciami dwóch syren Leo dostrzegł spis lokatorów, kilkanaście nazwisk na aluminiowej tablicy.

– Stolte, czwarte piętro.

Winda również miała ponad sto lat, ale dobrze naoliwiona krata otworzyła się bezgłośnie. Kiedy wsiedli, Leo wcisnął czwórkę, ruszyli w górę przez dziewiętnastowieczną kamienicę, oglądając przez kratę mijane powoli piętra.

– Sądzisz, że to Stolte zamordował członków Akademii?

– Nie, według profilerów sprawcą jest mężczyzna około czterdziestki, a Stolte ma ponad osiemdziesiąt lat, jednak w którymś momencie ich drogi musiały się przeciąć.

Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze, Leo otworzył kratę. Wyszli i popatrzyli na dwie pary podwójnych drzwi w kolorze terakoty. Na tych po lewej widniała mosiężna wizytówka z wypisanymi czarną emalią literami: *Stoltowie*. Claudia od razu podeszła i nacisnęła dzwonek. Po kilku sekundach Werner Stolte otworzył drzwi, popatrzył na niespodziewanych gości, obejrzał legitymację w wyciągniętej dłoni Claudii – jego twarz nie wyrażała zdziwienia ani przestachu.

– Przepraszam, że przeszkadzam w piątkowy wieczór, nazywam się Claudia Rodriguez, a to Leo Dorfman, jesteśmy z biura kryminalnego Komendy Głównej, musimy z panem chwilę porozmawiać, to zajmie tylko kilka minut.

Stolte uśmiechnął się uprzejmie, nie spuszczał wzroku, nie zwlekał z odpowiedzią.

– Oczywiście. O co chodzi? Mam nadzieję, że nie wydarzyło się nic poważnego.

– Nie. Musimy zadać tylko kilka rutynowych pytań.

– Proszę bardzo, niech państwo wejdą.

Mieszkanie było ogromne, trzy salony w stylu secesyjnym, usytuowane po tej samej stronie, jeden za drugim, a na każdej ścianie, w każdym zakątku zgromadzono dzieła sztuki. Rozejrzawszy się, Leo rozpoznał wiele obrazów i rzeźb, autorstwa Carla Larssona, Andersa Zorna, Carla Eldha, Stanisława Przybyszewskiego, Edvarda Muncha.

– Widzę, że zainteresowała pana moja kolekcja.

– O tak, ma pan wspaniałe dzieła.

Wzrok Leo powędrował ku akwareli nad kominkiem.

– Ten obraz Zorna widziałem tylko w albumach o sztuce i broszurach aukcyjnych. Nazywa się chyba *Eva*? W zeszłym roku wystawił go na sprzedaż Dom Aukcyjny Bukowski, poszedł za niemal jedenaście milionów, o ile dobrze pamię-

tam, długo się zastanawiałem, kto go kupił.

Na twarzy Stoltego pojawił się szeroki uśmiech.

– Teraz już pan wie.

Usiadł przy stoliku do brydża i gestem wskazał gościom miejsca obok.

– Z biegiem lat zostałem kolekcjonerem, ale od razu przyznam, że moja pasja do sztuki jest większa niż wiedza, to przywilej, móc żyć w otoczeniu dzieł najwybitniejszych mistrzów, było to źródłem wielkiej radości dla mnie i mojej żony. Niestety Maj-Lise zachorowała na białaczkę, niedługo minie piętnaście lat od jej śmierci, ale razem z synem rozbudowałem to, co ona zapoczątkowała.

Przez kilka sekund wpatrywał się w gwiazdzisty wzór parkietu, wydawało się, że zapomniał o gościach, po chwili jednak podniósł wzrok.

– Starzec wspomina dobre czasy, proszę mi wybaczyć.

– Nic się nie stało.

Stolte uśmiechnął się do nich i wyprostował plecy.

– Chcieli państwo o coś zapytać, prawda?

– To drobiazg – powiedziała Claudia – ale policja musi podjąć każdy, nawet najmniejszy trop, nigdy nie wiadomo, dokąd nas doprowadzi.

– Czasem drobiazgi okazują się najważniejsze. O co chodzi?

– O książkę z biblioteki.

Stolte zmarszczył posiwiałe brwi, w jego głosie słychać było wyraźnie zdziwienie.

– O książkę z biblioteki?

– Tak, ponad tydzień temu oddał pan kilka książek w Bibliotece Miejskiej na Sveavägen, chcielibyśmy zapytać o jedną z nich, *Na morzu* Vilgota Elmandera.

Stolte skinął głową, na jego ustach pojawił się uśmiech.

– A, tak, dobrze pamiętam to zdarzenie. Oddawałem kilka książek i nagle ekran komputera zaczął migać na czerwono – bibliotekarka chyba trochę się przestraszyła, biedna kobieta. Okazało się, że jedną z książek przetrzymano trzy lata, a był to akurat wspaniały reportaż z podróży autorstwa Elmandera, i tu miała miejsce zabawna wolta – wyobraźcie sobie państwo, że to nie była moja książka, wypożyczył ją kto inny, przez pomyłkę znalazła się wśród moich.

Nagle na czole mężczyzny pojawiła się zmarszczka zatroskania.

– Ale proszę powiedzieć, dlaczego biuro kryminalne Komendy Głównej zajmuje się przetrzymanymi książkami z biblioteki? W naszym kraju popełnia się chyba poważniejsze przestępstwa?

– Nie szukamy książki Elmandera, za to bardzo interesuje nas osoba, która ją wypożyczyła.

Claudia uważnie przyglądała się Stoltemu, obserwowała jego dłonie, usta, szare oczy.

– To Arvid Falk – mówiła dalej. – Zna pan tego człowieka?

Stolte potrząsnął głową, spokojnie.

– Niestety. W młodości miałem kolegę na kursie, na politechnice, nazywał się Albert Falk, sympatyczny chłopak. Ale nie znam żadnego Arvida Falka.

– Ale to właśnie on wypożyczył książkę Elmandera, jak to możliwe, że trafiła w pana ręce?

Stolte zwlekał chwilę z odpowiedzią, potem zapytał z zadumą:

– Słyszeli państwo o Williamie Ockhamie, tym średniowiecznym filozofie? Stworzył naukową teorię, która po angielsku nosi nazwę *Ockham's razor*, Brzytwa Ockhama.

Leo skinął głową.

– Najprostsze wyjaśnienie jest zapewne słuszne.

– Właśnie – potwierdził Stolte. – Nie wiem, jakie wyjaśnienie byłoby najprostsze w tym przypadku – może takie, że bibliotekarka się pomyliła, może odwiedziliśmy bibliotekę w tym samym czasie i niechcący zamieniliśmy książki, ów Arvid Falk i ja. Może siedzieliśmy obok siebie w tramwaju i przez przypadek zabrałem jego książkę. Tak czy siak, nie mam pojęcia, kim jest ten facet. Przykro mi.

Claudia pochyliła się nad stolikiem, ton jej głosu zmienił się.

– A jednak zapłacił pan za niego karę – sto czterdzieści koron, okazał pan niezwykłą hojność, pomagając w ten sposób obcej osobie.

Stolte oblizał wargi, po czym odpowiedział tak samo uprzejmie jak wcześniej.

– Biblioteki publiczne to prawdopodobnie nasze najlepsze instytucje. Wściekłość mnie ogarnia, wręcz cholera mnie bierze, jak widzę, że ktoś wykorzystuje i sabotuje ich działalność, dlatego zapłaciłem karę za tego gałgana.

Wskazał na akwarelę Zorna nad kominkiem.

– Jak zdążyli państwo zauważyć, kupuję dzieła sztuki za miliony koron, stać mnie więc, żeby pomóc Bibliotece Miejskiej, wpłacając na jej rzecz te sto czy dwieście koron, nie sądzą państwo?

– Wspomniał pan o tramwaju – powiedział Leo. – Przychodzi panu na myśl jakieś inne miejsce, w którym mógł pan spotkać owego Falka?

– Setki. Codziennie odwiedzam muzea i galerie sztuki. Lunche i kolacje jadam na mieście, zazwyczaj w Grand Hotelu, a czasem w innych restauracjach czy barach w okolicy. W każdy poniedziałek rano chodzę na pływalnię Storkyrkobadet, towarzyszy mi Bror Axén, z którym przyjaźnię się od bardzo dawna. W czwartki wieczorem gram w brydża w klubie seniora przy Karlaplan. Zasiadam w zarządach wielu spółek i w różnych komitetach, jeżdżę po Europie, żeby oglądać i kupować dzieła sztuki. Sami państwo widzą, że bywam w wielu miejscach i spotykam mnóstwo obcych ludzi i nie potrafię stwierdzić, czy ktoś z nich pożyczył książkę Vilgota Elmandera.

Złożył dłonie, ton jego głosu zdradzał, że to ostateczna odpowiedź.

– Niestety nie mogę państwu pomóc.

Claudia nie wstawała od stolika, uparcie wpatrywała się w starszego mężczyznę.

Coś tu nie gra.

Coś kryło się pod jego skórą, w ruchach dłoni, w ledwo dostrzegalnym drgnieniu mięśni wokół ust, w słowach.

Coś.

Wstrzymała się kilkanaście sekund, czekała, aż Stolte powie coś jeszcze, zdradzi zaniepokojenie, zacznie nerwowo skubać kant stołu. Ale ten się nie poruszył, nie powiedział ani słowa, z absolutnym opanowaniem patrzył jej w oczy. Wreszcie Claudia wstała od stolika i podała starszemu mężczyźnie rękę, jego dłoń była ciepła i sucha.

– Dziękujemy – powiedziała i odwróciła się, zamierzając wyjść z salonu.

Wtedy usłyszała za sobą głos Stoltego.

– A, tak z czystej ciekawości, o co właściwie chodzi? Ten Arvid Falk to poszukiwany przestępca? Jakiś gangster?

Claudia zatrzymała się w drzwiach, odwróciła nieco głowę.

– Niestety nie możemy zdradzać szczegółów – odpowiedziała. – Dochodzenie jest w toku.

– Czy ta sprawa ma coś wspólnego z zabójstwami członków Akademii? – zapytał mężczyzna.

Odwróciła się, w jej ciele pulsowała adrenalina.

– Dlaczego... pan tak sądzi?

– To zupełnie naturalne przypuszczenie, przecież państwo pracują nad tą sprawą, prawda? To pani prowadzi dochodzenie, choć raczej powinienem powiedzieć – prowadziła.

Claudia podeszła do stolika i wpiła wzrok w Stoltego, jej serce biło jak szalone.

– Skąd, do jasnej cholery, pan o tym wie?

– Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niestosownego, ale o tym wie już chyba cała Szwecja, a z pewnością wkrótce się dowie.

– O czym pan mówi?

– O tym.

W prawej dłoni Stolte trzymał wydanie specjalne dziennika „Aftonbladet”, położył gazetę na stoliku – na pierwszej stronie widniały dwa zdjęcia i dwa nazwiska, wypisane wielkimi czarnymi literami.

CLAUDIA MARIA EVANGELINA RODRIGUEZ

LEO WALDEMAR DORFMAN

A poniżej tylko jedno słowo, czerń drukowanych liter rozlewała się na całą szerokość strony: *POSZUKIWANI*.

22 stycznia 1912

Carl-Oskar Stolte szedł wśród niosącego pochodnie tłumy. Choć był o głowę wyższy od większości uczestników, nie mógł dostrzec ani początku ani końca tej procesji, jak okiem sięgnąć, ognie rozświecwały pogrążone w zimowej ciemności miasto. Sztokholm rozbrzmiewał bojową pieśnią i czerwieniał się od związkowych chorągwi.

Podobno przyszło dziesięć tysięcy ludzi – wszyscy w stolicy, czy tego chcieli czy nie, mieli zobaczyć, jak świętuje się urodziny Strindberga. Te obchody były jak jego dzieła, nie mogły pozostać niezauważone. Policja zamknęła kwartały wokół budynku, w którym mieszkał, dorożki i nieliczne auta musiały kierować się objazdem, przez Västmannagatan. Rozeszła się nawet plotka – zdaniem wielu zabawna – że przy Gustav Adolfs torg wykoleił się elektryczny tramwaj – tylu wielbicieli pisarza wsiadło do wagonu.

W ostatnich latach Carl-Oscar Stolte był głównym inżynierem na budowie Stadionu Olimpijskiego w Sztokholmie. Pracowało tam również wiele osób idących teraz w pochodzie, na przykład przed nim kroczył krzepki murarz – to on położył ostatnią cegłę na wieży z zegarem. Bardzo wiele różniło Stoltego od tych mężczyzn, ale było coś, co łączyło ich wszystkich, pewien człowiek.

August Strindberg.

Wreszcie pochód dotarł do kamienicy, w której mieszkał pisarz, w oknie sypialni Stolte widział czerwoną lampę, wskazującą jego mieszkanie. W tłumie, na samym przodzie, majaczył czarny cylinder, którego właścicielem był Hjalmar Branting – przywódca partii robotniczej miał wkrótce ogłosić wynik zbiórki.

Kiedy jubilat wyszedł na balkon, ulice rozbrzmiały ogłuszającymi wiwatami, słyszał je zapewne cały Sztokholm! Orkiestra znów odegrała Marsylianę, tłum skandował, również Stolte przyłączył się do okrzyków:

– Król pisarzy! Król pisarzy!

Niektórzy wykrzykiwali nawet obelgi pod adresem Vernera von Heidenstama i Svena Hedina, ktoś odważył się wręcz głośno bluźnić przeciwko Gustawowi V, lecz natychmiast go uciszono.

Zięć Strindberga trzymał kandelabr, w blasku świec widać było wyraźnie, jak bardzo słynny pisarz wychudł i pobrał. Uśmiechał się wprawdzie, machał dłonią, lecz wydawało się, że każdy ruch wymaga od niego ogromnego wysiłku. Nagle Strindberg wyjął coś z kieszeni palta, Carl-Oskar Stolte widział to dokładnie ze swojego miejsca naprzeciw sklepu z kawą. Pisarz podszedł chwiejnym krokiem do balustrady, otworzył dłoń, dyskretnie, niemal niezauważalnie, i wypuścił przedmiot z ręki. Owo coś powoli opadało w ciemnościach, szarpane w tę i w tę podmuchami wiatru, krążyło nad tłumem, niemal splonęło w ogniu pochodni.

Stolte śledził przedmiot wzrokiem – od balkonu na piątym piętrze, na sam

dół, do Tegnératan – wyciągnął dłoń i złapał go, ledwie kilka centymetrów od płomieni – była to złożona kartka.

Zwitek dostrzegło również dwóch robotników stojących obok. Jeden pracował chyba przy przeladunku w porcie, drugim był właśnie ten murarz z wieży zegarowej.

– Też chcę zobaczyć ten papier – powiedział.

– I ja – dołączył się robotnik portowy.

Stolte rozpiął palto i ostrożnie schował zwitek w wewnętrznej kieszonce.

– Jeśli panowie życzą sobie obejrzeć tę kartkę, proszę bardzo, ale nie tutaj, nie teraz. Jeszcze się w tej ciżbie rozerwie albo zajmie od pochodni. Proponuję spotkanie w restauracji albo winiarni, tam będziemy mogli w spokoju ją pooglądać. Co panowie na to?

Robotnicy wpatrywali się w niego, w spojrzeniu obu żarzyło się jedno pytanie, wreszcie odezwał się murarz.

– A skąd, do diaska, mamy wiedzieć, że pan nie czmychniesz gdzieś, żeby zachować papier tylko dla siebie?

– Mają panowie moje słowo.

Podczas wielkiego strajku w 1909 roku murarz i Carl Oscar Stolte stali po przeciwnych stronach barykady. Pierwszy, jako członek nowo powstałej Szwedzkiej Konfederacji Związków Zawodowych, należał do straży strajkowej, drugi był wysłannikiem Związku Pracodawców. Wtedy, pod zajezdnią tramwajową, omal nie doszło między nimi do rękoczynów, jednak teraz połączyło ich zaufanie. Patrzyli na siebie, stojąc ramię w ramię w dziesięcioletnim tłumie. Po chwili uściśli sobie dłonie i umówili w knajpie Erhardt, za Götgatsbacken, z dala od miejsca, w którym właśnie się znajdowali.

Dobłą godzinę później spotkali się pod rzeczoną winiarnią na Södermalmie, weszli do środka i zamówili po kuflu. Usiedli przy stoliku na uboczu, daleko od baru i okien, daleko od ciekawskich oczu. Tam w milczeniu rozkoszowali się piwem.

Śmiechy i przyśpiewki pozostałych gości odbijały się echem od ścian ze szlaku, lecz ci trzej nie dali się ponieść ogólnej wesołości. Stolik, przy którym siedzieli, nikł w mroku, ich twarze rozjaśniała tylko jedna świeczka.

– Należałoby się przedstawić, prawda? Nazywam się Carl-Oscar Stolte.

– A, pewnie – odpowiedział murarz – dobrze wiem, jak się pan nazywasz, ale pan nie znasz mnie. Henning Andersson.

Robotnik portowy odstawił pusty kuflu.

– Nils Blomberg. Pokaż pan ten papier, panie Stolte, chcemy zobaczyć, co Strindberg rzucił nam z balkonu.

Stolte skinął głową, po czym wyjął z wewnętrznej kieszonki zwitek. Bardzo ostrożnie rozłożył go w stosownej odległości od kuflu i płomienia. Kiedy położył

kartkę na stoliku, w blasku świeczki ukazały się ich oczom słowa, pośpiesznie skreślone przez Strindberga.

*Drodzy Przyjaciele! Nie jestem już człowiekiem, którym dawniej byłem. Opa-
dłem z sił. Zapaloną przeze mnie pochodnię wy musicie ponieść dalej. Nigdy nie za-
pomnijcie tych, którzy mnie unicestwili. Musicie dokonać Zemsty. Po wsze czasy
zachowajcie to w pamięci: Zemsta!*

*Zebrani przy stoliku przez kilka minut rozważali słowa Strindberga, wreszcie
milczenie przerwał Stolte, to, co wówczas powiedział, wyrażało myśli i uczucia ich
całej trójki i tak miało pozostać już do końca.*

– Panowie, wydarzyło się coś wielkiego, coś niesłychanego.

Obaj robotnicy pokiwali głowami.

*Carl-Oscar chwycił w palce arkusz, w najciemniejszym kącie piwiarni roz-
legł się jego szept:*

– Zostaliśmy wybrani.

** * **

*Przez kolejne lata trzech mężczyzn mieli kontynuować batalię Strindberga,
walczyć za te same ideały, przeciw tym samym wrogom.*

*Jako inwestor budowlany Stolte dobrze znał Sztokholm i ta wiedza okazała
się bezcenna. W skale pod budynkiem przy Brända Tomten była grotta, w szesna-
stym wieku służyła dominikanom jako jedna z wielu kryjówek na zakonne skarby,
potem popadła w zapomnienie i tak przetrwała kilka stuleci. Na początku XX wieku
o istnieniu tego późnośredniowiecznego schowka wiedzieli nieliczni – był wśród
nich Stolte. Za sto trzydzieści tysięcy koron kupił budynek przy Brända Tomten i ra-
zem z Anderssonem i Blombergiem przystosował podziemne pomieszczenie do użyt-
ku. W tej ukrytej piwnicy ich braterstwo miało przetrwać sto lat, stamtąd prowadzi-
li walkę z wrogami Strindberga.*

*Sprzymierzeni wojowali piórem i podstępem, obrzucali błotem, sabotowali,
dopuszczali się aktów wandalizmu, stali listy z pogrózkami, niszczyli dowody, stra-
szyli, fałszowali dokumenty, lecz nigdy nie posunęli się do użycia przemocy, nigdy.
Jesienią 1915 roku przekupili pewnego krytyka, żeby napisał nieprzychylny tekst
o Wierszach nowych Vernera von Heidenstama. W latach 30. rozpowszechniali
okropne plotki o Heidenstamie i Hedinie, niektóre prawdziwe, inne zmyślone.*

*W 1922 dokonali sabotażu w göteborgskiej drukarni, zmarnowało się niemal
siedemset egzemplarzy książki Hedina Wojna z Rosją. Następnego dnia oskarżono
brygadzystę o niedbalstwo i wymówiono mu posadę, Stolte dopilnował jednak, żeby
robotnik otrzymał anonimowy podarunek – pewnej nocy, przez szparę pod drzwia-*

mi jego mieszkania wsunięto kopertę – zawierała roczną pensję, dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt dwie korony.

Sprzymierzeni zebrali i zachowali również tysiące przedmiotów, które niegdyś należały do Strindberga. Pióra ze stalówką, ubrania, aparat fotograficzny marki Kodak, oddane w zastaw książki, korespondencję, meble, kondomy z wulkanizowanej gumy, zdjęcia, rękopisy książek, aparat telefoniczny, leksykon języka chińskiego z notatkami na marginesach, instrumenty naukowe.

W 1917 roku Stolte udał się do Kopenhagi, gdzie wykonał żmudną pracę detektywistyczną, sprawdzając liczne tropy, przekupując komendantów policji i urzędników. Wreszcie udało mu się odszukać broń palną, z której w 1887 roku na Kongens Nytorv August Strindberg oddał strzał, świętując fakt, że jego inscenizacja Ojca na deskach Teatru Casino spotkała się z przychylnym przyjęciem krytyki: rewolwer czarnoprochowy został zarekwirowany i przez trzydzieści lat przechowywany przez duńskiego policjanta w magazynie na Puggaardsgade. Stolte zapłacił kierownikowi magazynu czterysta pięćdziesiąt koron duńskich, czyli równowartość dwóch pensji. Potem w tajemnicy przewiózł rewolwer do Szwecji, do piwnicy na Starym Mieście, i ukrył go w drewnianej szafie należącej niegdyś do Strindberga.

Braterstwo miało wytrzymać próbę czasu. Zdarzało się też, że drogi trójki mężczyzn krzyżowały się poza tajnym miejscem spotkań – pewnego razu Stoltowie i Anderssonowie wsiedli przy Norrmalmstorg do tego samego tramwaju – lecz Carl-Oscar i Henning udali, że się nie znają. Żadnych spojrzeń, żadnych dyskretnych gestów powitania – taką mieli umowę. Za to w piwnicy na starym mieście łączyła ich relacja silniejsza niż więzy krwi i tak miało pozostać przez kolejnych sto lat.

We właściwym czasie wtajemniczyli w tę działalność niektóre ze swoich dzieci i wnuków. Jeszcze za życia Carla-Oscara – miał wówczas siedemdziesiąt dziewięć lat – jego wnuk Werner udał się po raz pierwszy na spotkanie w tajnej piwnicy. Było to w 1941 pierwszym roku.

** * **

Ponad trzy dekady później, w ciemną, bezchmurną noc listopadową 1977 roku, Werner Stolte po raz pierwszy wziął ze sobą na sekretne spotkanie syna, chłopiec miał wówczas dziesięć lat.

Razem szli wąskimi uliczkami Starego Miasta, na fasadach domów tańczyły cienie, pomniki wydawały się ożywać w mroku. W oczach chłopca błyszczało oczekiwanie – patrzył zafascynowany na spowite cieniem średniowieczne kamienice, wszystko to wydawało mu się początkiem niezwyklej przygody. Przy Brända Tomten rósł kasztanowiec, jego nagie gałęzie kołysały się w świetle księżycy niczym paluchy złych czarownic, długie i cienkie.

– Tędy – powiedział Werner, podchodząc do wejścia.

Otworzył kluczem drzwi, potem obaj przekroczyli próg i podążyli schodami w dół.

– Uważaj na belkę na suficie, jest niżej, niż mogłoby się wydawać.

Werner Stolte odwrócił się i wskazał na dobrze znaną synowi bliznę przy linii włosów.

– Pytałeś o nią, a ja zawsze odpowiadałem to samo, prawda?

Chłopiec skinął głową.

– Że opowiesz mi, kiedy nadejdzie pora.

– Miałem wtedy czternaście lat, szedłem po tych schodach i tak się spieszyłem, że walnąłem głową w belkę, skończyło się na dwudziestu dwóch szwach. Teraz już wiesz.

Skręcili w lewo, minęli kocioł elektryczny i pomieszczenie, w którym dawniej składowano ziemniaki, wreszcie zatrzymali się przed stalowymi drzwiami, pordzewiałymi i zwichrowanymi. Kiedy Werner Stolte nacisnął klamkę, otworzyły się, skrzypiąc. Chłopiec zajrzał do schowka – była tam sfatygowana pushka na bezpieczniki i skrzynka z narzędziami, w kątach pajęczyny – i to wszystko.

– To jest ta wielka tajemnica?

W jego głosie brzmiało bezgraniczne rozczarowanie. Ojciec nie odpowiedział, otworzył pushkę – w ścianie za metalowymi drzwiczkami znajdował się wykonany ze srebra trójkąt. W górnym i lewym rogu widniały dwa słowa, szesnaście srebrnych liter zatopionych w murze.

Ze skrzynki na narzędzia Stolte wyjął nóż myśliwski i jego czubkiem bardzo starannie, jedną po drugiej, wcisnął dziewięć poczerńiałych liter – które utworzyły nazwisko: LUNDSTEDT³⁶). Kiedy nacisnął ostatnią, rozległ się metaliczny dźwięk mechanizmu, a w ścianie ukazała się szpara.

36) Alrik Lundstedt, bohater opowiadania Strindberga *Romantyczny zakrytostianin z Rånö* (przyp. red.).

Chłopiec patrzył na to szeroko otwartymi oczami. Cegły, niczym w zaczarowanym zamku, rozsuwały się po kolei na boki, po szynach wbudowanych w wapienną podłogę, dalej zobaczył tunel, a w głębi – światło.

– Wejdziemy... do środka?

– Tak.

Werner Stolte pochylił się i ruszył opadającym łagodnie w dół tunelem, syn podążył za nim. Kiedy dotarli do końca, otworzyło się przed nimi przestronne pomieszczenie. W skalnej grocie, w blasku świec żyrandola, stali mężczyzna i kobieta, oboje w wieku około pięćdziesięciu lat. Chłopiec przysunął się do ojca i chwycił go za rękę. Wolną dłoń Werner Stolte wskazał na obcych.

– To Evert i Barbro, w tym podziemnym pomieszczeniu mają tylko imiona. Kiedy się tu spotykamy, są dla mnie jak brat i siostra, równie mi drodzy, ba, drożsi

niż moje własne rodzeństwo.

Kobieta podeszła bliżej, odgłos jej obcasów odbił się echem od skalnych ścian. Gładząc chłopca dłonią po policzku, patrzyła na niego ciepłym, przyjaznym wzrokiem.

– Fredricku, nawet nie wiesz, jak bardzo nam ciebie brakowało, ale jesteś już z nami. Nareszcie!

Chłopiec nieco się cofnął, dotyk dłoni na policzku wydał mu się przyjemny, ale nie nawykł do tego rodzaju gestów. Znow rozzejrzył się po pomieszczeniu.

– Co... co to za miejsce?

Słyszac to pytanie, dorośli nie mogli powstrzymać uśmiechu. Werner Stolte położył dłoń na ramieniu syna i zaczął wyjaśniać.

– Wiesz, że twój pradziadek miał na imię Carl-Oscar. To on, razem z dziadkami Everta i Barbro, urządził tę piwnicę i ustanowił nasze braterskie przymierze.

Podszedł do szklanej gabloty, a syn podążył za nim. Wewnątrz, na czerwonym jedwabiu, leżała kartka – była sfatygowana i wyblakła, atrament nadtrawił stuletni papier z wytwórni w Lessebo.

– Fredricku, nigdy nie wolno ci pisać o tym ani słowa. Nikomu. Nie wolno ci zdradzić naszej tajemnicy, powiedzieć komukolwiek, czym się zajmujemy.

Chłopiec patrzył na ojca szeroko otwartymi zaciekawionymi oczami.

– A czym się tu zajmujemy, tato?

Werner Stolte spojrział uroczyście na syna i powiedział:

– Zemsta. Dokonujemy Zemsty.

Albert Camus

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1957 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za ogromny wkład w literaturę, ukazującą znaczenie ludzkiego sumienia”

18 maja 2012

Musztardowożółty opel kadett powoli zmierzał trasą E4 na południowy zachód. Po obu stronach autostrady rozciągały się pola Östergötlandii, reflektory samochodu starały się objąć światłem tonące w ciemności łąny żyta.

Za kierownicą siedział starszy mężczyzna, zgarbiony, ręce mu drżały, zwiotczała skórę na czaszce pokrywały plamy wątrobowe i rzadkie kosmyki włosów. Miał na sobie szary garnitur i czerwoną jedwabną koszulę, wokół unosiła się ostra woń wody kolońskiej i uryny.

Tuż za Linköping skręcił na drogę numer 206. Kiedy wyprzedzały go inne auta, zjeżdżał na pobocze, machaniem drżącej dłoni odpowiadał na podziękowania kierowców. Ruchy miał powolne, ale zapadnięte oczy czujnie rozglądały się dokoła. Wkrótce skręcił w pełną drogę między łąkami zboża, żwir trzeszczał pod oponami opla. Nad zatoką, na północy, rysowała się sylwetka zamku w Vadstena, wieże obronne i płaszczyzny dachów odznaczały się na tle nocnego nieba.

Skraj cyplu po drugiej stronie porastał las, były tam potężne dęby, krzewy jałowca, stopy kamieni usypane jeszcze w epoce wikingów i niewielka polana, na której zatrzymał się opel. Mężczyzna przez chwilę przyglądał się odbiciu swojej postarzałej twarzy we wstecznym lusterku, przyczesał kosmyki włosów, poprawił największą plamę wątrobową na czole i wysiadł z samochodu. Nogi dosłownie ugięły się pod nim, kiedy powoli szedł wzdłuż lewego boku auta, musiał się podeprzeć o rozgrzaną maskę.

Czujnie rozejrzał się dokoła, ale nikogo nie zobaczył – w trawie nie kryła się para napalonych nastolatków, na plaży nie było mieszczuchów łowiących raki. Mężczyzna wyprostował zgarbione plecy, drzenie lewej ręki ustało, a nogi na mokrej od rosy trawie nagle odzyskały stabilność. Sprawnym ruchem otworzył drzwi auta od strony pasażera, złożył oparcie fotela, pomacał dłonią pod wytartym pokrowcem tylnego siedzenia i poluzował trzy skórzane pętelki. Kiedy podniósł siedzisko, głęboko, we wnętrzu samochodu ukazał się przestronny schowek, oświetlony żółtawym blaskiem diody. W środku były damskie ubrania z końca lat 50., siwa

damska peruka, tablice rejestracyjne i karabin snajperski PSG 90. Przy kole zapasowym leżało kilka zwitków banknotów pięćsetkoronowych, a obok staroświeckie półbuty oraz płaszcz i czarny wytarty cylinder, oba starannie złożone. W etui z jesionowego drewna leżał ten sam rewolwer czarnoprochowy, który przed niemal stu laty Carl-Oscar Stolte odnalazł w Kopenhadze.

Jednak w owej chwili mężczyzna w ogóle nie zwracał uwagi na te przedmioty. Wyjął ze schowka kilkanaście czarnych aluminiowych elementów, śruby i nakrętki z plastiku, miedziane kable, zbiornik z kerazyną, różne elektryczne urządzenia oraz dwie turbiny spalinowe. Wszystko ułożył na trawie obok samochodu. W ciemnościach trudno było rozróżnić poszczególne części, ale przecież on składał je już tyle razy, często z zawiązanymi oczami albo przy zgaszonym świetle, tak więc teraz zmontował całość w niezwykłym tempie, śruba za śrubą.

Po kilku minutach zdalnie sterowany helikopter był gotowy, śmigła rozpoczęły się na trawie na całą długość samochodu. Mężczyzna podbiegł do skrytki w aucie, wziął plastikowy pojemnik i przymocował do podwozia maszyny, ostrożnie, żeby nie wzruszyć wypełniającej go przezroczystej cieczy. Następnie wyjął ze schowka kilka urządzeń: monitor, ekran LCD i własnoręcznie skonstruowany nadajnik radiowy z sześcioma kanałami. Oba ekrany umieścił na masce opla, potem popatrzył między drzewa, na zachód, tam, gdzie przed godziną schowało się słońce, zostawiając na niebie krwistoczerwoną smugę.

Po raz pierwszy od niemal czterdziestu ośmiu godzin odezwał się, jego język prawie odwykł od mówienia.

– *O crux ave spex unica.*

Wyciągnął antenę na pełną długość, jej końcówka zatrzymała się prawie trzy metry nad ziemią, i nastawił częstotliwość nadajnika na trzydzieści pięć megaherców, uruchomił zdalnie silnik i wykonał kilka ruchów dźwignią regulacji wysokości. Łopaty głównego i ogonowego śmigła zaczęły się obracać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, rozległ się ogłuszający huk turbin, z ich wnętrza buchnęły płomienie. Wysoka trawa kołysała się szarpana podmuchem powietrza, ogień wydobywający się z silników trawił żdźbła. Helikopter z wolna oderwał się od ziemi i unióś nad głowę mężczyzny, który, zapatrzony w swoje dzieło, zdawał się nie zwracać uwagi na gorąco i hałas. Ostrożnie przechylił dźwignię do przodu, śmigłowiec wzniósł się wyżej i nabrał prędkości, dudniąc poleciał nad nagimi skałami, ponad rozciągające się szeroko wody Vättern.

Mężczyzna stał na polanie, jakieś sześćdziesiąt metrów od brzegu. Pewnie sterował przyciskami i dźwigniami nadajnika, cały czas wpatrując się w oba ekrany. Na jednym śledził obraz z kamery termowizyjnej umieszczonej na przodzie śmigłowca – na razie w ciemności majaczyły tylko spienione fale jeziora. Na ekranie LCD widniały dwa czerwone punkty. Pierwszy, który wskazywał położenie helikoptera, powoli poruszał się na ekranie.

Drugi punkt oznaczał Vilgota Elmandera.

* * *

Pokój znajdował się na najwyższym piętrze koszar. Vilgot Elmander chodził nerwowo w tę i w tę między betonowymi ścianami, zatrzymał się przy oknie, przesunął dłoń po pancernym szkłe i wyjrzał na plac pod budynkiem. W ciemności widać było kilkanaście sylwetek: funkcjonariusze ochrony SÄPO i żołnierze wojsk powietrznodesantowych patrolowali teren, przemieszczając się wśród baraków, hangarów i zabudowań koszar.

Elmander wędrował po pokoju, tam i z powrotem. Poprawił spodnie i przekrzywiony kołnierzyk koszuli, czuł się niekomfortowo i idiotycznie w cudzych ubraniach, nawet bokserki musiał pożyczyć od jednego z agentów SÄPO.

Po raz pierwszy troje członków Akademii pozostawiono samych w tym koszarowym pomieszczeniu. Leif Linder, profesor sinologii, od razu zasnął w fotelu, ratanowa konstrukcja trzeszczała przy każdym jego oddechu.

Siv Persson McKenzie, na wpół leżąc na łóżku, przeglądała gazetę. Miała na sobie ubranie w intensywnych kolorach, paznokcie u nóg pomalowane na różowo, jej młodzieńczy wygląd sprawiał, że Elmander poczuł się staro. Nikt nie zgadłby, że są rówieśnikami – oboje urodzili się zimą czterdziestego trzeciego roku.

Nagle kobieta rzuciła gazetę.

– Kurczę blade, tego już za wiele!

Elmander zatrzymał się, jego oczy wyrażały zatroskanie, którego brakło w tonie głosu.

– Co? Znowu piszą o nas?

– Nie. W poniedziałek biało-niebiescy grają z Gais, pierwszy raz od pięciu lat nie obejrzę meczu.

Uśmiechnęła się niczym uczniak, któremu udał się psikus.

– Siv, cholera jasna, zawsze musisz żartować, nawet w takiej chwili.

– Zwłaszcza w takiej chwili.

Zwinnym ruchem usiadła ze skrzyżowanymi nogami i chwyciła Elmandera za rękę, jej oczy przepełniała powaga, ta sama, którą odnaleźć można było w jej poezji i sztukach.

– Ja też straciłam ośmioro bliskich przyjaciół, też siedzę w zamknięciu, ukrywając się przed jakimś szaleńcem. Ale nie dam się złamać, co to, to nie, zawsze będę potrafiła się śmiać albo płakać, jeśli trzeba. Pod tym względem ty i ja bardzo się różnimy.

Patrzyła ciepło na Elmandera, ściskając jego dłoń.

– Może właśnie dlatego jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi od wielu lat.

– Naprawdę sądzisz, że tak wiele nas różni?

– Oczywiście – odpowiedziała ze śmiechem. – Ja jestem kobietą, która cie-

szy się życiem, a ty starym ponurakiem.

Jej serdeczny śmiech był zaraźliwy, Elmander mimowolnie wygiął usta, ale cień uśmiechu zniknął równie szybko, jak się pojawił. Rozglądając się podejrzliwie, znów zaczął chodzić po pokoju.

– Siv, musimy porozmawiać.

– O czym?

Zerknął na wszystkie strony, po czym wyszeptał:

– SÄPO zataja przed nami informacje, ważne informacje.

– Możesz mówić normalnie, w ramach obrazów nie ma mikrofonów, a w lustrze wizjerów. Sprawdzałam.

– Mówię poważnie, to nie jest temat do żartów. Policja nie zdradza nam wszystkich szczegółów.

Rozgoryczony szarpnął połę koszuli w niebieskie kwiaty i nogawkę przydługich lnianych spodni.

– Ty i Leif nie musicie chodzić w pożyczonych ubraniach, pozwolili wam zachować własne, prawda?

– Tak.

– Nie zabrali wam szczoteczek do zębów ani kapci. Nie zabrali wam książek, długopisów, komputerów, szlafroków, aplikatorów do insuliny, notatników.

– Nie, nie zabrali.

– Sama widzisz, że traktują mnie inaczej. Odkąd tu przyjechaliśmy trzy dni temu, mieszkasz w tym samym pokoju, Leif też – ja musiałem się przenosić trzy razy. Dlaczego?

– Pewnie chodzi o te mikrochipy, które znaleźli w twoich ubraniach.

– Właśnie, przekłete mikrochipy. Technicy znaleźli nawet jeden w mojej czapce z daszkiem, tej z logo Gais, słyszałaś?

– Tak, wspominałaś o tym.

– Wszędzie było pełno tego cholerstwa, we wszystkim, co mam. Pod kołnierzykiem mojej ulubionej koszuli, w obcasach butów, w których chodzę na spacer, wszędzie. Ale u ciebie nie znaleźli ani jednego, u Leifa też nie, u Hansa Ekberga i Lisbeth Hansson też nie, tylko u mnie.

– No, tak, ale przecież policja już przeszukała twoje rzeczy i znalazła wszystkie mikrochipy, zgadza się?

Vilgot Elmander skinął głową.

– I dla własnego bezpieczeństwa – kontynuowała – musiałeś zmieniać pokój i oddać wszystko, chyba nic w tym dziwnego? SÄPO po prostu wykonuje swoją pracę, nie wymyślaj zwariowanych teorii spiskowych.

– Tu nie chodzi o teorie spiskowe, ale o fakty. Jeszcze kilka dni temu dom Hassego pod Börlänge był pod ścisłą obserwacją SÄPO, wiem, bo z nim rozmawiałem, strzegły go cztery oddziały ochrony, pracowali na zmiany, całą dobę. Na-

gle, dwa dni temu, trzy tamtejsze oddziały oddelegowali tutaj. Dlaczego?

Wzrokiem pełnym napięcia spoglądał przez pancerną szybę, wpatrując się w ciemność.

– Chciałbym się, do jasnej cholery, dowiedzieć, co się wydarzyło dwa dni temu. SÄPO musi mieć nowe informacje, to jedyne wytłumaczenie, nagle zmniejszyli zakres ochrony w Borlänge, a tu zaostrzyli, chodzi mi o zwykłą konsekwencję.

– Skończyłeś analizę, profesorze? – Zapytała żartobliwym tonem, ale on odpowiedział jej ze śmiertelną powagą.

– Nie.

Oparł się o ścianę i położył rękę na lewym biodrze. Chociaż na jego twarzy pojawił się grymas bólu, nie chciał usiąść.

– SÄPO przysłała tutaj niemal wszystkich swoich ochroniarzy, wiedziałaś? Czterdziestu ośmiu funkcjonariuszy, tyłu nie ma nawet rodzina królewska. A wiesz, co oni tu robią?

– Co?

– Chronią mnie.

Siv Persson McKenzie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Ciebie?

– Tak, chronią mnie, bardziej niż ciebie i Leifa. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie puścili mnie samego nawet do toalety, nie zauważyłaś?

– A dlaczego SÄPO miałyby inaczej traktować właśnie ciebie?

– Nie wiem. Muszą sądzić, że grozi mi większe niebezpieczeństwo niż wam, to jedyne wytłumaczenie. Chodzi mi o zwykłą...

– Konsekwencję?

Vilgot Elmander skinął głową, po czym podszedł do drzwi.

– Późno już, muszę iść do siebie.

Siv Persson McKenzie wstała z łóżka.

– Poczekaj, chciałam ci coś powiedzieć. Odkąd tu przyjechaliśmy, czekałam na odpowiedni moment.

– Co takiego?

Znów chwyciła go za rękę, zacisnęła palce na jego dłoni.

– Prawdopodobnie najpiękniejszą chwilą w moim życiu była ta, kiedy mi się oświadczyłeś, tamtej październikowej nocy w siedemdziesiątym ósmym, chcę, żebyś to wiedział.

Elmander powoli przymknął oczy.

– To dlaczego, do diaska, odmówiłaś, skoro twierdzisz, że było tak piękne.

– Wiesz, dlaczego. I wiesz, że lepiej nam się żyło osobno, z dala od siebie.

Otworzył powieki i spojrzał jej w oczy.

– Wiem, że lepiej ci się żyło i ogromnie mnie to cieszy. Ale, Siv, każdego

dnia żałowałem, że nie ma cię przy mnie.

Popatrzyli na siebie, długo. Tym razem Siv Persson McKenzie nie zdobyła się na szybką ripostę ani żartobliwy uśmiech.

– Muszę już iść – powiedział wreszcie i zapukał w drzwi.

Dwaj funkcjonariusze SÄPO natychmiast otworzyli je od zewnątrz. Vilgot Elmänder zerknął jeszcze na Leifa Lindera, który nadal drzemał w fotelu, a potem ostatni raz na Siv, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju. W towarzystwie obu agentów ruszył szybko korytarzem, trzymał się za obolałe biodro, ale nie poprosił ich, żeby zwolnili.

Jeden z funkcjonariuszy przyłożył krótkofalówkę do ust.

– Wychodzimy z obiektem numer trzy. Odbiór.

Błyskawicznie odpowiedział mu głos.

– Zrozumiałem. Bez odbioru.

Wyszli na zewnątrz i ruszyli przez plac oświetlony blaskiem silnych reflektorów. Dokoła rozciągała się smolista czerń lasów. Pod adidasami trzeszczał żwir, pożyczone buty trochę uciskały Elmändera w pięty, ale i na to nie narzekał. Szybko dotarli do żółtego budynku koszar, w którym go obecnie zakwaterowano i wspięli się po schodach na trzecie piętro.

– Dobranoc – wymamrotał pisarz i otworzył drzwi swojego pokoju.

– Dobranoc.

Wolno wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Pomieszczenie było przestronne i niemal puste, nie było tam nic, co należałoby do niego – na ręcznikach i szlafroku widniał napis *Pułk Kawalerii Huzarów K3*. Na kapie przykrywającej łóżko walało się kilka książek, które pozwolono mu wypożyczyć z koszarowej biblioteki, na poduszce leżały otwarte *Notatki z podziemia* Dostojewskiego.

Vilgot Elmänder wziął głęboki oddech, chwiejnym krokiem podszedł do okna i wyjrzał w ciemność.

* * *

Helikopter sunął ponad smoliście czarnymi wodami Vättern, ledwie kilka metrów nad spienionymi falami, turbiny zostawiały za sobą pomarańczową smugę.

Po kilku minutach ukazał się zachodni brzeg, w oddali migotały światła latarni i zabudowań Karlsborga. Łopaty śmigieł zaczęły się obracać pod nieco innym kątem, ledwie kilka stopni różnicy, ale maszyna powoli uniosła się w górę i osiągnęła wysokość stu pięćdziesięciu metrów dotarła nad ład. W dole kilometrami ciągnęły się västergötlandzkie lasy i mokradła, na których tle, gdzieniegdzie, odznaczały się pojedyncze zagrody, stacje benzynowe i jeziora.

Nad Storemossen turbiny zostały wyłączone. Mocowania poluzowały się, a podtrzymywane przez nie silniki i zbiornik z paliwem spadły na trzęsawiska. Śmigłowiec natychmiast zaczął wytracać wysokość, jednak w tym samym momen-

cie uruchomił się silnik elektryczny i zmontowana domowym sposobem maszyna poszybowała dalej, tuż nad koronami drzew, wydając z siebie głuchy, niemal niesłyszalny pomruk.

Unosiła się na nocnym niebie, pokonując kilometr za kilometrem. Wreszcie ukazało się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem, wzdłuż niego leżały martwe zwierzęta i ptaki: wiewiórki, bażanty, sikorki, borsuk, niektóre tak zwęglone, że nie dało się ich rozpoznać. Maszyna powoli przeleciała nisko nad ogrodzeniem, o jakieś kilkadziesiąt centymetrów ominęła drut kolczasty, i podążyła dalej między sosnami i skałami pokrywającymi rozległy teren jednostki wojskowej. Nagle kamera termowizyjna coś zarejestrowała: na północnym zachodzie, w odległości nieco ponad stu metrów, wykryła trzy zbliżające się źródła ciepła. Helikopter natychmiast cicho wylądował za krzakami jałowca, ruch śmigieł powoli ustał. Maszyna czekała w ciemnościach, ukryta za gęstwiną kłujących gałęzi i paproci. Po chwili obok, w odległości ledwie kilku metrów, przeszło trzech funkcjonariuszy ochrony, snopy światła ich latarek omiały pnie drzew. Mężczyźni byli tak blisko, że umieszczony w podwoziu helikoptera mikrofon zarejestrował ich głosy.

- Carlberg, do jasnej cholery, przywidziało ci się. Znowu popileś?
- Naprawdę coś widziałem, może to była sowa.
- Pewnie, uważaj, żebyś nie wlaź w drut z prądem. Ochlapus pieprzony.
- Zamknijcie się. Lepiej sprawdźmy tam dalej.

Agenci pośpiesznie ruszyli przez ciemny las, przez następne pięć minut było zupełnie cicho. Potem rozległo się brzęczenie silnika i zza krzaków jałowca wyłoniły się czarne łopaty śmigieł. Maszyna powoli uniosła się w powietrze, a kiedy dotarła nad korony drzew, znów nabrała prędkości i skierowała się w stronę swojego celu, na północny zachód. Pokonując nieco ponad kilometr, dotarła do skraju lasu – w dole rozciągał się teren koszar, kilkanaście budynków rozsianych na rozległym placu. Helikopter z najwyższą prędkością wyleciał zza hangarów i minął zaparkowane samochody wojskowe. Wśród zabudowań odbił się echem głos.

- Widziałem coś! Wyglądało, kurde, jak śmigłowiec!

Dwóch młodych mężczyzn z kompanii powietrznodesantowej wybiegło zza baraku, unieśli karabiny w górę i wycelowali, ale helikopter zniknął za blaszaną ścianą hangaru, zanim zdążyli oddać strzał. Na placu rozległ się okrzyk.

- Na teren wtargnął zdalnie sterowany śmigłowiec!

Maszyna z ogromną prędkością okrążyła hangar i poleciała w kierunku złotego budynku. Ze wszystkich stron zaczęli nadbiegać agenci i żołnierze sił rezerwowych, na placu rozlegały się ich wołania i komendy, ktoś oddał strzał z pistoletu, chybił, choć niewiele brakowało.

- Kurwa mać! On leci prosto na budynek!

W tej samej chwili helikopter zwolnił i zawisł w powietrzu przy samej fasadzie koszar, przed oknem na trzecim piętrze.

Po drugiej stronie szyby stał Vilgot Elmander z wykrzywioną twarzą, to, co właśnie rozgrywało się na jego oczach, było o wiele bardziej straszne, o wiele bardziej nieprawdopodobne, niż zmyślona fabuła jego książek. Za pancernym szkłem, w odległości ledwie metra, unosił się czarny model śmigłowca i patrzył na niego.

Patrzył!

Nagle rozległ się trzask, wewnątrz plastikowego pojemnika na podwoziu maszyny wybuchł mały ładunek, pojemnik rozpadł się, a znajdująca się w nim ciecz wytrysnęła zgrabną fontanną. Wtedy dał się słyszeć kolejny wybuch, iskry zapaliły płyn, wywołując ogromną eksplozję. Fala uderzeniowa sunęła przed siebie niczym niewidzialna pięść, rzucając na ziemię agentów i żołnierzy, którzy zdążyli podbiec pod budynek. Niektórych trafiły odłamki szkła, innych – kawałki betonu i powyginane fragmenty aluminium, w powietrzu unosiły się poszarpane kartki książek.

Mężczyźni, jeden po drugim, powoli wstawali i zamroczeni zaczęli rozglądać się dokoła. Kiedy opadły kłęby dymu i kurzu, ich oczom ukazały się rozmiary katastrofy. W miejscu zabezpieczonego pomieszczenia na trzecim piętrze ziała wielka dziura, pancerne szkło i beton rozpadły się na kawałki, pokruszyły się niczym zgnieciony domek z piernika. Z wygiętych prętów zbrojeń zwisało ciało członka Akademii, martwe i zniekształcone. Z jego twarzy została krwawa miazga, prawe ramię było wyrwane z tułowia. Siła eksplozji rzuciła Vilgotem Elmanderem o ścianę niczym szmacianą lalką, wytworzona próżnia wyssała tlen z jego płuc i rozsadziła je.

Dowódca SÄPO spoglądał na miejsce wybuchu, przez pierwszą chwilę niezdolny, by cokolwiek powiedzieć czy poruszyć się, potem na placu rozbrzmiały jego rozkazy.

– Ogłosić alarm, kurwa! Wysłać wszystkie oddziały, strzelców też. Przeszukać mi, kurwa, każdy krzak, zablokować wszystkie drogi!

Drżącą ręką otarł z twarzy pył i kurz, a potem spojrział na czerń lasów.

– Sukinsyn musi tu być.

* * *

Nieco ponad trzydzieści kilometrów na wschód – za lasami i mokradłami, za domami Karlsborga i wielkim jeziorem – Fredrick Stolte stał na polanie, tuż nad brzegiem Vättern. W lewej dłoni trzymał nadajnik radiowy, długa antena sterczała skierowana w gwiazdziste niebo.

Przed nim, na masce opla, ustawione były dwa monitory, na obu migotały szare i czarne plamki. Za ledwie kilka sekund wcześniej widział zarys przerażonej twarzy Elmandera, słyszał krzyki ochroniarzy. Na monitorze LCD dwa czerwone punkty nałożyły się na siebie i zlały w jeden.

Ostatni mikrochip Vilgota Elmandera, Fredrick Stolte dokładnie pamiętał,

jak to z nim było.

Pojechał do Szpitala Uniwersyteckiego Sahlgrenska w centrum Göteborga. Przebrany za kierowcę karetki wszedł do kliniki ortopedii, oddział 233, i za pomocą skalpela laserowego umieścił mikrochip w protezie stawu biodrowego, którą następnego ranka chirurdzy mieli wszczepić Elmanderowi.

Było to ponad trzy lata temu. Jak by sobie poradził, gdyby chrząstka stawowa lewego biodra Elmandera nie była uszkodzona?

Jak?

Gwałtownie potrząsnął głową, żeby wyrzucić z myśli wspomnienia, po czym odłożył wszystkie przedmioty do skrytki pod tylnym siedzeniem. Starannie naciągnął i zaczepił pętelki, wygładził skórzany pokrowiec, rozrzucił na nim kupony rabatowe i stare lokalne gazety. Potem usiadł za kierownicą i odjechał – znów jako stary mężczyzna, zgarbiony, o powolnych ruchach, z drżącą lewą dłonią. Wśród tonących w ciemnościach östergötlandzkich pól nieśpiesznie zmierzał do Sztokholmu, wprost do ostatecznego celu.

Część trzecia
– *Ante nuptialis* –

George Bernard Shaw *

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1925 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za twórczość naznaczoną idealizmem i humanizmem, za przenikliwą satyrę, która często łączy się z wyjątkowym pięknem poetyckim”

* przyjął wyróżnienie, ale nie odebrał nagrody pieniężnej

18 maja 2012

Noc była spokojna, ciszę na sztokholmskiej Roslandsgatan zakłócały jedynie dźwięki dochodzące z podrzędnej kawiarni, na markizach i witrynach lokalu widniały wytarte litery: *Café Muggen. Otwarte całą dobę*. Trzy żarówki ledwie oświetlały wnętrze. W półmroku nie było widać, że na parapetach walają się okruchy, kłębki kurzu i martwe owady. Przy barze siedziało kilku taksówkarzy, rozmawiali z właścicielem – ich śmiech odbijał się echem od zielonych ścian.

W kącie, na uboczu, ukryci za automatem z papierosami, siedzieli Claudia i Leo, na stoliku leżało wydanie specjalne „Aftonbladet”.

– Wiedziałam, że Jeglertza stać na wiele, ale nie sądziłam, że posunie się do czegoś takiego.

Claudia wymamrotała te słowa, przeglądając nagłówki i dobrze już znane zdjęcia. Całą rozkładówkę zajmował artykuł szczegółowo informujący o tym, że zignorowała polecenie przełożonych, Leo w siedzibie Akademii Szwedzkiej podał się za policjanta i że wspólnie utrudniali śledztwo w najważniejszej sprawie kryminalnej od czasów zabójstwa Olofa Palmego. W gazecie nie było nawet wzmianki o odkryciu, którego dokonali w podziemnym archiwum, ani słowa.

Leo patrzył zmęczonym wzrokiem na fotografię Komendanta Głównego Policji, zdawało mu się, jakby Rod Jeglertz lustrował go zimnym spojrzeniem.

– Zrobił to tylko po to, żeby wkurzyć ciebie i Lövdéna?

– Nie, tak naprawdę ma nas gdzieś, po prostu szuka kozłów ofiarnych.

– Jak to?

– Jeśli zapytać kogoś z zespołu wyjaśniającego zabójstwo Palmego, dlaczego po dwudziestu sześciu latach wciąż jeszcze nie rozwiązali tej sprawy, zrzucą winę na aferę Carlssona. Powiedzą, że Ebbe Carlsson i Hans Holmér storpedowali dochodzenie, prowadząc własne śledztwo i podejrzewając, że za wszystkim stoi Par-

tia Pracujących Kurdystanu. Po prostu wygodnie jest obciążyć ich odpowiedzialnością.

– Więc Jeglertz chce z nas zrobić Carlssona i Holméra?

– Dokładnie. Jeśli coś się spieprzy, jeśli morderca się wymknie, jeśli zdoła zabić wszystkich członków Akademii, wtedy Jeglertz całą winę zrzuci na nas, to sprytny sukinsyn. Musimy sami rozwiązać tę przeklętą sprawę, to nasza jedyna szansa.

– Czy jesteś absolutnie...

– Tak, jestem absolutnie pewna.

Claudia wyglądała przez okno, w mroku wzdłuż chodnika stało kilka taksówek, pojazd pomocy drogowej i samochód firmy kurierskiej z uruchomionym silnikiem.

– Liczyłam, że dowiemy się czegoś od Stoltego – wymamrotała – że podda nam jakiś trop, że to nas dokąś doprowadzi, ale niestety nie udało się, mamy więc podwójny problem.

– Mianowicie?

Claudia uniosła kciuk i palec wskazujący.

– Po pierwsze, nie mamy żadnego tropu, po drugie, nie wiemy, gdzie szukać sprawcy.

– Nie skończyłem wprawdzie szkoły policyjnej, ale naczytałem się w życiu sporo kryminałów, więc wiem, że to dwa bardzo poważne problemy.

– Zgadza się.

– To co robimy?

– Najpierw coś zjemy – odpowiedziała i ugryzła spory kęs kanapki z szynką.

– Musimy się posilić, głodni nic nie zdziałamy.

Zagryzając kanapkę z tuńczykiem, Leo rozejrzał się po ciemnej kawiarni.

– Mów o tej kafejce, co chcesz, ale to najlepsza kanapka, jaką w życiu jadłem.

Przeglądał dalej gazetę, czytał o zabójstwach, o SÄPO, o liściołazach złotych. Nagle zamarł.

– Claudia...

– Co?

– Piszą... o nim.

– O kim?

– O twoim mężu.

Nie odkładając kanapki, Claudia przebiegła wzrokiem artykuł, czytając, nawet nie drgnęła, nie powiedziała ani słowa, jadła dalej, szybko przełykając. Zerka-
jąc jej przez ramię Leo widział fragmenty tekstu: pięć lat w Szpitalu Uniwersytec-
kim Karolinska w Huddinge, stan śpiączki, niejasne wzmianki o akcji policji
w Alby, strzelanina. Wreszcie jego wzrok powędrował ku fotografii w lewym rogu

strony, mężczyzna z artykułu zyskał nazwisko i twarz.

- Mikael Stankovic?
- Tak. Mikael.
- Wygląda na sympatycznego...
- Jest sympatyczny. Był.

Leo przesunął lewym kciukiem po obrusie, podążając za zielonym kraciatym wzorem, zawahał się kilka sekund.

- Co się wtedy wydarzyło?
- Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło? Co się przytrafiło Mikaelowi?
- Tak... jeśli chcesz opowiedzieć.

Claudia odłożyła kanapkę na talerzyk, a potem zaczęła mówić, głosem bez wyrazu, zwięźle, jakby odpowiadała na pytania z formularza.

– To było włamanie do piwnicy. Weszłam pierwsza, on za mną. Było ciemno, wyglądało, że nie ma nikogo. Ale tamci mieli glocka, półautomat. Dwa pociski trafiły Mikaela, w głowę i klatkę piersiową.

Leo patrzył na Claudię, czuł, że słowa więzną mu w gardle.

- Ty tam byłaś?
- Tak.
- Ale wyszłaś z tego cało?
- Bez jednego pieprzonego draśnięcia.
- To musiało być...
- Tak.

Było jasne, że nie chciała mówić więcej. Do ich stolika docierał kawiarniany gwar, głosy taksówkarzy, chrobot ekspresu do kawy, odgłosy radia grającego w kuchni. W ciszy jedli kanapki. Kiedy Leo skończył, jego wzrok znów powędrował ku ciemnowłosemu mężczyźnie, który spoglądał na niego ze zdjęcia w gazecie.

Nagle otworzyły się drzwi, do kawiarni wpadł gość około pięćdziesiątki, na jego ogolonej głowie połyskiwały kropelki potu, na wpół rozpięta służbowa koszula z logo korporacji Taxi Sztokholm falowała na piersi, kiedy podbiegał do baru.

- Erkan, zmień kanał! Szybko!
- Dobra, dobra, spokojnie. Co mam włączyć?
- SVT, TV4, cokolwiek.

Właściciel skierował pilota w stronę starego telewizora zawieszzonego u sufitu. Kiedy podkręcił głoś na kanale SVT24, obudowa urządzenia zaczęła wibrować, a w lokalu rozbrzmiało słowo *zamac*. Claudia i Leo wpatrywali się w ekran w przeciwnym rogu sali, ruda prezenterka w studiu programu informacyjnego mówiła z powagą w głosie:

– *...i stało się to, co do tej pory wydawało się niemożliwe. Mimo obecności żołnierzy rezerwy i wojsk powietrznodesantowych, mimo obecności pięćdziesięciu funkcjonariuszy ochrony SÄPO, mimo ogrodzenia pod napięciem, kamer termowi-*

zyjnych i psów obronnych, mimo wszystkich tych środków ostrożności zabójca pozabawił życia kolejnego członka Akademii Szwedzkiej, to już dziewiąta ofiara. Dzisiaj otruto Gun-Britt Höök w jej letnim domu na południu Francji, a teraz otrzymaliśmy informację o śmierci pisarza i członka Akademii, Vilgota Elmandera. Nasza reporterka z Västergötlandii, Stina Bladh Ekwall, jest na miejscu w Karlsborgu. Stino, co możesz powiedzieć o aktualnej sytuacji?

Na ekranie pojawiła się kobieta w średnim wieku, stała na skraju szosy z mikrofonem w ręku, za nią majaczyła ciemna ściana lasu.

– Znajduję się w pobliżu jednostki wojskowej K3, kilka kilometrów na północny zachód od Karlsborga. Zazwyczaj jest tu spokojnie, dookoła rozciągają się lasy i pola uprawne. Ale dzisiaj teren ten wygląda jak strefa działań wojennych, podobne obrazy znamy z Iraku czy Afganistanu. Na drodze 202 roi się od pojazdów wojskowych i radiowozów. Nad nami krążą śmigłowce bojowe, oświetlają okolicę silnymi reflektorami i przeszukują teren za pomocą kamer termowizyjnych. Z lasów dobiega szczekanie psów tropiących. Wezwano wszystkich żołnierzy z jednostek K3 w Karlsborgu i K4 w Skövde, żeby przeczesali okolicę, wezwano także kompanię wojsk zmechanizowanych z pułku Skaraborg oraz kilka grup z Narodowych Sił Specjalnych. W sumie ponad pięć tysięcy ludzi. Z wyjątkiem mobilizacji podczas drugiej wojny światowej to największa akcja militarna w Szwecji od 1814, czyli od konfliktu zbrojnego z Norwegią.

– Stino, co w tej chwili wiadomo o zamachu, który miał miejsce na terenie jednostki wojskowej?

– Początkowo mówiono o ataku raketowym, ale przedstawiciele SÄPO potwierdzili, że chodzi o zdalnie sterowany helikopter. Maszyna miała wlecieć na teren Pułku Kawalerii Huzarów, ominąć funkcjonariuszy SÄPO i wszystkie zabezpieczenia, i dostać się do budynku koszar, w którym przebywał Vilgot Elmander. Wtedy eksplodował ładunek wybuchowy, doszczętnie niszcząc pomieszczenie o pancernych ścianach i oknach. Vilgot Elmander poniósł śmierć na miejscu.

– Ładunek wybuchowy? Możesz powiedzieć o nim coś więcej?

– Ani SÄPO, ani dowództwo armii nie wypowiadają się oficjalnie na temat samej eksplozji, ale udało mi się porozmawiać z kilkoma osobami obecnymi na miejscu zamachu, które twierdzą, że chodzi o bombę termobaryczną, zwaną też paliwowo-powietrzną. W wyniku detonacji rozpylonego w powietrzu materiału wybuchowego powstaje fala uderzeniowa o ogromnej sile.

Głos ponownie zabrała prezenterka w studiu:

– Jak duże są straty w ludziach? Ile osób zginęło, są na ten temat jakieś informacje?

– Część żołnierzy i funkcjonariuszy doznała ran i uszkodzeń słuchu. Wielu ma także kłopoty z płucami – to efekt działania próżni wytworzonej w trakcie eksplozji. Jedyną ofiarą śmiertelną zamachu jest członek Akademii Szwedzkiej, Vilgot

Elmänder.

Leo odchylił się na krześle, w jego głosie słychać było całkowitą rezygnację.

– A więc udało mu się. To już wszyscy członkowie Akademii z jego listy, Elmänder był ostatni. Morderca zabił wszystkich, zgodnie ze swoim planem.

Claudia wpatrywała się w ekran telewizora, jej oczy płonęły z wściekłości i rozczarowania.

– Moim obowiązkiem było go powstrzymać, poniosłam klęskę.

Leo chciał położyć rękę na jej dłoni, ale nie zrobił tego, dobrze wiedział, że Claudia nie znosi takich gestów, kiedy jest wzburzona. Nie dając nic po sobie poznać, upił łyk kakaowego napoju Pucko.

– Teraz pewnie go znajdują. Nie wymknie się z tych lasów, to niemożliwe. Przecież mają psy tropiące i helikoptery, i tysiące żołnierzy, którzy zajrzą pod każdy krzak.

Claudia milczała przez chwilę, nie odrywając wzroku od telewizora. Potem prychnęła:

– Niepotrzebnie szukają go w Västergötlandii, tam go nie ma.

– Skąd wiesz?

– Widziałam, do czego jest zdolny. Jeśli chciał wykorzystać zdalnie sterowany śmigłowiec, to nie kupił modelu-zabawki w Hobbeksie, najprawdopodobniej sam go zrobił.

Leo odstawił pustą butelkę po napoju.

– Sam?

– Tak, musiał zbudować mocną maszynę, która byłaby w stanie unieść bombę termobaryczną. Jej konstrukcja wymaga pojemnika zawierającego kilka litrów lotnej cieczy, prawdopodobnie propylenu, i dwóch ładunków wybuchowych. Jednego, żeby rozsadzić pojemnik, a drugiego, żeby zapalić ciecz. W helikopterze musiał też zamontować kamerę termowizyjną, w przeciwnym razie nie mógłby nim sterować w ciemności w zalesionym terenie. Taki ciężar powoduje znacznie większe zużycie paliwa.

Przez chwilę Claudia wpatrywała się zamyślona w stół.

– Być może więc sprawca zamontował w helikopterze turbiny spalinowe na paliwo odrzutowe. Jeśli zbudował naprawdę dobrą maszynę, a na to wygląda, mogła ona pokonywać duże odległości.

– Jak duże?

– Nawet do stu kilometrów.

– Sto kilometrów! Więc mógł znajdować się gdziekolwiek w promieniu stu kilometrów od Karlsborga? Mógł sterować tym przeklętym śmigłowcem na przykład z Örebro czy Jönköping.

– Tak.

– Czyli szukanie go w tych lasach naprawdę jest bez sensu... Może teraz

przebywać w dowolnym miejscu w Szwecji.

– Zgadza się.

Leo powoli opadł na krzesło.

– Jak sądzisz, co on teraz robi?

– Nie mam pojęcia, ale wiem jedno, musimy go znaleźć, musimy złapać tego sukinsyna.

W telewizji po raz kolejny nadawali powtórkę reality show. Taksówkarze zamówili kanapki z klopsikami, kule czekoladowe i kawę. Przekrzykiwali się, przedstawiając własne teorie spiskowe i spekulacje na temat mordercy.

Claudia przesunęła nieco krzesło, odwracając się plecami do baru, przy którym siedzieli mężczyźni.

– Gdyby Akademia Szwedzka przyznała Strindbergowi tego przeklętego Nobla w 1911, nie siedzielibyśmy teraz w tej zapyziałej kafejce.

Gdy jednym tchem wyrzuciła z siebie te słowa, Leo wlepił w nią wzrok, zdumiony, z na wpół otwartymi ustami.

– O rany!

– Co znowu?

– Niech to szlag, ale byłem ślepy, jak mogłem przeoczyć coś takiego?

– O czym ty mówisz, Leo?

– O mordercy. Skąd mógł wiedzieć, jaką decyzję podjęła Akademia Szwedzka w 1911? Skąd, do cholery, mógł wiedzieć, że jej członkowie nie chcieli przyznać Strindbergowi Nagrody Nobla?

– Co masz na myśli?

– To głosowanie jest jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic w historii literatury. Pisemna wzmianka o nim znajduje się tylko w jednym miejscu, w zamkniętym archiwum w podziemiach budynku Giełdy Sztokholmskiej. Dostęp do niego ma wyłącznie osiemnaście osób, zaledwie osiemnaście osób na całym świecie, a są to członkowie Akademii Szwedzkiej.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Czy to możliwe? – wyszeptała Claudia. – Czy któryś z członków Akademii mógł opowiedzieć o tym zabójcy?

– Nie mam pojęcia, ale musimy z nimi porozmawiać, natychmiast.

– Leo, dziewięć zostało zamordowanych, pozostałych przez całą dobę strzegą setki policjantów. Poza tym oboje jesteśmy poszukiwani, zapomniałeś? Nie możemy nawet wysłać do nich SMS-a. Nie dowiemy się od nich, kurde, niczego.

– Wprost przeciwnie.

– Jak to?

– W tajnym archiwum są tegoroczne protokoły z zebrań Akademii. Możemy sprawdzić, co zanotował Hubert Rudqvist na czwartkowym spotkaniu ponad tydzień temu, na cztery dni przed śmiercią.

Nie odrywając wzroku od Claudii, Leo przysunął się bliżej.

– Musimy jeszcze raz dostać się do archiwum, musimy przeczytać te notatki, ostatnie słowa Rudqvista, może znajdziemy tam jakąś wskazówkę.

Claudia zwlekała chwilę z odpowiedzią.

– To niewiele – odezwała się wreszcie.

– Zgadza się, ale to nasza jedyna szansa.

Powoli przeczesując ręką włosy, wpatrywała się w dwie wielkie kolorowe fotografie na pierwszej stronie „Aftonbladet”.

– Przedwczoraj wpuścił nas intendent, ale dzisiaj jesteśmy poszukiwani, nasze zdjęcia opublikowali w każdej szwedzkiej gazecie, nie możemy wejść do archiwum ot, tak.

– Więc jak się tam dostaniemy?

Claudia wyglądała przez brudne okno kawiarni, nie odpowiadając na zadane pytanie. Dojadła kanapkę i wstała.

– Chodźmy, przy Roslagstull jest całodobowa stacja benzynowa.

* * *

Kilka kilometrów dalej na południe, w podziemnym pokoju pod kamienicą przy Brända Tomten stał Werner Stolte. Nad jego głową wisiał żeliwny żyrandol, płomień siedmiu prawie dopalonych świeczek drżały niespokojnie, jak gdyby przeczuwały, co się stanie.

Chociaż stał nieruchomo, jego cień tańczył na skalnej ścianie. Mężczyzna wpatrywał się uporczywie w arkusz papieru w szklanej gablocie. Nadtrawione litery ledwie dawały się odczytać, lecz ułożone z nich słowa Werner Stolte miał na zawsze wyryte w pamięci. To, co było oczywiste przez ponad wiek, przez jedną noc przestało takie być.

Stolte powoli przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu. Na stoliku, obok pierśiówki z mosiądzu, leżały trzy egzemplarze dzisiejszego wydania „Aftonbladet”. Przebiegł wzrokiem zdjęcia i sensacyjne tytuły na rozkładówce. Potem popatrzył na ogień w kominku, płomień ślizgały się po poczerniałych ściankach.

Obok siedziały dwie osoby, z którymi dzielił tajemnice i przyrzeczenia. Kobieta położyła rękę na jego dłoni, ich spojrzenia spotkały się w ciszy. Siedzący przy szafce mężczyzna, którego dziadek był robotnikiem w porcie Stadsgården, wpatrywał się w puste półki. Jego czoło pokrywały wielkie krople potu. Oblizął wargi, a z głębi klatki piersiowej wydobyło się pytanie:

– Czy mogliśmy zrobić coś inaczej? – wyszeptał. – Mogliśmy postąpić w inny sposób?

Werner Stolte spojrział na niego.

– Nie, przyjacielu, nie mogliśmy.

Knut Hamsun

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1920 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za powieść *Błogosławieństwo ziemi*”

18 maja 2012

O północy pogrążone w ciemnościach kwartały w północno-wschodniej części Starego Miasta ziały pustką, tylko od czasu do czasu ktoś samotnie wracał z baru, nikt jednak nie zwracał uwagi na motocykl, który zmierzał Strömkajen i w górę Köpmanbrinken, a potem zaparkował pod monumentem z brązu przedstawiającym walkę świętego Jerzego ze smokiem.

– I co, molu książkowy, jesteś gotów?

– Chyba tak.

Claudia i Leo zeszli bezszelestnie w dół Köpmangatan, i dalej, pogrążonymi w mroku uliczkami. W późnym średniowieczu, kiedy wznoszono zabudowania stolicy, ludzie nazywali tę porę godziną duchów. W komnatach zamku królewskiego ukazywała się Biała Dama, Prästgatan nawiedzali skazańcy, a w miejscu obecnego budynku pływalni Storkyrkobadet straszyły zjawy pomordowanych dominikanów. W noce takie jak ta mieszkańcy siedemnastowiecznego Sztokholmu nauczyli się wierzyć w zmyły i widma.

Księżyc świecił upiornie wśród kościelnych wież, kłęby mgły niczym duchy krążyły nad wodami Saltsjön i wciskały się między domy, wydawało się, że ukryte w ciemności pomniki śledzą wzrokiem Claudię i Leo. Mijając obsypany białym kwiatami kasztanowiec, policjantka zatrzymała się i popatrzyła na przybity do pnia afisz cyrku Brazil Jack.

– Będzie idealny.

Oderwała dyktę od szarej kory i wsunąwszy ją pod pachę, ruszyła dalej w górę Svartmangatan. Kiedy dotarli do Stortorget, ukryci za rusztowaniem rozejrzeli się dokoła, wypatrując policji i nocnych stróżów. Po minucie Claudia skinęła głową i skierowała się w stronę budynku Giełdy Sztokholmskiej. Na piętrze w dwóch oknach paliło się światło, wyglądały niczym para czujnych oczu obserwujących plac. Na schodach Akademii wciąż leżały bukiety kwiatów i listy kondolencyjne, na wietrze drgały płomienie kilku świeczek, ale dziennikarzy i tłumów już nie było. Claudia zatrzymała się przy jednym z piwnicznych okienek w szczy-

cie budynku, odłożyła plecak i afisz, i znów się rozejrzała.

– Leo, do tej pory działaliśmy, mniej lub bardziej, w granicach prawa. Za chwilę je przekroczymy.

– Wiem.

Kwadrans wcześniej Claudia pojechała na stację benzynową przy Roslagstull i kupiła podnośnik hydrauliczny. Teraz wyjęła go z plecaka i postawiła na bruku pod kratą osłaniającą okienko, po czym szybkimi ruchami zaczęła naciskać dźwignię. Żelazne uchwyty oderwały się z trzaskiem od fasady.

Leo nie spuszczał z niej wzroku, zdumiony i oczarowany. Kiedy wyjęła na wpół zjedzoną kanapkę z Café Muggen, skomentował szeptem:

– O rany, chyba nie będziesz teraz jadła?

– Nie.

Claudia wyrzuciła kanapkę, ale zachowała folię aluminiową i złożyła ją podwójnie. Przykucnęła przy okienku i zaczęła oglądać szybę.

– Gustaw trzeci utworzył Akademię Szwedzką w osiemnastym wieku, zgadza się?

– W 1886, a co?

– Ten alarm magnetyczny jest niemal równie stary jak Akademia – odpowiedziała Claudia z uśmiechem. – Gdyby zainstalowano nowoczesny system z detektorem ruchu na podczerwień, nie moglibyśmy tędy wejść, a tak wystarczy nie dopuścić do rozłączenia dwóch elementów alarmu.

Ostrożnie podniosła lewarek, po czym mocno uderzyła w górną część szyby, którą wcześniej opatulili szmatą. Na pustej ulicy rozbrzmiał głuchy dźwięk tłuczonego szkła. Claudia szybkim ruchem wsunęła rękę przez wybitą dziurę, oderwała magnes i przymocowała go folią do kontaktronu sterującego alarmem. Oczekawszy w bezruchu kilkanaście sekund otworzyła okienko.

– Uważaj na szkło – wyszeptała przeciskając się przez wąski otwór.

Kiedy oboje znaleźli się w piwnicy, chwyciła dyktę z afiszem i zakryła nią okienko. Potem zaczęli po omacku przemieszczać się po nieoświetlonym archiwum.

– Gdzieś tu powinny być lampy – wyszeptał Leo.

Claudia słyszała, jak oddała się w ciemności, a potem otwiera szafkę. Kilka sekund później pomieszczenie rozjaśnił jasnożółty blask. Stojący kilka metrów dalej Leo uniósł lampę i omiół snopem światła wnętrze. Powoli mijał kolejne regały, doszedł do tego z mahoniu i zaczął szukać wśród starych pism. Jego palce przesuwają się po grzbietach książek, sekretnych listach i utajnionych dokumentach zawierających nominacje, wreszcie zatrzymały się na roczniku na najwyższej półce. Tom, podobnie jak wszystkie wcześniejsze, był oprawiony w kozią skórę, brązowy marokin, lecz na jego nieco ciemniejszym grzbiecie brakowało złotych tłoczeń. Leo zdjął książkę i położył ją na pulpicie, szyta oprawa zatrzeszczała, kiedy otwie-

rał tom. Z uśmiechem zachwytu na ustach odwrócił się do Claudii.

– *Yes, mamy go.*

– Świetna robota – odpowiedziała odwzajemniając uśmiech.

Bardzo ostrożnie, fachowymi ruchami Leo zaczął przeglądać rocznik, przewracał stronę po stronie, śledził daty. Hubert Rudqvist spisał te słowa ponad tydzień temu, kiedy członkowie Akademii odbywali czwartkowe spotkanie, zebrani w sali konferencyjnej na drugim piętrze budynku Giełdy Sztokholmskiej. Teraz dziewięcioro z nich nie żyło, zostali zamordowani strzałami z broni czarnoprochowej i karabinu snajperskiego, zginęli od trucizny liściołaza żółtego albo w zamachu bombowym.

W półmroku rozległ się głos Leo.

– Pomyśl tylko, Hubert Rudqvist nie żyje od czterech dni. A teraz znów przemówi zza grobu, niczym zjawa.

Na stronach z czerpanego papieru widniały ostatnie słowa członka Akademii.

– Tutaj.

Leo zaczął czytać, jego dłonie, zaciśnięte na okładkach, drżały w napięciu.

Czwartek, 10 maja 2012, Sztokholm

Znów zabrakło spinaczy i kopert A3! Porozmawiać z Klasem i Inger (trzeba określić podział obowiązków!!)

Daty spotkań Komitetu Noblowskiego: 24.05, 25.05, 4.06, 5.06. (4.06 Elmander spóźni się 45 minut, jedzie pociągiem z Göteborga – opóźnić zebranie? Tak! Proponuję rozpocząć o 10.15)

Telegram kwiatowy dla Lisbeth, do Szpitala Uniwersyteckiego (niestety jej stan się pogorszył).

H. S. H. Rudqvist

Stały sekretarz

Leo uderzył dłońmi o pulpit.

– Nic, niech to szlag.

Cofnął się o kilka stron, przeczytał zapiski z poprzedniego spotkania, z trze-

ciego maja. Tuż pod datą widniała zwięzła notatka:

Zebranie krótkie i efektywne. Chociaż raz...

Niżej na tej samej stronie była notka Rudqvista z dwudziestego siódmego kwietnia:

23 maja, w godz. 8.00–9.30 firma hydrauliczna wymieni uszczelki w Sali Kwestorskiej. W tym czasie nastąpi odłączenie ciepłej wody.

Leo, coraz bardziej zrezygnowany, wertował rocznik, czytał notatkę za notatką, jakieś siedemdziesiąt stron zwięzłych zapisków, wreszcie z ciężkim westchnieniem zamknął książkę.

- Cholera jasna...
- Nic nie znalazłeś?
- Nie.

Podniósł wzrok znad rocznika, na jego twarzy malowały się przygnębienie i bezsilność.

– Wmówiłem sobie, że coś znajdziemy w ostatnich notatkach Rudqvista. Jakiś trop, cokolwiek. Ale on pisze tylko o materiałach biurowych i innych bzdurach.

Zaczął chaotycznie krążyć wśród tonących w półmroku regałów.

– W jakiś sposób morderca wszystkiego się dowiedział. O Strindbergu, o nieprzyznaniu Nagrody Nobla, o tym, co zapisano w roczniku z 1911, któryś z członków Akademii musiał mu o tym powiedzieć.

– Jest jeszcze inna możliwość.

Leo zatrzymał się, spojrzał na Claudię.

- Jaka?
- Jeśli nikt mu o tym nie powiedział, musiał...
- Dowiedzieć się tego sam! – dokończył Leo.
- Właśnie.

Przebiegł przez archiwum i chwycił ją za rękę, rozentuzjasmowany jak dziecko.

– Masz rację, morderca musiał tu być, musiał przeczytać zapiski z tego rocznika, to jedyne wytłumaczenie. Ale jak, do jasnej cholery, zdołał to zrobić?

- Nie mam pojęcia.
- Może wszedł przez okno, jak my?
- Na pewno by to odkryto, usłyszelibyśmy o włamaniu. Nie, musiał tu się dostać i wyjść niezauważony. W tajemnicy.
- No to jak wszedł? Przecież nie potrafi przenikać przez ściany.

Claudia przesunęła dłońią po masywnym ceglany murze.

– Może właśnie tak zrobił.

* * *

Rickard Ahlström splunął na asfalt. Przed nim wiała się wśród pól autostrada, ciemnoszara i opustoszała, z urządzenia łączności w radiowozie nieustannie dochodziły meldunki o sytuacji w lasach między Karlsborgiem i Skövde.

Wielu jego kolegów z Norrköping właśnie brało udział w największym pościgu za przestępcą, jaki kiedykolwiek odbywał się na terytorium Szwecji. Przy pomocy psów tropiących, wyposażeni w lornetki termowizyjne, kamizelki kuloodporne i karabiny maszynowe, przeczesywali lasy i mokradła Västergötlandii.

On tymczasem musiał zostać. Razem z dziesięciorgiem innych posterunkowych otrzymał rozkaz rozstawienia blokady na E4 w kierunku północnym i na krajowej pięćdziesiątce szóstce. Znajdował się teraz pod Stavsjö, sto czterdzieści kilometrów od centrum wydarzeń. Zamiast uczestniczyć w działaniach pościgowych, wypełnił zadania odpowiednie dla funkcjonariusza drogowki. Wściekł się jak nigdy wcześniej, widząc, że komendant nie umieścił go na liście wśród tych, którzy niecałe dwie godziny temu polecieli wojskowym śmigłowcem do Karlsborga.

Stał tak na pustej autostradzie, a w stanie czujności utrzymywały go gniew i kawa. Zatrzymał około pięćdziesięciu osób, głównie kierowców tirów ze wschodniej Europy i mieszkańców Nyköping, którzy wybrali się na festiwal tańca Lindy Hop w parku rozrywki w Motali. Wypluł tytoń, otarł usta rękawem kurtki i łyknął letniej kawy. Wtedy na górcie ukazał się musztardowożółty opel kadett. Jechał powoli, trzymając się prawej strony.

– Ahlström, ten jest twój – zawołał jeden z jego kolegów.

Policjant mruknął coś po nosem.

– No, dobra.

Podniósł rękę, samochód zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Szyba po stronie kierowcy powędrowała nieśpiesznie w dół, za kierownicą siedział starszy mężczyzna o zgarbionych plecach. Kiedy się odezwał, głos miał słaby, ale przyjazny.

– O co chodzi? Mam nadzieję, że nie doszło do jakiegoś poważnego wypadku.

– Rutynowa kontrola – odpowiedział Ahlström i skierował latarkę do wnętrza samochodu.

W świetle ukazała się twarz staruszka. Miał około dziewięćdziesięciu lat, może więcej, jego niemal łysą głowę pokrywały plamy wątrobowe i rzadkie kosmyki włosów.

– Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Mężczyzna powoli przysunął się bliżej i podkręcił regulator aparatu słuchowego.

- Słucham?
- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny!
- Oczywiście, oczywiście. Chwileczkę.

Drżącymi dłońmi otworzył schowek w desce rozdzielczej i wyjął dokumenty, starannie ułożone w woreczku foliowym obwiązany gumkami do włosów.

- Proszę bardzo.

Przez przybrudzony plastik Ahlström dojrzał zdjęcie i nazwisko kierowcy.

- Alrik Lundstedt?
- Tak, zgadza się.
- Proszę poczekać.

Policjant odszedł do radiowozu, wprowadził do komputera numery rejestracyjne i pełne nazwisko mężczyzny. Na ekranie ukazało się po chwili to samo zdjęcie co na prawie jazdy, do tego dokładne dane osobowe, numer telefonu stacjonarnego z kierunkowym 0158 oraz adres w Gnesta. Przejrzawszy te informacje, Ahlström wrócił do opla i ponad opuszczoną szybą podał kierowcy woreczek z dokumentami.

- Proszę na chwilę wysiąść z samochodu.
- Oczywiście, momencik – odpowiedział starszek uprzejmie.

Przytrzymując się drzwiczek, wygramolił się z auta. Był średniego wzrostu, ale tak zgarbiony, że głową ledwie sięgał dachu opla.

- Może pan otworzyć bagażnik?
- Jest otwarty, panie posterunkowy. Proszę bardzo, niech pan zagląda.

Ahlström podszedł do tyłu samochodu i nacisnął zamek. W ciasnym, niemal pustym bagażniku leżały kanister, kilka sztuk zardzewiałych narzędzi i płyn do chłodnicy. Policjant pomacał dłonią przykryte kocem dno i ściankę za kanistrem, po czym z trzaskiem zamknął klapę. Kiedy przeszedł na stronę pasażera, znów dał się słyszeć słaby głos starszka.

– Przepraszam, panie posterunkowy, czy mogę wsiąść do samochodu? Moje nogi nie są już tak mocne jak kiedyś.

- Oczywiście.

Mężczyzna z trudem usadowił się za kierownicą. Policjant obserwował go przez otwarte drzwiczki od strony pasażera.

- Skąd pan jedzie?

– Odwiedzałem siostrę w szpitalu w Motali. Od lat cierpi na alzheimera, teraz dostała jeszcze zapalenia płuc, a w jej wieku to nie przelewki – w przyszłą niedzielę kończy sto trzy lata. Nazywa się Agnes Holm. W trzydziestym szóstym wystąpiła na letniej olimpiadzie w Berlinie, chociaż wtedy nosiła jeszcze nazwisko Lundstedt, rzecz jasna, Agnes Lundstedt. Była florecistką, zakwalifikowała się do drugiej rundy. Może pan o niej słyszał?

- Nie. Dokąd pan jedzie?

– Do domu, do Gnesta, ale jutro znów wracam do szpitala w Motali, na oddział jedenasty. Ktoś przecież musi doglądać biednej Agnes, prawda?

Ahlström w zamyśleniu skinął głową, po czym zajrzał do ciemnego wnętrza samochodu. Uderzył go mdlący zapach potu i uryny, cofnął się więc nieco ze skrzywioną miną. Niełatwo było coś dostrzec w ciemnościach, ale oświetlając tylne siedzenie latarką, zobaczył kupony rabatowe i gazety, kilka pożółkłych egzemplarzy dziennika „Södermanlands Nyheter”, a pod spodem magazyn porno.

Chociaż woń we wnętrzu auta była nie do zniesienia, Ahlström nie mógł zignorować rozkazu komendanta – wszystkie pojazdy miały zostać przeszukane pod kątem schowków, w których można ukrywać broń. Wszystkie, bez wyjątku. Policjant próbował ochronić się przed smrodem, wstrzymując oddech, opuścił oparcie fotela pasażera i zaczął sprawdzać tylne siedzenie, wsunął rękę między kupony i gazety.

Staruszek odwrócił się. Kiedy się odezwał, zza zbrązowiałych zębów buchnął kwaśny odór.

– Była nas spora gromadka, rozumie pan. Siedmioro, a Agnes najstarsza. Matka chorowała na gruźlicę, a ojciec pracował w kopalni rudy żelaza w Grängesberg, daleko w Bergslagen, więc widywaliśmy go tylko od wielkiego święta, a często zdarzało, że i wtedy nie. Od razu szedł do restauracji kolejowej w mieście, mieli tam tanie piwo, rozumie pan. Więc to Agnes zajmowała się nami, maluchami. Wyobraża pan sobie? Dziewuszka, jednaście lat, opiekowała się sześciorgiem rodzeństwa.

Ahlström nie odpowiedział, w głębi wyczuł pod palcami przesywane kanty skórzanej tapicerki, a kiedy za nie pociągnął, siedzenie nieco się przesunęło. Staruszek natychmiast się przybliżył, a kiedy znów zaczął mówić, tym razem głośniej, jego usta niemal dotykały prawego policzka policjanta.

– Prała, gotowała, kładła nas spać wieczorem, a rano wyprawiała do szkoły Lövsåberget. Agnes zawsze była dla nas jak matka, a teraz to ona potrzebuje naszej pomocy, padło na mnie, bo z całej gromadki tylko ja jeszcze żyję.

Staruszek opowiadał, a z kącików ust ciekła mu strużka śliny, kilka kropel kapnęło na kark Ahlströmowi przeszukującemu szwy pokrowca na tylnym siedzeniu. Nie przestawał jednak szperać pod magazynem porno, wśród gazet i kuponów. Nagle przez głowę przebiegła mu myśl:

Może coś się jednak kryje w tym bałaganie?

W pewnej chwili wyczuł coś w lewym rogu siedzenia, pod papierami palce trafiły na kawałek tkaniny. Głos staruszka stawał się tymczasem coraz bardziej przenikliwy.

– I tak zostaliśmy tylko my dwoje, Agnes i ja, Evert zginął już w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, kiedy zerwała się tama przy papierni w Hova. Vera zaraziła się gruźlicą, tak jak matka, i zmarła siedemnastego marca tysiąc dzie-

więćset trzydziestego czwartego, w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin. A Erland, on z kolei...

Palce Ahlströma powoli zacisnęły się na materiale i wyciągnęły to coś spod stosu gazet. W twarz buchnął mu straszny odór, po przegubie spłynęła żółtobrazowa ciecz. Materiał okazał się być parą majtek, przesiąkniętych moczem i kałem. Policjant, uderzając głową w framugę drzwi, gwałtownie wydobył się z samochodu, spazmatycznie chwycił powietrze, treść żołądka podeszła mu do gardła, wymiotował, a potem zaczął gorączkowo wycierać dłoń o mokrą od rosy trawę przy poboczu. Kiedy się wyprostował, nie był w stanie spojrzeć staruszkowi w oczy. Przełknął resztki wymiocin i ze wzrokiem utkwionym w asfalt wymamrotał:

- ...może pan jechać.
- Słucham? – odezwał się staruszek, znów podkręcając regulator aparatu.
- Mówię... że może pan jechać. Jedź pan!

W głosie staruszka wyraźnie słychać było rozczarowanie, Ahlström wiedział, że chętnie porozmawiałby dłużej, pewnie już dawno nie trafiła mu się taka okazja do konwersacji.

- A, tak, rozumiem. Dobranoc, panie posterunkowy.

Drżącą dłonią zwolnił ręczny hamulec i uruchomił silnik, po chwili samochód odjechał.

Ahlström wpatrywał się w musztardowożółtego opla, patrzył, jak auto toczy się w ciemności. Upił spory łyk z plastikowego kubka, mocna kawa złagodziła nieco kwaśny posmak wymiocin. Potem odwrócił się do kolegi, który stał przy autostradzie jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Zawsze to samo. Pomyśleć, że mogliśmy ścigać w lasach mordercę, byłaby może szansa strzelić z AK-4, a tak tkwimy na autostradzie i przeszukujemy zaszczypanych dziadków.

W mroku rozległ się śmiech.

- Życie jest niesprawiedliwe, Ahlström, cholernie niesprawiedliwe.

* * *

Stojąc na środku, Claudia oświetlała archiwum przenośną lampką. Przesuwała snop światła po okienkach, regałach, po schodach prowadzących do masywnych stalowych drzwi.

- Zabójca musiał tu być.

– Tak.

- Musiał czytać roczniki. Ale jak, do cholery, tu wszedł?

– Może ukradł klucze do piwnicy? – powiedział Leo, wskazując skinieniem głowy pograżone w ciemności schody.

– Nie, sukinsyn robi wszystko w tajemnicy. Wejść od frontu i po prostu otworzyć kluczem drzwi archiwum to dla niego zbyt duże ryzyko.

Claudia powoli przemieszczała się, oświetlając fragmenty ścian widoczne spomiędzy pólek.

– Najprościej dostać się drzwiami i przez okno, to oczywiste, ale może istnieje inny sposób.

– Trzecie wejście?

– Właśnie.

Sprawdzała surowy mur metr po metrze, nie przestając oświetlać wnętrza.

– Czego my właściwie szukamy?

– Nie mam pojęcia – wymamrotała.

Chodząc po archiwum, przesuwiała dłoń po szorstkiej powierzchni ścian, wypatrując w mroku jakiegoś pęknięcia, szczeliny, ukrytej klamki, zasuwki, dziurki od klucza.

Coś tu musi być. Coś.

Przystanąła przy witrynie, popchnęła ją ostrożnie w bok, nóżki z przenikliwym zgrzytem przesunęły się po kamiennej posadzce. Nagle zatrzymała się i popatrzyła na odkryty fragment ściany.

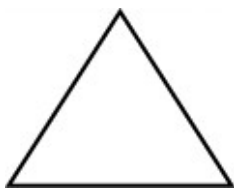
– Spójrz na to.

Leo pośpiesznie wyszedł spomiędzy regałów i stanął przy niej, popatrzył na ścianę i wstrzymał oddech.

– O rany...

Utkwił wzrok w znaku na odsłoniętym murze – był to srebrny trójkąt równoboczny, metal z biegiem lat zdążył już szernieć. Przy dwóch wierzchołkach Leo zobaczył wysokie na centymetr litery wpuszczone w ścianę.

MONSIEUR



DYNAMITKÖ

Wpatrywał się w figurę i po jakichś dziesięciu sekundach stwierdził:

– To przecież *trimurti*!

– Że co?

Leo odpowiedział, nie odrywając spojrzenia od srebrnej figury.

– Kiedy Strindberg w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku mieszkał w Paryżu, często bawił się w *trimurti* – jak sam to nazywał. *Trimurti* to

określenie trójcy hinduistycznej – Brahmy, Wisznu i Śiwy – a zabawa polega na tym, że rysuje się trójkąt równoboczny, a przy wierzchołkach wpisuje wyrazy, które rymują się ze sobą. To fajna rozrywka. Brynolfsson jest chyba największym w Szwecji ekspertem w tej dziedzinie.

– Jakoś nie jestem zdziwiona, ale Brynolfssona tutaj nie ma.

– Fakt.

– Więc co robimy? Ty pewnie nie zajmujesz drugiego miejsca w szwedzkim rankingu znawców *trimurti*?

– Niestety nie, ale mogę spróbować.

Podniósł lampkę, srebrne litery wyraźnie połyskiwały w jej świetle.

– *Trimurti* przypomina rebus, to rodzaj rymowanej zagadki.

– Takie niby *sudoku*, tylko zamiast cyfr są litery?

– Dokładnie.

Leo przez chwilę analizował słowa, przesuwając palcami po odlanej ze srebra konstrukcji.

– No dobra, mamy dwa wyrazy. *Monsieur* i *Dynamitkö*.

Skierował palec wskazujący ku lewemu wierzchołkowi trójkąta.

– Tu powinien być trzeci. Zakładam, że na tym polega zagadka.

– To ma sens, ale jakiego słowa szukamy?

– Powinno rymować się z dwoma pozostałymi i składać z tych samych liter.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ponieważ każda litera to przycisk. Sama zobacz!

Claudia ostrożnie przesunęła opuszkami palców po poczerniałych literach.

– Masz rację, to przyciski. To działa jak kod do domofonu?

– Tak myślę. Musimy podać trzecie słowo – jeśli odgadniemy poprawnie, otworzy się przejście.

– A jeśli popełnimy błąd?

– Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.

– Miejmy nadzieję – powtórzyła. – Więc co to za słowo?

– Strindbergowskie *trimurti* to absurdalne kombinacje, które układał dla zabawy, im bardziej zwariowany rym, tym lepiej, nie zdziwiłbym się, gdyby tu było podobnie.

Szybkim gestem odgarnął grzywkę, ale kosmyki włosów zaraz znów przesłoniły mu oczy.

– Właściwie *Monsieur* i *Dynamitkö* wcale się nie rymują, to rym na niby, fu-szerka, Ale w *trimurti* nie ma to znaczenia, tu nie chodzi o eleganckie rymowanie, a o wymyślenie trudnej zagadki.

– Im bardziej zwariowany rym, tym lepiej?

– Właśnie. Pytanie tylko, jak bardzo udziwnione jest brakujące słowo.

Patrzyli w milczeniu na trójkąt, wpatrywali się w srebrne litery, po chwili

jednak Claudia westchnęła zrezygnowana.

– Są setki możliwości, może tysiące. *Mö, dö, snö, nysnö, tö, strö, matkö ...*

– Kymmendö!

– Kymmendö? Co to takiego?

– Nazwa wyspy w Archipelagu Sztokholmskim – wyjaśnił Leo z zapałem. – Strindberg miał tam drewniany domek, w którym pisał, powstało tam wiele dzieł. To właśnie Kymmendö jest pierwowzorem Hemsö z jego powieści.

– Tą zagadką możesz rzucić wyzwanie Brynolfssonowi – powiedziała Claudia, uśmiechając się szeroko. – Kymmendö może okazać się strzałem w dziesiątkę.

– Pytanie tylko, którą pisownię wybrać.

– Co masz na myśli?

– Oficjalna nazwa to Kymmendö przez dwa M, ale mieszkańcy wyspy i sam Strindberg pisali ją przez jedno M. Co wybieramy? Pisownię oficjalną czy tę Strindberga?

Patrząc na siebie powiedzieli jednocześnie:

– Strindberga.

Leo znów potrząsnął głową, żeby odgarnąć grzywkę, ale niesforne kosmyki od razu opadły mu na oczy.

– No, dobra – powiedział i wziął głęboki oddech. – Kymendö przez jedno M. Potrzebujemy jeszcze jakiegoś przedmiotu o spiczastej końcówce.

Claudia sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i podała mu wykałaczkę zabraną z Café Muggen.

– Nada się idealnie.

Chwycił cienki drewniany patyczek i wyciągnął rękę w kierunku srebrnego trójkąta.

– Leo, jesteś absolutnie pewien, że chodzi o Kymendö?

– Nie.

Ostrożnie wciskał wykałaczką poczerniałe litery, jedną po drugiej: K – Y – M – E – N – D...

Kiedy wcisnął Ö, dał się słyszeć metaliczny dźwięk, zgrzytnięcie, a w piwnicznej ścianie pojawiła się szczelina. Cegły powoli zaczęły rozsuwać się na boki po szynach wpuszczonych w wapienną podłogę. W miejscu, gdzie przed chwilą wznosiła się masywna ściana, ukazał się tunel, łagodnie opadający w dół skalny korytarz.

– Chyba znaleźliśmy to trzecie wejście.

– Na to wygląda – odpowiedziała Claudia.

– Domyślam się, że chcesz tam wejść.

– Zgadłeś.

Leo wziął głęboki oddech.

– Claudia, nie mamy pojęcia, co nas tam czeka.

– Właśnie dlatego musimy wejść.

Ostrożnie wkroczyła do tunelu, oświetlając sobie drogę lampką. Po chwili usłyszała za sobą odgłos kroków Leo i jego coraz głośniejszy oddech. Po kilku metrach podziemny korytarz rozgałęział się.

– W prawo czy w lewo?

– Nie wiem, może w prawo.

– Dobra.

Powoli szli tunelem w głąb ziemi, pochylając się, żeby nie zahaczyć o skały i nacieki wapienne.

– Uważaj na głowę.

Claudia podniosła lampę, blask oświetlił skalne ściany, smoliście czarne i wilgotne, ze sklepienia kapały zimne krople wody, po kamieniach łaziły owady. Kiedy wdepnęła w błotnistą kałużę, kilka szczurów rzuciło się do ucieczki i zniknęło w ciemnej szczelinie.

– Co to za miejsce, do diaska?

– Czytałem o tym – powiedział Leo. – Podobno na Starym Mieście jest dużo takich tuneli. Trzydzieści, może więcej. Istnieją od średniowiecza.

– Żartujesz?

– Nie. Część z nich zbudowali dominikanie w XV wieku, inne to tajne korytarze, wykute na rozkaz królów, którzy w ten sposób mogli niezauważenie opuścić zamek i odwiedzać w mieście swoje kochanki.

Pokonali jakieś sto metrów, czasem podziemny tunel opadał stromo w dół, czasem wznosił się w górę. Kiedy dotarli do kolejnego rozgałęzienia, Claudia oświetliła lampą oba przejścia.

– O cholera, w prawo czy w lewo?

– W lewo?

– Dobra. Nie mam pojęcia, jak królowie orientowali się w tym labiryncie.

Ruszyli nieco szerszym korytarzem, a po kilku minutach minęli stalaktyt – spływający ze sklepienia naciek wydawał się mieć znany kształt.

– Chyba już tędy szliśmy.

– Też tak myślę. Co robimy?

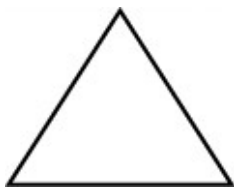
– Nie wiem. Zakładam, że...

Nagle ucichła, zrobiła kilka kroków w bok i uniosła lampę, żeby oświetlić ścianę.

– Kolejne *trimurti*!

Leo podszedł do niej, spojrział na połyskujący srebrny trójkąt i litery zatopione w skale.

FÄLTMARSKALK



DIVANBALK

Claudia wpatrywała się w słowa przy wierzchołkach figury, a na jej ustach pojawił się zawadiacki uśmiech.

– Tę zagadkę rozwiążę nawet ja.

Wyjęła z kieszeni wykałaczkę i trzymając ją mocno w palcach wcisnęła srebrne litery: A – R – V – I – D – F – A – L – K. Ściana rozsunęła się odsłaniając boczny tunel, krótki korytarzyk, u jego końca widać było światło. Weszli do środka, Claudia z prawą dłonią zaciśniętą na sig sauerze, a tuż za nią Leo, po kilku krokach otworzyło się przed nimi przestronne pomieszczenie. U sklepienia wisiał żyrandol z czarnego żeliwa, większość osadzonych w nim świeczek już się wypaliła, ale dwie wciąż płonęły, ogień rozświetlał grootę, obejmując złotoczerwonym blaskiem twarze Claudii i Leo. Od razu zauważyli trzy postaci przy kominku, trzy ciała leżące nieruchomo na kamiennej podłodze.

– Niech to szlag...

Rzucili się do Wenera Stoltego, pochyleni patrzyli na martwego mężczyznę.

– Okłamał nas.

– Tak.

– Myślisz, że to on był mordercą... mimo wszystko?

– Nie, ale musiał go znać, to pewne.

Claudia wściekle walnęła pięścią w ścianę.

– Cholera, gdybyśmy przyszli trochę wcześniej.

Wyuczonym gestem przyłożyła palce do tętnicy szyjnej kobiety, przesunęła dłonią po jej twarzy.

– Odebrali sobie życie, prawda?

– Tak – odpowiedziała Claudia – i to dość niedawno, ciała nie zdążyły jeszcze zeszywnieć. Gdybyśmy dotarli tu dziesięć minut wcześniej, może wszystko byłoby jasne.

Wyprostowała się i podeszła do stolika z drewna tekowego, chwyciła wysoką na dziesięć centymetrów mosiężną piersiówkę, ostrożnie zbliżyła jej otwór do twarzy i wciągnęła w nozdrza ostry zapach.

– Biały arszenik, pewnie rozpuszczony w wodzie.

Odstawiła butelkę i odwróciła się do Leo.

– W dziewiętnastym i na początku dwudziestego wieku arszenik był najczę-

ściej stosowaną trucizną.

– No, tak, Strindberg co drugi dzień groził, że odbierze sobie życie, zwłaszcza w okresie zwanym kryzysem Inferna, podobno nosił przy sobie piersiówkę ze sproszkowanym arsenikiem.

Leo ostrożnie chwycił buteleczkę i przekręcił w dłoni, jej szyjka połyskiwała w blasku kominka, odczytał inskrypcję – w mosiądzu wyryte były inicjały: J. A.

– Johan August.

Znajdując kolejne przedmioty, Leo biegał w półmroku z szeroko otwartymi oczami, zdumiony oświetlał lampką setki książek, fotografie, naukowe instrumenty poustawiane pod ścianami. Na półkach znalazł części maszyny parowej, lampy łukowe, żelazka. Zatrzymał się przy jakimś manuskrypcie i oglądał jego wytarte okładki.

– Rękopis *Mistrza Olofa* – wyszeptał. – To musi być pierwsza wersja sztuki, odrzucona przez Królewski Teatr Dramatyczny.

Pośpiesznie przechodził wzdłuż regałów, wśród szafek archiwum, oglądał przedmioty sprzed stu lat.

– To niezwykle skarbiec. Są tu rzeczy należące do Strindberga, które zaginęły przed niemal wiekiem.

Wreszcie przystanął przed szklaną gablotą i spojrzał na nadżarty przez atrament arkusz papieru spoczywający na czerwonym jedwabiu. Claudia usłyszała, że z trudem łapie powietrze.

– Rozpoznaję ten charakter pisma, tylko jeden człowiek mógł skreślić te słowa.

– Strindberg?

Leo skinął głową i pochylił się niżej nad szybą chroniącą dokument.

– To arkusz w linie z wytwórni w Lessebo, wykonany z włókiem lnianych. Strindberg mógł sobie pozwolić na tak drogi papier dopiero wtedy, gdy wydawnictwo Bonniers zakupiło prawa do jego dzieł zebranych, wtedy stał się bogaty. Musiał pisać te słowa w 1911 albo 1912 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią.

Claudia podeszła do gabloty i popatrzyła na nadtrawione litery.

– Dasz radę to odczytać?

– Może.

Litera po literze odcyfrowywał tekst, niewyraźne słowa, ostatnie linijki przeczytał na głos:

– *Nigdy nie zapomnijcie tych, którzy mnie unicestwili. Musicie dokonać Zemsty. Zachowajcie to po wsze czasy w pamięci: Zemsta!*

Claudia spojrzała na Leo.

– Zemsta?

– Tak jest napisane. Zemsta.

Nagle spod kominka dobiegł ich jakiś dźwięk, rzężenie, szybko podeszli do

murowanego cokołu, przy którym leżał Stolte. Mężczyzna miał twarz zupełnie bladą, ale jego oczy poruszały się nieznacznie. Claudia przykucnęła obok.

– Kto jest mordercą? Jak się nazywa? Niech pan poda jego prawdziwe nazwisko!

Stolte patrzył na nich oboje, z jego ust powoli wydobyły się słowa, na w pół stłumione przez wypływającą krew i żółć.

– M-m-może... może po-pełniłem... błąd. Straszny bł-ł-ład. M-może po-pełniłem... Może...

– Jaki błąd? Niech pan mówi!

Stolte leżał przez chwilę w bezruchu, jakby już martwy, ale znów otworzył oczy.

– Sie-siedem... lat temu zaczął o tym mówić. Prawdziwa Zemsta... tak... tak to nazywał. Siedem lat to przygotowywał. Bez przerwy... bez odpoczynku. Nigdy nie sądziliśmy, że zrealizuje te plany... ale... wreszcie to do nas dotarło.

– Dlaczego go nie powstrzymaliście? Dlaczego nie zgłosiliście tego na policję?

– Należymy do... bractwa. Jesteśmy związani przysięgą... zawarliśmy przymierze. Te wszystkie morderstwa, okropności... dręczyły mnie. Ale jak mógłbym wydać go policji? To przecież moja krew. Moje jedyne dziecko... mój syn...

Leo chwycił dłoń umierającego mężczyzny, pogładził po szorstkich palcach.

– W każdym razie już jest po wszystkim, skończyło się zabijanie.

– N-n-nie... nie skończy-yło. Jest... jest jeszcze jedna... osoba. Osta-ostatnia.

Claudia mocno złapała Stoltego za ramię.

– Kto? Mów, do cholery! Kto to jest?

Mężczyzna powoli zamknął oczy, jego głos był już tak słaby, że ledwie słyszalny.

– Nie wiem...

Wypowiedział te słowa i umarł.

Isaac Bashevis Singer

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1978 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„za pełną uczucia sztukę prozatorską, która, wyrastając z polsko-żydowskich tradycji kulturowych, porusza jednocześnie odwieczne problemy”

18 maja 2012

Zostawili motocykl na opustoszałej ulicy za kościołem Jadwigi Eleonory. Pośpiesznie minęli wschodnie skrzydło Muzeum Wojskowego i Nybrohamnen, w ciemnościach słycać było tylko odgłos ich kroków i oddechy.

– Kto może być ostatnią ofiarą? – zapytał zdyszany Leo.

– Nie mam pojęcia.

Przy nabrzeżu fale uderzały o kadłuby łodzi. Za wodami Ladugårdslandsviken odpoczywał w nocnym mroku park rozrywki Gröna Lund, cichy, czarny, opuszczony.

– Może kolejny członek Akademii Szwedzkiej?

– Może, ale jedno wiemy na pewno – morderca będzie działał szybko, tak postępował wcześniej i tak robi teraz, liczy się każda minuta.

Strandvägen zataczała łuk wokół przystani, potem prowadziła na wschód, wzdłuż zadrzewionej alei. Claudia i Leo biegli w milczeniu między lipami, aż zza ciemnego listowia wyjrzała fasada kamienicy Bünsowa, czerwone i czarne cegły tworzyły kraciasty wzór. Kiedy zbliżyli się do numeru 31, Claudia zapytała:

– Nie zapomniałeś?

– 95217.

– Masz pamięć do cyfr.

Wstukała kod i uchyliła masywne drzwi. Ich kroki po marmurowej posadzce odbijały się echem w przestronnym holu, minęli rzeźby syrenek i skierowali się do windy. Krata otworzyła się bezszelestnie, a Claudia i Leo po raz drugi w ciągu doby pokonywali kolejne piętra okazałej kamienicy z przełomu XIX i XX wieku.

– Która godzina?

Claudia zerknęła na zegarek.

– Dochodzi wpół do drugiej.

– Od zamachu w Karlsborgu minęły trzy godziny. Morderca może więc być w dowolnym miejscu w Szwecji albo w Norwegii, albo właśnie leci nad Atlanty-

kiem.

– Albo jest w tym mieszkaniu.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze, Claudia odsunęła kratę i wyszła na korytarz, popatrzyła na dwie pary drzwi. Z tylnej kieszeni wyjęła klucze, które znaleźli w marynarce Wenera Stoltego i otworzyła te właściwe. Wkroczyli do ciemnego przedpokoju, Claudia trzymała w ręku służbowego sig sauera, przystanawszy w wejściu do salonu, zacisnęła palec wskazujący na spuście.

– Nie ma nikogo – wyszeptał Leo. – Mieszkanie jest puste.

– Tak...

Claudia nie schowała jednak broni, wycelowała ją prosto przed siebie. Zapaliwszy światło – kryształowy żyrandol – weszła do secesyjnego salonu. Zrobiła kilka kroków, po czym spojrzała w lewo, w stronę kaflowego pieca.

– To on.

Na gzymsie stała oprawiona w ramkę fotografia. Przedstawiała młodego mężczyznę w garniturze w jasne prążki, spod białej studenckiej czapki z daszkiem wystawały płowe kosmyki włosów. W prawym dolnym rogu zdjęcia widniały starannie wykaligrafowane słowa: *Najdroższemu synowi Fredrickowi, w dniu ukończenia liceum – serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności! Mama i tata.*

– A więc to jest jego prawdziwe nazwisko. Fredrick Stolte.

– Jego nazwisko nie ma znaczenia – odpowiedziała Claudia. – Przez ostatnich siedem lat nazywał się Arvid Falk albo jeszcze inaczej.

Przez chwilę wpatrywali się w młodzieńczą twarz, szare oczy unikające obiektywu, nienaturalny uśmiech. Potem przeszli przez puste mieszkanie, minęli akwarelę Zorna i stolik do brydża, przy którym rozmawiali z Wernerem Stoltem ledwie kilka godzin wcześniej. Nagle Leo westchnął zrezygnowany.

– Niech to jasna cholera!

– Co?

– Że też nie dostrzegłem wcześniej tego powiązania.

– Jakiego powiązania?

Leo wskazał na cenne dzieła sztuki, których salon był dosłownie pełen.

– Te obrazy i rzeźby zostały wykonane przez Andersa Zorna, Edvarda Muncha, Carla Larssona, Stanisława Przybyszewskiego i Carla Eldha. A tam, w rogu, wisi gwasz Richarda Bergha.

– No i co?

– Tych artystów łączy jedno.

– Strindberg?

– Taa, wszyscy się z nim przyjaźnili, wszyscy są autorami jego znanych wizerunków, portretów albo rzeźb. Ten pokój przypomina spotkanie starych kumpli po latach.

Leo znów westchnął, nie kryjąc rozgoryczenia.

– Gdybym zorientował się wcześniej...
– Nie myśl o tym – przerwała mu Claudia. – Teraz mamy co innego do roboty.

Ostrożnie przeszła przez salon i ruszyła dalej wąskim korytarzykiem biegnącym wzdłuż jego ściany, minęła kuchnię i garderobę. W głębi ukazała się kolejna para podwójnych drzwi – Claudia i Leo podbiegli, żeby je obejrzeć – na środku, w pionowej linii, zamontowano zamki szyfrowe.

– Trzy zamki na zwykłych wewnętrznych drzwiach, to dość niespotykane – odezwał się Leo.

Claudia skinęła głową, nie odrywając wzroku od znaleziska.

– Musimy tam wejść.

– Niestety, mamy duży problem – drzwi są zamknięte.

– Coś zaradzimy.

Z niszy przy drzwiach Claudia zdjęła rzeźbę z brązu, zadowolona pokiwała głową, przesuwając palcami po ostrych kantach granitowej podstawy.

– Wygląda mi to – zaczął Leo – na posążek Pallas Ateny autorstwa Carla El-dha, wart pewnie jakieś dwa, trzy miliony.

– Powinien się nadać.

Z całej siły walnęła podstawą rzeźby w drzwi – po mniej więcej dziesięciu uderzeniach tworzywo zaczęło pękać i wkrótce drzwi rozsunęły się z trzaskiem. Leo ostrożnie otworzył prawe skrzydło i zrobił pół kroku naprzód, zamierzając wejść do środka.

– Stój! – wyszczała Claudia i mocno popchnęła go na podłogę.

W tej samej chwili dał się słyszeć świst, a potem huk. Przerażony Leo podniósł głowę i spojrzał na drzwi.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa, tkwiła żelazna, długa na dziesięć centymetrów strzała. Przebiła płytę, jej szpiczaste ostrze przeszło na wylot. Kiedy Leo niepewnie wstał, dostrzegł wewnątrz sekretnego pomieszczenia przedziwną konstrukcję.

– Czy to... kusza?

– Tak.

Średniowieczna broń była zamontowana w belce sufitu i skierowana w stronę drzwi, wzdłuż ścian biegła gruba lniana nić łącząca drzwi i mechanizm uwalniający cięciwę. Claudia popatrzyła na zakończoną szpiczastym grotem strzałę, potem na Leo.

– Poruszaj się powoli – wyszeptała. – I niczego nie dotykaj, słyszysz?!

– Jasne.

Kiedy weszli do środka, uderzyło ich duszne powietrze, w pomieszczeniu było nieprzyjemnie gorąco i wilgotno. W głębi paliło się oślepiające światło, w kasetonowym suficie zamontowano osiem dwudziestoczworowatowych świetlówek

i kilkanaście spotlightów. Wszystkie okna przesłonięto płachtami z zielonego poliestru. Leo odgarnął wilgotne kosmyki grzywki i otarł pot z czoła.

– Co to za miejsce? Prawie jak w lesie deszczowym.

– To *jest* las deszczowy – odpowiedziała Claudia, wskazując na głęboką wnękę po prawej stronie.

Stały tam dwa terraria. Jedno było po brzegi wypełnione długimi na centymetr chrząszczami, które łąziły po pnączach i storczykach, a w drugim Leo zobaczył pięć złotożółtych żabek – od razu je rozpoznał, widział je wcześniej, na zdjęciu w wydaniu specjalnym „Aftonbladet”.

– Liściołazy złociste.

– Tak, hoduje żaby w mieszkaniu, karmił je tymi południowoamerykańskimi chrząszczami i zbierał wydzielinę z ich skóry.

Liściołazy siedziały w bezruchu na kawałku gałązki i obserwowały przybyszów.

– Pewnie ostatni raz jadły 15 maja rano, przed zabójstwem Sonji Bergwall, to prawie cztery dni temu.

– Leo – wyszeptała Claudia, chwytając go za ramię. – Przyszliśmy tu, żeby uratować człowieka, nie jakieś tam żaby.

Ruszyła dalej przez zagracony pokój, przez labirynt regałów i kartonów poustawianych jeden na drugim. Wszędzie wznosiły się niemal pod sam sufit stosy książek, niczym granitowe filary w rzymskiej świątyni. Wśród nich Leo zobaczył te wypożyczone przed trzema laty z Biblioteki Miejskiej na nazwisko Arvida Falka.

– Claudia, czego my właściwie szukamy?

– Dowiemy się, jak to znajdziemy.

Każda półka, każdy stos, skrzynia, fragment ściany, wszystko w tym pomieszczeniu przywodziło na myśl zabójstwa członków Akademii. W kącie, na podłodze usłanej martwymi muchami i stawonogami, stało pudło z turbinami spalinyowymi i ognioodporne pojemniki z paliwem JET A1, obok był nadjedzony przez mole materac i przenośna toaleta turystyczna, a w nogach materaca leżał stos peruk, sześciokanałowe nadajniki radiowe, celowniki optyczne, ubrania, listwy aluminiowe, lornetki termowizyjne i formy do silikonu.

– Tu jest większy bałagan niż w moim antykwariacie – wyszeptał Leo.

Na najwyższej półce jednego z regałów stało dziewięć pękatek segregatorów, na grzbiecie każdego było wypisane nazwisko członka Akademii Szwedzkiej i numer miejsca, jakie zajmował. Na biurku obok walały się setki karteczek i zipsków. Leo podszedł bliżej i zaczął przeglądać staranne notatki na kawałkach papieru.

– Dowiedział się o nich wszystkiego, poznał każdy szczegół z ich życia.

Zdumiony czytał dalej.

– Jest tu imię kota Sonji Bergwall. Adres i kod domofonu do mieszkania kochanki Birkenfeldta w Uppsali, seria rekordów Sigurda Wilhelmssona w strzelaniu do rzutków. Informacja w jakich godzinach odwiedzali Sixtena Hjärpego pracownicy gminnej pomocy osobom starszym, mapa z zaznaczoną trasą wieczornych spacerów Huberta Rudqvista i zdjęcie, na którym widać, jak dotyka pomnika Margarethy Krook. Tu jest naprawdę wszystko.

– Tak – powiedziała Claudia. – Powinny być tu również informacje o ostatniej ofierze.

Nie minęło nawet pół minuty, kiedy Leo odkrył po prawej stronie biurka coś interesującego.

– Chyba znalazłem...

Patrzył na wymiętą karteczkę, na niej również widniały notatki, ale jakość papieru i charakter pisma były zupełnie inne.

– Lniany papier czerpany i atrament – to zapiski Strindberga, sporządzone przypuszczalnie wiosną tysiąc dziewięćset dwunastego. Żaden ze mnie grafolog, ale od razu widać, że drżała mu ręka, może był już umierający.

– Co napisał?

Leo ostrożnie chwycił karteczkę, zaczął odcyfrowywać zamaszyste pismo, litery ukryte pod skreśleniami i kleksami.

Poznałem tajemnicę! Spoczywa teraz w moim ręku niczym miecz długi kawalerski o ostrej klindze. Tych, którzy o niej wiedzą, jest ledwie pół tuzina garstka, może mniej. Wiedza ta stanowi najlepszą broń. Obnażone gardło mojego wroga dosięgnie jej śmiertelny cios. Podam do publicznej wiadomości, że Sven Hedin – ten zwolennik króla; odkrywca-blagier; słabeusz; pacholek; nienawidzący sprawiedliwości; pseudonaukowiec; obludnik, który ośmieszył mnie w Blanch's Café; gad wąż, który mnie obmawiał i pozbawił Nagrody Nobla; demon diabeł, który oczernił mnie w „Dagens Nyheter” etc., etc., etc. – nie jest wzorem cnót, za jaki się podaje: Hedin spłodził ze swoją gospożą dziecko, dziewczynkę – bękarta! Milczenie i Przebaczenie uległość gospoży, Marii Karlsson, kosztowały czterysta koron. Mojego milczenia nikt nie kupi! Uległość nie jest u mnie towarem na sprzedaż! To może być będzie koniec Svena Hedina! Obym tylko zdążył dokonać zemsty, zanim śmierć mnie zabierze.

To moje ostatnie życzenie – niczego więcej nie pragnę!

Leo powoli opuścił dłoń, w której trzymał kartkę, i wymamrotał pod nosem:

– Więc jednak miał potomka.

– Że co?

Odgarnawszy wilgotną od potu grzywkę, wyjaśnił:

– Sven Hedin to ostatni obywatel Szwecji, któremu nadano szlachectwo, lecz zmarł bezdzietnie, więc jego ród wygasł – tak w każdym razie piszą w książkach do historii. Najwyraźniej jednak Hedin ma potomka.

Claudia wpatrywała się w pomięty papier w rękach Leo, w ostatnie linijki zapisków, wreszcie wykrztusiła:

– Potomek Hedina... to ostatnia ofiara!

– O rany, to możliwe.

– Sto lat temu Strindberg chciał zemścić się na Hedinie, prawda? *To moje ostatnie życzenie – niczego więcej nie pragnę!* A teraz Fredrick Stolte zamierza to życzenie spełnić.

– Masz rację. To jakby sam Strindberg zawołał zza grobu, żądając zemsty. Do diaska, przecież on obwinia Hedina nawet za to, że nie dostał Nagrody Nobla!

Claudia zrobiła kilka nerwowych kroków między regałami, nie mogła ustać w miejscu.

– Coś słyszałam o tym Hedinie, pewnie to nazwisko pojawiło się na jakimś egzaminie z historii w liceum. Kim on właściwie był?

– Podróżnikiem, odkrywcą, znanym na całym świecie – i jednym z największych wrogów Strindberga. Na początku XX wieku często dochodziło między nimi do konfliktów, zwłaszcza w okresie tak zwanej wojny Strindberga.

– Wojny Strindberga?

– Wiosną 1910 roku Strindberg opublikował w prasie tekst o nieudolności Karola XII, stało się to początkiem wielkiej kłótni, w którą zamieszana była cała szwedzka elita intelektualna. Przez rok Strindberg i jego wrogowie napisali setki artykułów. Roiło się w nich od oskarżeń, bezpardonowych wycieczek osobistych, a najbrutalniej atakował Strindberga...

– Sven Hedin?

– Zgadza się. Hedin reprezentował wszystko, czego Strindberg nienawidził: rodzinę królewską, armię, klasę wyższą. A potem, w latach trzydziestych, był jednym z największych sympatyków nazizmu w Szwecji, pod koniec drugiej wojny światowej opublikował tekst gloryfikujący Adolfa Hitlera. Chyba trudno opisać go celniej, niż zrobił to sam Strindberg – Sven Hedin był kłamcą i obłudnikiem.

Claudia patrzyła na labirynt regałów i walające się graty. Otarła pot z czoła.

– Hedin nie żyje pewnie od pół wieku?

– Wydaje mi się, że zmarł na początku lat 50.

– Właśnie. Nie można więc zastrzelić go z rewolweru czarnoprochowego ani otruć wydzieliną liściołaza. Lecz jeśli ma krewnego, o którym nikt nie wie...

Nie kończąc wywodu, chwyciła Leo za rękaw.

– Musimy dowiedzieć się, kto jest tym krewnym.

– To niemożliwe. Claudia, przecież to mógłby być ktokolwiek, jakiś nauczyciel w podstawówce w Kirunie albo tybetański mnich, który...

- Wiem – przerwała mu. – Zrobimy tak jak Fredrick Stolte.
- A co on zrobił, do diaska?
- Pojechał tam – odpowiedziała wyciągając ze sterty papierów na biurku ulotkę informacyjną.

Archiwum Miejskie w Sztokholmie

Adres: Kungsklippan 6

Godziny otwarcia czytelnictwa* oraz punktu informacyjnego:

pon. – śr. i pt. 9.00 – 16.00; czw. 9.00 – 20.00

*w czytelnictwie obowiązuje zakaz wnoszenia toreb, wierzchniej odzieży, napojów i jedzenia.

W dolnym rogu ulotki widniał dopisek sporządzony starannym charakterem Fredricka Stoltego: *Maria Karlsson – gosposia – nieślubna córka urodzona przed 14.05.1912 – ojciec: Hedin.*

– Nie mamy czasu do stracenia. Musimy znaleźć tę osobę, zanim zrobi to Fredrick Stolte.

Schowała ulotkę i notatkę Strindberga do tylnej kieszeni, a potem oboje wyszli z dusznego pokoju, zamknęli drzwi mieszkania i zbiegli po schodach. Pół minuty później zostawili za sobą secesyjny fronton kamienicy i ruszyli pędem wzdłuż nabrzeża, świeże powietrze znad Mälaren smagało im twarze. Ledwie kilka kwartałów dalej na północ ulice Strindbergsgatan i Hedinsgatan krzyżowały się niczym dwie szpady w pojedynku, lecz Claudia i Leo zmierzali w przeciwnym kierunku, szli przez tonący w nocnych ciemnościach Östermalm, w stronę kościoła Jadwigi Eleonory, przy którym stał zaparkowany motocykl.

– Claudia – odezwał się nagle zdyszany Leo i chwycił ją za rękę. – Jedź do archiwum, ja muszę coś sprawdzić, zajrzeć do pewnej książki.

Claudia utkwiała w nim wzrok.

– Jakiej książki?

– Jest taka biografia – *Przygoda naprawdę: Opowieść o odkrywcy Svenie Hedinie*, muszę ją przejrzeć. Może coś tam znajdę, jakąś wskazówkę o tej gosposi, Marii Karlsson.

– Jest druga w nocy, zapomniałeś? O tej porze nie zdobędziesz żadnej książki, wszystkie księgarnie i biblioteki są zamknięte.

Na ustach Leo pojawił się uśmiech.

– Jest takie jedno miejsce, gdzie można znaleźć sporo do czytania, nawet

grubo po północy – nazywa się Antykwariat Dorfmana. Tam, na najwyższej półce w sekcji *Biografie* stoi sobie grzecznie książka *Przygoda naprawdę*.

– Leo, do cholery. Przecież jesteśmy ścigani, szuka nas policja, jeśli chcemy z tego wyjść cało, musimy trzymać się razem. Jedź ze mną do archiwum, a potem wrócimy do antykwariatu.

– Claudia, sama mówiłaś, że liczy się każda minuta, prawda? Jeśli się rozdzielimy, zyskamy sporo czasu.

Przez kilka sekund patrzyła na wzbierające fale Saltsjön, wreszcie skinęła głową.

– No, dobra, ale bądź ostrożny, do cholery. Możliwe, że Hedlund kazał obserwować antykwariat, pewnie wysłał nieumundurowanych funkcjonariuszy. Jeśli rzeczywiście tam są, to siedzą w srebrnoszarym audi Q3. Nie wezmą tego samego forda mondeo, którym ścigali nas wczoraj, zaparkują jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia, po drugiej stronie ulicy, ale tak, żeby mieć antykwariat na widoku. Jeśli zobaczysz samochód z przyciemnionymi szybami, to wiej stamtąd, od razu.

– Okej.

Przez chwilę stali w bezruchu wśród ciemnych sylwetek drzew na Strändvägen, patrzyli na siebie w milczeniu. Potem, nie wypowiadając ani słowa, Claudia odwróciła się i różnym krokiem ruszyła w stronę Artillerigatan, otulona mgłą niczym szarym futrem.

1914

Nie przyznano Nagrody Nobla

18 maja 2012

Dwadzieścia pięć minut później w górę Parmmätargatan, po południowej stronie Kungsklippan, biegli mężczyzna i kobieta. W mroku twarz Larsa Lövdéna była niewidoczna, ale w świetle mijanych latarni ukazywały się jego zmęczone oczy i poszarzałe, blade policzki. Komendant luźno trzymał w palcach prawie już dopalonego papierosa, z jego ust wydobywały się cienkie smużki dymu.

Towarzyszyła mu nieco młodsza kobieta, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Chociaż Lövdén obudził ją zaledwie kwadrans wcześniej, czujnym wzrokiem wpatrywała się w ciemność. Kiedy przystanęli przed długim, ceglany budynkiem Archiwum Miejskiego, rozejrzała się, i z lekką irytacją w głosie zapytała:

– Gdzie ona się podziewa? Mówiłeś, że tu będzie.

W tej samej chwili w krzakach za nimi coś zaszeleściło i spomiędzy gęstwiny jałowców wyłoniła się postać.

– Cześć!

Lövdén odwrócił się, w jego ustach tkwił żarzący się papieros.

– Claudia, wszystko w porządku?

– Tak.

– To dobrze, ale co tu się dzieje, do diaska?

– Opowiedziałam o wszystkim Fridzie Zetterlund, ona się tym zajmie, ale jeśli chcemy zapobiec kolejnemu morderstwu, musimy natychmiast wejść do Archiwum, liczy się każda minuta.

– Kolejnemu morderstwu? – głos Lövdéna odbił się echem od pobliskich budynków.

Nie odpowiedziawszy, Claudia zwróciła się do kobiety.

– Claudia Rodriguez, śledcza w biurze kryminalnym Komendy Głównej.

– Wiem, czytałam gazety – odpowiedziała towarzyszką Lövdéna i ucisnęła wyciągniętą dłoń. – Margareta Dyfvermark, pracuję w Archiwum Miejskim. Lasse i ja znamy się od dawna.

Claudia zrobiła krok w stronę głównego wejścia do budynku, ale Dyfvermark, nie ruszając się z miejsca, zwróciła się do komendanta.

– Lasse, mam jedno pytanie. Ściga ją cała szwedzka policja, jej zdjęcie jest na pierwszych stronach gazet, w każdym wydaniu wiadomości mówią o niej i tym antykwariuszu. Czy jeśli wpuszczę was do Archiwum, będę tego żałować do końca

życia?

– Nie wiem. Możliwe.

Przez chwilę Dyfvermark patrzyła na Sztokholm widoczny ponad skalnym urwiskiem stanowiącym naturalny koniec ulicy – w oddali, za surową sylwetką ratusza, majaczyły tysiące latarni i oświetlonych okien. Archiwistka wzięła głęboki oddech i jeszcze jeden, a potem zdecydowanym ruchem wyjęła kartę dostępu, wstukała osobisty kod – procedura wymagana po godzinie dwudziestej drugiej – i otworzyła frontowe drzwi.

– Najlepiej od razu zjechać na dół, do samego archiwum – wyszeptała. – Tam nikt nas nie zobaczy.

Ruszyli przez ciemny hol, minęli kontuar recepcji i podążyli do drzwi antywłamaniowych w głębi ogólnodostępnej czytelnicy. Dyfvermark otworzyła je, przeszli przez pomieszczenia dla personelu i skierowali się do wind. Kobieta wskazała tę po lewej, a kiedy wsiedli, znów włożyła kartę do czytnika i wstukała kod. Potem wciśnęła przycisk -7, winda zatrzęsała się i ruszyła do podziemi. Lövdén spoglądał na Claudię niespokojnym, pytającym wzrokiem.

– Co właściwie robiliście przez te kilka dni? Ty i Dorfman? Wiecie, kto jest mordercą?

– Nazywa się Fredrick Stolte, mieszka na Strandvägen, numer trzydzieści jeden, na czwartym piętrze. Frida z pewnością wysłała już oddział, funkcjonariusze znajdą tam potrzebny materiał dowodowy. Na potencjalnych intruzów czekają bardzo groźne pułapki, więc muszą wchodzić ostrożnie. Drugi oddział pojedzie do budynku Giełdy Sztokholmskiej, w tajnym archiwum Akademii Szwedzkiej jest wejście do podziemnego tunelu, który prowadzi do przestronnej groty, głęboko pod Starym Miastem. Tam z kolei znajdą tysiące rękopisów i dzieł sztuki oraz trzy ciała.

– Rany boskie, łajdak zamordował kolejne osoby?

– Nie, ci ludzie sami odebrali sobie życie, wypili truciznę, roztwór arszeniku, ale Fredrick Stolte rzeczywiście zamierza znowu zabić – to będzie jego ostatnia ofiara.

Lövdén wpatrywał się w Claudię.

– Kogo? Kto będzie jego ostatnią ofiarą?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – I właśnie dlatego tu jesteśmy.

Winda zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem. Wsiedli na siódmym poziomie, ponad trzydzieści metrów w głąb ziemi, pośpiesznie przemierzali wąskie korytarzyki i poszczególne archiwa. Kiedy mijali Archiwum Map i Planów, Dyfvermark zwróciła się do Claudii:

– Więc szukasz nieznanej osoby, zakładam, że masz o niej jakieś informacje, jakąś wskazówkę, bo w przeciwnym razie nasze archiwa w niczym ci nie pomogą.

– Mam nazwisko, to kobieta, która żyła na początku dwudziestego wieku –

Maria Karlsson.

– Maria Karlsson?

– Tak.

– Kiepsko, bardzo kiepsko.

– Dlaczego?

– Maria to najpopularniejsze szwedzkie imię żeńskie, a Karlsson jest na drugim albo trzecim miejscu wśród najbardziej popularnych nazwisk. Na początku XX wieku w samym Sztokholmie było pewnie kilkaset kobiet o tym imieniu i nazwisku, a w całym kraju dziesiątki tysięcy.

Dotarliśmy do rozgałęzienia, Dyfvermark skręciła w lewo, odgłos obcasów odbijał się echem w długim korytarzu.

– Nie masz innych informacji o tej kobiecie? Na przykład daty urodzenia albo pełnego nazwiska?

– Nie, ale znam kilka szczegółów.

Claudia wliczała po kolei na palcach.

– Po pierwsze, była gosposią Svena Hedina, po drugie, około 1912 roku urodziła córkę, po trzecie, ojcem dziewczynki był Sven Hedin – ale to tajemnica, nikt o tym nie wie.

– Sven Hedin? – wykrzyknął Lövdén. – A co on ma z tym wszystkim wspólnego? Ten słynny odkrywca i sympatyk nazizmu?

– A zarazem jeden z największych wrogów Strindberga – uzupełniła Claudia. – Na początku dwudziestego wieku napisał o nim mnóstwo artykułów, w których go bezpardonowo krytykował i obrażał. A teraz, sto lat później, ma go dosięgnąć zemsta.

Przy ognioodpornych stalowych drzwiach Margareta Dyfvermark ponownie musiała użyć karty dostępu. Wewnątrz, wzdłuż pomalowanych na biało betonowych ścian, stało pięć komputerów Compaq d6z i kilkanaście serwerów NAS, które wydawały z siebie głuche pomruki. Claudia weszła do środka, po czym zakończyła swój wywód:

– Gdzieś żyje nieznany potomek Hedina. Może w Szwecji, może za granicą, może to być jego wnuk albo prawnuk. Wiem jedno, ta osoba będzie ostatnią ofiarą Fredricka Stoltego.

Dyfvermark usiadła na krześle biurowym i z zadumą popatrzyła na beżowe gipsowe płyty sufitu.

– No, dobra, sprawa wygląda tak. Żeby znaleźć konkretną osobę w Szwecji, potrzebujemy trzech rzeczy: pełnego nazwiska, dokładnej daty urodzenia i parafii, w której ta osoba przysła na świat, mając te dane, można znaleźć w naszych bazach i archiwach każdego. Proste jak drut. Ale ty nie posiadasz żadnej z tych informacji, szczerze mówiąc, nie masz nic, od czego można by zacząć. Nie jesteś pewna roku urodzenia i znasz tylko niepełne nazwisko kobiety, które w dodatku da dzie-

siątki tysięcy wyników w ewidencji ludności i dawnych spisach podatników.

Rozłożyła ręce w geście rezygnacji.

– Sorry, ale nie znajdziemy tej osoby, w każdym razie nie teraz.

Claudia szybkim ruchem chwyciła ramię kobiety.

– Posłuchaj, do diaska, możemy znaleźć Marię Karlsson w waszym archiwum, jestem tego cholernie pewna.

– Skąd to wiesz?

Claudia powoli puściła rękę archiwistki.

– Bo morderca też ją tu znalazł.

* * *

Pół godziny wcześniej, po rozstaniu z Claudią, Leo czekał jeszcze chwilę pod lipami na Strandvägen i patrzył za jej oddalającą się sylwetką, póki nie zniknęła wśród spowitych mgłą budynków Östermalmu. Teraz biegł wzdłuż nabrzeża. Mijając park Berzeliusa, dostrzegł biało-niebieskie taśmy policyjne i bukiety kwiatów, które wciąż przypominały, że to tam, przed czterema dniami, został zastrzelony Hubert Rudqvist. Leo oderwał wzrok od miejsca zbrodni i kierował się dalej, na wschód, ku portowym nabrzeżom Starego Miasta, mijał latarnie i neony, których blask odbijał się w wodach Strömmen, przeszedł słabo oświetlonymi śmierdzącymi tunelami przy Slussen, potem w górę, schodami imienia Thora Modéna i wreszcie skręcił w Södermannagatan. Kiedy zbliżał się do antykwariatu, zza chmur wyjrzał księżyc, rozjaśniając opustoszałe ulice Södermalmu.

Zatrzymał się przy zabytkowym warsztacie rzemieślniczym na rogu i ukrył za kontenerem. Z tego miejsca miał dobry widok w kierunku zachodnim, na całą Bondegatan. Przy chodniku, przed wejściem do antykwariatu, stało kilkanaście aut, ale żadne z nich nie było srebrnoszarym audi, żadne nie miało też przyciemnianych szyb. Większość z nich rozpoznał, należały do tutejszych mieszkańców. Jakieś dwadzieścia metrów dalej, po drugiej stronie, stał ciemnozielony passat, którego Leo wcześniej nie widział – stary rocznik, bez felg, a w bocznym oknie osłona przeciwsłoneczna z Królem Lwem.

To mi nie wygląda na nieoznakowany radiowóz.

Mimo wszystko tkwił w miejscu, obserwował samochody i drzwi wejściowe, wypatrywał, czy ktoś się nie porusza albo nie ukrywa w cieniu. Po kilku minutach udał się na Skånegatan, tam postąpił tak samo. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nieumundurowanych policjantów, podszedł do bramy pod numerem 61, otworzył ją, przebiegł przez wewnętrzną uliczkę i podwórze, prosto do tylnego wejścia do antykwariatu. Było tak ciemno, że ledwie widział dziurkę od klucza, wreszcie zdołał jednak otworzyć zwichrowany zamek. Ostrożnie, niczym włamywacz, wślizgnął się do środka, na palcach skradał się między regałami. Panował tu niemal zupełny mrok, jedyne źródło światła stanowił blask latarni, który sączył się przez wi-

trynę i rozjaśniał nieco wewnątrz. Leo powoli rozejrzył się po antykwariacie – nie było go tu od dwóch dni, odkąd Rolf Hedlund pojawił się pod drzwiami.

Dwa dni!

Już nie pamiętał, kiedy zostawił antykwariat na tak długo, może nawet nigdy. Na widok regałów i stosów książek przepełniło go wewnętrzne ciepło. Powoli pogładził palcami grzbiety tomików na półce z poezją – delikatny dotyk, jakby witał bliską przyjaciółkę albo kochankę. Mijając aneks kuchenny, nie mógł się oprzeć i wszedł do środka. Nie zapalając lampy, zaparzył herbatę w czajniczku Höganäs i posmarował masłem kilka pełnoziarnistych sucharków, za źródło światła posłużył mu płomień palnika kuchenki. Z pełną tacą udał się do sekcji biografii, odsunął kilka książek i puszkę po sardynkach walające się po podłodze. Z szuflady sekretarzyka wyjął ogryzek ołówka i kołnotatnik, po czym zdjął z najwyższej półki biografię Hedina autorstwa Axela Odelberga. Usadowił się na podłodze i otworzył sześćsetstronicową książkę.

– No, więc, czym się pan zajmował, panie Hedin?

Zapaliwszy świeczkę, czytał w szalonym tempie rozdział za rozdziałem. Co jakiś czas popijał herbatę ani na moment nie odrywając wzroku od książki, zachłannie czytał dalej o dzieciństwie Hedina spędzonym w sąsiedztwie sztokholmskiego placu Hötorget, o podróżach do Persji i Pekinu, do Sankt Petersburga, w Himalaje i na pustynię Gobi, o spotkaniach z Teodorem Rooseveltem, Adolfem Hitlerem, Oskarem II, Ottonem von Bismarckiem, Panczenlamą, Salomonem Augustem André, Hermannem Göringiem. Przebiegał wzrokiem kolejne strony w poszukiwaniu wskazówki, jakiegoś odkrycia.

Z zakamarków antykwariatu znosił wciąż nowe książki, sprawdzał nieznanne nazwiska i odległe pustynie. Wkrótce wyrosły wokół niego wysokie stosy, piętrzyły się atlasy, leksykony, kompendia. Na podłodze leżały pootwierane tomy Nordyckiej Encyklopedii Rodzinnej i narodowego wydania encyklopedii powszechnej, zakurzone i wystrzępione. Po ponad godzinie pierwsze strony kołnotatnika zapełniły się przemyśleniami i adnotacjami sporządzonymi zamasztystym piśmem:

– *Norra Blasieholmen 5B: mieszkanie Hedina 1909.*

– *Rodzina Hedina (rodzice, siostra) mieszkali w tym samym budynku na Blasieholmen, naprzeciwko (Maria K. pracowała również u nich?).*

– *Maria Lindström (z domu Broman): młodzięcza miłość Hedina i jego kochanka od 1910!!! Czy ona i Maria K. to ta sama osoba? Strindberg był już stary i chory, może pomylił nazwiska?*

– *Mieszkanie przy Bastugatan: miłosne gniazdko, w którym Hedin potajem-*

nie spędzał czas z Marią Lindström. Spotykał się tam również z innymi kobietami? Z kim?

– Podróże Hedina: 1905 – 1909 do Tybetu, 1927 – 1935 do Azji Środkowej. Czyli: 1909 – 1927 głównie w Sztokholmie.

– Ważne pytanie: skąd Strindberg mógł wiedzieć, że Hedin ma dziecko z gosposią? To tajemnica. Strindberg znał kogoś z otoczenia Hedina? Kto to mógł być? Karl-Otto Bonnier (wydawca obu)? Sven Palme (wspólny znajomy pod koniec XIX wieku)? Profesor Vilhelm Carlheim-Gyllensköld (ze Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk)?

– Osoby, z którymi Strindberg miał kontakt w ostatnim roku życia: Axel i Anna (jego brat i siostra); „panowie od Beethovena” (Carl Eldh, Albert Engström, Richard Bergh); Fanny Falkner; córka Greta z mężem, Henrym von Philipem. Czy ktoś z nich mógł powiedzieć Strindbergowi o gosposi Hedina?

Wyczerpany odłożył książkę i oparł się o półkę z literaturą science-fiction, dopiero teraz poczuł, że zeszywniał mu kark, powieki zamykały się ze zmęczenia. Nastął poranek, zza czarnych i czerwonych dachów Södermalmu wyglądały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Leo ostatnim wysiłkiem przejrzał notatki, upił nieco zimnej herbaty i schrupał ostatniego sucharka. Nagle z głębi antykwariatu dał się słyszeć odgłos kroków, zaskrzypiała podłoga.

– Claudia? Skończyłaś? – zapytał Leo podnosząc wzrok. – Znalazłaś coś w archiwum?

To jednak nie Claudia stała ukryta w ciemnościach przy tylnych drzwiach, lecz August Strindberg.

* * *

Siedzieli na plastikowych krzesłach w magazynie Archiwum Miejskiego, trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi, pogrążeni w myślach, szukając wskazówki, rozwiązania. Jedyne, co dało się słyszeć, to szmer serwerów, na ich plastikowych obudowach migały seledynowe i pomarańczowe diody.

Milczenie przerwała wreszcie Margareta Dyfvermark.

– Nie ma sensu szukać Marii Karlsson w spisach podatników czy w spisie powszechnym z 1910, otrzymamy tysiące wyników ale może to nie jej powinniśmy szukać.

– Co masz na myśli?

– Dziecko Marii Karlsson urodziło się przed rokiem 1917, to wiemy na pewno.

– Tak – potwierdziła Claudia. – To ma znaczenie?

– Bardzo duże. W latach 1864–1917 poczęcie dziecka poza związkiem małżeńskim było zakazane prawem, często karane, dlatego zazwyczaj w takich przypadkach zacierano ślady porodu. Prawo zabraniało wręcz pomagać kobietom, które wydawały na świat dzieci z nieprawego łoża – musiały radzić sobie same. To wszystko może zarówno ułatwić, jak i utrudnić nasze poszukiwania.

Wzięła głęboki oddech, po czym stwierdziła:

– Jedno jest w każdym razie pewne – zabójca musi być cholernie zdolny, skoro potrafił znaleźć potomka Svena Hedina.

Margareta Dyfvermark utkwiała wzrok w suficie. Wysłuzone krzesło skrzypiało cicho, kiedy zapierając się wysokimi obcasami o podłogę, kołysała się w tę i we w tę, w tę i we w tę. W pewnej chwili zamarła w bezruchu. Claudia zobaczyła, że zmarszczki wokół zatroskanych oczu powoli wygładziły się – w spojrzeniu archiwistki pojawiło się coś nowego.

Oczekiwanie.

– Masz jakiś pomysł?

– Zasiadam w zarządzie Szwedzkiego Towarzystwa Genealogicznego – odpowiedziała Dyfvermark z zadumą. – Gdyby przewodniczący, Arne G. Klements-son, dowiedział się o moich karkołomnych spekulacjach, wyrzuciłby mnie na zbity pysk. Ale nie mamy wyboru. Jedyne dane, jakimi dysponujemy, to niepełne nazwisko i rok urodzenia, zależy nam też na czasie, prawda?

Claudia skinęła głową.

– W najgorszym razie potomek Hedina i tak już nie żyje – stwierdziła. – Zastrzelony z karabinu snajperskiego albo rozerwany przez bombę próżniową kilka minut temu. Więc co to za karkołomne spekulacje?

– Dowiemy się, gdzie Sven Hedin mieszkał w 1912.

Dyfvermark włączyła komputer, na ekranie ukazała się strona logowania.

– Na początku dwudziestego wieku wszystkie dane osobowe ujęto w tak zwanym Rejestrze Ewidencji Rejonowych. Hedin, rzecz jasna, często w tamtych czasach podróżował, po Tybecie, Syberii i Bóg wie, gdzie jeszcze. Ale jeśli miał stały adres w Sztokholmie, powinien on się znajdować w naszym archiwum cyfrowym.

Zalogowała się do bazy danych, po czym wpisała w wyszukiwarce pełne nazwisko odkrywcy. Kilka sekund później na ekranie pojawiły się informacje, które urzędnicy rejonowi z Norrmalmu zanotowali w spisie podatników ponad sto lat wcześniej:

Wyniki: 1 z 8 > >>

Nazwisko: Sven Anders Hedin

Tytuł naukowy: doktor

Data i miejsce urodzenia: 19.02.1865 (Klara), Sztokholm

Stan cywilny: kawaler

Ulica: Norra Blasieholmshamnen 5B

Sygnatura nieruchomości: Blasieholmen 40

Parafia: Parafia św. Jakuba

Rejon ewidencji i dzielnica: 07 (Norrmalm)

– Mamy adres, Hedin mieszkał na Blasieholmen.

Lars Lövdén patrzył zdumiony na wyświetlone dane.

– Nic już nie rozumiem – co dawny adres Hedina ma wspólnego z jego potomkiem żyjącym w XXI wieku?

– Miejmy nadzieję, że bardzo wiele – odpowiedziała Dyfvermark, – bo w przeciwnym razie nigdy nie znajdziemy właściwej osoby, to nasza jedyna szansa.

Zrobiła szybki obrót na krześle.

– Na początku dwudziestego wieku po Sztokholmie kursowały elektryczne tramwaje i jeździło ponad sześćdziesiąt tysięcy rowerów, ludzie zaczęli przemieszczać się po mieście. Robotnik fabryczny mógł mieszkać na przykład w Sundbyberg, a pracować w fabryce telefonów Ericssona w Vasastan. Robotnik portowy...

– Okej, rozumiem – przerwała Claudia. – Sto lat temu było mnóstwo rowerów i wielu robotników. Do czego zmierzasz?

– Zmierzam do tego, że robotnik fabryczny mógł mieszkać na jednym końcu miasta a pracować na drugim, to samo dotyczyło recepcjonistek, robotników portowych czy osób zatrudnionych na dniówki w Wytwórni Dwutlenku Węgla w Gröndal. Na początku dwudziestego wieku wszystkie te grupy zawodowe zaczęły dojeżdżać do pracy – ale nie gosposie, a w każdym razie nie na taką skalę. Skoro Maria Karlsson pracowała na Norrmalmie, to najprawdopodobniej również tam mieszkała. Czyli należała do jednej z tamtejszych parafii. A kiedy urodziła dziecko około 1912 roku, fakt ten powinien zostać odnotowany w księgach kościelnych.

– Teraz widzę, że zmierzasz w dobrym kierunku – powiedziała Claudia, pozwalając sobie na uśmiech.

Dyfvermark również lekko się uśmiechnęła, po czym wyjaśniała dalej.

– Sven Hedin mieszkał przy Norra Blasieholmshamnen. Dzisiaj Blasieholmen należy do parafii katedry sztokholmskiej, ale na początku XX wieku istniały tu trzy parafie: wspomniana katedralna, świętej Klary i świętego Jakuba. Sprawdzę księgi kościelne wszystkich trzech z 1912 roku.

– Mówisz jak doświadczony śledczy – powiedział Lövdén z podziwem.

– Jestem archiwistką, co w praktyce oznacza to samo.

Kiedy pochyliła się nad klawiaturą i energicznie wpisała kody identyfikacyjne i hasła wyszukiwania do systemu SVAR, Szwedzkiego Archiwum Cyfrowego, stolik aż się zatrzęsł. Na widok informacji, które pojawiły się na ekranie, zrzędła jej

mina.

– Niech to szlag...

– Co?

– Mamy cholernego pecha, ale zarazem cholerne szczęście.

– Co to znaczy?

Zamiast odpowiedzieć, Dyfvermark zerwała się z krzesła i rzuciła do drzwi.

– Chodźcie!

Przemierzała szybko łączniki i kręte korytarze archiwum, kilka metrów za nią biegli Claudia i Lövdén.

– Margareta – zawołał zdyszany komendant. – O co chodzi?

– Do tej pory zeskanowano ponad osiemdziesiąt procent szwedzkich ksiąg kościelnych, dzięki czemu są one dostępne w formie cyfrowej, wystarczy nacisnąć klawisz komputera. *Like this!* – odpowiedziała pstrykając palcami.

– Ale ksiąg, do których chcesz zajrzeć, jeszcze nie zeskanowano?

– Właśnie.

W windzie ponownie musiała posłużyć się kartą dostępu i wstukać kod. Pojechali dwa piętra wyżej, na poziom -5, wysiedli i przeszli kolejnymi łącznikami i korytarzami.

– A dlaczego mamy szczęście? – zapytała Claudia, biegnąc obok.

– Dlatego, że mikrofiszki są przechowywane tutaj...

Dyfvermark zatrzymała się przy pomarańczowych ognioodpornych drzwiach – w ich prawym górnym rogu widniała metalowa tabliczka z oznaczeniem: M5 – WYKAZY PARAFIAN// KSIĘGI PARAF. //SPISY PODATN. Archiwistka otworzyła drzwi, weszła do środka i włączyła światło – po kilku mrugnięciach świetlówek zapaliły się. Claudia i Lövdén rozejrzeli się po pomieszczeniu – na metalowych szynach w podłodze stała około setka szarych regałów zsuniętych w długie rzędy.

– To będzie gdzieś tutaj – wymamrotała Dyfvermark i ruszyła do regału w czwartym rzędzie.

Chwyła pokrętko i przekręciła zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Regał, skrzypiąc, zaczął przesuwać się po szynach.

– Na tych regałach jest piętnaście ton materiałów – wyjaśniła zasapana. – Przesunąć coś takiego, to jak unieść trzy dorosłe słonie. Pracując w Archiwum Miejskim, można się czasem poczuć jak Pippi Långstrump.

Wspólnie przesunęli pozostałe regały i wkrótce dotarli do tego z oznaczeniem: ARCH. KOŚCIELNE GVI:1 – PIII:70 // AIII:1 – AIVd:1 // BIa:47 – FII:13. Między regałami A058 i A059 powstała niewielka szpara, na tyle jednak szeroka, że zdołali zmieścić się w niej, wchodząc bokiem. Dyfvermark przeglądała kolejne półki, sprawdzała roczniki, nazwy parafii i oznaczenia serii, wreszcie zatrzymała się przy półce w głębi, tuż pod ścianą. Zaczęła szperać wśród teczek i segregatorów.

– W latach pięćdziesiątych wszystkie szwedzkie księgi parafialne przeniesiono na mikrofilmy, a jesienią 1985 zaczęliśmy zastępować je mikrofiszami. Miejmy nadzieję, że są tu metryki narodzin, których szukamy.

– W przeciwnym razie znalezienie potomka Hedina będzie niemożliwe?

– Będzie możliwe, ale zamiast trzydziestu minut zajmie nam trzydzieści godzin albo trzydzieści dni. W samych tylko archiwach państwowych przechowuje się czterysta kilometrów dokumentów.

– Pytanie tylko, czy nazwisko dziecka Marii Karlsson w ogóle jest w waszych archiwach.

– Odpowiedź być może znajduje się tutaj – stwierdziła Dyfvermark, zdejmując teczkę z przezroczystymi plastikowymi arkuszami A6. – To księgi urodzeń i chrztów parafii katedralnej z lat 1903–1926.

Archiwistka przeszukiwała dalej półki, po chwili znalazła jeszcze dwie tečky, w ich prawym górnym rogu widniały maszynowo tłoczone opisy:

PARAFIA ŚW. KLARY – KSIĘGI URODZEŃ I CHRZTÓW 1909 – 1918

– SE/SSA/0010/C I d/9

PARAFIA ŚW. JAKUBA – KSIĘGI URODZEŃ I CHRZTÓW 1907 – 1915

– SE/SSA/6009/C I/1

– Chodźmy do czytelnicy naukowej, tam będziemy mogli obejrzyć materiały.

Przeszli między regałami, zjechali windą na najniższy poziom i pośpiesznie skierowali się korytarzem ku otwartym na oścież drzwiom. Kiedy przekroczyli próg, oświetlenie zapaliło się automatycznie.

– Witam w centrum naukowym Archiwum Map i Planów.

Do ścian po obu stronach prostokątnej sali przymocowane były stanowiska robocze, na których stało w sumie kilkanaście czytników mikrofisz i jeden czytnik mikrofilmów. Dyfvermark usiadła przy stanowisku, włączyła czytnik, rozłożyła obok tečky i zaczęła szperać wśród miękkich, cienkich arkuszy.

– Mikrofisz przypominają slajdy, z tą różnicą, że zamiast jednego zdjęcia plastikowe arkusze mogą zawierać całe księgi parafialne. Mówimy więc o setkach, nawet tysiącach stron, pomniejszonych i upakowanych na małej powierzchni.

Umieściła jedną z mikrofisz w czytniku – na ekranie od razu pojawiła się jej zawartość, powiększona i wyraźna.

– Do dzieła.

Zacząła systematycznie przeglądać księgi urodzeń i chrztów parafii katedralnej, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Nie odrywając wzroku od ekranu, z wprawą manipulowała pokrętłem. Przed ich oczami przesuwwały się stare arkusze, kościelne dokumenty, imiona nadawane przy chrzcie, daty urodzenia. Świadkowie, rodzice, pastory, mężczyźni i kobiety, mieszkańcy Sztokholmu na przełomie XIX i XX wieku. Kiedyś prawdziwi żywi ludzie, teraz martwi – zostały po nich tylko nazwiska i daty, utrwalone w postaci mikroobrazów w Archiwum Miejskim, ukryte

w podziemnym labiryncie betonowych magazynów i regałów, chronione stałą kilku antywłamaniowych drzwi.

Claudia i Lövdén, usadowieni po bokach stanowiska, w milczeniu usiłowali zrozumieć cokolwiek z ogromnej masy tekstów migających im przed oczami.

– Czego właściwie szukamy? – zapytała Claudia.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała archiwistka. – Może gdzieś znajdziemy Marię Karlsson, wymienioną z nazwiska albo na przykład w notatce któregoś z pastorów. W księgach parafialnych często zapisywano plotki i niecodzienne zdarzenia.

Przejrawszy wszystkie księgi urodzeń i chrztów z okresu od stycznia 1910 do połowy maja 1912 roku, Dyfvermark ostrożnie wyjęła mikrofiszę, włożyła do czytnika następną i zaczęła sprawdzać kolejne ręcznie spisane noty, jedną po drugiej, dziecko za dzieckiem. Najpierw przejrzała księgi parafii katedralnej, potem świętej Klary i świętego Jakuba. Po czterdziestu pięciu minutach westchnęła, zmęczona i sfrustrowana. Blask oczekiwania przygasł w jej oczach.

– Punktem wyjścia naszych poszukiwań są karkołomne spekulacje. Nie mamy faktów, nie mamy pełnych danych osobowych, być może Maria Karlsson mieszkała przy Roslagstull i, co za tym idzie, należała do parafii świętego Jana. A może w dzielnicy robotniczej przy Hornsgatan, przypisanej do parafii Marii Magdaleny albo wynajmowała pokój u Hedina, a pochodziła z Dalarny i figuruje w księgach parafii w Mora albo Siljansnäs. Nie znamy też roku urodzenia dziecka – może był to 1912, a może 1911, 1910 albo jeszcze wcześniej. Istnieje też inna możliwość – to najgorszy scenariusz – że dziecko Marii Karlsson nie zostało wpisane do żadnej księgi parafialnej – czasem narodziny dziecka z nieprawego łoża utrzymywano w tajemnicy, z obawy przed konsekwencjami prawnymi.

Lövdén zerkał na pracujący z cichym szmerem czytnik.

– To jak szukanie igły w stogu siana.

– Gorzej. Szukając igły w stogu siana, wiesz przynajmniej, że igła gdzieś w tym stogu jest, my natomiast chcemy znaleźć osobę, która być może w ogóle nie figuruje w księgach parafialnych.

Dyfvermark dalej przeszukiwała materiały, ale o wiele mniej energicznie, powoli manipulowała pokrętłem, zmęczonym wzrokiem odcyfrowywała odręczne wpisy. Nagle puściła pokrętło i zerwała się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się na podłogę. Wycelowała palec wskazujący w ekran czytnika, w skan wystrzępionego dokumentu.

– To ona... to ta dziewczynka!

Na monitorze widniała nota pośpiesznie sporządzona ręką pastora:

Księga urodzeń i chrztów parafii św. Jakuba, 1912 rok

Data urodzenia

Chrzest

Płeć

Imiona nadane przy chrzcie

4 maja A.N.

12 maja

kobieta

Hedvig Maria Eugenia

Matka

Ojciec

Świadkowie chrztu

Nora Karlsson, Gustaf Karlsson,

Fanny Falkner, Andrea Forsström

Maria Alberta

Nieznany

Lovisa Karlsson

– Hedvig Maria Eugenia...

Kiedy Claudia zobaczyła pełne nazwisko dziecka i datę urodzenia, jej serce zabiło mocniej.

– A. N.?

– *Ante Nuptialis*, czyli urodzona przed zawarciem małżeństwa – wyjaśniła Dyfvermark. – W taki, nieco bardziej elegancki sposób, nazywano w księgach parafialnych dzieci z nieprawego łoża – można powiedzieć, że to swoisty kruczek prawny. W Szwecji nie wolno było urodzić dziecka w związku pozamałżeńskim, natomiast urodzenie dziecka przed zawarciem takiego związku, czyli *Ante Nuptialis*, było jedynie grzesznym i godnym potępienia postępkem.

Claudia wpatrywała się w pierwszą kolumnę zapisu.

– Dziewczynka urodziła się 4 maja, czyli zaledwie dziesięć dni przed śmiercią Strindberga.

Lars Lövdén skinął głową, jego spojrzenie wyrażało jednak wahanie.

– Możemy być pewni, że to właściwa osoba? Margareta, przecież sama mówiłaś, że na początku XX wieku w Sztokholmie mieszkały setki kobiet o nazwisku Maria Karlsson. Może to nie ta, której szukamy.

– To ona. Spójrz.

Dyfvermark skierowała dłoń na ekran czytnika, wskazując nazwisko trzeciego świadka chrztu.

– Fanny Falkner? – zapytał Lövdén. – A któż to jest, do diaska?

– To ostatnia miłość Strindberga. Prowadzili intensywną korespondencję i często spotykali się w jego mieszkaniu przy Drottninggatan 85. W ten właśnie sposób Strindberg dowiedział się o wpadce Hedina, dzięki Fanny Falkner.

– No, dobra, mamy już najważniejsze dane – wtrąciła Claudia z zapałem. – Datę urodzenia, parafię oraz pełne imię i nazwisko. Wystarczy więc zalogować się i przeszukać cyfrowe bazy ewidencji ludności, prawda? Wybierzemy opcję szczegółowego wyszukiwania i wpisujemy wszystkie warianty, w ten sposób znajdziemy ją, nawet jeśli wyszła za mąż i zmieniła nazwisko albo pisała się Carlsson przez C.

Margareta Dyfvermark pokiwała głową z podziwem.

– Mogłabyś pracować jako archiwistka.

– Jestem śledczą w biurze kryminalnym Komendy Głównej, to praktycznie to samo.

Wyszli z czytelnicy i pobiegli z powrotem długimi korytarzami najniższego poziomu archiwum.

– Znajdziemy potomka Hedina – zawołał zdyszany Lövdén, podążając kilka metrów za Claudią i Margaretą Dyfvermark. – Teraz, do jasnej cholery, musi się

udać.

– Tak – odpowiedziała Claudia, – ale możemy napotkać inny problem. Nie wykluczone, że Hedvig Karlsson urodziła pięcioro albo sześcioro dzieci, a te z kolei również miały po kilkoro dzieci i jeszcze więcej wnuków – w takim przypadku obecnie żyłyby setki potomków Hedina, a nie wiemy, kogo z nich wybrał Fredrick Stolte, żeby dokonać zemsty. Nie potrafiliśmy ochronić osiemnaściorga członków Akademii Szwedzkiej, więc jak mamy ochronić kilkuset potomków Svena Hedina?

Stukot obcasów Margarety Dyfvermark odbijał się echem od betonowych ścian. Kiedy znów znaleźli się w pomieszczeniu wypełnionym serwerami, archiwistka usiadła przy komputerze i weszła do cyfrowej bazy danych. Mamrocząc pod nosem przeszukiwała kolejne zakładki.

– Najprawdopodobniej już nie żyje, powinna więc być tutaj.

Kilkoma szybkimi ruchami kliknęła ikonę KRAJOWA KSIĘGA ZGONÓW 5 i wpisała dane z księgi urodzeń i chrztów. W kilka sekund znalazła ostatnią parafię, w której rejestrze wpisano Hedvig Karlsson.

– Zmarła w 1947, w parafii Täby.

– W 1947 roku? Dożyła więc tylko trzydziestu pięciu lat.

Dyfvermark zalogowała się do intranetu archiwum, kliknęła kilka kolejnych utajnionych folderów, wreszcie dotarła do tego oznaczonego sygnaturą A-IV-d: DANE OSÓB ZMARŁYCH I UZNANYCH ZA ZMARŁE. W pole wyszukiwarki wpisała nazwisko i pełne imię, jakie Hedvig Karlsson otrzymała na chrzcie, datę urodzenia i ostatnią parafię, w której księgach figurowała.

– Wcześniej dokumenty zawierające dane osobowe były rozproszone po całym kraju, odręcznie wypisane blankiety przechowywano w kościelnych komórkach i domach parafialnych, a tych przecież są tysiące. Zebranie wszystkich informacji mogło trwać tygodnie, a nawet dłużej – teraz wystarczy jedno kliknięcie i mam je na ekranie.

Kiedy nacisnęła klawisz Enter, na monitorze pojawił się zeskanowany formularz wypełniony maszynowym pismem:

Wyciąg z akt stanu cywilnego – RSV 7190 (Wydanie 1) – Wyciąg obejmuje stron 1

Imię: Hedvig Maria Eugenia

Nazwisko: Burman,

Nazwisko rodowe: Karlsson

Płeć: kobieta

Data urodzenia/ numer w ewidencji ludności: 1912-05-04-058

Zawód: sprzedawczyni

Obywatelstwo: szwedzkie

Miejsce urodzenia: parafia św. Jakuba, okręg Sztokholm

Urodzenie: w związku pozamałżeńskim

Rodzice:

Ojciec: ---

Matka: Ekholm, Maria Alberta Lovisa

Nazwisko rodowe matki: Karlsson

Związek małżeński:

Data zawarcia: 1943-10-23 // Burman, Anton Manfred

Data rozwiązania: ---

Dzieci:

Płeć, K // 1947-12-06 // Burman, Rose-Marie Klara Mathilda // Täby, Sztokholm

Zamieszkanie w/przeniesienie do parafii/do rejestru osób o nieustalonym miejscu pobytu:

Parafia św. Jakuba, Sztokholm

Parafia Marii Magdaleny, Sztokholm // 1931-01-22

Parafia Täby, Sztokholm // 1943-04-19

Zgon/ uznanie za osobę zmarłą: 1947-12-06, Klinika Położniczo-Ginekologiczna w Danderyd

Przyczyna zgonu: Przy porodzie/---/ *Cysta ovarii, retroflexio uteri gravidi*

– Nie została matką sześciorga dzieci. Miała jedno i zmarła przy porodzie.

Margareta Dyfvermark chwyciła myszkę, kliknęła ikonę *LUDNOŚĆ SZWECJI* 1990 i wpisała pełne dane Rose-Marie Burman. Kiedy na ekranie ukazał się wynik wyszukiwania, z całej siły walnęła pięścią w stół.

– Niech to szlag, brak wyników! Nie figuruje w ewidencji kościelnej z lat 90.

– Co to oznacza?

– Miejmy nadzieję, że jedynie to, iż zmarła przed 30 czerwca 1991 roku – w przeciwnym razie cały nasz wysiłek na nic.

Dyfvermark znów weszła do *KRAJOWEJ KSIĘGI ZGONÓW 5* i powtórzyła wyszukiwanie. Kiedy na monitorze pojawiły się dane, odetchnęła z ulgą.

– Tak, zmarła w parafii świętej Katarzyny w 1989.

Ponownie zalogowała się do bazy danych osób zmarłych i uznanych za zmarłe. Po wpisaniu daty śmierci i ostatniej parafii Rose-Marie Burman, pojawił się kolejny formularz:

Wyciąg z akt stanu cywilnego – CFJ 3901 XII.67 – Wyciąg obejmuje stron 1

Imię: Rose-Marie Klara Mathilda

Nazwisko: Dorfman

Nazwisko rodowe: Burman

Płeć: kobieta

Data urodzenia/ numer w ewidencji ludności: 1947-12-06-1389

Zawód: artystka, inne
Obywatelstwo: szwedzkie
Miejsce urodzenia: Täby, okręg Sztokholm
Urodzenie: w związku małżeńskim
Rodzice:
Ojciec: Burman, Anton Manfred
Matka: Burman, Hedvig Maria Eugenia
Nazwisko rodowe matki: Karlsson
Związek małżeński:
Data zawarcia: 1972-03-13 // Dorfman, Tobias Teodor
Data rozwiązania: ---
Dzieci:

Płeć, M // 1972-09-22-1599 // Dorfman, Leo Waldemar // Gottsunda, Uppsala

la

Zamieszkanie w/przeniesienie do parafii/do rejestru osób o nieustalonym miejscu pobytu)

Parafia Täby, Sztokholm

Parafia Gottsunda, Uppsala // 1967-08-05

Parafia św. Katarzyny, Sztokholm // 1972-11-30

Zgon/uznanie za osobę zmarłą: 1989-09-29, Sztokholmski Szpital Południowy

wy

Przyczyna zgonu: chroniczna niewydolność serca /---/ *Reptura cordis*

Claudia wpatrywała się w ekran, w białoszare pole na dole, po lewej, zawierające dane dziecka wyszukiwanej osoby. Z jej ust wydobył się szept:

– Leo...

Wypadła z sali, dobiegło ją jeszcze wołanie Lövdéna, ale nie zrozumiała jego słów. Pędziła krętymi korytarzami archiwum, każdy krok odbijał się głośnym echem od betonowych ścian. Z tylnej kieszeni wyszarpnęła komórkę pożyczoną od Giorgiosa Papadakisa, ale trzydzieści metrów pod ziemią nie było zasięgu.

– Kurwa mać!

Rzuciła się do wind, otworzyła drzwi jednej z nich i wcisnęła przycisk, jednak bez karty dostępu i kodu winda nie ruszyła się z miejsca. Claudia pobiegła więc do spiralnej klatki schodowej i pędem pokonała kolejne piętra, po trzy stopnie naraz. Kiedy dotarła na górę, z trudem łapała oddech, z czoła spływał jej pot. Znów wyjęła komórkę, teraz miała pełny zasięg. Biegnąc przez ciemny hol, wybrała numer. Kiedy otworzyła drzwi i wypadła przed budynek, zaczynało już świtać, w telefonie rozbrzmiewały pierwsze sygnały połączenia.

– Odbierz, do cholery. Odbierz...

Po dziesiątym sygnale schowała komórkę do kieszeni i zbiegła z górki w stronę kościoła Jadwigi Eleonory, do krzewu bzu, przy którym stał jej motocykl.

Verner von Heidenstam

Laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1916 roku

Uzasadnienie decyzji Akademii Szwedzkiej:

„najbardziej widoczny przedstawiciel nowej ery w literaturze światowej”

19 maja 2012

Trzymając w ręku rewolwer czarnoprochowy, Fredrick Stolte powoli wszedł do antykwariatu, podłoga trzeszczała pod jego wypastowanymi do połysku półbutami, poły dwurzędowego płaszcza rozsuwały się nieco w przeciagu, a czarny cylinder miał zsunięty na tył głowy.

Był to Strindberg w średnim wieku, mężczyzna z początku lat 90. XIX stulecia. Wydawało się, jakby odbył podróż w czasie, jakby przed chwilą spacerował po paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Blask młodości na jego twarzy zdążył już przygasnąć, ale nie pojawiły się jeszcze oznaki starości – siwizna i zmarszczki. Niebieskie oczy jaśniejące pod jedwabnym rondem kapelusza wpatrywały się w Leo Dorfmana.

Ten stał ledwie kilka metrów dalej, wciśnięty między dział historyczny a regał z literaturą science fiction. Między nimi dopalała się świeczka, twarze mieniły się barwami w jej płomieniu, na półkach i stosach książek tańczyły cienie. Usłyszawszy przeraźliwy dźwięk, spojrzeli na telefon na blacie sekretarzyka, model Diavox marki Ericsson. Po trzecim sygnale Fredrick Stolte rozchylił usta i koniuszkiem języka oblizał wargi.

– Może to twoja przyjaciółka, Claudia Rodriguez, dzwoni z Archiwum Miejskiego.

Na wzmiankę o Claudii Leo poczuł się tak, jakby poraził go prąd elektryczny. Skinął głową, przerażony.

– Może...

Beżowy telefon nie przestawał dzwonić, dźwięk był ostry i przenikliwy. Kiedy wybrzmiał ostatni sygnał, Fredrick Stolte znów się odezwał.

– Albo partnerka właściciela tego lokalu, Sigrid Everts, która od lat próbuje wykurzyć cię z antykwariatu.

Leo wpatrywał się w ciemną postać Strindberga zagradzającą przejście.

– Skąd... skąd tyle o mnie wiesz? Skąd znasz te wszystkie... szczegóły?

– Wiem o tobie niemal wszystko, przez kilka ostatnich dni z dużym zaintere-

sowaniem śledziłem poczynania twoje i Claudii Rodriguez – efekty waszego dochodzenia są imponujące.

– Śledziłeś?

Fredrick Stolte skinął głową.

– Dwa razy udaliście się do siedziby Akademii, za każdym razem do południowo-zachodniej części budynku. Musieliście więc być w tajnym archiwum, prawda?

Leo kiwnął głową, niezdolny cokolwiek powiedzieć.

– Dzisiaj w nocy – ciągnął Stolte – dokonaliście odkrycia, znaleźliście sekretne przejście, które przed niemal stu laty skonstruował mój pradziadek.

Kiedy mówił, jego kciuk cały czas przesuwiał się w tę i w tę po napiętym kurku rewolweru.

– Wielu spośród najznamienitszych szwedzkich pisarzy i profesorów było w tym archiwum. Od chwili jego otwarcia, od 1914 roku, wszyscy członkowie Akademii patrzyli na ów srebrny trójkąt w ścianie – nikt nie rozwiązał jednak zagadki *trimurti*, którą ułożył Carl-Oscar. Dopiero ty.

Odetchnąwszy głęboko, Leo odzyskał głos.

– Kymendö.

– Tak, Kymendö, przez jedno M, tak pisali tę nazwę Strindberg i mieszkańcy wyspy. Musiałeś się z tym uporać, w przeciwnym razie tajne drzwi by się nie otworzyły.

Stolte przeszedł kilka kroków między regałami, przystanął bliżej Leo.

– Znaleźliście podziemny tunel dominikanów i w ten sposób dotarliście do sekretnej siedziby bractwa. Powiedz, zastaliście tam kogoś?

Leo wahał się przez chwilę, splótł dłonie.

– Były tam trzy osoby – wykrztusił.

– Ach tak? Cała trójka? I co zrobili, kiedy ty i Claudia wkroczyliście do naszej groty, o której istnieniu nie wiedział nikt postronny? Co powiedzieli na wasz widok mój ojciec i jego towarzysze?

– Nic nie powiedzieli, wypili wcześniej roztwór arszeniku. Kiedy tam weszliśmy, już nie żyli.

Fredrick Stolte zamarł w bezruchu, jakby był pomnikiem Strindberga wykutym z kamienia albo odlanym z brązu. Po kilku sekundach zaczął jednak mówić dalej, tym samym tonem co wcześniej.

– Potem udaliście się na Östermalm, prawda? Zaparkowaliście motocykl przy kościele Jadwigi Eleonory, pewnie nieopodal nagrobka Carla von Cardella. Następnie poszliście do naszego mieszkania, wdarliście się do mojego pokoju. Czy liściołazy złociste żyły jeszcze?

– Tak... żyły.

– Cieszę się. Nie chciałbym, żeby coś im się stało.

Dłonie Leo drżały ze strachu i wściekłości.

– Skąd... skąd wiesz to wszystko? Skąd, do cholery, wiesz, gdzie byliśmy?

Fredrick Stolte zaśmiał się beztrąsko.

– Wyjaśnienie jest niezwykle proste – w twoim lewym adidasie, między gumową podeszwą a wkładką, znajduje się mikrochip – dzięki niemu mogłem cię śledzić przez ostatnie dwa dni.

– To... niemożliwe. Jak, do cholery, zdołałeś umieścić tam mikrochip, to absolutnie niemożliwe!

Fredrick Stolte odpowiedział ze spokojem.

– Wszystko wydarzyło się pewnej mroźnej, śnieżnej kwietniowej nocy. Może ją pamiętasz? Nocowałeś wtedy u jednej ze swoich znajomych, a po powrocie odkryłeś, że ktoś sforsował łomem tylne drzwi antykwariatu i ukradł książkę. To byłem ja. Włamałem się i umieściłem osiem mikrochipów w twoich ubraniach i butach. Jeden włożyłem pod wkładkę adidasa, który właśnie masz na nodze. Zabrałem też egzemplarz *Just kids* Patti Smith z autografem. Przepraszam, nie pochwalam kradzieży, musiałem jednak coś wziąć, żeby to wyglądało na prawdziwe włamanie. Kilka dni później przyszedłem do antykwariatu – rozmawiałeś wówczas z klientem – i położyłem na sekretarzyku trzysta koron. Było to pięć tygodni temu.

Leo potrząsnął gwałtownie głową, po grzbietach książek przebiegł cień.

– To... to niemożliwe, to było zanim członkowie Akademii zginęli z ręki mordercy, nie mogłeś wiedzieć, że zaangażuję się w dochodzenie.

– Rzeczywiście, nie mogłem tego wiedzieć, mimo wszystko los doprowadził mnie do tego miejsca, do ciebie.

– Los? O czym ty mówisz, do cholery?

Fredrick Stolte nie odpowiedział, znów przeszedł kilka kroków między regałami.

– W moim pokoju, na biurku, musieliście znaleźć odręcznie napisaną notatkę z maja 1912 roku. Przeczytaliście ją z ogromnym zainteresowaniem, rzecz jasna, a potem każde poszło w swoją stronę. Claudia Rodriguez pojechała do Archiwum Miejskiego poszukać informacji o gosposi, o której mowa w tych zapiskach, ty natomiast udałeś się do antykwariatu, żeby poczytać o Svenie Hedinie, prawda?

– Tak...

– Wiecie więc, że Hedin miał córkę, bękartą, i że jego nieznany potomek żyje.

Leo w milczeniu kiwnął głową.

– Ale nie wiecie, kto to jest?

– Nie.

– Pozwól, że pomogę ci w tych poszukiwaniach. Urodzonej w 1912 roku dziewczynce nadano na chrzcie imię Hedvig, brzmi znajomo?

Leo potrząsnął głową, czuł, że zupełnie zaschło mu w gardle.

– Hedvig to popularne imię.

– To prawda. Ale ta Hedvig wyszła za mąż, przyjęła nazwisko męża, Burman, i zaszła w ciążę. W trakcie porodu w Klinice Położniczo-Ginekologicznej w Danderyd doszło do komplikacji – właściwy termin medyczny to pęknięcie macicy. Lekarz próbował zatrzymać krwotok, podając duże dawki morfiny, ale to raczej pogorszyło sprawę. Nie udało się uratować Hedvig, ale jej nowo narodzona córeczka, Rose-Marie, przeżyła. Dorastała w Täby Kyrkby, na północny wschód od Sztokholmu, mieszkała tam z ojcem i jego drugą żoną. W wieku dwudziestu jeden lat rozpoczęła studia dziennikarskie na uniwersytecie w Uppsali. Tam poznała przyszłego męża, publicystę, poetę i autora reportaży podróżniczych, T. T. Dorfmana. Urodził im się syn.

Kiedy Leo usłyszał nazwiska swoich nieżyjących rodziców, poczuł, jakby ziemia osuwała mu się spod nóg. Przytrzymał się regału z poezją, żeby nie upaść.

– To... to ja jestem potomkiem Svena Hedina?

Fredrick Stolte skinął głową.

– Jesteś wnukiem jego córki, jedynym żyjącym potomkiem w linii prostej.

Mówiąc to, uśmiechnął się.

– W ostatnich dniach często bawiła mnie pewna myśl, mianowicie taka, że ty szukasz mnie, a ja ciebie. Strindberg potrafiłby docenić ten zbieg okoliczności, to zrządzenie losu. Może napisałby o tym w *Dzienniku okultystycznym*?

Z twarzy zniknął mu uśmiech, kąciki ust opadły.

– Wreszcie odnaleźliśmy się.

Zdecydowanym ruchem uniósł rewolwer, wypolerowany metal błysnął w półmroku.

– Jak się domyślasz, przyszedłem tu w pewnej sprawie.

– Po-poczekaj...

– Czekałem wiele lat. Dość tego.

Wycelował, zacisnął palec na spuście i powiedział uroczystym głosem:

– Svenie Hedinie, nadeszła chwila zemsty.

Sparaliżowany ze strachu Leo wpatrywał się w otwór lufy, czekał na ogłuszający huk. Nie usłyszał jednak wystrzału, lecz dźwięk tłuczonej szyby i dudnienie silnika o pojemności siedmuset pięćdziesięciu centymetrów sześciennych. Odlamki szkła i książki posypały się na wszystkie strony – taranując witrynę, do antykwariatu wjechała honda shadow. Fredrick Stolte, uderzony przednim kołem między barki, poleciał na regał z literaturą fantasy. Motocykl – już bez kierowcy – zmiażdżył mu prawą nogę, wirujące przednie koło przygniotło twarz, zdzierając z prawej połowy makijaż i warstwy silikonu. Kiedy podniósł głowę, był już zdemaszkowany: z jednej strony August Strindberg, z drugiej Fredrick Stolte. Ogromnym wysiłkiem zdołał odepchnąć motocykl na bok. Wstał, zakrwawiony, i wycelował rewolwer w rozbitą witrynę, w stronę Bondegatan, ale nie było tam nikogo.

– Po-pokaż się!

Chwiejnie szedł przez labirynt regałów i stosów książek, pod butami chrzęściły odłamki szkła i porozrywane tomiki poezji. Przeszukiwał wzrokiem antykwariat pogrążony we wczesnoporannym półmroku, wściekły i przerażony, niczym ranny drapieżnik, ścigany myśliwy. Z czoła spływała strużka krwi, zmiażdżone kolano trzeszczało przy każdym kroku.

– Gdzie... gdzie jesteście?

Nagle dostrzegł jakiś ruch za sekretarzykiem, mimo bólu i ran natychmiast odwrócił się i oddał kilka strzałów. Rozległ się ogłuszający huk, antykwariat wypełnił dym. Fredrick Stolte zamarł w bezruchu, czekał na odgłos padającego na podłogę ciała, jęki, kapanie krwi, lecz w pomieszczeniu panowała zupełna cisza. Powoli przeszedł kilka kroków między regałami, napiął kurek rewolweru i wysapał:

– Nie... ukryjecie... się... przede... mną...

Mijając regał z klasyką, dostrzegł coś między grzbietami książek, w szczelinie między *Wyspą skarbów* a *Doktorem Jekylllem i panem Hydem* tkwiła lufa sig sauera. Stolte rzucił się w bok, oddając jednocześnie dwa strzały w kierunku półki z powieściami Stevensona. Rozległ się ogłuszający huk, antykwariat znów wypełnił się kłębam dymu, a potem zrobiło się zupełnie cicho. Mężczyzna opadł na podłogę, przyciskając lewą dłoń do szyi, tuż pod szczęką, w miejscu, gdzie wbił się pocisk 9 × 19 milimetrów z półautomatycznej policyjnej broni. Dyszał, z trudem łapał powietrze, lecz tchawica wypełniała się już tylko krwią. Nagle usłyszał skrzypienie i odgłos zdecydowanych kroków, po chwili zza regału z klasyką wyłoniła się postać. Mężczyzna z ogromnym wysiłkiem uniósł rewolwer i wycelował w ciemnowłosą kobietę, lecz kiedy jego palec zacisnął się na spuście, dał się słyszeć jedynie głuchy dźwięk przesuwanej komory.

– Oddałeś już sześć strzałów. Remington z 1860 roku ma tylko sześć nabo-
jów w bębenu.

Claudia wyszła pomiędzy regałów, wycelowała broń w klatkę piersiową Fredericka Stoltego i uporczywie wpatrywała się w mężczyznę. Obok niej kuśtykał Leo, powoli zbliżali się do rannego, do mordercy, którego ścigali przez cztery długie dni i noce. Stolte patrzył na nich rozgorączkowanym wzrokiem, powoli rozchylwszy pokiereszowane wargi, zdołał wydobyć z siebie kilka zdań.

– Dro-odzy... przy-jaciele... mogę was tak na-nazywać... W wa-szych oczach... widzę zdi-zdziwienie... wie-wiedzcie jednak... że dla mnie jesteście przy-jaciółmi... chociaż to... to dopiero... nasze... pie-pierwsze... spotkanie...

Tyle byli w stanie zrozumieć. Z jego ust płynęła spieniona ślina i skrzepy krwi, wydobywał z siebie nieartykułowane dźwięki. Miał pękniętą czaszkę, Leo ostrożnie podniósł jego głowę i podłożył pod nią lnianą poduszkę.

Fredrick Stolte nie przestawał mówić, z trudem oddychając, wypowiadał

swoje ostatnie słowa, kaszłąc i plując, nie sposób było zrozumieć jego szeptu, dźwięki tonęły we krwi i żółci. Zabójca członków Akademii Szwedzkiej leżał wśród przewracanych regałów i odłamków szkła. Claudia i Leo pochyłili się, próbując uchwycić wypowiedź umierającego. Jej treść pozostała jednak tajemnicą Fredricka Stoltego, oni nie zdołali usłyszeć nic więcej. Wreszcie zamknął oczy, mięśnie ukryte pod strindbergowską maską zastygły bez życia, a rewolwer powoli wysunął się z zakrwawionych palców.

Claudia i Leo w milczeniu patrzyli na martwego mężczyznę, z daleka dochodziły odgłosy nadjeżdżających na sygnale radiowozów. W antykwariacie było czuć proch i siarkę, dokoła unosił się biały dym.

– Leo, jesteś cały?

– Chyba tak.

Kartki z powieści i tomików poezji wirowały w przeciągu, wydostawały się przez rozbitą witrynę i porwane wiatrem szybowwały dalej nad opustoszałymi ulicami Södermalmu.

* * *

Dwadzieścia minut później na Bondegatan roiło się od policyjnych samochodów i ratowników medycznych, na ulicy rozbrzmiewały nerwowe okrzyki i komunikaty przez radio, na fasadach kamienic pulsowało niebieskie światło, a na asfalcie leżały odłamki szkła, podarte okładki książek i kawałki plastiku.

Na noszach, ustawionych naprzeciw wejścia do antykwariatu, siedział Leo. Wykrzywił się, kiedy pielęgniarka przemywała mu rany na łokciach i policzkach, środek dezynfekcyjny wnikał głęboko pod skórę i palił żywym ogniem.

– To tylko otarcia i siniaki.

Leo skinął głową, patrzył jeszcze za oddalającą się pielęgniarką, póki nie zginęła w tłumie. Potem spojrzał na antykwariat, na rozbitą witrynę. W jaskrawo oświetlonym wnętrzu widać było kilkanaście osób, techników kryminalistyki, policjantów w cywilu, lekarza sądowego i Claudię, szybko przemieszczających się wśród stosów książek i przewracanych regałów. Większość z nich krążyła przy półce z poezją, nad ciałem Fredricka Stoltego, którego kontury odznaczały się pod żółtym kocem.

W zachodniej części kwartału, za biało-niebieską taśmą policyjną, majaczyły sylwetki dziennikarzy, reporterów telewizyjnych i fotografów, na miejscu było ich już około trzydziestki i wciąż docierali kolejni. Wyciągali jak najdalej aparaty cyfrowe, kamery i dyktafony, wołali po szwedzku, angielsku i niemiecku, ale ich pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Leo podparł się rękami i zsunął z noszy. Kiedy jego wzrok padł na asfalt, dostrzegł kawałek kartki leżący przy brzegu chodnika. Podniósł go i usiłował odczytać krótkie strofy, ale odcyfrował tylko pojedyncze słowa na brudnym, pokrytym

śladami opony papierze.

– Przepraszam, że narobiłam tyle szkód w antykwariacie.

Leo od razu podniósł głowę i z krzywym uśmiechem popatrzył na Claudię.

– I tak trzeba było tu posprzątać.

Stała obok, opatrunek na lewym ramieniu był przesiąknięty krwią, widniała na nim rdzawoczerwona plama. Spoglądała na BMW zaparkowane jakieś dziesięć metrów dalej – z tyłu siedział Lars Lövdén, w jego lewej dłoni żarzył się niedopałek, przez otwarte drzwi wydobywały się z auta smużki dymu. Za szybą, z przodu, od strony pasażera, majaczyła nieruchoma sylwetka komendanta głównego policji.

– Muszę jechać.

– Na komendę?

– Tak.

– Będziesz miała problemy? Z Jeglertzem?

– Nie.

Leo powoli odgarnął opadającą na oczy grzywkę. Wypuścił z dłoni kartkę, a ta opadła na marmurkowszary asfalt.

– Claudia...

Spojrzała na niego, czekała, co powie.

– Co teraz będzie?

– Nie mam pojęcia.

– Chodzi mi o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi, Leo. Nie mam pojęcia.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Zza dachów i kominów zaczęło wyłaniać się poranne słońce, które oświetliło ich twarze. Claudia pogłaskała Leo po policzku, a potem szybkim krokiem podeszła do czekającego na nią samochodu, usiadła z tyłu i zamknęła drzwi. Nie odwróciła się, kiedy BMW powoli ruszyło w dół ulicy.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część pierwsza – *Modus operandi*

Harold Pinter

Ernest Hemingway

Jean-Paul Sartre

Josif Brodski

Tomasz Mann

Gabriel García Márquez

Sigrid Undset

1940 – 1943

Imre Kertész

Selma Lagerlöf

Herman Hesse

Doris Lessing

Część druga – *O crux, ave, spes unica*

Pablo Neruda

Winston Churchill

Nadżib Mahfuz

Borys Pasternak

John Steinbeck

Orhan Pamuk

José Saramago

Albert Camus

Część trzecia – *Ante nuptialis*

George Bernard Shaw

Knut Hamsun

Isaac Bashevis Singer

1914

Verner von Heidenstam

